

Największy obok Stephen Kinga  
amerykański mistrz horroru

**BENTLEY LITTLE**



  
AMBER

**POCIĄG UPIORÓW**

**Prawdziwe zło nigdy naprawdę nie umiera.  
Z cmentarzy powstają martwi, by szukać zemsty...**

Upiorny pociąg mknie przez Amerykę. Jedzie poza szlakami kolejowymi.  
Wiedzie zrodzone w trzewiach historii zło, którego nie da się powstrzymać.  
I spleta losy czworga obcych sobie ludzi w przerażającą sieć strachu...



BENTLEY LITTLE został odkryty w 1990 roku przez Stephena Kinga,  
który jest jego wiernym fanem. Podczas wypadku na autostradzie  
w 1999 roku King miał przy sobie książkę Little'a.

Bentley Little jest laureatem nagrody Brama Stokera,  
autorem kilkunastu powieści i ponad 100 opowiadań. W 2007 roku  
na podstawie jednego z nich nakręcono w USA film telewizyjny.

W horrorach Little'a w przerażający sposób przenikają się zjawiska  
nadnaturalne i napawające lękiem, nierozpoznane strony ludzkiej natury.

*Każda książka Little'a to wydarzenie w świecie literackiego horroru.*

*Stephen King*

Patronat medialny

CARPE NOCTEM  
www.CarpeNoctem.pl



GILDIA.PL



Cena det. zł 29,80

www.wydawnictwoamber.pl



BENTLEY LITTLE

POCIĄG UPIORÓW

Przekład

GRAŻYNA GRYGIEL

PIOTR STANIEWSKI



Redakcja stylistyczna

Marta Bogacka

Korekta

Jolanta Kucharska

Katarzyna Pietruszka

Projekt graficzny serii

Małgorzata Foniok

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce

© Wydawnictwo Amber

Skład

Wydawnictwo Amber Monika E. Zjawińska

Druk

Opolgraf SA, Opole

Tytuł oryginału The Burning

Copyright © Bentley Little, 2006 All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2009 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-3452-6

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40 13,620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

*Mojemu synowi Emersonowi Li Little'owi.  
Prosił mnie o napisanie historii, w której występowałyby  
pociąg widmo  
oraz dwa samotne groby, oznaczone Matka i Córka,  
znajdujące się między miastami Payson i Pine w Arizonie.*

# PROLOG

Wysłannik rządu stał na skraju równiny, po której szalał wiatr, i przyglądał się rzezi.

Wyglądało to dużo, dużo gorzej, niż pozwolono mu przypuszczać. Podano mu liczby, w torbie kurierskiej miał nawet opis najgorszych okrucieństw, ale same słowa w żaden sposób nie mogły oddać rozmiarów masakry.

Był twardy, ale musiał odwrócić wzrok. Dalej na północy rozciągał się jałowy teren porośnięty z rzadka krzakami. Na południu wznosiły się niskie wzgórza, za którymi kryło się jezioro. Po niebie przesuwwały się białe chmury; ich niewinna biel kontrastowała z widokiem rozszarpanych ciał.

Mężczyzna wziął się w garść i znów opuścił wzrok na równinę. Ciała - a raczej części ciał, rozrzucone w rozmaitych pozycjach; piętrzący się stos ludzkich i końskich szczątków - były świadectwem nieokielznanej, dzikiej rzezi. Ręce o obciętych palcach wystawały z gnijących wnętrzości wypatroszonych korpusów. Odrąbane nogi leżały na zmasakrowanych męskich twarzach i kosmatych końskich łbach. Ziemia była poplamiona ciemnym szkarłatem, ale wiedział, że nim krew wsiąkła w grunt, musiała tworzyć kałuże, jeziora i rzeki, a czerwony, gęsty płyn sięgałby mu do połowy cholewki.

Widok był straszny, ale zapach tysiąc razy gorszy. Nieznośny odór śmierci i rozkładu, odchodów i zgnilizny, moczu i łajna.

Nad równiną rozbrzmiewało tylko krakanie padlinożerców i brzęczenie much - oba dźwięki tak głośnie i przytłaczające, że ledwo słyszał własne myśli.

Miał zbadać teren, rozpoznać sytuację, a potem złożyć raport. Wstrzymując oddech, postąpił do przodu i spróbował zmierzyć krokami obszar masakry, choć nie sposób było iść prosto wśród okaleczonych ciał, pomiędzy których wlatywały ptaki i owady. Szedł ostrożnie. Skrzywił się, gdy nastąpił na

odcięte męskie genitalia. Pośliznął się na lepkiej plamie i omal nie upadł na okaleczony otwarty tors, ale w ostatniej chwili oparł prawy but o czaszkę, miażdżąc ją.

Czekało ich niełatwe zadanie. Potrzebny będzie znacznie większy zespół, niż początkowo przypuszczano, a gdy upora się z pracą, wszyscy będą musieli zachować milczenie. Gdyby kiedykolwiek coś wypłynęło...

Oczywiście nic nie wypłynie. Prezydent Grant rozkazał, by operację przeprowadzono w największej tajemnicy. Tylko nieliczni zostali do niej dopuszczeni. Jego obowiązkiem było wypełnienie prezydenckich rozkazów i dopilnowanie, by wszystko przebiegło zgodnie z planem. Kongres obserwował Granta jastrzębim wzrokiem, ale tu na pustkowiu nie było nadzorców i można było działać swobodniej. Prezydent mógł problem rozwiązać po swojemu.

Generał Grant znał przecież wojnę.

Wiedział, co to przelew krwi.

Wiedział, co to groza.

Wiedział, jak sobie z tym radzić.

Wysłannik rządu wciąż odmierzał krokami teren. Starał się pracować jak najszybciej, ale zadanie ukończył dopiero przed zmierzchem. Wrócił do swojego konia i odjechał tą samą trasą, którą przybył.

Powrócił miesiąc później, po oczyszczeniu terenu, po wygaszeniu stosów.

*Stosy.*

Tylko w ten sposób można było pozbyć się dowodów zbrodni, ale dym z palonych ciał widziano z odległości osiemdziesięciu kilometrów, a cuchnąca, czarna sadza opadała na domostwa oddalone o dzień drogi. Strażnicy musieli otoczyć teren, żeby nie dopuścić ludzi z miasta pragnących zobaczyć, co się dzieje.

Poza tym oczyszczanie pola przebiegło pomyślnie, a późniejsza inspekcja wykazała, że po okropnych wydarzeniach, jakie się tam rozegrały, nie pozostało śladu. Wysłannik rządu przytrzymał dłonią kapelusz, by nie zwał go wiatr, który targał połami jego płaszcza. Przechadzając się, badał teren. Wydawało mu się, że w jednym miejscu obok kałuży błota ziemia była zbyt czerwona, ale różnica była tak nieznaczna, że mógł ją zauważyć tylko ktoś, kto szukał śladów.

Mężczyzna nie działał powolnie, lecz metodycznie i pod koniec dnia mógł

stwierdzić z zadowoleniem, że udało się zapobiec kryzysowi i nie było dowodów na to, że coś niezwykłego wydarzyło się w tym miejscu.

Dosiadł konia. Do obozu miał dwie godziny jazdy, potem dwa dni do stacji telegrafu. Na szczęście masakra wydarzyła się tutaj, daleko od cywilizacji i wściebskich spojrzeń. Do obozu i swoich współpracowników miał dotrzeć po północy, ale ta niedogodność była niską ceną za uczucie ulgi po wykonanej misji, która mogła okazać się znacznie trudniejsza.

Jutro zwiną manatki i gdy w piątek dotrze do stacji telegrafu, nada depeszę do Hogue'a, który poinformuje prezydenta, że wszystko jest w porządku, że pole zostało skutecznie uprzątnięte i oczyszczone.

Byli bezpieczni.

Przynajmniej na razie.



Angela Ramos stała w kolejce przed uniwersyteckim biurem zakwaterowania i po raz czwarty w ciągu dziesięciu minut spojrzała na zegarek. Kolejka stała w miejscu. Może ledwo zauważalnie posunęła się do przodu, ale tylko dlatego, że studenci szurali nogami, przysuwali się do siebie i nieznacznie parli przed siebie w nadziei, że pracownicy biura zaczną działać szybciej. Postęp był jednak iluzoryczny.

Dziewczyźnie obiecano miejsce w akademiku. Trzymała w dłoni wydruk komputerowy, na którym było to wyraźnie napisane. Jednak w dziekanacie poinformowano ją, że z powodu zwiększonego naboru studentów w tym semestrze nie dostanie pokoju. Pierwszeństwo mieli starsi studenci, a pierwszorocznikom przydzielano miejsca w zależności od tego, z jak daleka przyjechali. Ponieważ Angela pochodziła z Kalifornii, uznano, że to nie aż tak daleko, by przysługiwał jej akademik.

„To absolutnie nie do przyjęcia”, zamierzała oznajmić, gdy wreszcie będzie jej kolej, by porozmawiać z kimś z biura zakwaterowania. Chciała, by jej głos zabrzmiał mocno, zdecydowanie, kategorycznie. Wyobrażała sobie, że patrzy prosto w oczy nemezisa i nie ustępuje. W rzeczywistości to się nigdy nie udawało i właśnie dlatego Angela powtarzała teraz w duchu przemowę, którą zamierzała wygłosić przed bezdusznym uniwersyteckim robotem.

Zauważyła chłopaka, mniej więcej w jej wieku, z wielką aureolą włosów w stylu retro. Szedł po chodniku w stronę końca kolejki. Zatrzymał się, widząc, ile osób czeka.

- Jak długo stoicie za tą kolejką? - spytał z mocnym nowojorskim akcentem.

- Pół godziny - odparł krótko ostrzyżony młodzieniec, stojący dwa miejsca przed Angellą.

- Cholera - skomentował chłopak z bujną czupryną i odszedł.

Angella popatrzyła za nim. Dlaczego przybysze ze Wschodniego Wybrzeża mówią „za kolejką” zamiast „w kolejce”? - pomyślała. Ludzie nie stoją za kolejką. Oni są kolejką. Kolejkę tworzą stojące w niej osoby.

Czy już zaczynały ją drażnić różnice językowe?

Zapowiadało się długie popołudnie.

I rzeczywiście, to było długie popołudnie. Albo osoby stojące przed nią miały niewiarygodnie skomplikowane sprawy do załatwienia, albo pracownicy biura zakwaterowania byli zupełnie niekompetentni. Gdy w końcu Angella weszła do budynku i dotarła do kantoru, swoją pełną słusznych argumentów diatrybę miała opanowaną do perfekcji. Po wysłuchaniu krótkiego opisu sytuacji i ustaleniu, że nie chodzi o pomyłkę w dokumentach, sekretarka skierowała Angellę do pokoju 1A, w którym miała rozmawiać z administratorem.

Ruszyła zdecydowanie korytarzem, dźwięk obcasów stukających dostojnie o urzędowe kafelki dodawał jej animuszu. Angelli obiecano miejsce w akademiku i postanowiła urządzić piekło administratorowi - nieważne, czy to mężczyzna, czy kobieta - jeśli jej problem nie zostanie rozwiązany.

Ale nie urządziła.

Edna Wong, starsza kobieta w pokoju 1 A, była przyjazna, przepraszająca i wyrozumiała. Angella nie miała serca, by skakać jej do gardła. W rzeczywistości, jak zwykle w podobnych sytuacjach, złapała się na tym, że przeprasza za kłopot. Nienawidziła się za tę skłonność do wycofywania, ale czy mogła czynić wyrzuty tej miłej starszej pani za coś, czemu nie zawiniła? Kobieta była tylko elementem systemu, trybikiem maszynierii.

- Ogromnie mi przykro, że do tego doszło - mówiła administratorka. - Zapewniam cię, że w przyszłym semestrze będziesz miała pierwszeństwo do akademika. Ale jest około dwudziestu pięciu czy dwudziestu sześciu osób, którym odmówiono miejsca z powodu tego zamieszania, wbrew wcześniejszym obietnicom. Niestety, nie mamy już wolnych pokoiów.

- Rozumiem, pani Wong...

- Proszę, mów mi Edna.

- ...ale nie mam gdzie mieszkać. Zakładałam, że mam lokum, ponieważ wysłaliście mi ten list, a teraz jestem... jestem bezdomna. Dosłownie nie mam dokąd iść. Nikogo tu nie znam, nigdy tu wcześniej nie byłam, nie mam

zbyt dużo pieniędzy. Coś bym sobie zorganizowała, coś bym wymyśliła, gdyby mi odpowiednio wcześniej powiedziano, ale to spadło na mnie dziś i... - Zamilkła, odwróciła wzrok i przygryzła wargę, żeby powstrzymać się od płaczu.

Pani Wong - Edna - wyciągnęła rękę nad biurkiem i ujęła dłoń Angeli.

- Nie martw się. Wszystko dobrze się ułoży.

Angela nie była w stanie odpowiedzieć.

- Chcę ci pomóc - rzekła uprzejmie administratorka. Przebierała w papierach na biurku. - Ponieważ jesteś pokrzywdzona, i to z naszej winy... - Wręczyła Angeli prostokątną karteczkę. - Mamy tu tablicę ogłoszeń. Studenci poszukują współlokatorów. Nie umieściłam jeszcze tego na tablicy. Może ci odpowiada?

„Poszukuję współlokatorki. Niepalącej, bez nałogów, do umeblowanego mieszkania z dwiema sypialniami i jedną łazienką. Czynsz 275 dolarów miesięcznie plus media. Dzwon do Chrissie Paige, tel. 555-45-32”.

- Właściwie, pozwól, że sama zadzwonię. Znam Chrissie.

Administratorka nie tylko umówiła Angelę z Chrissie Paige, by mogła obejrzeć mieszkanie jeszcze tego samego popołudnia, ale również zapewniła, że Angela jest odpowiedzialna, godna zaufania i będzie wspaniałą współlokatorką. Ponieważ Edna Wong poręczyła za nią, Angela poczuła taką wdzięczność, że znów prawie się rozplakała.

- Nie ma powodu do łez - uspokajała ją Edna. Uśmiechnęła się szeroko. - Wszystko będzie dobrze. Choć komputery sprawiają nam różne problemy, ludzie zawsze potrafią znaleźć jakieś wyjście. Uniwersytet Północnej Arizony to wspaniała uczelnia, a Flagstaff to cudowne miasto. Będziesz miała udany semestr. A w następnym, jeśli zechcesz, znajdziesz się na szczycie listy do akademika.

- Dziękuję - rzekła Angela. - Bardzo pani dziękuję.

- Nie ma za co, moja droga.

State Street znajdowała się poza dzielnicą, która kiedyś musiała stanowić centrum miasta, po drugiej stronie dawnej drogi 66, na północ od torów kolejowych. Ciasno ustawione budynki z wyblakłej cegły albo grubo ciosanego kamienia, niektóre dwupiętrowe bądź trzypiętrowe, we Flagstaff musiały uchodzić za wysokie. Chociaż pamiętały lepsze czasy, wydawało się, że rejon rozkwita. Były tam mały antykwariat, sklep ze zdrową żywnością i kilka restauracyjek. Był nawet lokalny kościół ze spadzistym dachem, ozdobiony gargulcami. Angela nie przypominała sobie, żeby kiedyś widziała gargulce na własne oczy.

Kamienica w stylu wiktoriańskim została podzielona i przebudowana. Wyróżniała się w eklektycznej dzielnicy. Było tu kilka kalifornijskich bungalowów, dom w stylu tudorskim, chata z drewnianych bali i kilka domów, które zbudowano chyba z kawałków lawy. Kamienica pyszniła się nie tylko niesamowicie ornamentowaną fasadą, ale również falującym trawnikiem, kilka razy większym niż sąsiednie.

Chrissie Paige siedziała na trawniku, gdy Angela podjechała. Dziewczyna była opalona, miała kręcone włosy, ubrana była w bluzkę wiązaną na szyi i obcięte džinsy. Jak wielu studentów z Flagstaff, wyglądała trochę jak hipiska, co w dziwny sposób poprawiło Angeli nastrój. Uważała, że w tamtej epoce panowało większe poczucie wspólnoty niż w podzielonym świecie, w jakim dorosła. W Los Angeles zawsze było trochę neohipisów, ale jak wszystko inne, ten styl nieuchronnie wiązał się z muzycznym albo innym trendem. W Kalifornii strój i kultura zawsze łączyły się z rozrywką. Tutaj ten nurt wydawał się prawdziwszy, organiczny. To jej się spodobało.

Dziewczyna wstała i otrzepała szorty z trawy.

- Angela? Jestem Chrissie.

- Cześć - odparła Angela nieśmiało. Czula zażenowanie, jakby uważała, że pani Wong - Edna - wymusiła na Chrissie spotkanie wbrew jej woli, ale to wrażenie zniknęło niemal natychmiast, gdy dziewczyna poprowadziła ją po trawniku do domu, zagadując pogodnie.

- Kamienicę zbudował któryś z Babbittów. Ich rodzina praktycznie była właścicielami północnej Arizony. Słyszałaś o Brusie Babbittcie, który kiedyś kierował departamentem spraw wewnętrznych? To jego rodzina. Jest tu mnóstwo obiektów nazwanych na jego cześć, domy towarowe, prawie wszystko. W każdym razie jeden z jego krewnych zbudował ten dom pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu. Chyba przez pewien czas stał pusty, bo nikt nie mógł sobie na niego pozwolić, więc w końcu ktoś go kupił i podzielił na mieszkania. To chyba było w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. Jesteśmy na miejscu.

Chrissie wprowadziła Angelę przez drzwi frontowe do wyszukanego holu. Na wprost biegł długi, szeroki korytarz, na prawo kręte, ciemne drewniane schody wiodły na piętro. Angela poszła za Chrissie na górę, gdzie hol identyczny z tym na parterze prowadził na tył domu. Przystanąły przed pierwszymi drzwiami po lewej.

- To moje mieszkanie. - Chrissie otworzyła drzwi. - Nie wiem, czy Edna ci wspominała albo czy czytałaś w anonsie, że są tu dwie sypialnie. Mamy małą kuchnię, łazienkę i pokój dzienny. Jak widzisz, jest spore. A widok z okien

sypialni jest fantastyczny. Ponad dachem sąsiedniego domu widać San Francisco Peaks. Za miesiąc, kiedy osiki zmieniają kolor, góry będą całe żółte. Spektakularny widok.

Angela zerknęła do sypialni. Każda z nich była większa od jej pokoju w domu rodzinnym i choć pomieszczenie przeznaczone dla niej było mniejsze od sypialni Chrissie, stały w nim olbrzymie łóżko z baldachimem - nie zaś proste podwójne łóżko, na jakim zwykle sypiała - oraz wielka szafa, zdolna pomieścić dwa razy więcej ubrań, niż Angela ze sobą przywiozła.

- Oczywiście możesz ją po swojemu udekorować, powiesić obrazki, plakaty, co zechcesz.

- Super. - Angela weszła do pokoju i rozglądała się wokół. Wyrzwała przez okno i zobaczyła góry. - Tylko dwieście siedemdziesiąt pięć za takie mieszkanie?

- Tu straszy - wyjaśniła Chrissie.

Angela podniosła wzrok, żeby przekonać się, czy dziewczyna nie kłamie, ale najwyraźniej mówiła poważnie.

- To prawda. To znaczy, takie są plotki. Ja sama niczego nie widziałam. Ale Winston i Brock z parteru twierdzą, że coś słyszeli. Jęki, mamrotanie, takie tam.

- Tutaj?

- Nie. W domu. Nie konkretnie w twoim pokoju. W zasadzie nie dotarły do mnie żadne opowieści na temat naszego mieszkania. Wszystkie dotyczą chyba parteru. Ale prawdopodobnie właśnie dlatego czynsz jest taki mały. Osobiście nie wierzę w duchy, bogów czy inne siły nadprzyrodzone, ale by wszystko było jasne, wolę wyłożyć karty na stół; na wszelki wypadek, gdybyś należała do osób, które przejmują się takimi rzeczami.

- Nie wierzysz w bogów? - spytała Angela zaintrygowana. - W żadnych bogów? Nawet... w Boga?

- Nie. - Chrissie się uśmiechnęła. - A ty wierzysz, jak sądzę?

Angela zaczerwieniła się, czując zakłopotanie, choć przecież nie miała ku temu powodu.

- Jestem katoliczką - przyznała.

- W porządku. Ty nie nawracasz mnie, ja nie nawracam ciebie i obie świetnie się dogadamy.

Angela nie mogła przyjąć tego obojętnie. Nie była katoliczką idealną - uprawiała seks przedmałżeński, nie opowiadała się zdecydowanie przeciw aborcji - ale nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś w ogóle nie wierzy w Boga. Wydało jej się to takie odważne.

- Powinnaś wiedzieć, że Winston i Brock są parą. To geje. Więc jeśli ci to przeszkadza...

- Nie, nie. Skądże.

- To dobrze.

- Ale czy cię to nie martwi? - spytała Angela. - To znaczy, ten brak wiary w Boga? A jeśli się mylisz? Po śmierci...

- Będą mnie jadły robaki - odparła Chrissie. - Naprawdę nie chcę teraz robić z tego wielkiej sprawy. Jeśli to dla ciebie problem...

- Nie - zapewniła ją Angela. - Pytałam tak z ciekawości.

- Na pewno? To Flagstaff, średnio w roku spada milion centymetrów śniegu. Zimą będziemy spędzać dużo czasu razem.

Angela się uśmiechnęła.

- To mi odpowiada.

Chrissie skinęła głową zadowolona.

- W takim razie, w porządku. Jestem głównym najemcą tego mieszkania... podnajmuję ci jeden pokój, więc chciałabym dostać pieniądze za pierwszy miesiąc i kaucję, jakieś sto dolców. Gdyby się dało. Ale jeśli nie... - Uśmiechnęła się. - *Que sera, sera*. Myślę, że można z tego zrezygnować.

- Dziękuję - powiedziała Angela. - Biorę. Mogę ci dać kaucję. Po prostu... - wzięła głęboki oddech - ...uratowałaś mnie. Miałam dostać akademik, ale komputer wszystko pochrzanił i mogłam wylądować bez dachu nad głową. Jestem ci wdzięczna.

- Cieszę się - odparła Chrissie. - Myślę, że dobrze się ułoży.

- Ja też. - Angela po raz ostatni wyjrzała przez okno, a potem poszła za dziewczyną do pokoju dziennego.

Zamiecie śnieżne, sąsiedzi geje, dom, w którym starszy, i współlokatorka ateistka. Uśmiechnęła się. Zapowiadał się ekscytujący semestr.

## PARK NARODOWY KRAINY KANIONÓW, UTAH

Słońce wściekało się od samego świtu. Henry Cote czuł to, choć okna były zasłonięte; widział to, obserwując wąski sztylet rozgrzanego do białości światła, które wdarło się w szczelinę między kotarami i padało na przeciwległą ścianę, zamazując zrobioną przez Henry'ego fotografię Sary na plaży. Słońce było wściekle i swój gniew zamierzało wyładować na nim. Wiedział to, pogodził się z tym, i choć miał wolny dzień, i zamierzał go przespać, zmusił się do wstania z łóżka. Musiał wypić zwyczajową poranną kawę i chciał ją przygotować, nim temperatura w domku przekroczy trzydzieści stopni i zanim zrobi się tak gorąco, że pot, który parująca kawa wycisnie z jego porów, postanowi pozostać na skórze przez cały dzień.

Brak klimatyzacji może zrobić z człowiekiem dziwne rzeczy.

Dyrekcja parku od dziesięciu lat obiecywała im nowe zakwaterowanie, ale budżet uchwalany przez Kongres zapewniał fundusze tylko na bieżące utrzymanie, a nie na modernizację. Winni temu byli zarówno Demokraci, jak i Republikanie: publicznie wyrażali poparcie dla parków narodowych, ale prywatnie głosowali za finansowaniem swoich ukochanych projektów we własnych okręgach wyborczych kosztem niezbędnych inwestycji w parkach narodowych, takich jak Zion, Skalne Łuki czy Kraina Kanionów.

Dlatego właśnie Amerykanie musieli płacić za wstęp do parków.

Choć przecież te parki należały do nich.

Ten cholerny kraj schodzi na psy.

Idąc do kuchenki, Henry spojrzął na zdjęcie Sary. Co teraz robi, gdzie mieszka, z kim jest? Z całą pewnością nie z żadnym strażnikiem czy innym pracownikiem parku. Sara nienawidziła niskich wynagrodzeń, gardziła tym trybem życia. Co wieczór narzekała na upał lub chłód, na deszcz czy śnieg, na brak sygnału telewizyjnego i radiowego, a najczęściej na oddalenie od cywilizacji.

Narzekałania.

Codziennie.

Co wieczór.

Nie była stworzona do życia na łonie przyrody, należała do osób, które bardzo cierpią, gdy w pobliżu brakuje centrum handlowego. Henry natomiast

czuł się nieszczęśliwy w miejscowości, której ludność liczyła więcej niż dzie-  
sięć tysięcy.

Dlatego ich małżeństwo trwało tak krótko.

I było tak katastrofalne.

Włączył ekspres do kawy, potrząsnął starymi fusami w filtrze i nalał wody. Cały czas wspominał sen, który miał tej nocy. Już od dawna nie wykazywał zainteresowania seksem. Nie narzekał, stwierdzał tylko fakt. Do diabła, gdyby miał większe libido, może on i Sara zdołaliby przetrwać wczesne burze i ich związek trwałby do dziś. Problem polegał jednak na tym - tak było zawsze - że o częściach kobiecego ciała myślał jak o... częściach kobiecego ciała. Pochwa to taka tuba, coś jak kiszka czy tchawica. Piersi to tkanka tłuszczowa pokryta skórą. Pupa to oczywiście zakończenie przewodu pokarmowego, miejsce, którym wydała się odchody.

Mówiąc prościej, trudno mu było osiągnąć podniecenie przy tak kli-  
nicznych i oderwanych od seksu skojarzeniach.

Jednak ubiegłej nocy śnił o dwóch skośnookich pięknościach, które przy-  
były do jego domku z pustyni; nagie bliźniaczki w nieokreślonym wieku szły  
ku niemu po piasku, ich sylwetki stopniowo wyłaniały się z drżącego rozgrza-  
nego powietrza jak jeździec na filmie *Lawrence z Arabii*. Były śliczne. Henry  
walczył w Wietnamie, ale w odróżnieniu od swoich towarzyszy broni nie szu-  
kał rozkoszy u miejscowych kobiet. Właściwie bez powodu. No, może nieco  
bardziej serio niż koledzy potraktował filmy szkoleniowe na temat chorób,  
ale to by go nie powstrzymało, gdyby naprawdę miał ochotę. Po prostu go to  
nie pociągało.

Ale te dwie...

Szły do jego domku krokiem prowokacyjnym i tak zmysłowym, że wyda-  
wało się to niemożliwe, gdyż poruszały się boso po osuwającym się spod stóp  
piasku. Piersi miały małe, ale brodawki duże, a między nogami drobne kępki  
włosów łonowych. Kobiety dotarły do niego znacznie prędzej, niż się spo-  
dziewał, jakby skurczyła się pustynia pomiędzy horyzontem a jego domem.  
Zatrzymały się kilkanaście centymetrów przed nim. Kobieta po prawej stro-  
nie sięgnęła dłonią między uda i wsunęła palec wskazujący w najwidoczniej  
wilgotny otwór, a potem położyła na wargach Henry'ego.

Obudził się z pełną erekcją.

To powinno dać mu okazję do świętowania - nie pamiętał już, kiedy ostat-  
nio podniecił go sen czy cokolwiek innego - on natomiast czuł się nieswojo.  
W tych bliźniaczo podobnych kobietach było coś, co mu nie pasowało, coś  
było nie tak, choć nie wiedział dokładnie co.



Nastawił ekspres do kawy, włączył obrotowy wentylator stojący przy kominu, ponownie spojrzął na wściekle światło wlewające się przez szparę w zasłonach.

*Wściekle światło.*

Przypuszczał, że personifikacja natury to zwyczaj indiański. Wielokrotnie słyszał, jak członkowie plemion mówili podobne rzeczy o wietrze, deszczu, zwierzętach lub ziemi i zastanawiał się, czy przypadkiem on sam nie ma tej skłonności w genach. Ojciec twierdził, że ich rodzina ze strony dziadka jest częściowo spokrewniona z Indianami Papago, ale Henry nie miał pewności, ile w tym było prawdy. Obecnie na tej cholernej planecie wszystkim wydawało się, że mają domieszkę indiańskiej krwi. Każdy księgowy spod miasta, który zaciągnął rodzinę do parku narodowego, przechwalał się, że jest ćwierć-Czirokezem czy ćwierć-Czoktawem albo że po wuju prababki ze strony ojca był Navaho. Do diabła, Henry urodził się w Phoenix i wyjąwszy służbę wojskową, całe życie spędził w którymś z sąsiadujących ze sobą stanów: Arizonie, Utah, Kolorado czy Nowym Meksyku. Wiedział doskonale, że nadal panowała tam segregacja rasowa. Biali i Indianie żyli oddzielnie w dwóch odseparowanych społecznościach i wątpił, czy w bardziej oświeconych dawnych czasach dochodziło do mieszanych związków. Najprawdopodobniej to pieprzone bzdury.

Dlatego trzymał w tajemnicy swoje domniemane dziedzictwo.

A jednak czasami sądził, że może rzeczywiście w jego żyłach płynie indiańska krew i dlatego wybrał tę pracę, to miejsce do życia, dlatego stał się tym, kim jest, dlatego myślał o „wściekłym słońcu”, „miłych skałach”, „swawolnych roślinach”. Do diabła, może ten sam wrodzony sposób odczuwania zadziałał we śnie i teraz wywoływał dziwne odczucie lęku, gdy Henry wspominał azjatyckie bliźniaczki.

Domek wypełnił się zapachem kawy. Henry podszedł do kontuaru i nalał sobie kubek. Popijał kawę, wystawiając się na powiew z wentylatora. Teraz strumień powietrza był chłodny, ale to nie potrwa długo i nawet jeśli kotary pozostaną cały czas zasłonięte, w południe wentylator będzie dmuchał gorącym powietrzem.

Może pojedę dziś do Moabu, sprawię sobie przyjemność, posiedzę w Arby, McDonalddie czy innym fast foodzie z klimatyzacją, pomyślał. Albo może dżipem powłóczę się po pustkowiu. Skoro ma mi być gorąco, równie dobrze mogę jednocześnie miło spędzić czas.

Nie, nie pojedę sam w odludne okolice, pomyślał Henry.

Mógłbym spotkać bliźniaczki.

To śmieszne. To chyba najgłupszy pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł mu do głowy, a przecież w swoim czasie wymyślał niestworzone historie.

Ale...

Ale to przecież nie było aż takie głupie? Chciał udawać, że ten pomysł był absurdalny, chciał zachowywać się tak, jakby uważał, że sama myśl o tym to bzdura, ale tak naprawdę był zbyt rozsądny, był realistą.

One tam były.

Na pustyni.

Pragnęły go.

Wiedział, że to prawda, choć nie wiedział, skąd to przekonanie, i nawet w rosnącym upale letniego poranka poczuł chłód i dostał nagle gęsiej skórki. Znowu erekcja uniosła jego bokserki. I to też go przerażało.

W sąsiednim domku mieszkał Ray Daniels, ale pełnił dziś służbę, podobnie jak Jill Kittrick, która mieszkała z mężem w jednym z nowszych domków położonych nieco dalej. Zwykle lubił być sam, cenił sobie samotność Krainy Kanionów, ale dziś czuł się nieswojo i postanowił zjeść szybkie śniadanie i wybrać się do miasta.

Poczułby się bezpiecznie.

Moab było zatłoczone.

Latem zawsze było zatłoczone. Mnóstwo turystów zwiedzało parki narodowe, a tabuny rowerzystów zjeżdżały tu z całego kraju na ekstremalne gonytwy po bezdrożach z piaskowca. Zwykle po Święcie Pracy, po pierwszym września, tłumy się przeredzały. Dziś cała autostrada była zakorkowana, a parkingi pękały w szwach. Henry przyjął ten widok z zadowoleniem. W kupie różniej i choć nigdy nie sądził, że będzie sobie powtarzał to oklepane powiedzenie, tym razem uznał, że lepiej się nim kierować.

Zatankował benzynę, w sklepie spożywczym kupił chleb, płatki śniadaniowe, fasolę i tortille, potem wstąpił do paru sklepów ze sprzętem kempingowym, by sprawdzić, co nowego oferują. Spotkał kilku znajomych i z każdym zamienił parę słów. Wdał się w dłuższą rozmowę z rodziną, którą poprzedniego dnia oprowadzał po parku z grupą wycieczkową. Wymieniali uwagi na temat ochrony przyrody. Potem - jak wcześniej planował - upalną porę lunchu spędził w klimatyzowanym fast foodzie.

Mimo to nie miał dobrego samopoczucia. Zorientował się, że podejrzliwie spogląda na chińską restaurację, nieufnie przypatruje się japońskiej rodzinie. Zawsze był tolerancyjny, ale ten sen...

*koszmar*

...naprawdę wytrącił go z równowagi.

Przez pewien czas jeździł samochodem bez celu, wreszcie poszedł do baru Cześć, Chłopaki, gdzie w dawnych czasach lubił przesiadywać, i najbardziej upalne popołudniowe godziny spędził przy piwie. Właśnie regulował rachunek i zbierał się do wyjścia, gdy pochwycił strzępek rozmowy między dwoma mężczyznami przy drugim końcu kontuaru.

- ...klął się na Boga. To był duch żółtka. Kogoś, kogo zlikwidował w dzungli podczas wojny, tak twierdził.

Henry odbierał resztę, gdy po rękach przebiegł mu zimny dreszcz. Podszedł do dwóch mężczyzn.

- ...i przykucnął w nogach jego łóżka!

- Przepraszam - powiedział Henry. - Niechący panów podsłuchałem.

Mężczyzna siedzący bliżej - tłuścioch w czapeczce z logo firmy ciągnikowej Cat - spojrzał na niego, zmarszczywszy brwi.

- Noo?

- Czy ten... duch, o którym mówiliście, pojawił się gdzieś w Krainie Kanionów? Czy to się zdarzyło w parku narodowym? Czy właśnie tu widział go wasz znajomy?

- W Omaha, koleś - parsknął pan Czapeczka.

- Aha. - Henry odwrócił się i ruszył do drzwi, nie zważając na śmiech za jego plecami. Na zewnątrz świeciło jasne słońce, bardzo jasne. Musiał mrużyć, by pozbyć się łez, gdy oczy przyzwyczajały się do oślepiającego blasku.

*Wściekłe.*

Uświadomił sobie, że nie tylko słońce jest wściekłe. Tamte bliźniaczki też były wściekłe. Skrywały to za swoją nagością i bezczelną seksualnością i Henry dopiero teraz to sobie uświadomił. Za fasadą zmysłowości kipiała w nich wściekłość, przerażający gniew.

Były gdzieś na pustyni.

Szukały go.

Henry'ego przeszły ciarki. Już nie traktował dwóch kobiet jako wytworu swojej wyobraźni - o ile w ogóle przedtem tak je traktował. Rozmowa mężczyzn w barze tak go podekscytowała, ponieważ...

*duch żółtka*

...ponieważ wierzył, że nagie bliźniaczki to zjawisko ponadnaturalne, istoty duchowe, próbujące się z nim skontaktować. Henry miał przez chwilę nadzieję, że duchy ukazały się również komuś innemu.

Do diabła, co się z nim dzieje? Czyżby wariował?

Nigdy w życiu nie doświadczył czegoś podobnego. Należał do tych strażników parku, którzy podejmowali szczególny wysiłek, by obalić mit, według którego rysunki w jaskiniach Krainy Kanionów wykonali „starożytni astronauty”; zawsze próbował odwieść uczestników wycieczek od przyjętych z góry interpretacji. Henry zakładał, że potrzebne byłyby wielokrotne, obiektywnie sprawdzalne relacje oraz godna zaufania dokumentacja, by przekonać go o istnieniu czegoś tak ulotnego jak „istoty nadnaturalne” czy „ciała astralne”. A jednak zmienił zdanie jak chorągiewka na wietrze - wystarczył jeden niejasny sen, a on już bał się samotnie wędrować czy jeździć po odludnym terenie.

Znów te indiańskie geny.

Alkohol nie dodał mu odwagi, może nawet ją osłabił. Henry czuł, że nie ma ochoty wracać do swojego domku. W centrum informacji turystycznej parku Skalne Łuki miał dziś dyżur Ector. Henry pomyślał, że może warto tam pojechać i pogadać z nim przez chwilę. Ector miał szerokie horyzonty, w latach osiemdziesiątych należał do ruchu New Age. Można by go oględnie podpytać o azjatyckie naguski, wybadać grunt. Nie zaszkodzi.

Miał już plan działania i od razu poczuł się pewniej. Wsiadł do dżipa i skręcił na autostradę w kierunku północnym. Gdy znalazł się poza granicami miasta, koncentrował się na drodze, na podwójnej linii na asfalcie, nie patrzył na pustynię, nie chciał widzieć piasku, i dopiero gdy dotarł na parking przed centrum informacyjnym, i spojrzął na budynek oraz skały za nim, napięcie go w końcu opuściło.

### 3

#### BEAR FLATS, KALIFORNIA

Trociny i wióry. Woń żywicy i świeżo ściętych drzew. Powietrze w mieście wypełniał zapach lasu. Jolene nie uświadamiała sobie przedtem, jak bardzo jej tego brakowało. Nawet gdy okna były zamknięte, zapach sączył się przez otwory wentylacyjne; ciepły, przyjazny, cudowny zapach oznaczający... dom.

Autostrada zjeżdżała lekko w dół, zakręcając przy nowych budynkach McDonald's i The Store - żadnego z nich jeszcze nie było trzy lata temu, gdy

Jolene ostatnio była w mieście. W centrum sklep żelazny Sama Griedy'ego zyskał elegancki szyld, chińska restauracja - kiedyś Jadeitowy Pałac - została przemalowana i teraz nazywała się Złoty Pałac. Poza tym Bear Flats zastygło w czasie, było małą społecznością w Sierra, niemal niepoddającą się wpływowi otaczającego świata.

Jolene lubiła to.

Liczyła na to.

Potrzebowała tego.

- Mamo, jesteśmy na miejscu?

Zerknęła na Skylara na tylnym siedzeniu. Jak zawsze syn miał poważną, niemal uroczystą minę. Patrzył na nią jasnymi, smutnymi oczyma, cierpliwie czekając na odpowiedź. Żeby się nie rozplakać, Jolene zmusiła się do uśmiechu.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Już prawie w domu babci.

Opuszczając przed laty Bear Flats, przysięgła sobie, że jeśli kiedykolwiek będzie mieć dziecko, nie da mu takiego bezładnego, emocjonalnie niestabilnego dzieciństwa, jakie sama miała, ale historia lubi się powtarzać i teraz Jolene wracała do domu rodzinnego rozwiedziona i pokonana. Przywoziła ze sobą syna, który był kiedyś wesoło gaworzącym niemowlakiem, a teraz stał się ponurym, nad wiek poważnym chłopcem - skutek napięcia panującego w ich domu przez ostatnie lata.

Zbyt wiele przeżył jak na ośmioletnie dziecko.

Ostatnie miesiące były szczególnie ciężkie. Skakali sobie z Frankiem do gardła za każdym razem, gdy się spotykali, i choć wiedziała, że Skylar nie powinien być świadkiem ich ciągłej wzajemnej wrogości, a po każdej awanturze obiecywała sobie, że to się już nie powtórzy, ona i Frank byli jak woda z ogniem i nawet wzgląd na dobro syna nie zdołał ich powstrzymać.

Zastanawiała się czasami, czy gdyby oboje nie służyli jako straż graniczna, gdyby pracowali w różnych firmach i widywali się tylko rano i wieczorem, jak zwykle małżeństwo, to czy ich stosunki byłyby lepsze, czy uraza i rozdrażnienie, które eskalowały do nienawiści, wyładowywałyby się w postaci drobnych złości. Ale oboje pracowali na posterunku straży granicznej w Yumie i pod wpływem związanego z ich zawodem napięcia, nieporozumienia przybierały wielkie rozmiary, wyolbrzymiając konflikty, które w końcu okazały się nie tak banalne.

Oglądanie ciągle tych samych twarzy, ponowne wydalenie tych samych ludzi z kraju - niczym wypuszczanie złowionych ryb podczas zawodów wędkarskich - tylko po to, by znów próbowali nielegalnie przekroczyć granicę.

Jolene coraz bardziej współczuła doli imigrantów, Frank natomiast stawał się w stosunku do nich coraz bardziej nieugięty. Pamiętała ich rozmowę po wydarzeniach jedenastego września. (Odmówiła używania określenia 9/11. Co będzie następne? Boże Narodzenie nazwą 12/25? A Dzień Niepodległości 7/4? Dokąd prowadzi to liczbowe szaleństwo?) Stwierdziła, że mieli szczęście, że porywacze weszli do kraju przez Kanadę.

- Czy wyobrażasz sobie, jaka histeria by zapanowała, gdyby weszli z Meksyku? - powiedziała mu wtedy.

Zareagował oburzeniem. Wrzeszczał na nią, mówił, że znacznie więcej przestępców przekracza granicę z Meksykiem niż z Kanadą i kto wie, jakie potworności planują. To właśnie pobłażliwość - taka, jaką ona wykazuje - osłabia obronność Ameryki. Uświadomiła sobie, że odbywały się w nim uprzedzenia rasowe, jak zresztą u wielu ludzi. Wtedy właśnie zrozumiała, że Frank jest innym człowiekiem, niż sądziła.

Wytrzymywała to jednak, usiłowała trwać w związku ze względu na Skylara, zносиła coraz ostrzejsze klótnie, na obelgi Franka reagowała rzucaniem talerzami. W głębi duszy czuła, że to już koniec, ale nie była w stanie odejść. Uświadomiła sobie, że żywi nienawiść nie do Franka, ale do domu, do ich znajomych, do Arizony, do swojej pracy, do granicy. Do wszystkiego w swoim życiu z wyjątkiem Skylara.

Czarę goryczy przepełniło spotkanie rodziny w wąwozie.

To Jolene ich znalazła. W odległym rejonie Sonory, daleko od parku Organ Pipe Cactus i od szlaku przemytu narkotyków, patrolowanego przez Franka i jego zespół. Jolene zjechała z drogi, podążając śladem, który - jak podpowiadał jej instynkt - mógł ją do czegoś doprowadzić. Wbrew regulaminowi wysiadła z samochodu, nie zgłosiwszy tego przez radio, i szła pieszo, gdy zauważyła coś, co przypominało ślad kojota. Okazało się, że to nie ślad kojota.

Wtedy znalazła tę rodzinę.

Na dnie wąwozu troje ludzi - matka, ojciec i mała dziewczynka - obejmowało się ramionami, ale nie tak, jakby chcieli się ogrzać, lecz jakby zasnęli w czułym uścisku i już się więcej nie obudzili. Z pewnością wydarzyło się to jakiś czas temu, ponieważ ciała były wysuszone, skóra przypominająca pergamin okropnie marszczyła się na prześwitujących pod nią czaszkach, a wypłowiałe łachmany okrywały niewiele więcej niż szkielety. Wyraźnie widoczne były ich sylwetki. Nastąpiło po prostu załamanie procesów biologicznych, które nie miało w sobie ani romantyzmu, ani tajemnicy, lecz tylko zwykłą przygnębiającą fizyczność.

Trudno było orzec, co ich zabiło. Upał? Zimno? Głód? Odwodnienie? Znajdowali się ponad trzydzieści kilometrów od granicy - w tym miejscu nie mogli liczyć nawet na drogę czy miasto po stronie meksykańskiej. Prawdopodobnie jeszcze zanim tu dotarli, skończyło im się jedzenie i przez kilka dni musieli żywić się roślinami pustynnymi i schwytanymi gryzoniami.

Jolene stała tam długo - bardzo długo - wpatrując się w zmarłą rodzinę; próbowała sobie wyobrazić, co czuli, kończąc życie w tym suchym, strasznym miejscu. Nie umierali samotnie - mieli siebie nawzajem - ale pod pewnymi względami musiało to być nawet gorsze, ponieważ zapewne nie odeszli równocześnie. Jedno z nich zmarło pierwsze i Jolene wyobrażała sobie, że to musiała być dziewczynka. Prawdopodobnie rodzice nieśli ją tak długo, jak mogli, mając nadzieję na znalezienie domu, drogi lub kogoś, kto mógłby im pomóc; może nawet w ostatniej godzinie modlili się, by spotkał ich patrol, by ich deportowano i dzięki temu zostaliby uratowani. Ale zagubieni wędrowali coraz dalej i w końcu - jak wyobrażała sobie Jolene - wyczerpani rodzice nie mogli już dłużej nieść córeczki i postanowili czekać w tym miejscu na ratunek, a potem stopniowo tracili siły i poddali się, gdy ciało ich córki zaczynało gnić w upale.

Kto umarł następny? I czy ostatnia osoba przed śmiercią po prostu przytuliła się do rodziny, modląc się o szybki koniec?

Jak dawno się to wydarzyło? Nikt ich nie znalazł, nikt nie oplakiwał. Jak długo tu leżeli? Najprawdopodobniej latami. Jolene zastanawiała się, czy trudne warunki w ich ojczyźnie warte były podjęcia ryzyka i czy gdyby wiedzieli, jak zakończy się ich podróż, mimo wszystko wyruszyliby w drogę.

I wtedy, w tamtym miejscu postanowiła zabrać Skylara do Bear Flats. Nie wiedziała, czy na jej decyzję wpłynęła rodzina, która postawiła wszystko na jedną kartę - i wszystko straciła - a ona, żeby uciec od obecnego życia, musi tylko spakować trochę rzeczy, wsiąść do samochodu i odjechać. Czy może była już zmęczona tym widokiem śmierci, cierpienia i ludzkiego nieszczęścia, widokiem, który stanowił codzienny element jej pracy. Może to tylko znużenie, jakie odczuwała na myśl o czekającej ją papierkowej robocie oraz o braku zrozumienia i zainteresowania ze strony bezwzględного, nieczulego Franka. W każdym razie jeszcze tego popołudnia oznajmiła, że odchodzi ze służby natychmiast, bez dwutygodniowego okresu wypowiedzenia, co wiązało się z rezygnacją z należnych świadczeń. Poszła do domu, spakowała w jedną walizkę

swoje ubrania, w drugą rzecz syna, włożyła na tył chevroleta blazera osobiste i najcenniejsze przedmioty oraz większość książek i zabawek, napisała krótką wiadomość dla męża, potem odebrała syna ze szkoły i wyruszyła w drogę.

Teraz docierali na miejsce.

Minęła tartak z dwoma czarnymi kominami i przybudówką z blachy falistej; przy drodze stały piramidy drewnianych bali. Odruchowo skręciła na stromą drogę za tartakiem i wyjechała na Drugą ulicę. Szybki skręt w Jodłową i byli na miejscu.

Zahamowała na żwirowym podejździe przy obitym chevroletcie impala należącym do matki. Domostwo wyglądało jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Wyblakła farba łuszczyła się, a w bocznym podwórku stelaż w kształcie dwóch T z rozpiętą linką do suszenia prania pochylał się tak, że powieszony ręcznik dotykałby ziemi. Na ganku Jolene zobaczyła potłuczone donice z martwymi roślinami ustawione w nieładzie.

- Jesteśmy na miejscu! - zakomunikowała wesoło Skylarowi, udając optymizm, którego nie czuła. Patrzyła na rozerwane siatkowe drzwi, oczekując, że się otworzą i ukaże się w nich matka, ale drzwi były zamknięte, a wewnątrz domu panowała ciemność.

- Odepnij pas. Wyprostujmy nogi.

Odpięli pasy bezpieczeństwa i wysiedli z samochodu. Powietrze było tu chłodniejsze niż w Arizonie, wilgotniejsze i przepełnione tym cudownym zapachem tartaku. Jolene lepiej czuła się w górach niż na pustyni; tu była bardziej u siebie. Miała wrażenie, że tutaj jest jej miejsce, i zastanawiała się, czy Skylar odnosi podobne wrażenie, czy raczej czuje się zagubiony i wykorzeniony. Prawdopodobnie to drugie. Jolene uświadomiła sobie, że to ona musi ułatwić mu przeprowadzkę.

Przeprowadzkę?

Tak. Pozostanie tu.

Nie zamierzała wracać do Arizony.

Po chrząszczącym żwirze poszli w stronę ganku. Odrapane deski trzeszczały pod ich stopami. Jolene dzwoniła poprzedniego dnia do matki z San Diego i zapowiedziała, że przyjeżdżają. Nie chciała jednak podać dokładnych powodów. Matka powinna zauważyć wjeżdżającego na podwórko blazera, chyba że była w łazience, ale jeśli rzeczywiście była w łazience, powinna słyszeć ich kroki na trzeszczącym ganku. Nie wyszła im jednak na powitanie i nie wróżyło to niczego dobrego. Jolene zastukała w wypaczoną ramę siatkowych drzwi i zawołała:

- To ja, mamó!



Jak zwykle drzwi nie były zamknięte na klucz, więc Jolene szarpnęła za klamkę i weszła. Skylar chwycił ją za rękę - oznaka zdenerwowania. Był tu trzy lata wcześniej z krótką wizytą, ale Jolene nie wiedziała, ile syn pamiętał. Rozejrzała się po ciemnym pokoju zastawionym ponurymi, zniszczonymi meblami, nieświadomie porównując go ze swoim pogodnym, słonecznym mieszkaniem w Yumie, i usiłowała zobaczyć ten dom oczami Skylara. Prawdopodobnie uważał, że jest smutny i przygnębiający.

Bo rzeczywiście był przygnębiający.

- Jesteśmy, mamó! - zawołała.

Matka wyłoniła się z kuchni, wycierając ręce w ścierkę.

- Nareszcie. Oczekiwałam was kilka godzin temu.

Żadnego powitania córki, uścisku wnuka, żadnego uśmiechu. Była w kuchni, więc musiała widzieć podjeżdżającego blazera.

- Dzwonił Frank - oznajmiła matka oskarżycielskim tonem.

Skylar spojrział na nią nerwowym wzrokiem i Jolene ścisnęła jego dłoń.

- Postanowiłam... - „odejść od niego”, zamierzała powiedzieć, ale byłoby to nieco brutalne stwierdzenie w obecności Skylara i zapoczątkowałyby wymianę zdań, jakiej teraz wołała uniknąć - ...trochę odpocząć - dokończyła.

- Frank przedstawił to inaczej.

- Mamó, czy mogłybyśmy odłożyć to na później?

Matka zarzuciła sobie ścierkę na ramię, odwróciła się i skierowała do kuchni.

- Jak chcesz.

Źle się zaczynało i przez chwilę Jolene myślała, czy nie wrócić do samochodu i nie odjechać bardzo szybko, jak najdalej stąd. Tylko że nie miała dokąd jechać. Nie stać jej było na mieszkanie w hotelach dłużej niż przez tydzień czy dwa, nie miała pieniędzy na wynajęcie mieszkania i wpłacenie kaucji, nie miała przyjaciół ani krewnych w innych miejscowościach, u których mogłaby się zatrzymać. Albo w Yumie, albo u mamy.

- Babcia chyba już mnie nie lubi - szepnął Skylar, patrząc na pusty korytarzyk prowadzący do kuchni. Jolene czuła, że dłoń dziecka była gorąca i spocona.

Niech ją diabli, pomyślała, ale ze względu na synka się uśmiechnęła.

- Ależ skąd, lubi cię. Tylko jest teraz zajęta. Choć, pomóżemy jej.

Pewnym krokiem poszła do kuchni, gdzie matka myła naczynia.

- Czy Skylar mógłby ci w czymś pomóc?

Na szczęście matka odwróciła się i z uśmiechem skinęła na wnuka.

- Ja myję, a ty wycierasz. Zgoda?

Skylar nieśmiało uśmiechnął się do babki i wziął od niej ścierkę. Może wszystko będzie w porządku, pomyślała Jolene. Może w końcu wszystko jakoś się ułoży.

- To było piekło - szeptała z zaciekłością. - Złe dla mnie, złe dla Skylara. Spoglądała odruchowo w stronę zamkniętych drzwi pokoju gościnnego - jej dawnego pokoju - mając nadzieję, że chłopiec naprawdę śpi i nie podsłuchuje rozmowy.

- Frank mówił...

- Mamo, Frank kłamał! Jezu, ile razy mam ci powtarzać?

- Mam wrażenie, że to dobry człowiek.

- Tak. W pewnym sensie. Ale jesteśmy jak woda i ogień; nie pasujemy do siebie. I to tylko kwestia czasu, żeby któreś z nas wyładowało w szpitalu. - Znów spojrzała na drzwi i jeszcze bardziej ściszyła głos. - Musiałam zrobić wszystko, żeby to nie był Skylar!

Matka westchnęła.

- Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Zaufaj mi, mamo. - Nie mogę schrzanić wszystkiego tak jak ty, chciała dodać, ale się powstrzymała.

- Więc jakie masz plany? Zamierzasz poszukać sobie tutaj pracy?

- Nie wiem. Na razie po prostu przyjechałam. Daj mi przynajmniej dzień, żebym wszystko przemyślała i się rozejrzała.

- Jechałaś półtora dnia. Nie miałaś czasu pomyśleć? Nie...

- Jezu, mamo. Nie możesz przynajmniej raz w życiu spróbować okazać mi trochę wsparcia?

Zamilkły. Siedziały w przeciwnych kątach pokoju i patrzyły gniewnie na siebie, a Jolene czuła się znów jak dziecko, jakby znów była w liceum, a matka karciała ją z jakichś niezgłębionych, niezrozumiałych powodów.

Wreszcie Jolene wstała i przeciągnęła się, udając, że ziewa.

- Chyba pójdę do łóżka. To był długi dzień.

- Dobrze.

- Do zobaczenia rano, mamo.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedziała matka bez przekonania.

- Tak, ja też się cieszę - skłamała Jolene.

## UPPER DARBY, PENSYLWANIA

Dennis Chen skończył ładować samochód i spojrzął na bagażnik na dachu. Kolejny raz sprawdzał sznurki - pociągał za nie, by się upewnić, czy przywiązał bagaż dostatecznie mocno. Matka milcząco obserwowała go z ganku. Odwrócony nie widział jej, ale wyczuwał jej dezaprobatę. Na przednim siedzeniu tempa jego siostra Cathy porządkowała schówek na rękawiczki, by zmieścić tam apteczkę, którą mu podarowała.

Dennis miał dwadzieścia trzy lata i nigdy jeszcze nie opuszczał okolic Filadelfii. Znał wielu podobnych ludzi, nawet ludzi starszych od siebie, którzy nigdy nie wybrali się dalej niż na odległość stu kilometrów od miejsca swojego urodzenia; którzy spędzili całe życie wewnątrz koła o ustalonym z góry promieniu. Dennis nie wyobrażał sobie sytuacji bardziej przygnębiającej. Z nim tak na pewno nie będzie i właśnie dlatego postanowił zerwać z dotychczasowym życiem - gdy nadal był młody i miał niewiele zobowiązań.

Pragnął podróżować. Już jako chłopiec czuł, że wzywają go dalekie drogi, i chociaż jego aspiracje zawodowe zmieniały się przez lata - w podstawówce chciał być maszynistą, w gimnazjum kierowcą ciężarówki, w liceum ambasadorem ONZ - wszystkie miały jeden wspólny element: podróże.

Teraz ze znacznym opóźnieniem realizował dawne marzenia.

Jego mama rozplakała się, kiedy opowiedział jej o swoich planach. I choć przypomniał jej, że ona i tata przejechali pół świata, by tu się dostać; opuścili rodziny, przyjaciół, swoją kulturę, a nawet język, mama nie dostrzegła analogii. Uważała, że to, co planował, było znacznie głębsze i bardziej niebezpieczne.

W ciągu ubiegłego miesiąca usiłowała go przekonać, by zrezygnował z podróży.

- Twoja praca! - powtarzała mu po kantońsku. - Nie możesz rzucić pracy!

Prawda jednak była taka, że ludzie ciągle rzucali pracę, zwłaszcza w tej branży. Przez ostatnie trzy lata pracował w firmie wynajmującej samochody. Zatrudnił się tam, gdy odpadł z college'u, co matka przyjęła z wielkim żalem

i zakłopotaniem. Doszedł do stanowiska kierownika nie dzięki nadzwyczajnym umiejętnościom czy talentom, ale po prostu dlatego, że nadal tam był. Średni okres zatrudnienia wynosił około czterech miesięcy, więc siła trwania wyróżniała go jako pracownika stabilnego i niezawodnego. Szef firmy przesunął go zatem po krótkiej drabinie kariery na szczebel kierownika.

Jednak kierowanie agencją wynajmu samochodów nie było nigdy zawodową ambicją Dennisa. Traktował tę pracę jako sposób zarabiania pieniędzy, póki nie zorientuje się, co naprawdę pragnie zrobić ze swoim życiem. A ponieważ mieszkał w rodzinnym domu i wydawał niewiele, zdołał sporo zaoszczędzić - wystarczyło przynajmniej na podróż na drugi koniec kraju. Gdyby sprawy nie potoczyły się pomyślnie, mógł zawsze wrócić, ale na razie miał swobodę, która dawała mu poczucie wolności.

Żałował tylko, że tata nie mógł tego zobaczyć.

I pomóc mu się spakować.

Znowu sprawdził sznurki.

- Pamiętaj, doładuj komórkę - przypomniała mu Cathy z wnętrza samochodu. - I miej ją stale włączoną! Zawsze zapominasz ją włączyć.

- Obiecuję.

Umieściwszy apteczkę w schowku, wyłoniła się z auta po stronie pasażera.

- Kto wie, jakich spotkasz tam świrów. Musimy mieć możliwość skontaktowania się z tobą, a ty musisz mieć możliwość wezwania policji.

- Nie jedź! - zawołała matka po kantońsku. - Zostań tutaj!

- Z mamą wszystko się ułoży - obiecała Cathy.

- Dziękuję - powiedział szczerze Dennis. Nigdy poważnie nie rozmawiał z siostrą, nie zwierzała się sobie, jak być może powinno rodzeństwo, ale teraz pomyślał, że chyba nie potrzebowali takich rozmów. Rozumieli pewne sprawy automatycznie, wiedzieli bez słowa, co myśli to drugie, instynktownie wyczuwali prawdziwe intencje w powierzchownych dyskusjach.

Będzie mu brakowało Cathy bardziej, niż sądził.

- Jeśli wzbogacisz się przy Złotej Górze, przyjedziemy i zamieszkamy z tobą - zaproponowała.

Chińskie poczucie humoru.

Pociągnął za sznurki bagażnika na dachu tylko po to, by zająć czymś ręce. Skończył się pakować, nie miał żadnego powodu, by zwlekać, a minęła już

druga. Czas ruszać w drogę, ale byłoby to tak mało znaczące, gdyby zwyczajnie odjechał. Przecież całkowicie odrywał się od korzeni, powodował wstrząs sejsmiczny w życiu matki i siostry. Powiedzieć jedynie „do widzenia”, wsiaść do samochodu i odjechać - to jak antykulminacja tego momentu. Nie mógł nie pomyśleć, że jego pożegnanie powinno być o wiele bardziej doniosłe. Ale z przyjaciółmi pożegnał się już wczoraj, a cała rodzina stała z nim teraz przed szeregowym domkiem.

Nie zwykli demonstrować emocji publicznie ani okazywać sobie czułości. Pomimo tego podszedł do mamy i mocno ją uściskał. Wydawała się sztywna i mała. Wyczuwał kości pod jej skórą i ubraniem i po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, jaka jest krucha.

*Jaka stara.*

Doznał szoku, a smutek, który po nim przyszedł, omal nie sprawił, że zrezygnował z podróży. Kto wie, ile czasu jeszcze jej pozostało? Czy to naprawdę w porządku, że ją zostawia? Czy jest w porządku wobec siebie, trwoniąc czas, który mogli spędzać razem? Puścił mamę i się cofnął.

A potem Cathy objęła go, przejmując inicjatywę, i był to uścisk entuzjastyczny, wylewny, dzięki któremu znów był pewien, że podjął właściwą decyzję. Uściskał ją znacząco i obiecał sobie, że jeśli sprawy ułożą się pomyślnie, rzeczywiście wezwie obie kobiety do siebie.

- Jedź ostrożnie - nakazała mu Cathy. - I miej komórkę włączoną.
- Wiem, wiem.

Mama wymusiła na nim obietnicę, że będzie dzwonił do nich każdego wieczoru o siódmej, bez względu na to, gdzie będzie i co będzie robił. Przyrzekł jej to. Upajał się tym, że wyrusza w samotną podróż, ale podtrzymywanie więzów wydawało mu się czymś dobrym i właściwym.

Nadszedł czas odjazdu i Dennis, machając ręką na pożegnanie, wsiał do samochodu. Po twarzy Cathy spływały łzy i, ku jego zaskoczeniu, matka płakała także. Jego wzrok zasnuł się mgłą, więc pospieszył się, włączył silnik, krzyknął po kantońsku „do widzenia!”, pomachał krótko i odjechał.

Zmusił się do skupienia na ruchu ulicznym, na drodze, na ciągu czynności, które zawiodą go na autostradę międzystanową. Celowo unikał myśli o matce, siostrze i o tym, co zostawia za sobą.

Ale kiedy jechał drogą 76 na zachód, myślał już o przyszłości, a nie o przeszłości. Niecierpliwosć wyparła smutek. Był zadowolony, że jest na szosie, że podróżuje. Włożył płytę CD z muzyczną składanką, skompilowaną właśnie na tę okazję - stare rockowe piosenki, o podróży, otwartej drodze i uroku nowych miejsc.

Nie wybrał żadnego celu podróży, ale coś w dali zdawało się go przyzywać. Teraz, kiedy był sam, mógł się do tego przed sobą przyznać. Tak, chciał podróżować, tak, celem jego podróży miało być stereotypowe „odnalezienie siebie”. Ale było coś jeszcze, coś więcej, sens tej podróży, choć sam nie wiedział jeszcze, co. Którejś nocy śnił, że jedzie szosą przez pustynię i wjeżdża w ścianę dymu. W dymie widział oczy, setki oczu, chińskich oczu, patrzących na niego, pełnych wrogości, która go przerażała. Nad ścianą dymu sięgającą nieba wzniosła się mroczna postać o trójkątnej głowie; gestem zaprosiła go, by jechał naprzód.

Dennis nie był w żadnym sensie osobą religijną. Mama była buddystką, tak jak tata, ale on i siostra nie byli wierzący. Wyrastali wśród chrześcijan i żydów, oglądali chrześcijańskie programy telewizyjne, na Wielkanoc razem z przyjaciółmi poszukiwali w parku ukrytych jaj. Przesiakiłi zachodnimi tradycjami religijnymi Amerykanów, ale żadnej z nich nie uznali za swoją; nie nauczano ich żadnej religii, a ich kontakty z różnymi religiami były powierzchowne, dlatego żadna nie stała się ich własną. Byli jak ni pies, ni wydra. Nigdy nie odczuli potrzeby, by głębiej zbadać którąś z tych idei czy filozofii, nigdy nie potrzebowali uniwersalnej teorii o nadnaturalnej przyczynie rzeczy, by radzić sobie w świecie. Czuli się całkowicie szczęśliwi, ufając, że przyroda funkcjonuje racjonalnie i nie trzeba antropomorfizować praw nauki.

Ale...

Ale teraz Dennis czuł, że jest jakiś ostateczny cel jego podróży, że istnieje nieznan element, który go przyciąga. Powinien czuć się z tym niekomfortowo, ale tak nie było - pragnął wyjechać.

Uśmiechnął się, przyspieszył do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, by utrzymać się w strumieniu samochodów, i jechał na zachód.

Dennis próbował uciec, ale mężczyzna z kijem bejsbolowym zamachnął się i uderzył go w tył nóg. Przewrócił się w eksplozji niewyobrażalnego bólu. Mężczyzna wrzeszczał na niego po angielsku, ale jego słowa brzmiały obco i Dennis nie mógł zrozumieć swojego prześladowcy. Kij spadł znowu, tym razem na jego krzyż, i Dennis usłyszał, że coś pęka. Poczul, że coś pęka i nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Kiedy próbował się wyprostować, ramiona dźwigały martwy balast.

W oddali słyszał pociąg, jego samotny gwizdek w bezksiężycową noc brzmiał jak widmo. W górze wrony łopotały skrzydłami, przesuając się w tę i we w tę, w tę i we w tę; krakały, ich krzyki przypominały drwiący śmiech.

Mężczyzna przydeptał jego głowę obutą nogą, wtlaczając policzek, czoło, ucho i oko w twardą ziemię. Powiedział coś jeszcze w swym nonsensownym angielskim, cicho i poważnie, coś ostatecznego, i Dennis napiął się, czekając na koniec.

Obudził się mokry od potu, jakby nie wybudził się z koszmaru, ale przeżył prawdziwy atak. Bolały go mięśnie, dokuczały mu nawet kości. Wstał z łóżka, podszedł do okna, odsunął zasłonę i wyrzwał. Był w małym miasteczku w zachodniej Pensylwanii - nawet nie znał jego nazwy - i choć doskonale wiedział, że ma ograniczone fundusze, minął kilka mniejszych, brudniej szych moteli i zatrzymał się w Holiday Inn ze względu na czystość, wygodę i przyzwyczajenie. Wiedział, że jeśli chce przeżyć w drodze przez dłuższy czas, będzie musiał zmienić to podejście, ale tej pierwszej nocy chciał zachować pozory normalności.

Chodziło o to, że do ataku, o którym snił, doszło właśnie tu, w miejscu, gdzie stał Holiday Inn. Ale działo się to w przeszłości, może przed dziesięcioleciami i wtedy hotelu nie było. Znajdował się tu jakiś magazyn stali czy drewna. Czyżby czuł winę z powodu zbyt drogiego lokum i dlatego sprawił sobie umysłowe lanie? Nie przypuszczał, by tak było. Nie sądził, by dręczyła go jakaś przypadkowa zmora. Czuł, że ma to jakieś znaczenie, że nawiązał z czymś kontakt.

Dennis uśmiechnął się lekko. Od czasu wyjazdu z domu stał się okropnym megalomanem.

Po drugiej stronie szosy przejeżdżał pociąg towarowy i Dennis zadrżał na dźwięk gwizdka, echa z jego snu.

Do rana pozostawało mnóstwo czasu, ale nie był zmęczony. Gdyby nie to, że zapłacił za pokój z góry, i to sporo, już spakowałby rzeczy i odjechał. Nocna jazda wydawała mu się atrakcyjna. Ale ze względu na mamę i Cathy powinien się zachowywać odpowiedzialnie. Nie chciał, by przy jakiejś bocznej drodze policjant znalazł jego pogruchotane zwłoki - bo kierowca zasnął i wpadł na drzewo - i by potem zawiadamiał mamę o jego śmierci. Nie, myślał Dennis, pozostaną tutaj, poczekam do rana, spróbuję znowu zasnąć.

Nie było to jednak takie łatwe i przed snem obejrzał drugą połowę *Emmanuelle* na HBO.

Zamierzał wyruszyć wcześniej rano, ale obudził się dopiero po dziewiątej, a kiedy wziął prysznic, ogolił się, spakował i zjadł hotelowe śniadanie, było prawie wpół do jedenastej.

Opuścił Pensylwanię dopiero po południu.

**Życie** w college'u było wspaniałe!

Angela spodziewała się tego, ale Uniwersytet Północnej Arizony przeszedł jej najbardziej optymistyczne oczekiwania. Ta uczelnia jako jedna z nielicznych oferowała stypendium, które rzeczywiście pozwalało jej studiować. Gdy wcześniej przyjechała tu z rodzicami, by się rozejrzeć, wielkie wrażenie wywarła na niej piękna okolica. Również kampus się jej spodobał - budynki z czerwonej cegły, porośnięte winoroślą skały, bramy z kutego żelaza. Uniwersytet przypominał prestiżową uczelnię Ivy League na Wschodnim Wybrzeżu, a nie college w mieście kowbojów. Angela widziała również Politechnikę Kalifornijską w San Luis Obispo, w środkowej Kalifornii, Uniwersytet Nowego Meksyku w Albuquerque i Uniwersytet Nevady w Reno, ale zapamiętała tylko ten w północnej Arizonie. Intuicja podpowiedziała jej, że to dobre miejsce do studiowania.

Było doskonale. Początkowe wrażenie potwierdziło się - panował tu hipisowski klimat i Angela uznała go za cudowny. W Los Angeles dorastała w atmosferze rywalizacji i niesnasek, która tutaj była nieobecna - panował nastrój odprężenia, swobody, tolerancji, dzięki któremu od razu poczuła się dobrze.

Och, miała drobne zastrzeżenia. Według niej za dużą wagę przywiązywano do sportu, tym bardziej że uniwersytet nie miał żadnej drużyny, która liczyłaby się w lidze krajowej, ale - jak powiedziała Chrissie - we Flagstaff panowały srogie zimy, a ponieważ w kampusie był kryty stadion, chodzenie na mecze należało do nielicznych atrakcji towarzyskich podczas chłodnych miesięcy. Mimo niechęci Angeli Chrissie zapewniała ją, że już na początku grudnia będzie z radością chodzić na mecze futbolowe.

Wręcz uwielbiała mieszkańców Domu Babbitta i wbrew obawom nie tęskniła za domem rodzinnym. Od razu znalazła wspólny język z Chrissie i choć pochodziły z różnych środowisk, w parę tygodni stały się bliskimi przyjaciółkami. Angela regularnie dzwoniła i pisała e-maile do znajomych w Los Angeles, ale ostatnio robiła to raczej z obowiązku, ponieważ w Arizonie czuła się równie szczęśliwa jak w LA. Winston i Brock byli wspaniali, stali się dla niej



szczególną parą przewodników po studenckim świecie oraz całej Arizonie, niczym bohaterowie serialu *Queer Eye*. Nie poznała zbyt dobrze Drew i Lisy, małżeństwa, które mieszkało w końcu korytarza na pierwszym piętrze; oboje byli na studiach magisterskich i najczęściej przebywali we własnym towarzystwie. Randy, który zajmował sąsiednie mieszkanie, oraz Kelli i Yurica z apartamentu na dole byli sympatyczni i Angela szybko się z nimi zaprzyjaźniła.

Poznała nawet kogoś.

Nazywał się Brian Oakland, pochodził z Milwaukee w stanie Wisconsin i uczył się leśnictwa. Nie pasował do jej domniemanego ideału - choć chyba nie miała swojego ideału - ale był interesujący i atrakcyjny i oboje natychmiast się polubili. Byli dopiero po pierwszej randce, bez żadnych gorących momentów, więc zbyt wcześnie byłoby nazywać to związkiem, ale randka się udała, umówili się już na następną, a tymczasem prowadzili długie rozmowy telefoniczne. Angela nie wspomniała o tym rodzicom. Uznała, że to za wcześnie i na wszelki wypadek lepiej tego nie robić. Zamierzała pojechać do domu na Święto Dziękczynienia i jeśli wówczas nadal będzie spotykała się z Brianem, to im powie. Ale jeśli nie, to lepiej, żeby rodzice o niczym nie wiedzieli.

Poza tym nie był nawet katolikiem.

Angela próbowała jednak wymyślić sposób, w jaki miałyby im to przedstawić.

Oczywiście, byliby zszokowani, słysząc niektóre dyskusje, jakie toczyła ze swoimi nowymi znajomymi na temat religii. Poprzedniego wieczoru Winston i Brock zaprosili Angelę i Chrissie na składkową kolację. Angela przygotowała sałatkę, Chrissie - babkę waniliowo-czekoladową, a Winston i Brock podali wspaniałą makaron z owocami morza. Po posiłku, gdy siedzieli w miękkich fotelach w salonie, Angela spytała Chrissie, dlaczego według niej dla niektórych ludzi religia stanowi podstawę życia, inni natomiast w ogóle jej nie potrzebują, dlaczego na przykład jej rodzice cały czas myślą o Bogu, a rodzice Chrissie nawet nie wierzą w jego istnienie? Zawsze łatwiej jej było rozmawiać na te tematy ze znajomymi niż z najbliższą rodziną, choć nie wiedziała dokładnie, dlaczego tak było. Może dlatego, że dyskusja nie miała zbyt osobistych podtekstów i łatwo było się uchylić, gdy stawała się kłopotliwa.

Chrissie wzruszyła ramionami.

- Myślę, że niektórzy ludzie są jak dzieci. Nie potrafią sobą kierować czy zachowywać się w sposób racjonalny, przyzwoity, więc muszą czuć zagrożenie karą ze strony ojca przywołującego ich do porządku. Dlatego tylu

nieudaczników, alkoholików i narkomanów zwraca się ku religii. Potrzebne im poczucie, że po śmierci zostaną ukarani, jeśli nadal będą robić to, co do tychczas. Potrzebują nakazu, by zachowywać się właściwie.

Za każdym razem, gdy Chrissie mówiła podobne rzeczy, Angela przeżywała szok. Rozumiała, co przyjaciółka miała na myśli i nawet częściowo przyznawała jej rację, ale z drugiej strony wycofywała się, oczekując, że grom z jasnego nieba trafi w Chrissie.

- Może ci ludzie są rzeczywiście zbawieni. Może Bóg pomaga im zmieniać życie.

- Więc skąd tyłu recydywistów? Dlaczego Bóg nie może ich wszystkich ratować cały czas?

- Religia pomaga wielu ludziom - stwierdziła Angela. - Daje im wiarę, daje nadzieję...

- Tak, ale ja po prostu nie wierzę w niewidzialnego mężczyznę, który z nieba obserwuje każdy twój krok i robi notatki, żeby po śmierci ukarać cię lub nagrodzić; mężczyznę tak małostkowego i próżnego, że jeśli co niedziela nie całujesz go w dupę, to wtrąci cię w ogień piekielny na całą wieczność.

- Daj jej spokój - napomniął ją Winston.

- Sama zaczęła ten temat - przypomniała Chrissie.

- To prawda - przyznała Angela. - Nie chciałam jednak się kłócić czy kogokolwiek nawracać. Byłam po prostu ciekawa.

- Ja też pochodzę z religijnej rodziny - wyznał Winston. - Rozumiem więc twoje korzenie.

- Uciekał stamtąd gdzie pieprz rośnie, gdy okazało się, że za to, że kocha mężczyzn, Bóg go nienawidzi i na zawsze wtrąci do piekła - rzekł Brock i szeroko się uśmiechnął.

Winston szturchnął go.

- Ty niewierny.

Wypadało zmienić temat.

- Powiedźcie mi o duchu - poprosiła Angela.

Winston i Brock wymienili spojrzenia.

- No, przecież Chrissie mówiła mi, że w domu straszy, a wy dużo o tym wiecie. Mieliście z nim bliskie spotkanie.

- Spotkania - skorygował ją Brock cichym głosem.

Winston westchnął.

- Wiem, że to brzmi bez sensu. Wierzcie mi, że nie jestem nawiedzonym, obłąkanym i przewrażliwionym wyznawcą New Age.

Brock uniósł brwi.

- No, dobrze, jestem. Ale nie wierzyłem w duchy, póki tu nie zamieszkałem. Nie dopuszczałem nawet takiej myśli. Zawsze uważałem to za wytwór bujnej wyobraźni naiwnych ludzi.

- Ale teraz wierzysz - powiedziała Chrissie niskim upiornym głosem.

- Możesz się natrzasać do woli, ale owszem, wierzę. - Spojrzał na Brocka.  
- Obaj wierzymy.

Brock skinął głową.

- Pierwszy raz, gdy tu usłyszeliśmy, siedzieliśmy tu, w tym pokoju. Był z nami Dan Hamlyn, który parę semestrów temu mieszkał tam, gdzie teraz Kelli i Yurica. Skończyliśmy oglądać film. Nie, nie o duchach. Komedie. Chyba *Matkę* Alberta Brocka. Zbierałem kieliszki i miski po popcornie, a Dan właśnie miał wychodzić, kiedy usłyszeliśmy jęki dochodzące z kuchni.

- Jakby ktoś cierpiał z bólu. - Brock wymownie skinął głową. - Jakby został uderzony w głowę czy coś takiego.

- Choć nie mieliśmy pewności, czy to on. Równie dobrze mogła to być ona. Trudno określić.

- Okropnie się wystraszyliśmy i wszyscy trzej pognaliśmy do kuchni, żeby się przekonać, co to było.

Angela zerknęła na zamknięte drzwi do kuchni. Chciała poczuć dreszczyk emocji, ale nic z tego. Jak każdy, lubiła dobre opowieści o duchach, ale ta relacja była zbyt uładzona i Angela podejrzewała, że spreparowano ją dla niej.

- Oczywiście niczego tam nie było - powiedział Winston. - Pokój był pusty, okno zamknięte. Przeszukaliśmy całe mieszkanie, ale niczego nie znaleźliśmy.

- Następnym razem stało się to rano. Zeszłej zimy. Panował jeszcze mrok, ale nie było tak wcześnie. Szósta czy coś koło tego. Pamiętam, że już wstałem i jadłem bajgla, ponieważ od rana miałem zajęcia.

- Tym razem dźwięk dochodził z szafki na pościel - dodał Brock. - I wiedzieliśmy, że nikt się tam nie mógł ukryć, bo ledwie starczy miejsca na kilka prześcieradeł i nasze ręczniki.

- To brzmiało jak gwałtowne pomruki czy mamrotanie - wtrącił Winston. - Bardzo wysokim tonem. Jazgot. Nie mogliśmy wyłowić żadnego słowa. I tak bez przerwy; to najbardziej przerażało. Otworzyliśmy drzwi szafy, wszystko wyrzuciliśmy na podłogę, ale nadal słyszeliśmy dźwięki. Nie pochodziły z szafy, z góry ani z dołu, tylko rozbrzmiewały tuż obok, jakby duch, który je wydawał, był przed nami, a my nie mogliśmy go zobaczyć. Mówię wam, cholernie się przestraszyłem.

- I to wszystko? - spytała Angela.

- Od tamtego czasu zdarzyło się to jeszcze kilka razy, ale to mniej więcej wszystko. Wiem, że to niewiele, i pewnie myślisz, że dźwięki pochodziły z innego mieszkania, ale zapewniam, że brzmiały niesamowicie. To się czuło. Przedtem nic na ten temat nie słyszeliśmy, ale przeprowadziłem małe badania i odkryłem, że ten dom jest na krajowej liście nawiedzonych miejsc. Pewnie dlatego nikt nie chciał go kupić i podzielono go na osobne mieszkania. Gdy przekazałem wiadomość właścicielom, obniżono nam czynsz, pod warunkiem że będziemy milczeć. W zasadzie dotrzyмалиśmy słowa, ale informacja i tak się przedostała i jedna z dziewcząt się wyprowadziła.

- Jen - wtrąciła Chrissie.

- Tak, Jen. Powiedziała, że coś zobaczyła w swojej sypialni, ale nie jestem o tym przekonany. Myślę raczej, że sobie to wyobraziła.

Angela się uśmiechnęła.

- Jej duch to twór wyobraźni. Wasz jest realny.

- Mniej więcej tak.

- W takim razie zawołajcie mnie następnym razem, gdy on... lub ona... się pojawi. Chcę tego posłuchać.

- Wątpię - odparł Winston. - Ale zawołam cię.

Okazja nadarzyła się szybciej, niż się spodziewali.

Angela i Chrissie wróciły do siebie. Zrobiło się późno i rzut monetą rozstrzygnął, która pójdzie pierwsza pod prysznic. Angela wygrała. Szybko się umyła i włożyła piżamę. Powiedziała przyjaciółce dobranoc, poszła do łóżka i w kilka minut zasnęła.

Obudziło ją stukanie do drzwi pokoju. Półprzytomnym wzrokiem spojrzała na zegarek na nocnym stoliku. Piętnaście po drugiej. Pukanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze. Angela wstała, włożyła szlafrok i uchyliła drzwi. W krótkim korytarzyku stała zasnana Chrissie, osłaniając się szlafrokiem. Drzwi do mieszkania były otwarte. W holu zobaczyła Winstona; miał potargane włosy, a na sobie tylko zielone lekkie spodnie ściągane tasiemką. Dostrzegł ją i gdy tylko zauważyła wyraz jego twarzy, serce jej drgnęło, a przez ciało przebiegł dreszcz strachu. Wiedziała, co Winston zamierzał powiedzieć.

- Duch. Jest teraz na dole. Chcesz posłuchać?

Nie chciała. Nie teraz. Podczas wieczornej rozmowy wypowiadała się sceptycznie i beztrąsko, ale spotkanie ducha w środku nocy... Sprawa nabierała powagi. Bała się, ale to przecież ona podniosła temat i prosiła, żeby ją zawołać. Przelknęła więc głośno i skinęła głową.

- Idziesz? - spytała przyjaciółkę.

Ta pokręciła głową i Angela zorientowała się, że choć przedtem Chrissie wyrażała zdecydowane niedowierzanie, teraz była przerażona.

Angela zeszła za Winstonem po schodach. Przy otwartych drzwiach do jego mieszkania zebrało się już kilku lokatorów. Większość miała na sobie piżamy i choć była to okazja do koleżeńskich gestów, nikt nie rozmawiał ani nie wchodził do mieszkania i wszyscy mieli podobne miny. Milczeli, czekając w zdenerwowaniu.

Usłyszała to.

Dobiegł do nich stłumiony, ale wyraźny dźwięk. Pochodził z wnętrza mieszkania. Dostała gęziej skórki na ramionach i nogach, delikatne włoski na jej karku się zjeżyły. Zza drzwi dochodziło niezrozumiałe paplanie, obcy bełkot. Minęła Randy'ego, Kelli i Yuricę i za Winstonem weszła do salonu, a potem do kuchni.

- Wchodźcie wszyscy! - zapraszał Winston. - Posłuchajcie, zanim ustanie!

Próbował mówić lekko i radośnie, usiłował stworzyć beztroską atmosferę, ale Angela widziała, że jest wystraszony, a po sposobie, w jaki Brock kurczowo chwycił go za rękę, zorientowała się, że jego partner czuł to samo. Wszyscy milczeli, nasłuchując. Bali się odezwać.

Głos ducha był płaski jak zwyczajna rozmowa, a jednocześnie wyrazisty jak z audiofilskiej płyty. Przenikliwy, wyrażający złość albo podniecenie; Winston i Brock słusznie mówili, że trudno orzec, czy to głos męski, czy kobiecy. Wydawało się, że dobiega z pieca, i choć powinno to być zabawne, wcale nie było. Duchy uważa się za istoty ulotne, jednak Angela odniosła wrażenie, że ten był tu od zawsze, i choć w tym miejscu zbudowano dom i postawiono meble, były to rzeczy tymczasowe, a głos jeszcze długo pozostanie, gdy ludzie usuną piec i zburzą dom.

I nagle głos zamilkł.

Nikt nie wiedział, co zostało powiedziane, ale głos ucichł w połowie zdania i po tym chaotycznym jazgocie cisza przytłaczała i dzwoniła Angeli w uszach.

- Proszę państwa, widowisko skończone! - Winston ciągle próbował lekkiego tonu. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi i lokatorzy odeszli do swoich pokoi cisi i zgaszeni. Winston przechwycił spojrzenie Angeli, która teraz rozumiała, jak płytko i nonszalancko wypowiadała się tego wieczoru i jak fałszywie oceniła sytuację. Żałowała teraz, że tak jak Chrissie nie poszła do łóżka, lecz poddała się temu doświadczeniu. Teraz bała się wrócić do własnego mieszkania, bała się tego, co po drodze może usłyszeć wśród ścian, co może

zobaczyć w cieniu okrywającym szczyt schodów.

Winston i Brock najwyraźniej wyczuli jej nastrój, gdyż odprowadzili ją na górę niczym ochroniarze. Niczego po drodze nie widzieli ani nie słyszeli, a gdy we trójkę dotarli na miejsce, drzwi otworzyła im Chrissie.

- No i co? - spytała.
- Dochodził z pieca - wyjaśnił Brock.
- Czy... coś widzieliście?

Pokręcili przecząco głowami.

- Tylko głos, jak zwykle - odparł Winston.

Angela odwróciła się do niego, próbując się uśmiechnąć.

- Chciałabym podziękować za dobrą zabawę, ale...
- Do zobaczenia rano - pożegnał je Winston i wraz z Brockiem zeszli do siebie.

Angela weszła do środka. Chrissie zamknęła drzwi na zasuwę.

- Czy to było przerażające? - spytała Chrissie.

Angela skinęła głową.

- Tak, owszem.

Nie chciała teraz o tym mówić ani nawet myśleć, więc udała, że ziewa, pomachała przyjaciółce na dobranoc i wróciła do swojego pokoju.

Położyła się, ale nie mogła zasnąć.

Chrissie poszła do siebie. W innych mieszkaniach ludzie układali się w łózkach, ale Angela, rozbudzona, nasłuchiwała odgłosów w cichym teraz domu. Jej ciało pokryło się gęsią skórką, gdy wspomniała ten szaleńczy, niezrozumiały bełkot. Co to było? Jakie miało źródło? Co znaczyło?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania; nikt nie znał tej odpowiedzi, a gdy w końcu zasnęła, śniła o czarnej, galaretowatej istocie bez oczu, z mnóstwem zębów, która mieszka pod Domem Babbitta i czyha na nią.

Następnego wieczoru miała drugą randkę z Brianem. Bardzo mu chciała powiedzieć o duchu, ale tego nie zrobiła. Byłoby to zbyt kłopotliwe. Wiedziała, że to się wydarzyło, była pewna tego, co słyszała, ale poza Domem Babbitta, w zwykłym świecie innych ludzi, samochodów, sklepów, restauracji, opowieść o tym przeżyciu brzmiałaby niedorzecznie.

Jednak wspomnienia nocy nie opuszczały jej przy kolacji i potem w kinie. Brian oczywiście zorientował się, że coś było nie tak, ale nie znał jej na tyle dobrze, by ingerować w jej nastrój i postanowił nie wywierać presji. Była mu za to wdzięczna. Ożywiła się na tyle, by poobściskować się z nim w samochodzie,

i w drodze powrotnej wyszła z inicjatywą, zapraszając go na bezpłatny koncert jazzowy w piątek. Wydawał się zdziwiony i Angela nie była pewna, czy to dlatego, że posunęła się za daleko - Brian pochodził z Wisconsin - czy na podstawie jej zachowania wnioskował, że nie jest nim już zainteresowana, ale ochno się zgodził.

Nie wiedziała, co on o tym myślał, ale według niej byli już właściwie parą. To pojęcie może nieco staroświeckie i niemodne w dobie przelotnych związków, dlatego nie podnosiła tej kwestii, ale przyjdzie moment i to wkrótce, kiedy będą musieli porozmawiać o wyłączności.

Podwiózł ją pod dom, zaparkował przed rozległym trawnikiem. Teraz w nocy cofnięta w głąb rezydencja wydawała się przerażająca, złowroga. Angela nie zauważyła światła w oknach, ale była środa, nie tak znów późno, więc ktoś powinien być w domu.

*A jeśli nikogo nie ma?*

- Chciałbyś wejść? - zaproponowała, mając nadzieję, że w jej głosie nie słychać nerwowości.

- Jasne - odparł. - Byłoby świetnie.

Wysiedli z samochodu i Angela wzięła Briana pod rękę, wdzięczna za wsparcie. Nie postrzegala siebie jako delikatnej kobietki, potrzebującej ochrony silnego mężczyzny, ale nie uśmiechał się jej samotny spacer do ciemnego domu, w którym straszy. Brian mówił coś ze swobodą, ale gdy szli przez niekończący się trawnik, cała uwaga Angeli koncentrowała się na wejściu do wiktoriańskiego budynku. Wydało się jej, że widzi jakiś ruch w oknie z prawej strony na piętrze - w mieszkaniu Randy'ego - ale okno pozostawało ciemne i Angeli się to nie spodobało. Prawdopodobnie było to coś zwyczajnego, niewinnego, ale w tym nastroju wyobrażała sobie same złe rzeczy: nagi Randy szpieguje ją... morderca, który zabił Randy'ego... duch.

Dotarli do drzwi wejściowych. Angela wyjęła klucz i otworzyła zamek.

Wewnątrz panowała całkowita ciemność.

- Ostrożnie! - usłyszała głos Winstona. Wyłonił się ze swojego mieszkania, świecąc latarką na podłogę, żeby widzieli, gdzie stąpają. - Wsiadł prąd. Brock sprawdza korki.

- Co się stało? - spytała Angela.

- Nie wiemy. Latarnie się palą i nie widać, żeby któryś z sąsiednich domów też ucierpiał, więc prawdopodobnie nawaliły stare gówniane kable u nas. Może włączyliśmy równocześnie za dużo komputerów czy mikrofalówek.

W tym momencie zapaliło się światło, a w mieszkaniach włączyły się telewizory i odtwarzacze stereo. Nagle dom napełnił się życiem i Angela wypuściła powietrze, odprężając się. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak była spięta i niespokojna. Brian wyraźnie poczuł się nieswojo. Korytarzem szła Kelli, Chrissie schodziła na parter, Winston z latarką w dłoni ciągle stał w drzwiach swojego mieszkania.

- Chyba powinienem już iść - stwierdził Brian.

Tego wieczoru nie mogli liczyć na odrobinę prywatności, więc Angela skinęła głową.

- Tak, zrobiło się późno.

- Zadzwoń do ciebie jutro.

Na oczach wszystkich pocałowała go niezręcznie na pożegnanie i kiedy szedł trawnikiem w stronę ulicy, machała mu ręką. Gdy wsiadł do samochodu, zamknęła drzwi.

- Jak się udało? - spytała Chrissie.

Angela zastanawiała się przez chwilę.

- Całkiem dobrze - odparła z uśmiechem. Przez otwarte drzwi mieszkania Winstona i Brocka widziała kuchnię za salonem i wspominając obcy bełkot, zadrżała. - No, chodźmy na górę. Wszystko ci opowiem.

## 6

### BEAR FLATS, KALIFORNIA

Jolene spacerowała ze Skylarem po mieście. Wchodzili do sklepików, zajrzeli do biblioteki, odkrywali Bear Flats. Jolene poznawała te miejsca na nowo. Matka zaproponowała, że zaopiekuje się Skylarem, ale póki w domu był alkohol, Jolene nie zamierzała zostawiać syna z babcią. Chłopiec i tak już dużo przeszedł i niepotrzebne mu były dodatkowe przeżycia. Powiedziała o tym matce, co doprowadziło do ostrzejszej wymiany zdań i Jolene nie wątpiła, że matka właśnie opróżniła butelkę. Gdy wrócą do domu, zniknie sympatyczna babcia Skylara, a pojawi się nieprzyjemna, zgorzkniała kobieta, którą Jolene znała z dzieciństwa i młodości.

Muszę sobie znaleźć jakieś inne miejsce, postanowiła Jolene.



Ale dobrze było znów być w swoim mieście.

Trzymając syna za rękę, przeszła przez autostradę do baru Mag's Ham Bun - mama powiedziała, że szefem lokalu była teraz Leslie Finch. W liceum Jolene i Leslie były bliskimi przyjaciółkami, i choć kilkakrotnie, rozmawiając przez telefon, obiecywały sobie, że przy najbliższej okazji się spotkają, nie widziały się już... jak długo? Sześć? Osiem lat?

Jolene pchnęła ciężkie dębowe drzwi restauracji i przez chwilę stała w przedsionku, a jej oczy przyzwyczajały się do mroku. Teraz, o jedenastej, za wcześnie było na lunch i sala była prawie pusta. Przy barze siedział starszy mężczyzna z kuflem piwa, a w pobliskim boksie pod ścianą jakaś rodzina - chyba turyści - przeglądała menu. Poza tym Jolene nikogo nie widziała.

- Chciałbyś tu coś zjeść? - spytała Skylara.
- Jasne. - Chłopiec wzruszył ramionami.

Stojąca tabliczka zachęcała: „Proszę wybrać sobie miejsce”, więc wybrali boks w głębi, nieco oddalony od rodziny turystów. Po chwili podeszła do nich kelnerka, osoba starsza i nieznana Jolene, przywitała ich i podała jadłospisy.

- Czy pracuje tu Leslie Finch? - spytała ją Jolene.
- Leslie! - zawołała kobieta tak głośno, że Jolene omal nie podskoczyła.

Leslie Finch wynurzyła się z krótkiego ciemnego korytarzyka prowadzącego do toalet i kuchni. Nie wyglądała jak kelnerka z małego miasteczka, lecz młoda, prężna biznesmenka. Może to za sprawą przytłumionego oświetlenia, ale Jolene wydawało się, że Leslie prawie się nie postarzała od czasów liceum. Nadal szczupła, włosy miała teraz krótsze, modnie obcięte, lecz tak samo brązowe i falujące jak wówczas, gdy była nastolatką. Leslie wyglądała o niebo lepiej od niej i Jolene, choć uszczęśliwiona widokiem przyjaciółki, poczuła się równocześnie zakłopotana.

- O, mój Boże! - Leslie podchodziła do ich stolika. - Jo? To ty?

A więc przynajmniej można mnie jeszcze poznać. Jolene się uśmiechnęła.

- Tak. To ja.
- A to twój mały mężczyzna?
- Ma na imię Skylar. - Delikatnie trąciła syna łokciem. - To moja przyjaciółka, pani Finch. Przywitaj się.
- Cześć - powiedział chłopiec nieśmiało.
- Cześć, Skylar. Ile masz lat?
- Osiem. - Zwrócił się do matki: - Czy mógłbym zamówić colę?

- Dostaniesz mleko albo lemoniadę. - Uśmiechnęła się do Leslie. - Jesteś zajęta? Masz czas?

- Tak, teraz mam czas. Mogę się dosiąść?

- Jasne. Miałam nadzieję, że pogadamy. O dawnych czasach.

- Albo o nowych. - Leslie skinęła na kelnerkę. - Zdecydowaliście już, co chcecie zamówić?

- Zapiekanką kanapkę z serem i lemoniadę - oznajmił Skylar.

- Dobrze - powiedziała Jolene. Uśmiechnęła się do Leslie. - Wybierz coś dla mnie. Wiesz, co macie dobrego.

Podeszła kelnerka, złożyli zamówienia, a Leslie oznajmiła głosem nieznośnym sprzeciwu, że posiłek jest na koszt firmy.

- Co cię tu sprowadza z powrotem? - spytała, gdy kelnerka odeszła.

Jolene nie chciała wdawać się w szczegóły, zwłaszcza przy dziecku.

Spojrzała więc znacząco na Leslie, potem z ukosa na Skylara i ponownie na przyjaciółkę z nadzieją, że ta zrozumie.

- Wprowadzam parę zmian - odparła zwyczajnie.

Leslie skinęła głową, nie drażyła sprawy, i Jolene wywnioskowała, że przyjaciółka ją rozumiała.

Po tylu latach nadal istniała między nimi więź.

Rozmowa przeszła na neutralny grunt: dawni znajomi, restauracja, miasto. Podano im jedzenie. Leslie zapewniła, że przez te lata charakter Bear Flats ani trochę się nie zmienił.

- To samo co zawsze. Nikt nic nie wie, wszyscy mają przygnębiająco wąskie horyzonty i są zgorzkniałymi zazdrośnikami o... o wszystkich innych.

Jolene się zaśmiała.

- Więc spytasz, dlaczego tu jeszcze jestem. - Leslie pokręciła głową i zanurzyła frytkę w keczupie. - Sama siebie o to pytam każdego dnia. Częściowo to kwestia... inercji. Tak jest łatwiej, wygodniej i tak dalej, diabli wiedzą. Wiem, to tchórzostwo, ale człowiek przyzwyczaja się do tego, co jest, i coraz trudniej mu cokolwiek zmienić. Często żałuję, że nie zrobiłam tego co ty, nie poszukałam lepszych okazji, nie oglądając się za siebie.

- Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

Leslie i tym razem nie drażyła tematu. Jolene była jej za to wdzięczna. Muszą pogadać później. Naprawdę pogadać. Tyle jej miała do powiedzenia.

- Ale ty wyglądasz na osobę, której się dobrze powodzi - stwierdziła Jolene.

Leslie się uśmiechnęła.

- Jak na standardy Bear Flats, owszem. Nie jestem nieszczęśliwa. Tylko czasami... niespokojna, wiesz, co mam na myśli.

- Tak.

- Co u twojej mamy?

Jolene wzruszyła ramionami.

- Jak zwykle.

- Zamieszkałaś u niej?

- Na razie.

- Ach, stara bieda, co?

- Właśnie - przyznała.

- Póki jesteś w mieście, możesz koczować u mnie. Mam dużo miejsca.

- Lezbi Finch! - zawołała Jolene zszokowanym tonem.

Leslie cisnęła w nią serwetką.

- Nie do wiary, że ciągle to pamiętasz!

Wybuchnęły śmiechem. Sfrustrowani studenci uniwersyteckiej drużyny bejsbolowej przezywali ją „Lezbi”, bo odtrąciła dwóch, gdy chcieli się z nią umówić. To przezwisko szybko rozniosło się wśród licealistów w Bear Flats. Kwestionowano również orientację seksualną Jolene, która przyjaźniła się z Leslie oraz okazywała całkowite lekceważenie dla wszystkiego i wszystkich w Bear Flats, w tym dla chłopców. Nie przejmowała się tym. Jedną z korzyści braku szacunku dla rówieśników jest to, że presja z ich strony przestaje mieć znaczenie.

- To co, wróciłaś na stałe czy na chwilę? - spytała Leslie.

Jolene zerknęła na Skylara.

- To jeszcze nie jest postanowione.

Przyjaciółka skinęła głową.

Kończyły posiłek, wymieniając informacje na temat znajomych z liceum. Do restauracji weszło tymczasem kilku nowych klientów, ale lokal nie wydawał się zbyt ożywiony.

- Czy zawsze jest tu tak pusto? - spytała Jolene.

- Ostatnio tak - przyznała Leslie. - Wykańcza nas nowy McDonald. Chociaż teraz mamy martwy sezon. Poprawi się trochę, kiedy tartak ruszy pełną parą i zatrudni nowych ludzi. - Dopła mrożoną herbatę. - Może będzie do mnie wpadli? Chętnie pokażę wam swój dom. Chyba wam się nie śpieszy?

- Nie - odparła Jolene. - Możesz sobie pozwolić na wyjście z pracy? - Pochyliła się ku przyjaciółce. - Kelnerka jest na ciebie zła. Ciągle tu spogląda.

- Audra? - spytała Leslie ze śmiechem. - Ona taka już jest. Nie przejmuj się. Poza tym to szczególna okazja. A ja, jako sumienny pracownik, zaoszczędziłam dość wolnych dni na rejs do Chin. Praktycznie mieszkam w tym budynku. No chodź, to zajmie najwyżej dwadzieścia minut. Jeśli będą mieli problem, mogą do mnie zadzwonić.

- Świetnie - powiedziała Jolene radośnie.

Leslie odeszła, by porozmawiać z kelnerką i innymi pracownikami.

- Spotkamy się na zewnątrz! - zawołała do Jolene. - Dojdę do was za chwilę.

Jolene zostawiła na stole trzydolarowy napiwek. Zjedli wprawdzie na koszt firmy, ale nie chciała skąpić kelnerce. Gdy Skylar wyciągnął przez słomkę ostatnie krople lemoniady, opuścili restaurację. W porównaniu z mrokiem panującym wewnątrz świat wydawał się oślepiająco jasny i oboje nadal mrugali powiekami, gdy z budynku wynurzyła się Leslie w okularach przeciwsłonecznych - najwyraźniej miała doświadczenie w wychodzeniu na jasne światło.

- Mieszkam przy Bluebird Lane, za kościołem prezbiteriańskim. Możemy jechać samochodem, ale ja lubię chodzić piechotą. Poszlibyśmy skrótem przez las za domem Rayów. Dobrze?

Jolene się zaśmiała.

- Tą ścieżką, na której często...

- Tą samą.

- Obok grobów?

- Tak.

- Grobów? - spytał Skylar zaniepokojonym głosem. Odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

- Jest przecież dzień - uspokajała go Jolene. - Tylko przejdziemy obok nich. A poza tym jestem przy tobie. - Ścisnęła jego dłoń, a on odwzajemnił uścisk. Zwykle uważał, że jest zbyt dorosły, by trzymać mamę z rękę, zwłaszcza w obecności innych, ale teraz, gdy szli za Leslie przez mały parking, a potem po chodniku, nie puszczał jej dłoni.

Ścieżka prawie się nie zmieniła. Nie zaczynała się, jak dawniej, na pustej działce budowlanej, lecz w wąskim przesmyku między dwoma nowymi budynkami, ale gdy już zeszli z ulicy, Jolene doskonale wszystko rozpoznawała. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tamtędy szła, choć stopy ciągle pamiętały charakterystyczne cechy podłoża, jakby spacerowała tam wczoraj. Odruchowo stąpała po głazach wystających ze zbitej gleby i trzymała się prawej strony, by uniknąć kolczastych roślin na pierwszym zakręcie. Mogłaby się spodziewać, że drzewa i krzaki wyrosły, uschły albo w jakiś inny sposób się

zmieniły - i w rzeczywistości może tak było - ale według Jolene wszystko wyglądało tak samo. Na tle nieba rysowała się sylwetka starego dębu, który nazywały kiedyś „drzewem wisielca”, rząd sękatych sosen rozdzielał górną i dolną połowę miasta, tartaczne kominy wznosiły się ponad lasem - wszystko było takie, jak zapamiętała.

Prowadzeni przez Leslie, szli przez zadrzewiony teren ponad Bluebird Lane. Przed nimi, w najciemniejszej części zagajnika, w głębi, w bok od ścieżki, Jolene dostrzegła prostokąt białych sztachet. Wiedziała, że za płotem znajdują się dwa nagrobki z chropowatego granitu z krótkimi napisami „Matka” i „Córka”. Nikt w mieście nie pamiętał, od kiedy tu się znajdowały, a plotka głosiła, że te kobiety bez nazwiska były czarownicami. Bo dlaczego nie pochowano ich na cmentarzu pionierów, tam gdzie innych? Dlaczego na nagrobkach nie ma nazwisk? Przez kilka pokoleń dzieci straszyły swoje rodzeństwo i kolegów wymyślonymi opowieściami o dwóch nagrobkach przy ścieżce. Również Jolene i Leslie brały w tym udział. W gimnazjum, podczas wakacji, wciągnęły do współpracy Jimmy'ego Paytona i Cala Smitha i za ćwierć dolara organizowały wycieczki do miejsc, w których straszy. Prowadziły wycieczkowiczów ścieżką, opowiadając makabryczne historie o zmyślonych wydarzeniach, a kulminacyjnym punktem programu były nagrobki, przy których zamaskowany Jimmy ubrany na czarno wyskakiwał zza drzewa i wszyscy uciekali z krzykiem.

Tamtego lata cała czwórka zarobiła ponad dwadzieścia dolarów.

- Powiem ci coś dziwnego - rzekła Leslie, gdy przechodzili obok płotku. - Słyszałam tu jakieś cholerne dźwięki. - Zerknęła na Skylara. - To znaczy dziwne dźwięki. Coś dziwnego się tu odbywa. Przepraszam - powiedziała do Jolene. - Niechący...

- Nie takie słowa słyszał od ojca - odparła Jolene. Spojrzała na syna. - Ale to brzydkie słowo, wiesz o tym?

- Wiem, mammo.

- To dobrze.

- Wiem, że mi nie uwierzycie, ale od czasu do czasu, kiedy tędy przechodzę... i nie nocą, to się zdarza w środku dnia, jak teraz... słyszę coś, jakby mamrotanie. Monotonny śpiew. Za pierwszym razem myślałam, że to wiatr albo dźwięk dochodzący z ulicy, złudzenie słuchowe. Albo może sztuczka, coś takiego jak nasze wycieczki. Podejrzywałam, że dzieciaki ukryły tu odtwarzacz i głośnik. Ale za drugim razem zdobyłam się na odwagę i podeszłam

bliżej, i... - Zrobiła głęboki wdech. - To na pewno dochodziło z jednego z grobów. Nie wiem którego. Od razu uciekłam.

Jolene była gotowa w to wierzyć. Spojrzała w lewo. Nawet teraz w ciągu dnia grób emanował straszną aurą. Choć była dorosłą kobietą, czuła to samo co wtedy, gdy przechodziła tędy jako dziecko czy nastolatka. Ten sam rodzaj nieracjonalnego złego przeczucia. Zapomniała o tym i teraz żałowała, że nie pojechali samochodem, żeby Skylar nie zobaczył tego miejsca. Spojrzała na niego. Jak zwykle wyraz twarzy miał nieodgadniony, poważny, grobowy.

*Grobowy.*

- Ile razy to słyszałaś? - spytała.

- Cztery - odparła Leslie.

- I ciągle tędy chodzisz?

- Tak. Od ostatniego razu upłynęło trochę czasu. Poza tym po paru razach przestaje to być takie straszne. Człowiek się chyba przyzwyczaja.

Milczeli, póki nie oddalili się od tego miejsca, a ogrodzony białymi sztachetami placyk zniknął za krzakami i chwastami.

- Kto odnawia płotek? - zagadnęła Jolene. - Czy to się w końcu wyjaśniło?

- A to ciekawe - rzekła Leslie. - Nie znam odpowiedzi. Może ktoś go maluje, ale ludzie chyba nie wiedzą kto. - Uśmiechnęła się. - Powinniśmy zamontować kamerę z czujnikiem ruchu.

- Pamiętasz, że Cal zawsze o to pytał? Uważał, że to jakaś dawno zapomniana krewna, czarownica mieszkająca tu w mieście, udająca zwyczajną osobę.

- Czarownica? - spytał Skylar z niepokojem.

- To tylko żart - powiedziała Jolene. Zdecydowanie nie powinni tędy iść.

Ścieżka schodziła w dół, prowadziła przez pole porośnięte wysoką trawą i kończyła się na Bluebird Lane. Dalej, w głębi wąskiej drogi, między sosnami widniała biała wieża kościoła prezbiteriańskiego.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmiła wesoło Leslie.

Na tle drzew rysował się jej drewniany dom. Ogród warzywny otoczony był pierścieniem polnych kwiatów. Ten widok zaskoczył Jolene. Leslie stała się biznesmenką i ogrodnikiem? Ludzie się zmieniają, pomyślała, i choć od razu udało im się odświeżyć dawną przyjaźń i dobrze się rozumiały, Jolene doszła do wniosku, że w istocie nie do końca zna przyjaciółkę.

Otrzeźwiający myśl.

Dom okazał się większy, niż wydawało się z daleka. Miał obszerny salon, dość dużą kuchnię i trzy sypialnie: jedną z nich zajmowała Leslie, w drugiej urządziła sobie gabinet, a trzecią przeznaczyła dla gości.

- Nigdy jej nie wykorzystałam - oznajmiła Leslie. - Od kiedy kupiłam dom trzy lata temu, żadni goście u mnie nie nocowali. - Zauważyła, że Jolene uniosła brwi. - Tacy goście. Więc jeśli chcecie zadebiutować, pokój jest do waszej dyspozycji.

Jolene spojrzała na syna, który przez okno wyglądał na ogród. Musiała podjąć decyzje dotyczące przyszłości... i to szybko. Skylar powinien już chodzić do szkoły. Opuszczając Arizonę, nawet nie zadzwoniła do jego starej szkoły, by wyjaśnić sytuację. Na pewno telefonowali do domu i chcieli się dowiedzieć, dlaczego był nieobecny, ale miała nadzieję, że Frank się tym zajął.

Jeśli zamierzała zostać w Bear Flats dłużej, musi zapisać Skylara do szkoły. A ponieważ rok szkolny właśnie się rozpoczął, należałoby to zrobić jak najszybciej. Niedobrze, żeby trzecioklasista opuszczał lekcje. Powstaną zaległości. Ponadto chłopcu tak nieśmiało będzie znaleźć kolegów i zintegrować się z klasą.

Życie było strasznie skomplikowane.

Rozejrzała się po domu. Szczerze mówiąc, wołała mieszkać tu niż z matką, ale przenosiny nie byłyby proste. Nawet gdyby swoją decyzję zakomunikowała w jak najdelikatniejszy sposób, matka czułaby się zraniona, a swoją złość mogłaby wyładować na wnuku i zerwać z nim kontakt. Chłopiec nie potrafiłby teraz znieść kolejnej straty.

Najlepiej by było, gdyby znalazła sobie pracę i wynajęła własne mieszkanie.

Leslie podeszła do niej i położyła rękę na jej ramieniu - najwidoczniej niepokój był widoczny na twarzy Jolene.

- Nie martw się. Wszystko dobrze się ułoży. - Uśmiechnęła się życzliwie. Jolene poklepała ją po dłoni, spoglądając na swojego syna przy oknie.
- Mam nadzieję.

Skylarowi nie podobało się Bear Flats. Nie było tam nic ciekawego. Miasto wydawało się małe i nudne. Tyle drzew i górską okolicą...

Brakowało mu pustyni.

Niezbyt lubił też babcię. Och, przeważnie bardzo się starała być dla niego miła i w ogóle, ale w jej zachowaniu była jakaś niestabilność, nieprzewidywalność przypominająca mu tatę.

Nie tęsknił za nim. Czuł z tego powodu wyrzuty sumienia, ale w głębi duszy rozumiał, że i mamie, i jemu samemu lepiej będzie bez ojca. Zastanawiał się tylko, co dalej, co planowali. Zostaną tu na zawsze? Zatrzymali się tu w drodze do Nowego Jorku, Chicago, Los Angeles czy innego wielkiego miasta? Przeczekają tu pewien okres, a potem wrócą do Yumy?

Nie wiedział, ponieważ mama nic mu nie mówiła.

Nie dopytywał się właściwie, ale nie musiał, bo sądził, że to ona powinna mu wszystko wyjaśnić.

Ale nie zrobiła tego.

Wiercił się w łóżeczku, przewracał się z pleców na bok, potem na brzuch. Żadna pozycja nie była wygodna. Łóżeczko było nieodpowiednie, ale poprzednio nie miał kłopotów z zaśnięciem. Dopiero dziś w nocy. Może to skutek górskiego powietrza, może stresu w nowym miejscu, ale po całym dniu Skylar był zwykle tak zmęczony, że zapadał w sen, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. Tego wieczoru natomiast wiercił się niespokojnie i nie potrafił pozbyć się strasznych myśli.

Tamte groby naprawdę go przeraziły.

Znów przewrócił się na plecy, a potem usiadł, opierając się o ścianę. Cały dzień wspominał mały cmentarzyk. Na mamie i jej przyjaciółce to miejsce zgoła nie robiło wrażenia, ale Skylar nie dał się nabrać - one też były przerażone. Całe popołudnie mimowolnie myślał o grobach, zastanawiał się, kto został tam pochowany. Trochę żałował, że nie zatrzymali się przy nagrobkach dłużej, by mógł im się bliżej przyjrzeć. Może zabrakło im odwagi, ale przynajmniej zobaczyłby, jak nagrobki wyglądają, i nie musiałby polegać na rozbudzonej wyobraźni. Widział je w myślach jako dwa zniszczone kamienie - jeden duży, drugi mniejszy - z napisami „Matka” i „Córka” wrytymi budzącymi grozę gotyckimi literami. Wyobrażał sobie, że na grobach nic nie rośnie, nawet chwasty, że przeklęte splachetki ziemi są jałowe, a dzikie zwierzęta ze strachu instynktownie je omijają.

Próbował sobie wmówić, że matka i córka prawdopodobnie były pionierkami, które pochowano w pobliżu ich chaty. Ale historia o czarownicach wydała mu się bardziej wiarygodna. Chłopiec zadrżał, wyobrażając sobie, jak wygląda cmentarzyk w nocy przy pełni księżyca.

*Puk, puk, puk.*

Usłyszał ciche pukanie do okna.

Serce waliło mu w piersi. Spojrzał na mamę, która spała twardo, „chrapiąc przez otwarte usta. Leżała w drugim końcu pokoju, całe kilometry od Skylara.

*Puk, puk, puk.*



Pukanie stało się głośniejsze. Może to poruszana wiatrem gałązka ociera się o szybę? Ale odgłos był synkopowany, powtarzał się rytmicznie i wiatr nie mógł go spowodować. Skylar unikał widoku okna, nie chciał na nie patrzeć, bojąc się, co mógłby tam dostrzec, ale w końcu zaryzykował i spojrzął w odsłonięte okno.

Przez szybę patrzyła na niego twarz jak u Yody, mała pomarszczona głowa, nie zielona, lecz brązowa, częściowo oświetlona promieniami księżyca. Wzrok przesunął się powoli, obserwując pokój, czegoś wypatrując.

Jego.

Świdrujące oczy napotkały jego wzrok i kąciaki warg stworzenia uniosły się w złowrogim uśmiechu. Skylar nigdy nie widział tak przerażającej twarzy. Nagle zaschło mu w ustach. Zaciśnął powieki w obawie, że zostanie zahipnotyzowany przez te złe oczy, przerażony, że zobaczy zęby w strasznych ustach, przerażony... po prostu przerażony.

- Mamo! - wrzasnął.

Natychmiast się obudziła, wyskoczyła z łóżka i instynktownie do niego podbiegła. Otworzył oczy. Oczekiwał, że twarz zniknie - potwory prawdziwe czy wymaginowane zwykle umykały w obecności dorosłych - ale ku jego przerażeniu okropna postać nadal zaglądała do pokoju, obserwowała ich; po obu stronach twarzy o szybę oparła dwie brązowe, pomarszczone dłonie, żeby lepiej ich widzieć.

Mama też to zauważyła i wydała głośny, wysoki krzyk, który obudził babcię - z drugiej sypialni dobiegło jej wołanie. W końcu postać odsunęła się od okna i zniknęła w nocnym mroku. Po chwili zapaliły się w domu lampy i do pokoju weszła babcia w brudnej piżamie. Włosy miała zmierzwiłone, a jej twarz bez makijażu wyglądała staro i też trochę strasznie.

- O co chodzi? - spytała. - Co się stało?

- Ktoś był pod oknem! - wyjaśniła mama tak donośnie, że brzmiało to prawie jak krzyk. Brakło jej tchu.

*Ktoś?*

- To był potwór - powiedział Skylar głosem słabym i dziecinnym i choć powinno go to zawstydzić, wcale się nie spieszył.

Babcia podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Przystawiła dłonie do twarzy, jakby była lustrzanym odbiciem tamtej istoty.

- Nie bądź śmieszny - rzekła. - To prawdopodobnie dzieciak z...

- Nie jest śmieszny - stwierdziła mama i Skylar od razu poczuł się lepiej. Otoczyła go ciasniej ramionami. - To było... nie wiem, co to było, ale nie wyglądało na człowieka.

- Nic tam nie widzę. - Babcia odwróciła się tyłem do okna i spojrzała na nich. W jej oczach Skylar nie dostrzegł współczucia ani zrozumienia, lecz dezaprobatę.

- Zapal światło na podwórku - poleciła Jolene. - Sprawdź.

Starsza kobieta musiała usłyszeć powagę w głosie córki, ponieważ wbrew oczekiwaniom nie sprzeciwiła się, lecz opuściła pokój i poszła do korytarza. Za chwilę teren wokół domu zaalało światło. Jolene podeszła do okna, trzymając syna za rękę. Poza kręgiem światła panowała ciemność - tam mogło się czaić wszystko - ale przed domem niczego nie dostrzegli. Jeśli coś tam wcześniej było, to już zniknęło. Światła zgasły i babcia wróciła.

- Nic nie ma - oznajmiła. Skylar usłyszał w jej głosie satysfakcję.

Mama milczała, on też. Cały czas jednak trzymała go za rękę i choć wiedział, że stworzenie mogło tam być, mogło ich nawet obserwować z jakiegoś dogodnego miejsca między drzewami, to Skylar nie czuł już strachu.

- Wracam do łóżka - oznajmiła mama Jolene. - Widzimy się rano. Jeśli znów zobaczycie potwory, nie wołajcie mnie.

Zniknęła w innym pomieszczeniu. A oni dwoje patrzyli na siebie i po chwili wybuchnęli śmiechem. Śmiali się po raz pierwszy od wyjazdu z Yumy i dobrze im to zrobiło, choć okoliczności były niezwykle. Zza cienkich ścian dobiegły babcine odgłosy dezaprobaty i to jeszcze bardziej ich rozśmieszyło.

Mama otarła łzy.

- Musimy sobie sprawić zasłony - stwierdziła. Choć miał to być żart, przypomniał im o rzeczywistości i oboje przestali się śmiać.

Skylar spojrzał na swoje łóżeczko, potem na posłanie mamy. Wiedziała, o co mu chodziło, nim cokolwiek powiedział. Puściła jego dłoń i położyła mu rękę na ramieniu.

- Możesz dziś spać ze mną - zaproponowała.

Był wdzięczny, że nie musiał jej o to prosić - i tak czuł się jak małe dziecko. Wpełzł pierwszy pod kołdrę, zajmując miejsce przy ścianie, jak najdalej od okna. Potem położyła się mama, pocałowała go w czoło i się odwróciła.

- Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział.

Zasnęli dopiero po dłuższym czasie.

Dennisa obudził pociąg.

Tani motel zadrżał jak podczas trzęsienia ziemi. Przejazdowi towarzyszyło głębokie basowe dudnienie. Dennis czuł je w trzewiach i bał się, że zamieni jego żołądek w galaretkę. Ze snu wyrwał go sygnał pociągu. Długi, przeciągły, silny gwizd przeniknął przez gipsowe ściany, przedarł się przez szum włączonego telewizora i wyrwał Dennisa z najgłębszej fazy snu.

Oczywiście, Dennis widział tory, prawie całe popołudnie jechał równoległą do nich szosą. Ale nie spodziewał się, że przejeżdżające pociągi będzie słychać tak blisko. I tak głośno.

Środkowy Zachód był dziwaczny. Zwłaszcza małe miasteczka. Dennis całe życie spędził w wielkiej metropolii na Wschodzie, więc wydawało mu się niezwykle, że domy i dzielnice są bez płotów, a nieogrodzone podwórza mają nieokreślone granice. Jeszcze dziwniejsze były tory kolejowe, biegnące jakby na tyłach domów, przez prywatne trawniki; tory, których w pewnych dzielnicach nie oddzielano ani nie odgradzano. Biegły przez podwórza i ulice, jak gdyby ich konstruktorzy zupełnie nie dbali o mieszkańców.

Zastanawiał się, jak oni to przyjmowali. Czy budzili się każdej nocy, wyrwani ze snu przez pociągi pędzące zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od ich sypialni? Czy też w końcu przyzwyczajali się do wszechobecnego hałasu?

Pociąg był długi, ale w końcu przejechał i Dennis, leżąc, słuchał cichnącego dźwięku gwizdka. Przez kilka minut próbował znowu zasnąć, ale nie mógł, włączył więc lampkę nocną i upił ciepłej coli z puszki. Komórka ładowała się obok telewizora. Podniósł ją, mając nadzieję, że otrzymał jakieś wiadomości, ale nie było żadnych. Tego wieczoru, kiedy dzwonił do domu, zatęsknił za matką i siostrą tak bardzo, że niemal pragnął zapłakać. Podróż okazała się o wiele bardziej stresująca, niż oczekiwał. I znacznie mniej zabawna. Bezkresna droga już nie wydawała się tak ekscytująca, jej uroki zblakły. Przez większość czasu był sam, przemierzał samochodem obcy teren i słuchał lokalnych stacji radiowych, które cholernie go przygnębiały. Na dźwięk głosu matki i siostry uświadamiał sobie, co pozostawił za sobą.

Ale jednak nie mógł wrócić.

Jeszcze nie.

Nie wiedział, dlaczego, ale wiedział, że tak jest.

Niestety pieniądze znikają znacznie szybciej, niż przewidywał. Nawet jeśli nie jadałby śniadań i czasami rezygnował z obiadów, żywił się za dolara w fast foodach i zatrzymywał w najtańszych, prymitywnych hotelach, to nie zdoła odbyć wielkiej podróży po Stanach Zjednoczonych, chyba że coś się zmieni.

A dodatkowe wycieczki do miejsc godnych odwiedzenia tylko pogarszały sytuację.

Zastanawiał się, czy nie powinien się zatrzymać na pewien czas w jakimś malowniczym miasteczku i poszukać dorywczej pracy. Woźnego, roznosiela gazet, pakowacza w sklepie. Taki pomysł, rozpatrywany teoretycznie, wydawał się romantyczny, ekscytujący i kiedy wcześniej snuł takie plany w swoich fantazjach, zawsze spotykał wspaniałą kobietę albo przeżywał jakąś przygodę. Wiedział jednak, że w prawdziwym życiu po prostu wykonywałby ciężką pracę razem z ponurymi nastolatkami ze środowiska bez perspektyw.

Musiał jednak znaleźć sposób na zdobycie pieniędzy.

Może po prostu kupić los na loterii.

Znowu usiadł na łóżku i spojrzał w górę. Mętna, żółta lampka oświetlała zacieki na suficie. Pomyślał o własnym pokoju w domu z czystymi ścianami i nowoczesnymi meblami. Może upłynąć wiele czasu, zanim znowu zamieszka w równie miłym miejscu. Westchnął. Teraz nawet praca w agencji wynajmu samochodów nie wydawała się taka zła.

A jednak nie opuszczało go dziwne, dręczące poczucie, że oczekiwano od niego, iż tak postąpi i że jego podróż ma jakiś cel. W głowie pojawił się obraz ze snu przywołany gwizdkiem pociągu: chodząca góra, wielka, zwalista istota stojąca nad polem pokrytym krwawymi ciałami. Przerażający obraz przemówił do niego, przypomniał mu tego kolosa o trójkątnej głowie, który zapraszał go gestem na drogę, ku ścianie dymu.

Dennis chwilę siedział niepewny, czy zaśnie, ale nie chciało mu się wstać. Dywanik pod stopami był brudny, pełen żwiru. Uważnie nasłuchiwał, czy nie pojawi się dźwięk następnego pociągu; nic nie usłyszał i postanowiwszy zasnąć, zgasił w końcu lampę, położył się na plecach i zaniknął oczy.

Już nie miał snów.

Rano czuł się lepiej. Na śniadanie kupił sobie na stacji benzynowej gorzką kawę w papierowym kubku, zatankował samochód, a potem znowu znalazł

się na drodze. Przygnębienie i zniechęcenie z zeszłego wieczoru stało się za ledwie wspomnieniem. Każdy dzień, bez względu na to, jak się kończył, zawsze zaczynał się dobrze i Dennis z właściwym sobie optymizmem każdego ranka nabierał przekonania, że tego dnia sprawy potoczą się inaczej.

Tym razem się nie mylił.

Planował podróż bez przerwy aż do wieczora. Nadal miał resztkę chipsów kukurydzianych, które powinny mu wystarczyć na obiad, i jeśli uda mu się więcej przejechać, może wygospodaruje po drodze wolny dzień. Jednak w południe, po czterech godzinach podróży wśród niezmiennych lasów i falujących wzgórz, przy kiepskiej muzyce i kazaniach straszących ogniem i siarką, pragnął urozmaicenia, desperacko pragnął zabawy czy rozrywki, która poprawiłaby nastrój.

„Wejdz, jeśli się odważysz!”

Nie można było przegapić tego znaku. Jasnożółty na tle stonowanej zieleni drzew z jaskrawym czerwonym napisem, przyciągającym uwagę przejeżdżających. Przyciągnął również uwagę Dennisa, który dostrzegł baśniową ilustrację nawiedzonego zamku i nazwę „Twierdza”. Rozchmurzył się jeszcze bardziej, kiedy dostrzegł wielką czerwoną strzałę, wskazującą mały brukowany parking i szereg starych drewnianych domów. Deski płotu przed domami pomalowano tak, by przypominały zamkowe mury, a na fałszywych oknach umieszczono nazwy ekspozycji: Szkielet-Duch, Skamieniałe Drzewo, Pętla Sprawiedliwości, Ogród Cudów Natury.

Była to pułapka na turystów, przydrożna atrakcja. Słyszał o nich, czytał i widział je w kiepskich filmach grozy, ale nigdy wcześniej się na nie nie natknął. Wjechał na parking i zajął wolne miejsce tuż obok wejścia. Jedynym innym pojazdem na parkingu był stojący w rogu pikap. Dennis przypuszczał, że należał on do właściciela obiektu. Wysiadł z samochodu, przeciągnął się głęboko i odetchnął. Powietrze wydało się cięższe i wilgotniejsze niż w jadącym samochodzie.

Wejście do Twierdzy prowadziło przez bramę - otwartą i stylizowaną na most zwodzony. Za nią znajdował się największy budynek i Dennis wszedł do obskurnego sklepu z pamiątkami, pełnego T-shirtów z nadrukami, zabawnych bibelotów, podpórek pod książki z polerowanych kamieni i nędznych dziecinnych zabawek. Wyglądająca na znużoną starsza kobieta z niedorzecznymi okularami à la Jackie Onassis siedziała na wysokim stołku za kasą mechaniczną zajęta krzyżówkami. Podeszedł do kontuaru.

- Chciałbym obejrzeć Twierdzę - oznajmił.
- Jeden dolar - odparła, nie podnosząc wzroku.

Cena jak najbardziej właściwa. Wyciągnął portfel, wyjął banknot jednodolarowy i wręczył kobiecie. Jej oczy napotkały na sekundę jego wzrok i - choć pomyślał o tym dopiero później - dostrzegł w nich lęk. Oderwała fioletowy bilet od wielkiej rolki, przedarła go i wręczyła mu połówkę.

- Prosto tędy. - Pokazała drogę. Na oddalonej ścianie namalowany był zamek, pośrodku znajdowały się drzwi.

- Dzięki - powiedział.

Popchnął drzwi i znalazł się w zaciemnionym pokoju. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, świetlówki ożywiły się i zamrugwały. Zobaczył na podłodze kilka sporych odłamków skalnych, a na nich coś, co przypominało wyżłobione indiańskie rysunki. Na dwóch dużych stołach po obu stronach pomieszczenia wyeksponowano zestaw garnków i kamiennych żarn. Jednak głównym elementem pokoju była oszklona nisza. Za szybą, oparty o ścianę, stał szkielet.

Dennis podszedł do niszy i zerknął do środka. Nie miał wątpliwości, że szkielet jest prawdziwy. Kości nie były czyste i wybielone, jak te na filmach czy wystawach podczas Halloween. Czaszka była popękana, zebra wyszczerbione i uszkodzone, a ramiona - brudne i odbarwione. Na ścianie nad postacią wymalowano słowa „Szkielet-Duch”, a poniżej umieszczono krótki opis. Człowiek, który znalazł ten nienaruszony okaz w rzecznej jaskini, zmarł w zagadkowych okolicznościach, a wszystkich kolejnych właścicieli spotykał nędzny los. Akapit kończył się zdaniem: „Choć znajduje się za szkłem i nie ruszono go od czasu umieszczenia w Twierdzy w 1999 roku, właściciele odkrywają czasami, że nocą szkielet sam się poruszył, a niejeden klient wrócił, by oznajmić, że miał związane z nim koszmary i widział jego obraz w swoim własnym domu! Wierście lub nie!”

Dennis uśmiechnął się i poszedł dalej.

Przechodził przez ciąg pokoi w połączonych budynkach, które widział z parkingu. Większość z nich wypełniały wyroby Indian i pionierów. W ostatniej komnacie, większej od innych i znacznie wyższej, znajdowała się replika szubienicy. Podniszczona pętla z grubej liny zwisała z głównej belki, a tekst na laminowanej deseczce przymocowanej do sąsiedniej ściany głosił: „Pętla Sprawiedliwości. Używana do wieszania czarnuchów i żydków u schyłku XIX

wieku oraz na początku XX wieku, kiedy obcy grozili unicestwieniem idyllicznego życia, stworzonego przez naszych przodków...”

Dennis odwrócił wzrok i znowu zerknął na pętlę. Poczł mdłości i nieprzyjemny ucisk w żołądku. Był zszokowany i obrażony jawnie rasistowskim opisem i poczuł się bardzo nieswojo, kiedy uświadomił sobie, jak głęboko wjechał w głuchą prowincję. Pomyślał o samotnym pikapie na parkingu.

Jeśli zniknę, nikt nie będzie wiedział, gdzie byłem, a mojego ciała nigdy nie odnajdą, pomyślał.

*Czarnuchy i żydki.*

Komórkę zostawił w samochodzie.

Znowu spojrzł na opis. W Missouri istniało przecież wiele samowolnych bojówek. Nie mógł wykluczyć, że ta atrakcja turystyczna była przykrywką dla jakiejś grupy zwolenników supremacji białej rasy.

Nagle zapragnął uciec z tego miejsca. Mógłby wycofać się drogą, którą przyszedł, ale te ciemne pokoje z artefaktami i szkielet w niszy wydały mu się znacznie bardziej złowieszcze niż poprzednio, pospieszył więc naprzód i wyszedł na zewnątrz do Ogrodu Cudów Natury. Niewielkie, ręcznie namalowane znaki wskazywały trzy ścieżki: Skamieniałe Drzewo po prawej, Indiański Cmentarz na wprost, a Stary Dobry Gejzer i wyjście po lewej.

Wybrał ścieżkę prowadzącą w lewo.

Szlak wydawał się prowadzić wzdłuż ścian budynków z powrotem ku wejściu, ale po kilku metrach ścieżka niewielkim łukiem ominęła krzak i ostro skręciła w zagajnik za budynkami na polanę u stóp niewielkiego skalistego wzniesienia. W stoku niskiej grani wykuto ciąg kamiennych stopni i Dennis wiedziony ciekawością wszedł po nich, trzymając się spawanych rur służących za poręcz.

Co to takiego?

Przed nim znajdowała się jama wypełniona jakby mętną gliną - szarawozielonym błotem, które bulgotało i bryzgało, jak gdyby wrzało.

- Właśnie tu ich zazwyczaj wrzucali.

Dennis podskoczył na dźwięk głosu. Odwrócił się i po prawej stronie zobaczył gnomowatego, niskiego mężczyznę. Udał, że nie został zaskoczony.

- Wrzucali kogo? - zapytał, starając się mówić spokojnie.

- Złoczyńców - wyjaśnił staruszek. - Czarownice, niewiernych. Wie pan. Spojrzal na Dennisa, jakby ten powinien wiedzieć. Chłopak chciał powiedzieć: „Nie wiem, nie chcę wiedzieć, wszystko mi jedno, zatrzymałem się

tutaj tylko dlatego, że zmęczyło mnie prowadzenie samochodu i zostałem ogłupiony przez wasz znak”.

Zamiast tego po prostu skinął głową.

„Czarnuchów i żydków”.

Odwrócił się, żeby odejść.

- Widział pan moją pętlę?

Dennis zatrzymał się, jego plecy gładził chłód.

- Kupiłem ją od farmera. Trzymał ją u siebie w stodole przez te wszystkie lata.

Dennis nie wiedział, jak zareagować. Zmusił się do niezobowiązującego uśmiechu, grzecznego - jak miał nadzieję.

- Widziałem kiedyś film z grubym facetem, który próbował się powiesić. Założył pętlę na szyję, a potem zeskoczył z ogrodowego stołu. Ważył tyle, że oderwała mu się głowa. Miał za słabą szyję, by podtrzymała ciężar, rozumie pan?

Dlaczego ten starzec mi o tym opowiada? - zastanawiał się Dennis.

Czy dlatego, że jestem Chińczykiem?

„Czarnuchy i żydki”.

Powinien był zostać w Pensylwanii. Nie powinien wyjeżdżać.

Czemu zostawił telefon komórkowy w samochodzie?

Gnomowaty człowiek przysunął się bliżej.

Dam mu radę, jeśli będę musiał, pomyślał Dennis. Starzec był żyłasty i oddychał ciężko i chrapliwie. Jeden kopniak w jaja go powali. Potem Dennis będzie mógł uciec. Oczywiście, jeśli tylko ziomkowie mężczyzny nie czekają na ścieżce.

- Chciałem mieć w Twierdzy pokój seksu, ale moja pani tupnęła nogą. Mogę opowiedzieć... Pamiętam, kiedy raz jadłem z cipki tamtej tancerki. Wypełniła ją salsą, zanim rozłożyła nogi. - Jego śmiech zmienił się w kaszel. - Było to jak przeżuwanie taco ze starej ryby.

- Muszę jechać - powiedział Dennis z niesmakiem.

Starzec chwycił go za ramię i wpił się boleśnie w mięśnie.

- Wracają - odezwał się z lękiem, a jednocześnie z zapalem w oczach. - Powstają znowu.

Wbrew sobie, Dennis poczuł ukłucie trwogi.

- Kto wraca? - wydusił z siebie pytanie.

- Oni.

Jak na zawołanie z błota wynurzyła się ręka, patykowaty szkielet z okropnie pomarszczoną dłonią o pięciu szponiastych palcach. Wskoczyła ze środka jamy, łapiąc powietrze.



- A nie mówiłem! - krzyknął starzec i zaczął tłuc w rękę drewnianym drągiem, przypominającym wyjątkowo gruby kij od szczotki. Dennis nie widział go wcześniej, nie wiedział, skąd się wziął...

*czy był na niego przygotowany?*

...i wycofał się, kiedy starzec zaczął grzmocić kościstą kończynę.

- Pieprz się! - krzyknął zajadle starzec. Jego twarz poczerwieniała, oddech stał się ostrzejszy i bardziej chrapliwy. - Wracaj z powrotem!

Siła, z jaką zaatakował rękę, strzaskałaby normalną kończynę, ale pomarszczony szkielet nie doznał szwanku; szponiaste palce próbowały chwycić atakujący kij. Potem drąg uderzył z boku, mocno w przegub. Dennis usłyszał, jak coś pęka, zobaczył, jak wychudzona dłoń odpada bezwładnie, choć ramię nadal wystawało z kipiącego błota.

Przypomniawszy sobie swój sen w pierwszą noc podróży, w którym został pobity przez tamtego mężczyznę, który wrzeszczał na niego jak szalony, niezrozumiale. Echa tej wściekłości widać było tutaj. Z okrzykiem złośliwej radości starzec wznowił swoje wysiłki, zachęcony sukcesem. Najwidoczniej złapał drugi oddech, bo oburącz wymachiwał długim drągiem jak kijem bejsbolowym.

Dennis pośpieszył ścieżką ku wyjściu. Bał się, miał mdłości. Szlak schodził z niewielkiej grani, obok powalonych starych drzew i zarośli prowadził do drewnianego płotu oddzielającego Twierdzę od parkingu. Biegł wzdłuż płotu obok szeregu domów, aż do furtki, której Dennis poprzednio nie zauważył. Teraz popchnął ją i znalazł się na zewnątrz.

Na parkingu stały tylko jego samochód i czerwony pikap. Dennis biegł po pokrytym żużlem asfalcie, aż dotarł do tempa. W biegu wyciągnął kluczyki. Otworzył drzwi i z ulgą wsiadł do wozu. Kilka minut później znów był na szosie. Jechał na wschód, Twierdzę widział we wstecznym lusterku.

Czym naprawdę była ta ręka, która wychynęła z błotnej kipieli? Czy to jakiś mechanizm skonstruowany, by zwodzić turystów? Nie sądził, ale nie ośmielał się tego analizować, nie chciał znać prawdy. Wypchnął ten obraz ze świadomości i przekraczając dozwoloną szybkość, jak najszybciej oddalał się od Twierdzy.

Samochód wysiadł pół godziny drogi od Selby, nijakiego miasteczka na granicy między lasami a terenami rolniczymi. Podskoczył kilka razy, potem nagle silnik stracił moc. Dennis dociskał pedał gazu aż do podłogi, ale samochód, zamiast przyśpieszać, niepokojąco zwalniał. Po kilku sekundach stanął

pośrodku drogi. Na szosie było pusto. Dennis nie widział innych pojazdów w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu minut, ale na wszelki wypadek zepchnął samochód z drogi. Pchał obudowę drzwiczek i próbował kierować autem. Tempo wjechało na pobocze, a Dennis zatrzasnęła drzwi.

- Cholera!

Wyciągnął portfel, znalazł kartę Amerykańskiego Klubu Samochodowego, otworzył komórkę i próbował zadzwonić, ale był poza zasięgiem. Musiał przejść szosą około półtora kilometra, by w końcu uzyskać połączenie, wrócił do samochodu i po czterdziestu minutach, kiedy już miał głowę pełną koszmarów z *Uwolnienia...*

*Czarnuchy i żydki.*

...nadjechał samochód holowniczy i podholował go do dilera Forda w Selby.

Spodziewał się, że będą go zwodzili, ponieważ był obcym z tablicami z Pensylwanii. Nie zawiódł się. Szef obsługi ubrany w niebieską marynarkę powitał go z uśmiechem sprzedawcy używanych samochodów, ale kiedy Dennis nacisnął go, by określił czas oczekiwania, poza swojego chłopca, jaką przybrał mężczyzna, zniknęła.

- W tej chwili jesteśmy bardzo zajęci - oświadczył prosto z mostu, choć Dennis widział w warsztacie tylko dwa samochody. - Upłynie dzień czy dwa, zanim będziemy mogli zająć się pańskim wozem. Zależnie od tego, co się stało i na jakie naprawy się pan zdecyduje, może ukończymy pracę po kolejnych dwóch dniach.

Cztery dni!

Dennis chciał zażądać, by potraktowano go zgodnie z prawami klienta, chciał rozmawiać z kimś wyżej w hierarchii, z menedżerem lub właścicielem serwisu, ale wyczuwał, że to tylko przedłuży czas naprawy, więc nie powiedział nic. Spróbował uprzejmości.

- Jestem przejazdem i trochę się śpieszę, więc wasza pomoc będzie dla mnie cenna.

Uśmiech szefa obsługi powrócił.

- Zrobimy, co będzie w naszej mocy - obiecał nieszczerze.

Jego ubezpieczenie pokrywało cenę wypożyczenia samochodu zastępczego, ale ponieważ był poza swoim miastem i stanem, obciążono jego kartę Visa kosztem wynajmu i oświadczone, że po powrocie do domu może zwrócić się do ubezpieczyciela o zwrot kosztów. Wyjechał ze stacji samochodem starszym i nędzniejszym niż jego własny i najpierw poszukał miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać.

Przez Selby musiało przejeżdżać więcej samochodów, niż sądził, ponieważ dalej przy szosie stał rząd moteli i po obejrzeniu cennika we wszystkich sześciu zajazdach wybrał Budget Arms, ostatnie i najtańsze lokum w mieście.

W okienku recepcji wisiała tabliczka „Potrzebna pomoc”. Z ciekawości spytał mężczyznę za kontuarem zajmującego się jego kartą kredytową, jaka to praca.

- Hm, to właściwie... moja praca. - Recepcjonista uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Przechodzę jutro do Ramada Inn tam dalej. Czemu? Interesuje to pana?

Dennis niezobowiązująco wzruszył ramionami.

- Cóż, może ją pan sobie wziąć. Ci skąpcy, właściciele tego przybytku, nie płacą dużo, ale też nie zadają pytań. I spieszy się im. - Wskazał gestem załadowany samochód Dennisa. - Jeśli po prostu szuka pan szybkiej kasy, chce pan zarobić trochę na benzynę, żeby jechać dalej, to dobra robota. Ale na długo... nie doradzałbym.

- Dzięki - powiedział Dennis. Dopełnił formalności, wziął klucz i poszedł do swojego pokoju. Zajrzał do środka. Łóżko, telewizor, okno i klimatyzator. Nie było to najlepsze z miejsc, w których się zatrzymywał, ale też nie było najgorsze.

Rozładował samochód, zaniósł walizki do pokoju, zdjął pudła i torby z dachu - nabierał w tym coraz większej wprawy - potem zamknął pokój na klucz i znów skierował się do recepcji. Gdy wszedł, zadzwieczał dzwonek nad drzwiami. Zanim recepcjonista zdążył zapytać, czego potrzebuje, Dennis zdjął z okna tabliczkę „Potrzebna pomoc” i zaniósł ją do kontuaru. Spojrzał na mężczyznę.

- Biorę tę pracę - oznajmił.

## 8

### PARK NARODOWY KRAINY KANIONÓW, UTAH

**J**ezu.

Henry zerknął na skalną ścianę. Przez noc ktoś zniszczył petroglify, które na niej wryto i wymalowano przeszło dziewięć stuleci temu. Przetrwały deszcz i wiatr, gorąco i zimno. Hiszpańskich zdobywców, pionierów podążających na

zachód i National Park Service. Jeszcze wczorajszego popołudnia, stojąc tutaj, odpowiadała na pytania turystów i wszystko było takie jak zawsze.

Teraz jednak...

Namalowane jaszczurki zmieniono w łodzie, spirale w kwadraty, konie w samochody. Ludzi pokreślono i zamazano, pozostawiając jedynie pokarbowane fragmenty wryte w kamieniu. Henry nigdy nie widział niczego podobnego. Nie miał pojęcia, w jaki sposób dokonano tego w ciągu jednej nocy. Nawet bandzie wandali zaopatrzonej w podnośniki i narzędzia elektryczne trudno by było tak kompletnie zniszczyć tę historyczną skałę.

Henry przesunął wzrokiem od najniższych piktogramów na wprost niego do podniszczonych wyźłobień na szczycie - niemal na wysokości drugiego piętra. Z jakiegoś powodu wyobraził sobie, jak tamte nagie orientalne bliźniaczki wpełzają na stromą ścianę klifu z kamiennymi narzędziami w dłoniach, skrobią starożytnie indiańskie rysunki i celowo je zniekształcają. Dwie siostry pracujące całą noc. Pełzały po pionowej kamiennej ścianie, a księżyc oświetlał ich nagie ciała.

Przycisnął dłonią rosnącą w spodniach erekcję. Cieszył się, że w pobliżu nikogo nie było.

Musiał zameldować o tej sprawie. Nigdy nie słyszał, by coś takiego wydarzyło się w parku. Nie na tę skałę. Do jego obowiązków należało informowanie dyrektora o takich wypadkach. Powinno się wszcząć śledztwo mające na celu schwytanie sprawców i uniemożliwienie im podobnych działań w przyszłości. Tego, co utracono, już się nie odzyska - teraz należało sprawić, by podobne wypadki nigdy się nie powtórzyły.

Już miał nadać wiadomość przez radio, kiedy pomyślał nagle o innym pobliskim miejscu z setkami naskalnych napisów i piktogramów Anasazich. Było ono bardziej odosobnione i nie widniało na mapach parku rozdawanych turystom, ale mógł tam pojechać dżipem. Skontaktował się szybko z dyrektorem, wyjaśnił, co się wydarzyło, podał lokalizację, a potem poinformował, że chce sprawdzić, czy nie zniszczono również innego miejsca.

- Niczego nie dotykaj - ostrzegł Healey.

Henry wyłączył radio bez dalszych komentarzy. Dupek, pomyślał. Do cholery, wydaje mu się, że z kim rozmawia?

Henry włączył silnik, zjechał ze wzgórza i skierował się na ledwo widoczny szlak wiodący po równinie w rejon, gdzie zbiegają się dwa skalne płaskowyzę.

Minął samotną kolumnę ze zwietrzałego piaskowca i wjechał do szerokiego, zakończzonego ślepo kanionu. W połowie kanionu zahamował, wzbijając kurz pojazdu.

Przeskoczył przez zamknięte drzwi ku ścianie kanionu i czekał, aż kurz opadnie.

Zobaczył to, czego się spodziewał.

Obrazy na skałach zostały przekształcone.

Słońce z promieniami zmieniono w coś, co przypominało tory kolejowe znikające w tunelu. Dwie stylizowane postaci ludzkie były teraz słupami na ganku domu na Dzikim Zachodzie, sosnowy zagajnik zmieniono w kolekcję oburęcznych młotów kolejowych, a mustangi stały się wagonami towarowymi.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, coś z lewej strony szybko przemknęło z północy na południe. Ale kiedy odwrócił głowę, nie zobaczył niczego. Jeszcze raz dostrzegł ruch na skraju pola widzenia, jakby coś ciemnego i niewyraźnego przemknęło ukradkiem. Spojrzał w miejsce, gdzie to coś powinno się znajdować, ale zobaczył tylko piasek i skały. Świeciło słońce i panował upał, ale Henry'emu nagle zrobiło się tak chłodno, jakby stał tam w zimie o północy.

Całkowite zniszczenie naskalnych rysunków w ciągu jednej nocy było naprawdę niemożliwe. Nie dokonałoby tego nawet wielu ludzi.

Ale mogło je zniszczyć coś innego.

Szybko obracał głowę, mając nadzieję, że uchwyci jeden z tych uciekających kształtów, że je zaskoczy, ale widział jedynie kanion. Wycofał się do samochodu, czujnie bacząc na wszelkie oznaki ruchu. Przesadził zamknięte drzwi dżipa i włączył radiostację. Z głośnika dobiegł jazgot. Ostry, a jednak śpiewny gwar. Niczego podobnego wcześniej nie słyszał. Dostał dreszczy.

Nacisnął guzik „mów”.

- Tu Cote.

Żadnej odpowiedzi, jedynie ten dziwny bełkot, głośniejszy i wyraźniejszy od zakłóceń. Zdał sobie sprawę, że ściany kanionu są zbyt wysokie. Radio w tym miejscu nie mogło działać.

Był odcięty.

Henry Cote dokonał w swoim życiu wielu dzielnych i brawurowych czynów: stawiał czoło uzbrojonym żołnierzom Wietkongu; skakał ze skały do Jeziora Wilczego Kanionu w wyniku pijackiego zakładu. Teraz jednak nie czuł odwagi. Szybko wskoczył do dżipa i uciekł z kanionu, kierując się ku asfaltowym drogom, do ludzi, do świata racjonalnego.

Healey czekał na niego w budynku administracyjnym za centrum informacji turystycznej. Machnięciem dłoni zaprosił Henry'ego do biura i zaniknął za nimi drzwi.

- Znalazłem kolejne ślady wandalizmu przy Little... - zaczął Henry.
- To coś więcej.

Uczucie chłodu powróciło. I tyle jeśli chodzi o racjonalny świat.

- Coś tu się dzieje - powiedział cicho dyrektor.

Henry spojrzał na niego.

- Chciałbym, żeby pan o tym wszystkim nie rozpowiadał. Wiem, że informacje wydostaną się na zewnątrz, bo zaangażowana jest policja, ale nie chodzi tylko o wandalizm. Przede wszystkim zaginęła Laurie Chambers. Nie ma jej od dwóch dni. Nikomu o tym nie powiedziałem i czekałem dzień, po prostu żeby mieć pewność... wie pan, jaka ona jest, mogła zwyczajnie pójść na całonocną zabawę i stracić poczucie czasu... ale nie wróciła i... żaden służbowy džip nie został zabrany. Jej pikap stoi nadal przy domku.

Henry usiadł.

- Jezu - sapnął. - Laurie?
- Wiem.
- Ona zna teren jak własną kieszeń.
- Jest jeszcze coś.

Henry przygotował się na złe wieści.

- Nie chcę, żeby to, co powiem, wypłynęło na zewnątrz. Rozumie mnie pan? Nawet bym panu o tym nie mówił, gdyby nie odkrył pan tamtego. - Wziął głęboki oddech. - Mamy trupa. Kobiętę. To nie Laurie, jest za mała, ale to kobieta i znalazłem ją tutaj, w budynku, w pracowni. Nie powiedziałem o tym Pedleyowi, Jill, Raulowi ani nikomu. Policja jest w drodze, ale kazałem im załatwiać sprawę dyskretnie. Nie chcę nikogo niepotrzebnie niepokoić.

- Rozumiem, dlaczego nie chce pan, by dowiedzieli się o tym turyści - rzekł Henry. Mniej więcej dziesięć lat temu w pobliżu Yosemite pojawił się seryjny zabójca i frekwencja gwałtownie spadła, zagrażając kilku projektom parku. Kraina Kanionów to park znacznie prymitywniejszy, na uboczu, mniej popularny od Yosemite. Ale dlaczego nie mówić pracownikom? Jaki jest tego cel?

- Potrzebuję czasu, by wymyślić, jak to powiedzieć. Nie chcę, aby wszyscy wpadli w panikę.

- Nikt nie wpadnie w panikę. Sądzi pan, dyrektorze, że z kim ma do czynienia?

- Tym niemniej niech pan na razie zatrzyma to dla siebie, dobrze? Zdecyduję, kiedy nadejdzie właściwa pora.

Z drogi prowadzącej w głąb parku dobiegło wycie syren. Henry wstał i choć okoliczności nie były wesołe, miał ochotę się uśmiechnąć. Powstrzymał się jednak.

- Powodzenia - powiedział.

Ciało było poturbowane, aż nierozpoznawalne. Razem z innymi strażnikami Henry zerkał zza framugi do wnętrza pracowni. Wcześniej wyobraził sobie nagie ciało zmarłej kobiety, leżące na stole, obok porzrzuconych narzędzi i artefaktów, niczym trup gotowy do autopsji. Zaskoczył go więc widok zwłok na podłodze przy regale. Sprane dżinsy, porwany, zaplamiony krwią T-shirt. Głowa zmieniona w miążgę opadała na ciemną posiniaczoną skórę szyi. Ludzie z zespołu medycyny sądowej badali ciało dłońmi w gumowych rękawiczkach, dotykali metalowymi suwmiarkami, fotografowali je i filmowali w różnych ujęciach.

Ją, napomniał się Henry. To jest „ona”, nie „ciało”.

Kobieta nie wyglądała na pracownicę parku ani na kogokolwiek znajomego i krótka rozmowa z innymi gapiami potwierdziła, że wiedzieli tyle samo co Henry. Spekulowano, że to jeden z pracowników zamordował tę kobietę - ktoś inny mógł dostać się w nocy do budynku? - ale Henry ani przez chwilę w to nie wierzył i po wcześniejszej rozmowie wiedział, że dyrektor nie wierzył w to również. Nie, to miało związek z tamtymi aktami wandalizmu i Henry z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak tamte nagie bliźniaczki biją kobietę na śmierć - tymi samymi prymitywnymi narzędziami, którymi zniszczyły sztukę naskalną - i jak zanoszą jej ciało aż tutaj.

Lekko ścisnął nogi, próbując opanować erekcję.

Mimo upałów w ciągu dnia noc okazała się chłodna. Henry nie mógł zasnąć. Wyszedł na ganek domku i patrzył w pustynię, na poły spodziewając się, że zobaczy dwie kobiece postaci, uwodzicielsko zdążające ku niemu. Chciał wierzyć, że akty wandalizmu były przypadkowe i bezcelowe, ale ciągle wracał myślami do tamtych bliźniaczek. Gdzieś w głębi duszy wiedział, że bliźniaczki mają związek ze zniszczeniami i zastanawiał się, czy korekta artystycznej grafiki miała być przesłaniem, sposobem użytym przez

coś,

by mu przekazać... przekazać mu co? Nie wiedział, nie miał choćby najmniej wiarygodnej hipotezy. Te niezrozumiałe wydarzenia, ten brak jasności

dreńczyły go, utrzymywały jego mózg w stanie ciągłej aktywności i nie pozwalały mu zasnąć.

Spojrzał w stronę innych domków, ale nie dostrzegł nic prócz mroku. W domku Laurie Chambers włączono światło na ganku. Czemu? Czy miała to być boja naprowadzająca, przyciągająca ją na powrót do domu? Ale inne domki zdawały się opuszczone. To paradoksalne, że jedyny domek, który wyglądał na zamieszkanym, to dom martwej kobiety.

Martwej kobiety?

Ona tylko zaginęła, powtarzał sobie, ale pomyślał o krwawej, zmiażdżonej twarzy kobiety w pracowni i przeczuwał, że Laurie również została zamordowana.

Przez gwiaździste południowe niebo przemknął meteor. Henry dostrzegł go przez ułamek sekundy kątem oka. Wspomnił cienie w ślepych kanionie, te ulotne przebłyski przemykających się czarnych kształtów, które nawet w biały dzień okropnie go wystraszyły. Czy nadal tam były? - zastanawiał się w duchu. Jeśli tak, to co robiły? Ogarnęło go nagle pragnienie, by pojechać do kanionu i sprawdzić. Wiedział, że to głupie. Że to złe. Wbrew wszelkim przepisom i resztkom zdrowego rozsądku, jakie posiadał. Ale chciał zobaczyć malowidła naskalne w nocy, poszukać tych tajemniczych czarnych kształtów i sprawdzić, czy znów nie niszczą starożytnych rysunków.

Musiał to być zew indiańskiej krwi płynącej w jego żyłach.

Nie zawahał się, nie próbował odwieść siebie od tego pomysłu, lecz natychmiast wszedł do domku, wziął klucze i zamknął drzwi frontowe. Zanim zdążył się rozmyślić, już jechał.

Ale przecież wcale nie zamierzał się rozmyślić. Czuł silne pragnienie, by być tam, w kanionach, by samemu zobaczyć, co dzieje się tam w nocy. Choć nie rozumiał tego pragnienia - niemal przymusu - akceptował go.

Henry znał szlaki w parku jak własną kieszeń i kiedy już zjechał z asfaltówki, pędził po piaskowej drodze z taką łatwością, jakby krążył po ulicach wielkiego miasta w jasny, słoneczny dzień. Rysunki znajdowały się również na innych urwiskach, ale instynkt poprowadził go z powrotem do tamtego ślepego kanionu i Henry ponownie przybył tam w obłoku kurzu. Zatrzymał dżipa, poczekał, aż pył osiadzie, i wysiadł z pojazdu. Wziął ze sobą kilka laterek i mocny ręczny reflektor halogenowy. Oświetlił mocnym promieniem urwisko wprost przed sobą. Światło igrało na ciemnej skalnej ścianie i ukazało tory kolejowe niknące w tunelu, kolekcję dwuręcznych młotów, ale nie odsłoniło niczego nowego. Zlustrował kanion, ale nie znalazł nic, światło



sprawilo, że otaczający go mrok jeszcze poczerniał. Wyłączył więc reflektor i czekał, aż wzrok oswoi się z ciemnością.

Wokół panowała cisza i to wydawało się dziwne. Słyszał skrzypienie swoich butów na piasku i tykanie stygnącego silnika dżipa, ale nic poza tym. Zazwyczaj w kanionach rozlegały się odgłosy nocnych zwierząt, sów i kojotów, ale dziś nie było nic słyhać. Henry uważał to za wyjątkowo niepokojące.

Żałował, że nie wziął ze sobą strzelby.

Ale wiedział, że strzelba nie obroniłaby go przed tym, co tu jest.

Stał obok dżipa.

Czekał.

Obserwował.

I wtedy je zobaczył. Cienie na dnie kanionu, dwa cienie poruszające się synchronicznie po piasku zalany światłem księżyca. Serce Henry'ego przyspieszyło od zwykłego tab-tab do rata-tata-tata potężnego karabinu maszynowego. Nie kryły się tak jak wcześniej w świetle dziennym, nie znikwały z jego pola widzenia, ale sunęły prosto ku niemu w pełnej krasie, wyzywające, dumne, groźne. Kiedy się zbliżyły, zdał sobie sprawę, że cienie stoją wyprostowane. Były autonomiczne, niezwiązane z żadnym konkretnym kształtem czy obiektem, nie były wcale, jak myślał początkowo, rzutowane na grunt. To było złudzenie optyczne wzmocnione odległością. Były płaskie i jednowymiarowe, ale stały jak ludzie - stopy na piasku, głowa w powietrzu - i choć raczej szybowwały, niż szły, były niewątpliwie postaciami ludzkimi. Henry był przestraszony, lecz podniecony i nie próbował uciekać. Cienie dosięgły go i zaczęły powoli i zmysłowo wić się wokół jego ciała. Widział zarysy brodawek piersiowych, kształt idealnych szczelin pochwy. Był podniecony jak nigdy przedtem. Sięgnął w dół, rozpiął dżinsy, opuścił slipy. Wyzwolony, pozwolił spodniom opaść wokół kostek. Cienie uklękły przed nim, wydawały się całować jego drżącą erekcję i choć nie czuł ich dotyku, sam widok wystarczył, by wytrysnął, pchając bezskutecznie powietrze, a jego nasienie popłynęło na piasek.

Cienie przyrosły do miejsca, gdzie gęste krople zakrzepły na ziemi, i zaczęły je zlizywać.

Nasienie zniknęło.

To było niemożliwe i bezsensowne, ale Henry tego nie kwestionował, nawet się nie dziwił. Jego penis zaczął się już kurczyć. Henry wziął go w dłoń i wycisnął kilka ostatnich kropel. Obserwował, jak nasienie spada na piasek, a cienie bliźniaczkę je pożerają.

Czy cienie były teraz wyraźniejsze, mniej ulotne? Tak myślał, ale nie miał pewności.

Ciemne, płaskie postaci nadal wirowały wokół niego, a ich ruchy wyrażały głód, pragnienie, które czuł również Henry, i przerażało to go do szpiku kości.

Odwrócił się i uciekł.

Była to reakcja instynktowna i głupia. Dżip był przecież blisko i teraz mógł się jedynie od niego oddalić, a to oznaczało, że porzuca swoją jedyną nadzieję na wydostanie się z kanionu i powrotu do rzeczywistego świata. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Cienie nie chciały za nim podążać, a kiedy się obejrzał, zobaczył, że wycofują się drogą, którą przyszły, przypominając dwa drapieźniki podczas łowów.

Dokąd szły teraz?

Uwodzicielska zmysłowość, którą przedtem eksponowały tuż przy nim, zniknęła i znowu ich zdecydowany posuwisty krok zdawał się groźny, drapieźny. Henry poczekał, aż ciemne kształty wtopią się w czerń kanionu, a potem biegiem wrócił do dżipa, wskoczył do środka i odjechał jak najszybciej.

Co się wydarzyło? Co zrobił? Przepęlniała go niewzruszona pewność, że im pomógł, dał im siłę. Cokolwiek wydarzy się od tej pory, z pewnością on będzie tego częścią; wszedł w to. Pomyślał o Laurie i o martwej kobiecie w pracowni. Oczyma wyobraźni jeszcze raz zobaczył obrzydliwy obraz cieni łapczywie pożerających jego nasienie. Czuł się zmęczony, wyspany, sfrustrowany i przede wszystkim wykorzystany. I kiedy dżip podskakiwał na nierównym piaskowcu, Henry musiał powstrzymać łzy, by odnaleźć drogę.

## 9

### TWIERDZA, MISSOURI

**D**awno minęła północ, ale Hank Gifford leżał rozbudzony, z oczyma wpatrzonymi w reklamę promującą jakiś kuchenny gadżet. Myślał o błotnych jamach za domem. Arlene obok głośno chrapała, śliniąc brzeg jego poduszki. Zepchnąłby ją na drugą stronę łóżka, ale to mogłoby ją zbudzić, a ostatnią

rzeczą, jakiej pragnął, było wysłuchiwanie jej bezsensownego gadania w środku nocy.

Błotne jamy niepokoiły go, ponieważ teraz ich nie pilnował. To było nieuniknione. Nie mógł nadzorować sytuacji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale co będzie, gdy jeden z nich wydostanie się wtedy, gdy nie patrzę, gdy śpię? - pomyślał. Wyobraził sobie patykowatą, pokurczoną postać, przemykającą chyłkiem po ścieżkach ogrodu, wkradającą się do muzeum, przedzierającą się aż do domu.

Oczywiście, gdyby zobaczył jedną z nich poza jamą, zastrzeliby ją i wypchał. To byłby wspaniały nowy eksponat w Twierdzy.

Chyba że... co, jeśli jej nie zobaczy? Co, jeśli będzie spał, kiedy ona dostanie się do domu? Co, jeśli się obudzi z zapachem siarki w nozdrzach i zobaczy szkieletowatą postać, wspinającą się na Arlene, rozdzierającą jej twarz i zwracającą się ku niemu z okropnym uśmiechem złośliwej radości?

To właśnie go niepokoiło, nie pozwalało mu zasnąć.

Hank wziął z nocnego stolika pilota, wcisnął przycisk „mute” i nasłuchiwał. W domu panowała cisza. Dobrze. Znowu cicho włączył dźwięk. Kusilo go, by wyjść i sprawdzić błotne jamy, ale choć chodził tam wcześniej z latarką wiele razy, teraz bał się tego zrobić.

*Znowu powstają.*

Mówił tak klientom i była to prawda. Nie miał pojęcia, skąd to wie, ale wiedział. Oni naprawdę powstawali, wszyscy ci poganie i niedowiarki, których wrzucono do jam. Nie miał pojęcia, ilu tam leżało zatopionych w błocie - nie prowadzono rejestrów takich rzeczy - ale tatuś mu mówił, że ludzie z miasteczek zajęli się wszystkimi, co do ostatniego, że po czystkach żaden nie przeżył w tej części Missouri.

Mogło to oznaczać dziesięciu.

Mogło oznaczać setkę.

Zawsze wiedział, że znowu powstaną. Tatuś też wciąż to powtarzał. Jeden z niewiernych najwidoczniej rzucił klątwę, kiedy wydawał ostatnie tchnienie - i ludzie z miasta mu uwierzyli. Nawet jako dobrzy chrześcijanie rozpoznali prawdę w pogańskim przekleństwie i...

Południowa ściana sypialni eksplodowała, jakby została staranowana.

Arlene obudziła się z wrzaskiem, a Hank wygramolił się spod koca i wyszedł z łóżka. Prawa nogawka piżamy zaczepiła o wystającą sprężynę materaca, ale pociągnął mocno, rozrywając materiał, i kontynuował gorączkową ucieczkę. Wyszły, myślał jak szalony. Atakują. Zewsząd sypał się gruz.

Wszystko pokrywał pył. Kawalek cegły przeleciał mu obok głowy, rozbił lustro na toaletce. Hank zaryzykował spojrzenie w tył - zobaczył gigantyczny czarny kształt, większy niż dom. Zobaczył, że to nie oni. To był pociąg. Nawet przez chmurę pyłu Hank dostrzegł reflektory z przodu lokomotywy, trójkątną osłonę, która wystawała z dziury w ścianie. Tylko...

Tylko to nie był pociąg. Niezupełnie. To było...

Coś innego.

Ale nie miał czasu pomyśleć, co to takiego. Dom zapadał się wokół niego, a Arlene została przyszpilona do łóżka spadającą belką. Koniec wzmocnionej wręgami deski wbił się w jej plecy, a z jej ust tryskała krew na poduszkę...

*jego poduszkę*

...za każdym razem, gdy próbowała krzyknąć. Wiedział, że powinien spróbować jej pomóc, ale odwrócił się natychmiast i usiłował wybiec z pokoju, byle dalej od wielkiego czarnego kształtu, który przypominał pociąg, ale nim nie był. Kiedy poddał się drewniany szkielet domu, ściana przed Hankiem runęła, przejście zasypała hałda gipsu i drewna. Zatoczył się, ale z tyłu powaliło go coś, co było jednocześnie twarde i miękkie, śliskie i brejowate, ale wzmocnione substancją twardą jak stal. Został przewrócony na bok, na podłogę. Łóżko wylądowało na nim. Zmiażdżone i krwawe ciało Arlene przycisnęło go mocno do podłogi, z jej pozbawionych życia warg coś kapało mu do ucha. Przez krótką chwilę za nią, nad nią, za połamanym łóżkiem widział masywny obiekt, który wyglądał jak lokomotywa.

Rozległ się hałas, ryk, jakby setki ludzi wrzeszczących w bólu nie do zniesienia.

A potem przyszła śmierć.

## 10

### FLAGSTAFF, ARIZONA

**Z** czwartą randką Angela wiązała spore nadzieje. Trzecia randka udała się dość dobrze. Koncert jazzowy był miły, choć muzyka bardziej przypadłaby do gustu rodzicom Angeli niż jej samej. Brian wyraźnie miał podobne zdanie, bo

zapropował, żeby wyszli po przerwie. W ciemności spacerowali alejkami kampusu; rozmawiali o swojej przeszłości oraz przyszłości i wymieniali poglądy na świat. Wieczór był chłodny - po zachodzie słońca jesień wypierała letnią pogodę, wciąż panującą za dnia - ale to tylko skłoniło ich do większej bliskości i spokojny spacer stał się nieco ekscytujący. Wylądowali w jego pokoju w akademiku i robili to, co ludzie zwykle robią na zakończenie udanej randki.

Tym razem postanowili pójść na koncert rockowy.

Sala była pełna. Przyszli nieco wcześniej, ale parking był już zatłoczony, przed wejściem stała długa kolejka i oferowano tylko miejsca stojące. Wszyscy rozmawiali o zespole, nie słyszało się zwykłych pogaduszek. Angela podслуchała dyskusję grupki licealistek, które nie potrafiły rozstrzygnąć, kto jest słodszy: chłopaki z Hoobastank czy ci z Lightyear - grupy, która miała dziś wystąpić. Normalnie to by wystarczyło, by Angela straciła zainteresowanie kapelą, ale obok stało dwóch starszych studentów muzykologii, którzy z zachwytem, lecz w sposób wyważony, wyrażali się o zespole.

- Powinno być ciekawie! - przekrzykiwała puszczaną na rozgrzewkę muzykę, którą nagle podkrecono o kilka decybeli.

- Nie słyszę! - odkrzyknął Brian.

- Powiedziałam „powinno być ciekawie”.

Skinął głową.

- Są naprawdę dobrzy!

Światła przygasły.

Choć członkowie Lightyear pochodzili z Phoenix - mieszkańcy Flagstaff nazywani tamten obszar Doliną - to przecież byli Arizończykami i widownia przyjęła ich jak własną zwycięską drużynę. Gdy wchodzili na scenę, powitał ich potężny ryk, i choć Angela była na wielu koncertach w rozmaitych klubach w Los Angeles, nigdy nie widziała podobnego entuzjazmu. Ona również dała się porwać i gdy zespół zaczął grać pierwszy utwór, poczuła się jak na występie Pearl Jam - jakby stanęła przed obliczem wielkości.

Koncert ją zachwyił, choć była obyta i zblazowana, jak typowa mieszkanka LA, a po imprezie miała ochotę podejść do stołu z tyłu sali i kupić płytę zespołu. Chłopaki naprawdę robili karierę. Po płyty stała jednak długa kolejka, a ponadto Angela nie miała pewności, czy wzięła ze sobą dość pieniędzy. Postanowiła kupić płytę nazajutrz w sklepie Hastings. Jeśli nie będą jej mieli, to ją zamówi.

W drodze do domu Brian milczał. Oczekiwała, że gdzieś wstąpią, może do kawiarni, żeby pogadać, albo przynajmniej staną w zaułku zakochanych i pomigdała się, ale Brian zawiózł ją prosto do Domu Babbitta. Choć z koncertu wyszła w dobrym nastroju, to nim chłopak się odezwał, Angelę naszedł niepokój, złe przeczucie.

- Sądzę, że nic z tego nie wyjdzie.

Samochód podjeżdżał przed trawnik, a Brian nie patrzył na nią, tylko na drogę przed sobą.

O co tu chodziło? Według niej sytuacja wspaniale się rozwijała. Nie tylko dziś wieczór, ale w ogóle. Dobrze się ze sobą czuli, zawsze mieli mnóstwo tematów do rozmów, a fizycznie... cóż, wyraźnie byli sobą zainteresowani. Angela wysłała nawet e-maile do swoich przyjaciół w Los Angeles z wiadomością, że znajomość dobrze rokuje.

A teraz „nie wyjdzie”?

Kiedy to się stało?

Spojrzała na niego i choć była zaskoczona, w istocie przecież wcale nie była. Tamto złe przeczucie coś jej mówiło i na pewnym poziomie Angela rozumiała.

Odchrząknęła.

- Dlaczego? - spytała. Nie była zdolna, by powiedzieć coś więcej.

Nagle powstał między nimi dystans - już nie „my”, lecz dwoje oddzielnych ludzi. Zadawała pytanie obcej osobie.

Samochód zahamował, ale chłopak ciągle patrzył przez przednią szybę i nie zwrócił się do Angeli.

- Po prostu... nie wiem. Czasami możesz stwierdzić, rozumiesz, czy to zadziała, czy nie...

Dlaczego nic wcześniej nie powiedział? Najwyraźniej musiał to sobie przemyśleć, ponieważ akurat dziś nie wydarzyło się nic, co mogłoby zmienić jego uczucia. Wspomniała ich lekką rozmowę przy kolacji oraz dobry nastrój przed koncertem - i gniew w niej narastał. Brian cały czas kłamał, grał komedię. Nienawidziła go za to. Dlaczego się z nią dzisiaj umówił? Dlaczego nie odwołał spotkania? Bo miał już bilety, chciał pójść na koncert i było za późno, by zaprosić kogoś innego? Nagle Angela nabrała pewności, że tak właśnie było.

Nie odezwała się, dając mu czas.

- Nie wiem - odparł. - Nie poznałem innej dziewczyny, jeśli to masz na myśli. Tylko zastanawiałem się... cóż, może powinienem poznać kogoś innego. To znaczy lubię cię i tak dalej, dobrze się bawiliśmy, ale chyba żadne z nas nie sądziło, że ta znajomość ma przyszłość. Prawda?

Ona, głupia, uważała. Teraz mogła zrobić tylko jedno: nie rozplakać się jak dziecko.

W końcu spojrział na nią z takim wyrazem twarzy, jakby błagał ją, by przyznała mu rację i nie zrobiła sceny.

- Dobrze. - Tylko tyle potrafiła powiedzieć, ale żałowała, że nie wpadła na żadną ciętą replikę ani nie była na tyle dojrzała, by zachować się tak, jakby jej to w ogóle nie obchodziło. Nie była ani tak opanowana, ani wyrobiona, a teraz czuła jedynie wdzięczność, że nie potknęła się na krawężniku ani nie przytrzasnęła sobie spódnicy, wychodząc z samochodu.

- Chcesz, żebym...

- Nie - odparła, nie odwracając się ani nie wiedząc, jaką propozycję odrzuca. Zobojętniała. W tej chwili niczego od niego nie chciała. Szła w stronę domu i pragnęła tylko, by Brian sobie pojechał. Czekwała na dźwięk silnika i z ulgą w końcu usłyszała, że samochód rusza ulicą.

Przystanąła i ciężko odetchnęła.

Co się, do diabła, stało?

Nic wielkiego. Wiedziała to na poziomie racjonalnym. Spotkali się kilka razy i nic z tego nie wyszło. Już przedtem się to zdarzyło i potem też się zdarzy. Chodziło o to, że tym razem nadawała temu znaczenie. Naprawdę lubiła tego chłopaka i myślała, że istniała spora szansa, żeby coś z tego wyszło.

Nie. To nie to.

To, co ją w istocie niepokoiło, co sprawiło, że czuła się obolała, to fakt, że nie dostrzegła w porę, jak się rzeczy mają. Poprzednio zawsze umiała trafnie ocenić romantyczną rzeczywistość każdego swojego związku czy potencjalnego związku. Potrafiła usłyszeć wszelkie emocjonalne tony każdej sytuacji, a fakt, że tym razem okazała się głucha, wstrząsnął nią do głębi.

I kwestia zasadnicza - odrzucenie zawsze boli.

Przeszła przez trawnik i dotarła do drzwi. Chrissie wspominała, że wybieira się na randkę, z czego Angela była zadowolona. Nie chciała się teraz spotkać z przyjaciółką. Nie była w nastroju, by rozmawiać z ludźmi czy odpowiadać na pytania. Pragnęła tylko wejść do łóżka i samotnie oglądać telewizję. Jutro mogą analizować to, co się stało. Może rano da jej odpowiednią perspektywę.

Wyjęła klucz, otworzyła drzwi.

W holu czekali na nią Winston i Brock.

- Widzieliśmy, co się stało - powiedział Winston ze współczuciem.- Akurat...

- Szpiegowaliśmy - dokończył Brock. - I na podstawie twojego języka ciała wywnioskowaliśmy, co się stało.

- Kiedy zatrzymałaś się na trawniku, gdy on odjeżdżał, serce mi pękło.

- Tak nam przykro.

Angela nie wiedziała, czy czuć wdzięczność, czy irytację. Po trochu czuła jedno i drugie. Ale cieszyła się, że ma troskliwych przyjaciół i choć brzmiało to jak sentymentalny banał z romantycznego serialu, zdała sobie sprawę, że Winston i Brock znaleźli się w tym miejscu, by łatwiej jej było znieść odrzucenie. Zaprosili ją do siebie, by mogła się wyzalić, ale podziękowała za propozycję.

- Wolę być sama - odparła.

- Rozumiemy - powiedział Winston. - Rozumiemy.

- Dziękuję.

- Chcesz dobrej rady?

- Wal.

- Gdy życie przynosi ci cytryny... - zaczął Winston.

- ...rzucaj nimi w swoich wrogów - dokończył pogodnie Brock. - Celuj w oczy. Zrób jak najwięcej szkód.

- Właśnie. Bierz, co ci dano, i użyj tego jako broni. Zaśmiała się i objęła ich.

- Uwielbiam was, chłopaki.

- My cię też uwielbiamy - przyznał Winston.

Poczuła się lepiej. Wchodząc na górę, cieszyła się jednak, że nie natknęła się już na nikogo i gdy Chrissie wróciła do domu wcześniej, i cicho zapukała do jej drzwi, pytając, czy nie śpi, Angela milczała w ciemnościach.

Następnego ranka utknęła w korku w drodze do szkoły. Autostrada była przejezdna, ale dotarcie do niej zajęło prawie dwadzieścia minut, choć musiała pokonać zaledwie cztery przecznice. W starej części centrum miasta istniała sieć jednokierunkowych ulic, ale ruch na ogół był płynny, więc gdy Angela spojrzała na wschód i zobaczyła, że wszystkie prowadzące na południe drogi są zakorkowane, nawet ta prowadząca ze Snowbowl i z Wielkiego Kanionu, zrozumiwała, że coś musiało się stać.

Dowiedziała się dopiero w kampusie, gdy spóźniona dotarła na zajęcia z antropologii kulturalnej. Sala huczała od wiadomości i nawet wykładowca zmienił planowany temat, by omówić najnowsze wydarzenia.

Pod jedną z ulic odkryto tunel.



Tunel pełen trupów.

Informacje pochodziły z drugiej ręki, ale powtarzano, że ciała są stare i prawdopodobnie zmumifikowane. Jeśli była to prawda, stanowiłyby ważne odkrycie archeologiczne. Wykładowca ogłosił, że planuje studencką wyprawę na miejsce znaleziska, gdy tylko policja skończy badania. Prawdopodobnie już dziś po południu.

- Proszę sprawdzać tablicę ogłoszeń. Zamieszczę informacje na stronie internetowej, ale ponieważ wielu z was ma zajęcia w tym budynku, to może prościej będzie sprawdzić na miejscu. Chcę podkreślić, że wyprawa jest całkowicie dobrowolna i nie będzie miała wpływu na ocenę. Co więcej, nie będzie za to dodatkowych punktów. Wyprawa jest wyłącznie dla osób szczególnie zainteresowanych miejscową prehistorią, to okazja, by znaleźć się niejako u źródeł tego, co zapowiada się na ważne odkrycie w tej dziedzinie.

Zaczął roztaczać wizję spodziewanych znalezisk.

- Jak wiecie, w pobliżu Flagstaff znajduje się kilka znakomitych stanowisk archeologicznych, najbardziej znane to Kaniony Wupatki i Walnut. Ale odkrycie w centrum Flagstaff czegoś, co może być grobowcem... a w tym rejonie nie znaleziono wcześniej żadnych artefaktów ani śladów siedzib ludzi, którzy zwykli chować swoich zmarłych w ten sposób... może się okazać ważne i przełomowe. Na podstawie tego jednego odkrycia mamy szansę dowiedzieć się o tych ludziach więcej niż z wcześniejszych wykopalisk.

Angela podniosła rękę.

- Kto to odkrył? - spytała.

- Powiedziano mi, że pod State Street robotnicy miejscy kopali rów na nowy kanał ściekowy, gdy natknęli się na twardy gład, który okazał się dachem tunelu.

Pozostałą część zajęć poświęcono rozważaniom na temat zwyczajów związanych z pochówkami wśród lokalnych plemion oraz Indian Anasazi.

- Wybierasz się? - zagadnął Angelę chłopak siedzący kilka ławek dalej. Właśnie wstała i kierowała się do wyjścia wraz z resztą studentów. Zdziwiona rozejrzała się, żeby się upewnić, czy zwracał się do niej. Nigdy przedtem nie zamienili ani słowa. Angela nie wiedziała nawet, jak mu na imię.

- No, tak - odparła.

- Ja też. Więc do zobaczenia na miejscu. - Uśmiechnął się i pomachał jej, zмирzając do windy w drugim końcu korytarza.

Patrzyła, jak odchodzi. Dziś rano, gdy w czasie pośpiesznego śniadania opowiedziała Chrissie o Brianie, ta skomentowała to nonszalancko:

- Może to i lepiej. Jesteś za młoda, żeby się wiązać. Najpierw się trochę zabaw.

Zdziwiły ją i zraniły te uwagi. Uważała, że przyjaciółka nie traktuje jej uczuć poważnie. Teraz jednak pomyślała, że może Chrissie miała rację.

Odwróciła się i schodami zeszła na następne zajęcia.

Wczesnym popołudniem wyjaśniło się, że pochówek w tunelu wcale nie odbył się tak dawno ani nie był związany z żadnym starym plemieniem indiańskim, ani nawet nie były to ciała pionierów. Mimo to doktor Welkes zamierzał zabrać studentów na wyprawę do podziemnych komór, żeby obejrzeć te tajemnicze ciała. Kim byli ci ludzie i dlaczego tak wiele zwłok stłoczono w krótkim tunelu pod State Street? Policja odkryła bowiem, że tunel zaczyna się pod starym hotelem, który właśnie modernizowano, a kończy się kilka metrów dalej w piwnicy, która kiedyś należała do domu handlowego, a potem zbudowano nad nią rząd małych sklepów. Oba duże budynki wzniesiono w drugiej połowie XIX wieku, co pozwalało określić datę śmierci pochowanych ludzi na przełomie XIX i XX wieku.

Ale dlaczego znalazło się tu aż tyle ciał? Policja doliczyła się trzydziestu trzech w tej niewielkiej przestrzeni. Profesor i jego asystenci już przejrzeć lokalne gazety z tamtego okresu i nie znaleźli żadnej wzmianki o nietypowych pochówkach czy masowych zgonach we Flagstaff. Nie pisano również, żeby nagle zwiększyła się liczba zaginionych. O wyznaczonej godzinie pod gabinetem profesora zjawiała się grupa ochotników i jeden z asystentów wysunął hipotezę, że ludzie umarli na jakąś chorobę, a tunel stanowił pewien rodzaj ośrodka kwarantanny.

- W obecnej sytuacji to równie uzasadnione wyjaśnienie jak każde inne - stwierdził doktor Welkes. Spojrzał na zegarek. - Chyba już pora. Idziemy?

Zebrało się około dwudziestu osób. Wzięli książki oraz plecaki i ruszyli za nim schodami. Angela poszukała wzrokiem chłopaka, który zagadnął ją rano. Była rozczarowana, że go nie ma, ale z nawiązką tę przykrość zrekompensowało podniecenie przed wyprawą do miejsca, nazwanego przez jakiegoś mądrałą „tunelem śmierci”.

Ktoś z tyłu klepnął ją po ramieniu. To Brenda, która siedziała za nią na zajęciach doktora Welkesa i chodziła z nią na literaturę amerykańską.

- Angelo, mogłabyś mnie podwieźć? - spytała. - Mieszkam w kampusie i nie mam samochodu.

- Oczywiście - odparła Angela.

- Jeśli ktoś z was ma latarkę, proszę ją wziąć ze sobą! - zawołał Welkes, schodząc na dół. - Tam będzie ciemno!

Jeszcze dwóch kolegów zabrało się z Angellą. Jechała tuż za dziupem wykładowcy, który zmierzał na parking za zamkniętym hotelem. Gdy wszyscy wysiedli z samochodów i zebrali się na chodniku, oczekujący policjant poprowadził ich do hotelu za żółtą taśmę, jaką zwykle oznaczano miejsce przestępstwa.

Gdyby to była wyprawa do parku rozrywki, to sceneria nie mogła być lepsza. Pozbawione mebli foyer hotelu znajdowało się na wczesnym etapie renowacji. Podłogę i sufit stanowiły gołe drewniane bale. Z brudnych, białych ścian odpadały strzępy starej tapety, a metalowe pudło popsutej windy tkwiło za rozwartymi podwójnymi drzwiami. Na dobrą sprawę hotel, pozbawiony oświetlenia elektrycznego, wyglądał jak nawiedzony dom, a tę atmosferę pogłębiały mroczne smugi światła sączącego się przez brudne frontowe okna.

Wcześniej zgromadzeni na zewnątrz, a potem idąc tutaj, studenci rozmawiali z ożywieniem, ale to miejsce ich zmroziło, wszyscy zamilkli przestraszeni.

Bali się.

Angela nie potrafiła ocenić innych, ale ona naprawdę się bała, choć nie wiedziała dokładnie dlaczego. Pomyślała o przerażającym mamrotaniu w mieszkaniu Winstona i Brocka i może częściowo przeraziło ją to wspomnienie, ale chyba nie chodziło tylko o wcześniejsze przeżycia. To było coś nowego, nawet jeśli miało podobną naturę, a lęk wzmacniała niepewność, co ją czeka.

Pośrodku foyer stanęła studentka doktora ze starszych lat. Twarz miała kredowobiałą i oznajmiła, że zmieniała zdanie i nie chce oglądać ciał. Postanowiła poczekać na grupę na zewnątrz. Angela rozumiała jej odczucia i sama również skłaniałaby się do ucieczki, ale ciekawość była większa niż strach, i gdy tamta ruszyła ku wyjściu, Angela poszła za policjantem, Welkesem i kolegami przez drzwi służbowe do klatki schodowej.

- Zapalamy! - zawołał doktor, i ci, którzy mieli latarki, włączyli je.

Reflektor policjanta mocno oświetlał spory odcinek drogi przed nimi, ale z tyłu panowała ciemność i Angela była wdzięczna ojcu, że kazał jej zawsze wozić w bagażniku awaryjną latarkę. Brenda nie miała swojej, więc trzymała się blisko niej.

Schodzili.

Na samym dole szli gęsiego. Minęli dwie przemysłowe maszyny pralnicze, potem stojące suszarki oraz częściowo rozebrany potężny piec. Dotarli do miejsca oznaczonego taśmą. Policjant uniósł do góry żółtą taśmę i przepuszczał ich pod nią. Znajdowała się tam pakamera dozorca, a za nią stare metalowe drzwi, które niedawno wyważono. Roztrzaskane i pokruszone cegły przy wejściu świadczyły o tym, że przedtem przez wiele lat drzwi były zamknięte.

Snop policyjnego reflektora wniknął w ciemność.

Wtedy zobaczyli ciała.

Pojedynczo wchodzili do tunelu. Ciała leżały kilka metrów dalej, nie tuż przy wejściu, ale już pod ulicą, poza terenem hotelu. Nawet ze swojego miejsca na końcu szeregu Angela widziała je i żałowała teraz, że nie zrezygnowała i nie wyszła na zewnątrz z tamtą studentką. Nagle stwierdziła, że ciężko jej oddychać, a ręka trzymająca latarkę zrobiła się lepka od potu.

Nikt nie poruszył ciał. Policja pozostawiła je tak, jak je znaleziono, przy ścianach tunelu, słoczone w nienaturalnych pozycjach, ciasno poupychane. Zapadnięte oczodoły odzyskiwały życie w snopach światła latarek i choć ciała nie były mumiami, wyglądały jak mumie. Ubrania zgniły, stały się bezbarwnymi szmatami, a okropnie pomarszczona skóra ciasno opinała kości, na których nie pozostało ani śladu tłuszczu czy mięśni. Każdy trup, niezależnie od pozycji, wydawał się uśmiechnięty; wszystkie czaszki szczyrzyły zęby w przesuwających się smugach światła.

Angela nie chciała tu być. Nie cierpiała na klaustrofobię - przynajmniej dotychczas - ale nagle opanowała ją chęć ucieczki. Nie odruch, lecz konieczność narastająca i coraz silniejsza, w miarę jak posuwała się w głąb tunelu. Nagle przystanęła, nie mogąc ruszyć się dalej.

- Co się stało? - spytała idąca za nią Brenda.

Prowadzący grupę doktor Welkes snuł domysły na temat tożsamości zmarłych.

Nagle wysunęła się ręka i chwyciła Angelę.

Ręka trupa.

Wrzasnęła, a potem wszyscy zaczęli wrzeszczeć. Ciała ożyły, poruszały się i ludzie wpadali na siebie, pchali się, chcąc pędem wydostać się z tunelu drogą, którą tu weszli. Angela usłyszała okrzyk zdumionego doktora. Policjant ryknął oszołomiony, gdy jej latarka oświetliła małe, chude ciało, które siedząc w kucki, kołysało się w przód i w tył, kiwając na nią czaszką o obłąkańczym

uśmiechu. Angela usiłowała przez nie przeskoczyć, ale ktoś z tyłu ją pochnął. Potknęła się o trupa i padła jak długa na inny szkielet zawzięcie pełzający po podłodze w stronę wyjścia. Poczowała dotyk skóry ostrej jak papier ścierny, w nozdrzach miała zapach cuchnącego pyłu. Przez ułamek sekundy ustami dotykała włosów - sztywnych włosów trupa - wreszcie poderwała się na nogi, potrącając kogoś z kolegów, w końcu dotarła do rozszerzenia tunelu w pobliżu wejścia i wpadła do pakamery dozorczy.

Jak inni przed nią, nie zatrzymała się tam, tylko pomknęła do piwnicy i po schodach do foyer. Instynkt nakazywał jej biec dalej na zewnątrz, na ulicę, ale inni przystanęli w pobliżu drzwi i Angela błyskawicznie zrozumiała dlaczego. Zakłopotanie. Tu w mrocznej remontowanej sali przerażające doświadczenie było nadal świeże, realne, ale po drugiej stronie drzwi musieliby wyjaśnić powody strachu i paniki, zawiadomić przypadkowych przechodniów, że pod ulicą leżą mumie czy zombi i że odkryte niedawno trupy są żywe.

Nikt z nich nie chciał tego zrobić.

Ponadto kto miałby stwierdzić, czy to się rzeczywiście wydarzyło, czy też sami się nawzajem nastraszyli i wszystko to sobie ubzdurali?

Ona mogła to stwierdzić. Ciągle czuła na skórze ostry uścisk ręki, która chwyciła ją kościstymi trupimi palcami.

Brenda łkała, tak jak kilku innych studentów, dziewcząt i chłopców. W końcu wybiegli doktor Welkes i policjant, czyli wszyscy dotarli, wszyscy wyszli z tego cało.

- Jezu! - Krzyk policjanta brzmiał głośno w pustej sali. - Jezu!

Angela mu współczuła: będzie musiał to wszystko opisać, złożyć raport, wyjaśnić, co się stało grupie sceptycznych gliniarzy, którzy potem będą musieli przygotować informację dla mediów. Angela nie wątpiła, że ciała w tunelu wrócą do stanu bezruchu i gdy jakiś inny zespół wejdzie tam, by przeprowadzić badania, nie znajdzie niczego niezwykłego, żadnego znaku życia u gnijących trupów. Zawsze tak się działo.

Stali, patrzyli na siebie. W różnym stopniu niedowierzający lub odzyskujący równowagę. Angela oczekiwała, że ktoś nimi pokieruje, że policjant albo Welkes powiedzą, co należy robić, ale obaj wydawali się zatopieni we własnych myślach. Pierwszy powtarzał „Jezu! Jezu!”, a drugi mamrotał coś chaotycznie.

Nie rozmawiali o tym, co się wydarzyło, nie próbowali wezwać innego policjanta, strażaka czy pracownika ochrony, którzy sprawdziliby, co działo się na dole. Nic nie zrobili, by się później spotkać i omówić to, co widzieli. Wyszli

bez celu przez drzwi frontowe na chodnik, gdzie czekała na nich ta farciara z wyższego roku, zupełnie nieświadoma horroru, jaki się rozegrał pod jej stopami.

Angela podrzuciła do kampusu Brendę i dwóch kolegów, których tu wcześniej przywiozła, a potem pojechała prosto do Domu Babbitta, gdzie opowiedziała wszystkim, co się stało. Tylko Randy'ego nie było, ale inni zebrali się na parterze przed mieszkaniem Winstona i Brocka i wysłuchali szczegółowej relacji. Bańka milczenia, w jakiej tkwiła wraz ze studentami antropologii, teraz pękła i Angela mówiła bez przerwy. Wielokrotnie relacjonowała poszczególne sceny, a jej przyjaciele zasypywali ją pytaniami. Nikt nie podawał jej słów w wątpliwość, co ją zaskoczyło. Gdyby ktokolwiek z nich opowiedział podobną historię, nie wierzyłaby ani trochę.

Ale oni przecież słyszeli ducha tamtej nocy.

A może jednak by uwierzyła? - pomyślała po chwili zastanowienia.

W końcu Chrissie przerwała jej występ i zaciągnęła ją na górę. Dopiero gdy zamknęły drzwi mieszkania, gdy usiadła na kanapie, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Poczowała się tak, jakby nagle wszystko ją przytłoczyło, a ciało napędzane adrenaliną w końcu poddało się stresowi i załamało się. Wpatrywała się tępo w telewizor, który włączyła Chrissie.

- Myślisz, że powiedzą o tym w dzienniku? - spytała przyjaciółka.

- Nie wiem. To się po prostu wydarzyło. Nie widziałam tam żadnych kamer. Ale może informacje już się przedostały.

Chrissie nie podważała opisanych faktów i Angela pomyślała, że jak na osobę, która deklaruje, że nie wierzy w „duchy, bogów czy inne siły nadprzyrodzone”, Chrissie okazała się dziwnie bezkrytyczna. Czyżby zmieniała zdanie? - zastanawiała się Angela.

Była tak wyczerpana i zestresowana, że mogłaby siedzieć bez ruchu przez cały wieczór, o niczym nie myśląc, ale czuła się brudna - paskudnie skażona kontaktem z tymi zwłokami - i teraz najbardziej pragnęła wziąć gorący prysznic i zmyć wszelkie dziwne zarazki, jakie mogły do niej przyłągnąć; pragnęła wyszorować skórę do czysta. Choć siedziała od paru chwil, szybko wstała, jakby siedzenie na kanapie groziło nieuleczalną chorobą.

- Idę pod prysznic - oznajmiła. - Czy mogłabyś spalić w piecu moje ubranie?

- Nie mamy... - zaczęła Chrissi, ale zaraz wybuchnęła śmiechem. - Och, żartowałaś.

Rzeczywiście żartowała, ale nie do końca. Naprawdę nie dbała o to, czy kiedyś znów włoży te ubrania, i wiedziała, że dopiero po długim czasie i po wielu starannych praniach ponownie się w nie ubierze.

Angela poszła do łazienki, odkręciła kran, żeby spłynęła chłodna woda, potem zdjęła ubrania i rzuciła je na podłogę zamiast do kosza na brudną bieliznę. Na skórze, w miejscu, gdzie chwyciła ją trupa dłoń, zauważyła czarną plamę. Nie był to siniak, lecz coś przypominającego pleśń albo zgniliznę. Najpierw dostrzegła to w lustrze, potem usiadła na sedesie i przysunęła ramię do oczu, by dokładnie mu się przyjrzeć. Ślad nie miał kształtu palców czy ręki, jak można było oczekiwać, lecz wyglądał jak kleks, jak ameba. Angela dotknęła plamy, podrapała ją paznokciami, ale nic nie zeszło, choć plama przypominała farbę lub atrament. Pod prysznicem gąbką i proszkiem do czyszczenia tarła mocno, ale nie udało jej się usunąć plamy czy choćby ją odbarwić. Skóra wokół stała się czerwona i obtarta, ale plama pozostała.

Angela była zaniepokojona i wpadła w popłoch. Pomyślała, czy nie powiedzieć o tym Chrissie, czy nie pójść na ostry dyżur do szpitala, ale nieracjonalnie postanowiła położyć się spać z nadzieją, że rano plama zniknie i wszystko będzie w porządku. Skończyła się myć, włożyła piżamę, pobiegła do swojego pokoju i zamknęła drzwi, po czym weszła pod kołdrę.

- Dobranoc! - krzyknęła do Chrissie.
- Angela!
- Dobranoc!
- Dobrze się...
- Jestem zmęczona! Idę spać! Pogadamy rano!

Rano czarna plama na skórze zniknęła, ale w czterech rogach kołdry pojawiły się identyczne amebowate kleksy. Wydawało się, że są grubsze niż tamta plama na skórze, bardziej włochate i złowrogie. Przeżrana Angela z obrzydzeniem zrzuciła z siebie kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Szybko włożyła szlafrok, otworzyła drzwi i zawołała Chrissie, która najwidoczniej usłyszawszy strach w jej głosie, wbiegła do pokoju.

- Co się stało? - spytała, ale nim skończyła zdanie, zobaczyła, co to było. Jej oczy rozszerzyły się na widok czarnych rogów poszewki. - O mój Boże!
- Nie dotykaj tego! - ostrzegła ją Angela.

Nie zdążyła. Poszewka zwisała z łóżka, splątana z kołdrą, i Chrissie chwyciła za róg z brzegu. Palcem dotknęła czarnej pleśni ale natychmiast cofnęła dłoń. Na twarzy miała wyraz obrzydzenia. Wycofała się do drzwi, jakby groził jej jakiś wariat z nożem.

- Wczoraj wieczorem to było na mojej skórze - przyznała Angela. - To czarne. Powinam ci powiedzieć, powinienam pójść do szpitala, powinienam... sama nie wiem. Jak myślisz, co to jest? Wygląda jak pleśń. Czy powinniśmy zanieść poszewkę do...

- Suka! - wrzasnęła Chrissie. I zatrzęsnęła drzewi.

O co, do diabła, jej chodzi? Angela pobiegła za przyjaciółką, otworzyła drzwi i weszła do salonu.

- Chrissie?

Przyjaciółka odwróciła się z wściekłą, groźną miną. Czarny, pomyślała Angela. Taki wyraz twarzy nazywają czarnym. Wpatrywała się w celujący w nią palec Chrissie, ale nie dostrzegła śladu pleśni. Skóra była czysta.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, ty głupia brązowa suko - rozkazała Chrissie. W jej głosie dźwięczał prawdziwy jad. Przecisnęła się obok zszokowanej Angeli i weszła do swojego pokoju.

Zaniknęła drzwi. Przekręciła klucz.

## 11

### BEAR FLATS, KALIFORNIA

**W** kuchni pachniało bekonem, jajkami... i wódką.

Jolene zacisnęła szczęki, aż zaboląły ją napięte mięśnie pod uszami. Pamiętała ten ból z dzieciństwa. Matka siedziała na swoim tradycyjnym miejscu przy stole, maczając tost w resztkach żółtka na talerzu, i uśmiechnięta mruzczała coś do siebie. Jolene i to pamiętała z dzieciństwa - „dobry” okres, jak to sobie zwykle w myślach nazywała. Mama w szczycie formy: nie na tyle pijana, by być agresywna, nie na tyle trzeźwa, by się nad sobą użalać. Dawka alkoholu akurat taka, by uspokojona mama poczuła zadowolenie, odprężenie. Gdyby potrafiła tak wytrwać przez cały dzień, może życie w domu nie byłoby takie złe, ale ten stan był tylko chwilą wytchnienia między dramatycznymi wzlotami i upadkami; najlepszy stan cyklu, lecz również najkrótszy.

- Pośpiesz się i zjedz śniadanie - powiedziała Jolene do syna. - Czeka nas pracowity dzień.



Chłopiec usiadł cicho przy stole, a Jolene przygotowała mu talerz bekonu. W obecności babci ciągle zachowywał się trochę nieśmiało i nerwowo, i choć Jolene udawała, że tego nie zauważa, jednak zauważała.

I była wdzięczna.

Nie chciała, by czuł się zbyt swobodnie, żeby zbyt się do niej zbliżył. Mogłoby się to skończyć tylko zranieniem.

- Proszę - powiedziała, stawiając przed nim talerz. - Sok pomarańczowy czy mleko?

- Mleko - poprosił Skylar.

Postanowiła, że w końcu dziś rano spróbuje go zapisać do trzeciej klasy szkoły podstawowej w Bear Flats. Dziwna wydała jej się świadomość, że syn będzie chodzić do tej samej szkoły co ona w jego wieku. Ta perspektywa napawała go lękiem, ponieważ to oznaczało, że nie przyjechali tu na wakacje czy przerwę świąteczną, lecz przenieśli się na stałe, a Jolene miała w tej kwestii mieszane uczucia.

Jeśli mają się rzeczywiście przeprowadzić, powinna poważnie rozpocząć poszukiwania pracy.

Matka musiała czytać w jej myślach.

- Wiesz, jeśli chciałabyś robić coś pożytecznego, to Anne May Carter wspominała, że potrzebuje pomocy w towarzystwie historycznym. Theo Frye zwolnił się po tylu latach, a nowe muzeum ma być otwarte za kilka miesięcy. Nie wiem, ile płacą, ale to zawsze jakaś praca.

Jolene słyszała już o nowym muzeum. Dużo o tym mówiono w mieście, choć Bóg jeden wie dlaczego. Bear Flats nie należało do ważnych miejscowości turystycznych, nie miało też znaczenia historycznego. Realnie patrząc, przenoszenie muzeum z małego lokalu w centrum miasta do starej rezydencji Williamsów było równie ważne jak remont toalet w barze Taco Bell w Tucson. Jednak tutaj w Bear Flats mieszkańców ekscytowało to, że historia ich społeczności zostanie w końcu wyeksponowana w odpowiednio reprezentacyjnej siedzibie.

Choć zakłopotana, Jolene również czuła dumę na myśl, że obiekty historyczne znajdują się w dawnej rezydencji jedyne go tutejszego milionera. Jestem chyba większą prowincjuszka, niż sądziłam, pomyślała.

- Dziękuję, mam. Dowiem się.

Po śniadaniu pojechała ze Skylarem do szkoły. Miała nadzieję, że uda się go zapisać jeszcze dziś, dlatego wyjechali tak wcześnie, ale dyrektor poinformował ją, że należy wypełnić różne formularze i że Skylar może zacząć naukę dopiero wówczas, gdy poprzednia szkoła prześle faksem lub e-mailem kopię

dokumentacji. Zajmie to jeszcze dzień czy dwa.

Z parkingu przed szkołą Jolene zadzwoniła do Leslie.

- Cześć, tu Jolene.

- Jo!

- Czy wyświadczysz mi przysługę? Mogłabyś popilnować Skylara? Chciałabym umówić się na godzinkę z Anne May Carter.

- Oczywiście, nie ma sprawy. - Po chwili spytała: - Z Anne May?

- Matka powiedziała mi, że Anne potrzebuje pomocy przy przeprowadzce muzeum, bo Theo Frye odszedł, a mama chyba rozmawiała z nią o mnie.

- Jestem pewna, że potrafiłabym ci znaleźć lepszą ofertę.

- Nie wiem, czy chcę czegoś lepszego - stwierdziła Jolene. - To wygląda mi na zajęcie tymczasowe albo przynajmniej coś, z czego bez skrupułów zrezygnuję, a muszę sobie trochę ułożyć w głowie przed podjęciem poważnych zobowiązań. Ale obiecuję, że jeśli tu zostanę i będę szukała stałej pracy, to przede wszystkim zwrócę się do ciebie.

Leslie się zaśmiała.

- Umowa stoi.

Leslie wychodziła do pracy dopiero przed trzecią, więc Jolene podrzuciła syna do jej domu. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Chłopak nie czuł się swobodnie - nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach trudno przystosowywał się do nowego otoczenia - ale Jolene raczej nie mogła go zabrać na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie nowej pracy, choćby miała to być bardzo nieformalna rozmowa. A już z pewnością lepiej mu będzie pod opieką Leslie niż u babci. Jolene poprosiła, by był grzeczny, i obiecała, że wróci jak najszybciej. Wyszła pośpiesznie, nie czekając, aż syn powie coś, co skłoni ją do zmiany planów.

Parę godzin bez mnie dobrze mu zrobi, pomyślała. Dobrze mu zrobi, jeśli pozna trochę Leslie.

Okazało się, że Anne May potrzebuje pomocy od zaraz. Uzyskała grant od władz powiatu, dzięki czemu mogła zaoferować wynagrodzenie równe niemal podwójnej płacy minimalnej. Na jakieś dwa miesiące.

- To praca nie na pełen etat - stwierdziła starsza pani - ale nie znajdziesz tu w mieście lepiej płatnego zajęcia. Ani takiego, które dostarczy ci tylu interesujących informacji. Zarabianie i nauka, tak bym to określiła.

Spotkały się w starej siedzibie muzeum, obok sklepu papierniczego przy Main Street. Jolene powiedziała, że chciałaby zacząć już dziś, jeśli będzie mogła wyjść na tyle wcześniej, by odebrać syna przed trzecią.

- W porządku - obiecała Anne May. - Mamy bardzo elastyczny czas pracy. - Poklepała Jolene po ramieniu. - Poza tym wiem, że potrafisz ciężko pracować. A twoja mama mówiła mi, że przeżywasz trudny okres.

Jolene zmusiła się do milczenia. Jeśli matka rozpowiada naokoło o jej sytuacji, to na pewno po mieście krąży kilkanaście wersji wydarzeń.

- Pojedźmy do rezydencji Williamsów. Od siódmej pakuję rzeczy i już czas zawieźć tam trochę pudeł. Poza tym przedstawię ci nasze plany na przyszłość, a ty mi pomożesz przy kilku rzeczach, których nie zdołałam zrobić sama.

- To mi wygląda na pracę fizyczną - zauważyła Jolene. - Czy nie sądzi pani, że lepiej byłoby zatrudnić jakiegoś chłopca z liceum?

Anne May się roześmiała.

- Nie. Potrzebny mi ktoś, kto rozumie wagę tego, co robimy. Ktoś inteligentny, z kim mogłabym porozmawiać. Ponadto, bądźmy szczerze, damy radę przenieść prawie wszystko. A jeśli nie, to mamy George'a. Może błyskawicznie przyjechać z przyczepą.

Jolene wciąż nie była przekonana, czy nie lepiej spisałby się muskularny nastolatek, ale nic już nie powiedziała. Z dziesięciu pudeł osiem włożyły do furgonetki towarzystwa historycznego, Jolene zadzwoniła do Leslie i powiadomiła ją o zmianie planów, a potem z Anne May pojechały do siedziby Williamsów.

Piękna siedziba - taką ją Jolene zapamiętała. Chester Williams zmarł ponad pięć lat temu, ale od tego czasu ktoś najwyraźniej dbał o dom. Z gustem dobrane kwiaty były w pełnym rozkwicie, a okna błyszcząły nienaganną czystością.

- Przypuszczam, że jest pani szczęśliwa z powodu tej darowizny - rzekła Jolene.

- Tak, to piękny dom - odparła Anne May z entuzjazmem. - Ofiarowano nam nie tylko samą siedzibę, lecz również całe wyposażenie. Połączymy to z naszymi dotychczasowymi archiwami oraz z innymi darami i zmienimy to w autentyczną rezydencję z lat osiemdziesiątych XIX wieku. A na przyległych terenach stworzymy ekologiczne gospodarstwo z miejscową roślinnością. Oczywiście to trochę potrwa. Teraz przenosimy tylko muzeum, ale planujemy zmienić to miejsce w ciekawy i kształcący obiekt turystyczny.

Jolene uśmiechnęła się mimowolnie, bez cynizmu czy poczucia wyższości. Naprawdę dała się porwać entuzjazmowi kobiety i wbrew początkowemu sceptycyzmowi pomyślała, że muzeum w Bear Flats ma szanse stać się klejnotem

koronnym całego powiatu. Już sobie wyobrażała, jak przyjeżdżają do nich wycieczki szkolne z innych górskich miejscowości, a rodziny odwiedzają miasteczko w weekendy.

Anne May otworzyła frontowe drzwi. Obie wniosły pudełka i postawiły je na środku holu. Pod przeciwległą ścianę ktoś zsunął kanapy, krzesła, biurko i mały stolik, a na podłodze stały pudła, przetransportowane już wcześniej.

- Posegregujemy to, jak wszystko przewieziemy - powiedziała Anne May. - Teraz usiłuję się zorientować, gdzie najlepiej umieścić różne obiekty.

Jolene zajrzała w korytarzyk prowadzący do kuchni.

- Chcesz się rozejrzeć? Proszę bardzo. Ja zamierzam zajrzeć do kilku szaf wnękowych, może coś się da z nich wyrzucić. Zastanawiamy się, czy nie zorganizować publicznej wyprzedaży różnych rupieci, żeby zebrać trochę pieniędzy.

Jolene przeszła przez jadalnię, pokój dzienny dla całej rodziny, salon i gabinet, potem zajrzała do sypialni na piętrze - wszystkie pokoje utrzymane w doskonałym stanie, podobnie jak fasada domu. Już teraz wyglądało to na muzeum. Gdy zeszła na dół, Anne stała w spiżarni za kuchnią.

Jolene otworzyła wąskie drzwi po drugiej stronie kuchni, za którymi zobaczyła prowadzące w dół schody. Gdy nacisnęła wyłącznik obok futryny, zapaliło się światło.

Anne May z notatnikiem w ręku wyszła ze spiżarki.

- Co tam jest? - spytała ją Jolene.

- Jak mówiłam, nie miałam czasu wszystkiego sprawdzić. Między innymi dlatego potrzebna mi jest osoba do pomocy. Ciągłe inwentaryzuję schowki. Może byś się rozejrzała? Jeśli się natkniesz na coś interesującego, zawołaj mnie. A może wolisz od razu katalogować przedmioty na dole? Weź z bufetu notatnik z napisem „Inwentaryzacja” i kontynuuj spis od kolejnego numeru. Łatwo się zorientujesz. Naśladuj poprzednie wpisy i przyklejaj te małe pomarańczowe karteczki na przedmioty, które wpiszesz do zeszytu.

Jolene wzięła notatnik i długopis i zeszła do piwnicy. Panowała tam chłodna wilgoć, ale Jolene nie z tego powodu dostała dreszczy, schodząc pod podłogę kuchni. Nie, to było dziwne odczucie atmosfery, a nie jej fizyczne cechy. Może pod wpływem niektórych obejrzanych filmów Jolene miała teraz wrażenie, że jest w domu nawiedzanym przez duchy, i zaczęła się nagle zastanawiać, gdzie dokładnie i w jaki sposób zmarł Chester Williams. Schody

trzeszczały pod jej stopami. Odległy koniec piwnicy pograżony był w mroku, światło pojedynczej gołej żarówki nie sięgało aż tak daleko.

Dotarła na sam dół i się rozejrzała. Spodziewała się, że zobaczy magazyn mebli okrytych pokrowcami czy tajemniczych skarbów, przywiezionych z legendarnych podróży Williama. Tymczasem znalazła się w pomieszczeniu tylko trochę większym od salonu w domu jej matki. Niski sufit z nagich drewnianych bali, brudna drewniana podłoga, pod zachodnią ścianą warsztat z narzędziami, jakieś resztki codziennych przedmiotów rozrzucone pośrodku.

Może wyniesiono stąd rzeczy przed przekazaniem rezydencji towarzystwu historycznemu?

Nie, wówczas piwnica nie byłaby taka zakurzona.

Najprawdopodobniej tej części domu nie używano od lat, może nawet od dziesięcioleci.

Jolene przeszła powoli przez półmrok, czując ten sam dziwny zimny lęk co wcześniej. Dalej, w pobliżu południowej ściany, dostrzegła kwadratowy kontur na podłodze.

Czyżby kłapa?

Jolene podeszła bliżej, odsuwając na bok wiklinowy koszyk. Tak. Wprawdzie dochodziło tu tylko przyćmione światło, ale bez wątpienia widziała rączkę ukrytą w zagłębieniu w desce.

Czyżby pod tą piwnicą znajdowała się następną?

Jeśli tak, to od dawna nikt do niej nie wchodził. Podłogę w tym miejscu pokrywał kożuch kurzu grubszy od tego w centrum pomieszczenia. Jolene słyszała nad głową kroki Anne May. Spojrzała na pokryty pajęczynami sufit, potem na podłogę i zastanawiała się, co jest poniżej. Nigdy przedtem nie zetknęła się z podwójną piwnicą i nie potrafiła sobie wyobrazić, w jakim celu coś takiego zbudowano, ale miała wrażenie, że powód nie jest godziwy.

*Godziwy?*

Cóż to za słowo?

W każdym razie pasowało.

Schyliła się, wyciągnęła rękę w stronę uchwyty i gdy tylko palce dotknęły zimnego metalu, gwałtownie cofnęła dłoń. Serce waliło jej jak młotem. Nie miała tyle odwagi, by sama otworzyć kłapę, i nie była pewna, czy ma prawo to zrobić, zawołała więc Anne May, a gdy kobieta nie odpowiedziała, Jolene wbiegła po schodach do słonecznego prawdziwego świata. Miała wrażenie, że wynurzyła się z piwnicy Drakuli. Widok okien nigdy nie wydawał jej się tak

upragniony. Zastała Anne May w szafie wnekowej w przedpokoju, znajdującym się tuż nad tamtą częścią piwnicy. Jolene wyjaśniła, co znalazła.

- Och, to ekscytujące! - Twarz Anne May się rozpromieniła. - Sekretna piwnica! Właśnie dla takich odkryć warto żyć. - Położyła notatnik na półce szafy wnekowej i za Jolene poszła do kuchni.

- Ma pani może latarkę? - spytała Jolene. - W piwnicy jest dość ciemno, a nie jestem pewna, czy tam głębiej jest jakieś oświetlenie.

- Zaraz wracam! - Anne May pobiegła do furgonetki i po chwili wróciła z dwiema latarkami. - Dobry historyk jest zawsze przygotowany - stwierdziła, wręczając jedną latarkę Jolene.

Zeszły po schodach.

I tym razem Jolene odczuła głęboki niepokój, a gdy prowadziła Anne May w stronę klapy, dostała gęsiej skórki, co uznała za skutek panującego chłodu. Przygotowały się na znaczny wysiłek: razem pociągnęły za małą rączkę, żeby otworzyć włącz, ale musiał tam być zawias sprężynowy, ponieważ klapa dość łatwo odskoczyła, odsłaniając prymitywną drabinę przymocowaną do krawędzi otworu. Niecałe dwa metry poniżej zobaczyły podłogę z ubitej ziemi. Poświeciły latarkami w ciemność. Na środku pomieszczenia stało coś w rodzaju półek na książki. Na półkach nie było jednak książek, lecz małe, trudne do rozpoznania przedmioty.

Jolene opanowała trwoga przed zejściem na niższy poziom piwnicy. Nie tylko czuła nieufność, lecz wręcz się bała. Anne May natomiast wetknęła już latarkę za pasek spodni i ruszyła w dół po drabinie. Cóż było robić - Jolene podążyła za nią.

W powietrzu unosił się zapach brudu i starości, jakby przebywał tam ktoś, kto dawno nie korzystał z łazienki.

Anne May stanęła przed półką.

- Co to takiego? - spytała zaintrygowana. Wzięła do ręki okrągły, brązowy skórzasty przedmiot oraz stojący obok, identyczny.

To były uszy.

Jolene poświeciła latarkę. Na półce obok uszu leżało kilka palców i przedmiot wyglądający bezsprzecznie jak penis. Pod pewnym kątem z haków na suficie zwisały skalpy niewidoczne z góry. Długie czarne warkoczki i kucyki, najprawdopodobniej indiańskie.

- O, rety! - krzyknęła Anne May i to zawołanie wydało się Jolene tak nieadekwatne do sytuacji, że omal się nie roześmiała.

Omam.

Widok był jednak makabryczny, odbierał wszelkie poczucie humoru, przytłaczał niewypowiedzianą grozą. Żadna z nich się nie odezwała. Przesuwały tylko latarkami po kolejnych półkach, oświetlając uszy i palce u rąk, palce u nóg, genitalia, stopy, a nawet coś, co przypominało czarne, wyschnięte serce. Dlaczego to tu jest? Czy Chester Williams trzymał te szczątki na pamiątkę?

Skąd ten zbiór? Z wojny? A może był on seryjnym mordercą, który gromadził części ciała swoich ofiar w tej ukrytej piwnicy?

Gdy po raz pierwszy zobaczyła klapę, miała przeczucie, że nic dobrego nie może się kryć w sekretnym pomieszczeniu, zakopanym tak głęboko pod ziemią. I to się potwierdziło.

- Co to jest? - spytała.

Miała na myśli to wszystko - drugi poziom piwnicy, półki i skalpy. Ale Anne May pomyślała, że chodzi o przedmiot, który Jolene wskazywała palcem.

- Myślę, że to kutas - odparła prostolinijnie, obracając się wokół.

Jolene znów pomyślała, że w innych okolicznościach bardzo by ją to rozśmieszyło. Nie tutaj. Nie teraz.

- Spójrz na to - powiedziała Anne May, kucając i kierując snop światła na dolną półkę. Wyciągnęła stamtąd książkę w delikatnie zdobionej oprawie.

Anne May otworzyła tom na pierwszej stronie, a potem powoli przewracała kartki, gdy Jolene przyświecała latarką.

- To dziennik! - stwierdziła. - Dziennik Chestera Williama! - Odwróciła ostatnią kartkę. - Nie, niemożliwe. Zaczyna się w 1874 roku, a kończy w 1876. On się nawet jeszcze wtedy nie urodził. Ale nazwisko na odwrocie brzmi „Chester Williams”. Musiał należeć do jego ojca! Albo do dziadka! - Spojrzała na Jolene z triumfalnym uśmiechem. - A nie mówiłam, że to fascynująca praca?

Jolene próbowała się uśmiechnąć, ale była bardziej przerażona niż zafascynowana i z jakiegoś powodu cały czas myślała o tej koszmarnej postaci, którą ze Skylarem widzieli w oknie sypialni. Brązowa pomarszczona twarz idealnie by pasowała na półkę obok palców i stóp.

- Wróćmy na górę - zaproponowała. - Robi się tu duszno, a ja mam alergię.

- Fascynujące - mamrotała Anne May, patrząc na książkę.

- Mam pomysł. Może się zamienimy? Pani zostanie na dole i zrobi spis, a ja pójde na górę?

- Nie, nie. Obie wracamy. Muszę ci jeszcze tyle pokazać. Ale potem na pewno tu zejde. Tyle jest tu stawy dla myśli. - Rozejrzała się po ciasnym mrocznym pomieszczeniu. - Co to było według ciebie? Dlaczego zgromadzo- no te wszystkie części ciała?

- Nie wiem - odparła Jolene szczerze.

I wolala nie wiedziec.

Skylar siedzial na kanapie przed telewizorem i pilotem przerzucał kanały, a pani Finch siedziala na drugiej kanapie i przerzucała kartki czasopisma. Przyjaciółka mamy byla miła i w ogóle w porządku, ale najwyraźniej nie miewala kontaktu z dziećmi i nie wiedziala, jak się z nimi postępuje, a zostala wrobiona w rolę opiekunki. W pewnym sensie Skylar jej współczuł i po raz pierwszy się cieszył, że wkrótce idzie do szkoły. Wśród swoich rówieśników zdoła się rozluźnić, być sobą i nie będzie musiał przejmować się tak bardzo dorosłymi.

Ale i tak nie chial mieszkać w tym mieście.

Ostatniej nocy śniło mu się, że do Bear Flats przyjechał ojciec, żeby go porwać i zabrac do Yumy. To był w zasadzie koszmar, a nie sen, ponieważ Skylar nie chial wrócić z ojcem i po jego wzroku poznal, że kiedy tylko zostaną sami, zrobi tym razem coś naprawdę szalonego. Jednak chial wrócić do Yumy i ta część snu byla całkiem fajna.

Gdyby tylko to tata wyjechał, a on i mama mogli zostac w Arizonie.

Zadzwonil telefon i pani Finch skoczyla, by go odebrac, jakby wdzięczna, że w końcu ma coś do roboty, co jeszcze bardziej pogorszyło samopoczucie Skylara. Rozmowa telefoniczna odbywala się w sąsiednim pokoju, więc chłopiec nic nie słyszał, ale kobieta prawie natychmiast wróciła.

- Wybacz, dzwonili z restauracji - powiedziala. - Jestem im tam potrzebna. Muszę pójść tam na jakiś kwadrans.

- Mogę tu zostac? - spytal.

- Nie. Sam nie mozesz. Ale to nie potrwa długo. Dostaniesz frytki i colę, a ja załatwie swoje sprawy. Zgoda?

- Możemy pójść pieszo zamiast jechać samochodem? - Wypowiadając to pytanie, nie wierzył własnym uszom. Przejście w pobliżu cmentarzyka, gdzie straszą duchy, było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął... a jednak o to właśnie poprosil panią Finch.

- Oczywiście - odparła. - Muszę tylko wlożyć buty.



Po co zaproponował coś tak głupiego?  
Ponieważ stale myślał o tych grobach...

*Matka, Córka*

...od tamtego dnia, gdy obok nich przeszli.

I chciał je znów zobaczyć.

To prawda. Samo wyobrażenie cmentarzyka przerażało go, ale równocześnie intrygowało. Prawdopodobnie dlatego poprosił, by przeszli obok tego miejsca.

Pani Finch zmieniła sandały na tenisówki, wzięła torbę i wyszli z domu. Szli drogą, obok kościoła, potem skręcili w leśną ścieżkę. Tym razem Skylar odniósł wrażenie, że ścieżka jest bardziej mroczna, straszna, choć może dlatego, że wiedział, co napotkają. Pani Finch chyba się niczym nie przejmowała, ponieważ rozmawiała z nim cały czas beztrąsko i swobodnie, i Skylar pomyślał, że może wcale nie zależy jej tak bardzo na tym, by się go pozbyć. Opowiedziała mu, jaka była jego mama w dzieciństwie, i choć wydawało się to dziwaczne, to jednak było też fajne. Uświadomił sobie, że mama nieczęsto wspominała przeszłość. Ciekawe dlaczego.

Doszli do miejsca, gdzie ciaśniej rosły wyższe i grubsze drzewa i - jak zapamiętał Skylar - to tu, w tej ciemniejszej części lasu, nieco na uboczu, stał płotek z białych desek. Dostał gęziej skórki. Nagle pożałował, że tamtędy szli, pragnął przyśpieszyć i nie oglądać się za siebie. Ale jak przedtem, zawiódł go język.

- Czy mogę na to zerknąć? - spytał nieoczekiwanie.

Dlaczego to powiedziałem? - zastanawiał się.

Pani Finch się zawahała.

- Tylko chwilkę - obiecał. Skinęła głową.

- Dobrze.

- Czy naprawdę słyszała pani głosy? - Podeszli do płotku w zagłębieniu terenu.

- Tak, słyszałam - potwierdziła.

Zamilkli, a gdy Skylar spojrzął nad sztachetami i zobaczył nagrobki, wyglądały dokładnie tak, jak oczekiwał: szare i zniszczone, a słowa „Matka” i „Córka” wyryto w granicie ozdobnym staromodnym pismem.

- Chodźmy - ponagliła pani Finch. Skylar chciał wierzyć, że śpieszyło jej się do restauracji, ale wyczuł, że przyczyna tego pośpiechu była inna.

Odwrócili się...

I usłyszeli mamrotanie.

Po ciele Skylara przebiegł mokry dreszcz, jakby ktoś chlusnął na niego wodą. Niewiadome było źródło tego dźwięku, ale mamrotanie przybierało na sile i bez wątpienia pochodziło spod ziemi. Dobiały do niego słowa, zdania, ale niczego podobnego wcześniej nie słyzył - gwałtowna bezładna mieszanka na wysokich dźwięków, sylab wypowiedanych bez żadnej pauzy.

Przypomniał sobie złą twarz za oknem, jej świdyjący wzrok i zły uśmiezek.

Teraz słyzył język tej strasznej postaci.

- Idziemy! - poleciała pani Finch i pociągnęła go za rękę. Nie opierał się i pozwolił się odciągnąć. Szybko dotarli z powrotem na ścieżkę. Za plecami słyzyli coraz głośniejsze mamrotanie.

- Co to takiego? - spytał, gdy ruszyli prawie biegiem. - Czy myśli pani, że to rzeczywiście? - Wiedział, że tak, ale chciał, by dorosła osoba zaprzeczyła. Powiedziała, że to nie potwory, nie strazydła i że nie ma czego się bać.

- To samo słyzyłam wcześniej - odparła.

Choć nie była tak wystraszona jak on, w jej głosie wyczuł strach.

Zwolnili dopiero, gdy dotarli do zabudowań i ulicy.

Chciał powiedzieć pani Finch o twarzy za oknem, chciał, żeby wiedziała, że po pierwszym spacerze coś, co było w lesie przy cmentarzyku, próbowało odszukać jego i mamę. Pani Finch szła jednak żwawo w kierunku Mag's Ham Bun i Skylar odniósł wrażenie, że zdecydowanie nie miała ochoty o tym rozmawiać, a jego podejrzenie potwierdziło się, gdy usłyzył:

- Gorąco dzisiaj, co? Założę się, że cola dobrze ci zrobi.

- Tak - odparł. Nie myślał jednak o gorących dniach i chłodnych napojach. Myślał o strasznym mamrotaniu dochodzącym z grobów i na to wspomnienie cierpła mu skóra.

Matka, Córka.

Pamiętał okropną twarz, którą widziała też mama.

I zastanawiał się, co tej nocy zobaczą za oknem.

Mówię ci, nie porwano żadnego pociągu. W sieci nie ma nic o żadnych nie-upoważnionych lokomotywach na jakiegokolwiek trasie. W zeszłym tygodniu też nie było.

- Widziałem ją w Kolorado, tuż za Grand Junction. Gdybym nie skręcił na bocznice, zabiłaby mnie, a spółka straciłaby cholernie dużo pieniędzy.

- Rozumiem, co mówisz. Czytałem raport.

- Więc?

- Co, więc? - Holman podrapał się po łysiejącej głowie. - Posłuchaj, Tom, nie wiem, co się wydarzyło. Może byłeś zmęczony. Może to sobie wymyśliłeś. Może... może to było jakieś złudzenie optyczne. Jedyną rzeczą, której jestem pewien, jest to, że na tym szlaku nie mogłeś spotkać samotnej lokomotywy.

- Ani lokomotywy-widma?

- Teraz po prostu zgrywasz głupka.

- Widziałem ją, Pete. Z daleka, na zakręcie. Nie jakieś mignięcie niewyraźnego kształtu. To była czarna lokomotywa. Patrzyłem, jak ku mnie pędzi, i musiałem uciekać na bocznice. Kiedy się zbliżyła, jej światła praktycznie mnie oślepiły. Widziałem ją!

„Z pewnością”, chciał powiedzieć Holman, ale zachował milczenie. Wyjrzał przez okno. Na opustoszałym niebie obłoki wyglądały jak stado miniaturowych tyranozaurów przeskakujących przez płotek, by zaatakować przerośniętego jamnika.

Takie życie może doprowadzić człowieka do szaleństwa. Holman nie wiedział, dlaczego - może to wykorzenienie, samotność albo jednostajny rytm pracy - ale bez względu na powód wśród kolejarzy było znacznie więcej hipochondryków, paranoików czy zwolenników teorii spiskowych niż wśród innych ludzi.

Przynajmniej tak wynikało z jego doświadczenia.

A Tom Miller był typowym tego przykładem.

Maszynista opuścił biuro sfrustrowany i gniewny. Holman westchnął, obrócił się na krześle i ponownie spojrzął na niebo. Do diabła, sam zaczynał wariować. Już od trzech lat pracował w biurze zajezdni kolejowej i więcej

czasu spędził, obserwując chmury niż pociągi. Przemawiała do niego przypadkowość chmur, amorficzne, ciągle zmieniające się kształty. Lubił na nie patrzeć. Stado miniaturowych tyranozaurów, które widział przed kilkoma minutami, połączyło się w wielosegmentowego węża. Gigantyczny jamnik stał się teraz tonącym „Titanikiem”.

Pociągi nigdy się nie zmieniały. Kryte wagony pozostawały krytymi wagonami. Kiedy czasem widywał zabytkowe wagony mieszkalne, cieszył się jak dziecko - był to jedyny widok, który dawał powód do radości.

- Masz! - krzyknął Tom ze swojego gabinetu. - Masz! Mówiłem ci, ty sukinyń! Mówiłem!

Holman poszedł zobaczyć, o co chodzi. Maszynista siedział przed komputerem i oglądał amatorską stronę jakiegoś miłośnika pociągów. Używali oni cyfrowych kamer internetowych, by rejestrować pewne odcinki szlaku - obserwowali planowane przewozy pasażerów i ładunków.

Tym razem złapali coś innego.

Holman zszokowany patrzył w ekran.

To rzeczywiście była czarna lokomotywa, ale niepodobna do żadnej, jaką kiedykolwiek widział. Pędziła po torach w środkowym Kolorado, minęła pociąg na bocznicę, który mógł być pociągiem Toma lub kogoś innego. Niezwykle było to, że lokomotywa nie miała oznaczeń, żadnych charakterystycznych szczegółów, nie mógł też rozpoznać modelu. Wyglądała jak lokomotywa z dziecięcego rysunku, która zyskała trzeci wymiar i ożyła. Jej związek z rzeczywistością wydawał się podobnym uproszczeniem.

Tylko że...

Tylko że emanowała wrogością i dzikim gniewem. Maszyna wyglądała ponuro - czarna, zwalista i masywna - a sposób, w jaki minęła pociąg stojący na bocznicę, szybkość, z jaką przemknęła, i objętość dymu wypuszczonego w tamtej chwili świadczyły o ogromnej wściekłości. Holman nie wątpił, że gdyby inny pociąg znalazł się na tych samych torach, lokomotywa przejechałaby, miażdżąc go, i popędziła dalej bez szwanku.

Tom nacisnął klawisz komputera i ponownie odtworzył scenę z pociągiem.

- Mówiłem ci!

- Co to jest? - zastanawiał się Holman. Zdał sobie sprawę, że powiedział to głośno, dopiero wtedy gdy wszyscy inni w biurze odpowiedzieli: „Nie mam pojęcia”, „Tu mnie masz” i „Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego”.

„Lokomotywa widmo”, powiedział wcześniej Tom. Nie żartował i Holman rozumiał już dlaczego. Od czasów jego ojca krążyły opowieści o pociągach widmach, plotki o „Latającym Holendrze” w wersji kolejowej, kalki innych mitów sklecone przez znudzonych konduktorów lub zmęczonych techników na nocnych zmianach. Holman, ani żadna ze znanych mu osób, nie wierzył w te historie, ale teraz przypomniało mu się powiedzenie, że każda legenda ma w sobie ziarno prawdy.

Patrzył na czarną lokomotywę, mijającą w pędzie kamerę internetową. Może więcej niż ziarno.

- I co teraz o tym myślisz? - zapytał Tom triumfalnie.

- Wierzę ci - odrzekł Holman zwyczajnie.

Ta odpowiedź zaskoczyła Toma.

- Więc, hm, co to według ciebie jest?

- Nie mam pojęcia. Ale nie zarejestrował jej żaden z naszych czujników i nie ma jej w sieci.

- Lokomotywa widmo? - spytał Tom. Triumf nie malował się już na jego twarzy.

- To możliwe - przyznał Holman. - To możliwe.

## 13

### SELBY, MISSOURI

Luke, poprzedni recepcjonista, miał rację. Ta praca była po prostu do dupy.

Dennis siedział za kontuarem, czytając Barry'ego Welcha w miękkiej okładce o sabacie czarownic we wspólnocie mieszkaniowej w Utah. Często podnosił wzrok, by zobaczyć, czy ktoś na szosie nie zamierza przypadkiem skrócić na motelowy parking. Przez cały ranek nikt się nie zameldował ani nie wymeldował, a jego kontakt z ludźmi ograniczył się do groteskowo spasionego mężczyzny spod numeru 110, który przyszedł się poskarżyć, że lód z maszyny do lodów zbyt szybko topnieje.

Dennis obiecał, że poinformuje o tym właściciela.

Nie powiedział мамie i siostrze, że tutaj pracuje. Myślały, że nadal nieśpiesznie przemierza wiejskie tereny i podziwia cuda tego wielkiego kraju.

Gdyby obie - mama z nieznośnym podejściem „a nie mówiłam” i Cathy z trudniejszym nawet do zniesienia uprzejmie maskowanym rozczarowaniem - dowiedziały się, że spędza dnie w nędznej recepcji podłego motelu w Selby, w Missouri, nadskakując psychotycznym kolosom, zażądałyby jego powrotu szybciej, nim zdążyłby powiedzieć „dam sobie radę”.

Jeszcze dwa tygodnie i wyjeżdżam, postanowił. Do tego czasu powinienem mieć dość pieniędzy, by dotrzeć aż na wybrzeże.

Powrócił do powieści.

- Wstrętna baba jaga i stara łamaga! Wstrętna baba jaga i stara łamaga!

Głowa Dennisa podskoczyła na dźwięk dziecięcego chóru.

- Wstrętna baba jaga i stara łamaga! Wstrętna baba jaga i stara łamaga!

Znał ten refren. Zapomniał o nim, ale kiedy był mały, chłopcy z sąsiedztwa śpiewali tak za jego matką, gdy zobaczyli ją na ulicy. Cathy, zbyt mała, nie wiedziała, co się dzieje, ale on był śmiertelnie zażenowany i dopiero kiedy ojciec, wracając z pracy, przyłapał chłopców, pouczył ich i zagroził, że powiadomi rodziców, drwiny w końcu ustały.

Tutejsi chłopcy wykrzykiwali rymowaną za starszą Chinką idącą chodnikiem przed motelem i Dennis doświadczył dziwnego uczucia *déjà vu*. Był teraz dorosły, mógł powstrzymać te dzieci tak samo, jak uczynił to jego ojciec. Upewnił się, że kasa jest zamknięta, i wybiegł na zewnątrz.

- Natychmiast przestańcie! - rozkazał. - Zostawcie tę kobietę w spokoju!

Starsza pani pośpiesznie się oddaliła, a dzieci zwróciły ku niemu. Było ich troje - dwóch chudych brudnych chłopców w obciętych dżinsach i T-shirtach oraz jeden wojowniczy gruby chłopak w dżinsach i porwanej hawajskiej koszuli. Wszyscy patrzyli na niego z ponurą niechęcią.

- Kim jesteś? - spytał jeden z chudych chłopców.

- Nie twój interes.

- Czy to twoja mama? - Gruby dzieciak zaśmiał się szyderczo.

- Idźcie do domu! - rozkazał. - Wyoście się stąd!

- Nie! - krzyknęli wszyscy.

- Już!

- Żółtek! - wrzasnął do niego gruby chłopak. Podniósł grudkę żwiru z chodnika i rzucił.

Dennis podbiegł do dzieciaka, ale łobuz nie reagował i dopiero gdy Dennis ryknął: „Skopię ci pieprzony tyłek!” najgroźniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć, gówniarz w końcu zwał, a jego kumple za nim.

Dennis zatrzymał się, a chłopcy czmychnęli za róg. Do cholery, co dzisiaj dzieje się z dziećmi? Nawet te z głuchej prowincji chyba straciły lęk przed dorosłymi. Kiedy był mały, nawet najbardziej mięczakowaty dorosły był osobą, którą szanowano i której się obawiano. Teraz trzeba było gróźb, by wywołać u nich choćby niemrawą reakcję.

Ruszył z powrotem do biura motelu. „Żółtek”. Niemal się roześmiał. Czy słyszał to słowo kiedykolwiek wcześniej? Widział je w starych książkach, ale to wszystko. Wydawało mu się, że to słowo nigdy nie pojawiało się nawet w filmach.

Najwidoczniej na zadupia postęp społeczny dociera bardzo powoli.

*Czarnuchy i żydki.*

Powrócił myślami do Pętli Sprawiedliwości w Twierdzy i uśmiech na jego twarzy zamarł. Nagle anachroniczny rasizm dziecka przestał być tak niewinny. Dennis zdał sobie sprawę, że tutaj nietolerancja miała swoją historię, istniała tradycja, z jaką nigdy nie zetknął się na Wschodnim Wybrzeżu, i silniej niż kiedykolwiek przedtem poczuł się jak obcy w obcym kraju.

Wrócił do biura, wziął książkę i dalej czekał na klientów, którzy nie przychodzili.

Tej nocy śnił o świecie, który musiał być piekłem. Pod gorejącym czerwonym niebem, na niekończącej się równinie palącego piachu, czarne stworzenia na koniach zaganiały jego i setki innych młodych ludzi. Stworzenia przypominały mu wydłużonych Abrahamów Lincolnów, ale na tle czerwonego nieba widział tylko ich sylwetki. Rysy ich twarzy nie były widoczne. Wokół niego inni młodzi ludzie płakali i zawodzili, a on wiedział z całą pewnością, że wszyscy umrą.

Za to akurat był wdzięczny. Wszyscy byli. Każde wyjście wydawało się lepsze od tej egzystencji i kiedy ogniste czerwone niebo szerniało, mroczna olbrzymia masa wychynęła z nicości za nimi i padł cień - chłodny, oczekiwany i znajomy.

Cień śmierci.

Rankiem Dennis obudził się późno. Ten dzień miał wolny i planował go wykorzystać na zwiedzanie Selby. Znał miasto powierzchownie, jak typowy

turysta. Wiedział, gdzie są bary szybkiej obsługi, sklep spożywczy, stacje benzynowe, główne skrzyżowania. Jednak poza tym Selby stanowiło dla niego plamę jednakowych domów i wydało mu się, że poznanie społeczności, w której mieszka, nawet jeśli był tu tylko chwilowo, to dobry pomysł.

Mógł pojechać samochodem, ale miasteczko było małe, i postanowił pójść pieszo. Szedł chodnikiem, potem skręcił z Main Street w Crescent Avenue, gdzie teren szkoły podstawowej płynnie przechodził w park, a potem w teren gimnazjum.

W tym mieście dostrzegł coś znajomego. Nie, nie znajomego. Oczekiwanego. Nie, nie dokładnie oczekiwanego. Wygodnego. Nie, to też nie.

Nie wiedział, co to za uczucie, nie potrafił go opisać. Jego matka wierzyła w reinkarnację i powiedziałaaby, że prawdopodobnie był tutaj wcześniej, w poprzednim życiu. To doświadczenie rzeczywiście miało taki posmak i choć tak naprawdę nie wierzył w reinkarnację, ponownie poczuł, że jest w mocy czegoś, co go przerasta, że istniał powód, dla którego wyruszył w tę podróż - i powód, dla którego właśnie teraz znajduje się w Selby.

Poszedł aleją aż do końca. Poprzeczną ulicę, na której kończyła się Crescent, wysadzono wysokimi drzewami. Ich szczyty kołysały się złowieszczą na wietrze, który nie docierał do powierzchni ziemi. Zamiast skręcić w lewo czy w prawo Dennis poszedł prosto. Coś poprowadziło go między drzewami, za którymi znalazł nie las, jak oczekiwał, lecz najwyraźniej plac budowy. Na skraju otwartej przestrzeni rosły wcześniej drzewa, ale ścięte i zepchnięte stały się martwymi pniami. Pylisty teren całkowicie pozbawiono roślinności.

Na chwilę się zatrzymał, by ogarnąć ten widok, a potem pośpieszył dalej, po głębokich śladach pojazdów gąsienicowych, obok palików oznaczonych kolorami, aż dotarł do przeciwległego krańca działki budowlanej. Do tej linii, za którą wyparto dzikie zarośla. Dennis wspiął się na rumowisko, przeszedł między drzewami i wśród krzaczastego poszycia, aż dotarł do celu swojego spaceru; odnalazł przyczynę, dla której go tu sprowadzono.

To był cmentarz.

Przynajmniej tak podejrzewał. Ale nie stały tu żadne rytualne obiekty, zwykle kojarzone z cmentarzami. Nie widział nagrobków, krzyży, skoszonoj trawy, żadnych dokładnie wymierzonych działek cmentarnych. Tylko rzadkie, nieregularne wzgórki na nieoznaczonej otwartej przestrzeni i kilka głazów, które



mogły być przypadkowo osadzonymi skałami, ale Dennisowi wydało się, że umieszczono je tu celowo. Stał na skraju małej polany. Dołożono wysiłków, by ukryć to miejsce pochówku, by wyglądało ono tylko na zwykły kawałek ziemi, i Dennis zastanawiał się dlaczego.

Pobliskie wiązy nadal kołysały się na wietrze, którego nie czuł, a poranne słońce jeszcze nie wzniosło się nad szczytami drzew, więc na cmentarzu panował półcień. Przyprawiało go to o dreszcze i chciał odejść, ale pozostał na miejscu, pewny, że musi się tutaj czegoś nauczyć, że ma coś z tego wynieść.

O co chodziło ostatnio z tym całym mistycyzmem? Nie istniała absolutnie żadna obiektywna przyczyna, dla której mógł sądzić, że wyznaczono go do jakiegoś zadania. A jednak właśnie tak uważał. Miał to głębokie przekonanie. I nie miał pojęcia dlaczego. Przypisałby je faktowi, że przez ostatnie dni był sam, ale to przekonanie towarzyszyło mu od początku tej podróży, co więcej, w jakiś dziwny sposób było ono przyczyną tej podróży.

Pomyślał o masywnym potworze ze swojego snu, gigancie za dymną ścianą.

Zdał sobie sprawę, że boi się pójść naprzód, boi się znaleźć na terenie cmentarza. Popeniłby bluźnierstwo. Instynktownie to wiedział. Czuł to w kościach.

*Kości.*

Czyje kości tu leżały? - zastanawiał się Dennis, spoglądając na dziki teren. I dlaczego dołożono tak wiele wysiłku, by ukryć ten cmentarzyk? Zmusił się do wejścia na cieniastą polanę, uzbroił się przeciw metafizycznemu atakowi, który jednak nie nastąpił. Ostrożnie przekroczył jeden z tych niby-wzgórków, zatrzymał się i nachylił nad wypukłą skałą wystającą z ziemi. Czy na upstrzonej szarej powierzchni coś napisano? Zmrużył oczy, przysunął się bliżej. Jeśli kiedyś był tam napis, symbole dawno zostały zatarte, ponieważ nie widział nic, prócz porowatych i chropowatych skał podobnych do innych wokół miasta.

Nagle naszła go chęć rozkopać jeden z pagórków i zobaczyć, co jest pod spodem.

Podejrzewał, że wcale nie będzie to człowiek.

Drzewa przestały się poruszać, wiatr wysoko nad ziemią zamierał i ponad wierzchołkami wiązów pojawiło się słońce, świetlna drzazga o kształcie półksiężyca, niczym szczelina w drzwiach otwierających się na zacieniony teren

poniżej. Dennis wstał. Przepuścił okazję. Nie dowiedział się w tym miejscu niczego ani niczego mu tutaj nie przekazano. Okno się zamknęło.

Odchodził powoli drogą, którą tu przyszedł, zastanawiając się, czy tajemny cmentarz chciano zrównać z ziemią. Dookoła toczyły się prace, ale ten mały kawałek ziemi i bariera drzew oraz krzewów pozostały do tej pory nie-naruszone i Dennis dostrzegł w tym coś złowieszczonego. Jakby wokół tego miejsca istniało pole ochronne, by trzymać niszczące działania na bezpieczną odległość.

Po drugiej stronie zmiażdżonych buldożerem krzaków pojawili się robotnicy - uruchamiali ciągniki i pojazdy gaśnicowe. Kiedy szedł przez oczyszczony teren ku drodze, nikt go nie zatrzymał ani nie wypytywał, więc kontynuował zwiedzanie miasta, spacerując wśród domów. W przemysłowej dzielnicy Selby znalazł bar topless, kupił colę w rodzinnym sklepie spożywczym sąsiadującym z zabita deskami mleczarnią. Selby było większe i bardziej urozmaicone, niż wydawało się z samochodu, ale bez względu na to, gdzie szedł i co widział, myślał o dzikim cmentarzyku. Ten dręczący obraz nie chciał go opuścić.

A jednak postanowił poszerzyć wiedzę o swoim tymczasowym miasteczku choćby po to, by porozmawiać o nim z Cathy - później, kiedy na wesoło i z perspektywy czasu będą mogli spojrzeć na jego doświadczenia. Po szybkim lunchu w fast foodzie Jack in the Box wsiadł do samochodu i pojechał w kierunku przeciwnym do placu budowy oraz ukrytego cmentarza. Mijał skupiska tanich sklepów, dilerów samochodów, salonów piękności i kościołów.

Jedyna stacja radiowa w Selby była automatyczną rozgłośnią muzyki country nadającą chyba te same melodie w tym samym porządku w dwudziestoczterogodzinnych cyklach. Właściciel motelu włączał ją w biurze na cały dzień i całą noc. Dennis sądził, że jeśli jeszcze raz będzie musiał wysłuchać Tima McGrawa, rozbije to cholerne radio i wypieprzy je przez okno.

Przejrzał swoje płyty, żałując, że nie zabrał ich więcej. To dziwne, jak w czasie podróży zmieniły mu się upodobania muzyczne. Płyty z najświeższym rockiem, których bez końca słuchał w swojej sypialni w domu, szybko straciły swój blask. Pragnął teraz muzyki bardziej ekscentrycznej, oryginalnej. Żałował na przykład, że nie wziął płyty Brigit's Well pod tym samym tytułem, nagranej przez celtycki duet z klasycznym muzycznym wykształceniem. Kupił ją kilka lat temu na festiwalu irlandzkim po występie tych dwóch kobiet. I

choć od tamtego czasu słuchał tej płyty sporadycznie, zapadające w pamięć melodie pozostawały przy nim i od czasu do czasu myślał o tej muzyce.

Tak jak teraz.

Budynki się przerzedziły. Minął magazyn drewna, ogrodzone działki, uboższe warsztaty hydraulików i dekarzy, biura firm budowlanych, agencje ogrodnicze oraz rozległe złomowisko pełne samochodów, motocykli i innych pojazdów. Potem miasto zastąpił teren rolniczy.

Miłe miejsce na krótką wycieczkę, pomyślał.

Ale nie chciałby tam mieszkać.

Kiedy wrócił do hotelu, nadal było wczesne popołudnie. Próbował zadzwonić do kilku przyjaciół w Pensylwanii, ale żaden z nich nie odpowiadał. Dennis nagrał wiadomości, potem wybrał numer mamy. Cathy ciągle była w szkole - zadzwonił do niej po kolacji - ale i tak przyjemnie było porozmawiać z kimś z prawdziwego świata, choćby z matką.

Przez resztę popołudnia oglądał stare komedie w telewizji, zatapiał się w krajowych mediach, by tylko nie myśleć o tym, jak małe jest miasteczko, w którym chwilowo mieszkał.

Miał zacząć dyżur o piątej rano i pracować przez trzynaście godzin, ale nie mógł zasnąć i koło północy wybrał się na przechadzkę. Szedł po chodniku z latarką. Usiłował udawać, że po prostu spaceruje i chce się zmęczyć przed snem. Naprawdę jednak szedł w określone miejsce. I wiedział dokładnie, dokąd.

Na cmentarz.

Buldożery i ciężki sprzęt sporo dokonały w ciągu dnia na placu budowy, ale tak jak przedtem las za zwalonymi drzewami był nietknięty i ukryty cmentarz wyglądał tak samo jak tego ranka.

*Chroniony.*

Mimowolnie zastanawiał się nad nieprawdopodobnym trwaniem tego miejsca i myśli te przyprowadzały go o dreszcze.

Kopczyki wydawały się w nocy inne, bardziej jednorodne, ciemność niwelowała różnice, sprawiała, że miejsce to przypominało prawdziwy cmentarz. Teraz były tu cienie, które rzucało rozproszone światło księżyca. Nie miały widocznego źródła i tylko poruszały się ukradkiem na skraju polany, choć było całkiem bezwietrznie.

Tylko...

Tylko że jeden z nich wcale nie był cieniem. Mężczyzna, starzec, wyszedł, kulejąc, spośród drzew naprzeciwko, i uklęknął przed jednym z wcale nie-przypadkowo umieszczonych kamieni. Miał ze sobą tobolek z czarnego

materiału. Taką torbę wykorzystują niekiedy magicy w swoich sztuczkach. Dennis ukrył się za drzewem, wstrzymując oddech i mając nadzieję, że nie zostanie dostrzeżony. Mężczyzna wyjął z torby żywego kurczaka. Chwycił gdczące, rzucające się zwierzę za szyję i przeciął mu gardło nożem, który nagle pojawił się w jego dłoni, a kiedy zwierzę drgało w konwulsjach, trzymał ranę otwartą pozwalając, by krew ściekała na kamień. Mężczyzna coś szeptał, może recytował, ale Dennis nie mógł rozróżnić słów.

Co to było? Jakiś rytuał santeryjski? Wydawało się to nieprawdopodobne tutaj, w zamieszkanym przez białych sercu Środkowego Zachodu, ale nie przychodziło mu na myśl inne wyjaśnienie dziwnego rytuału, którego był świadkiem.

Kłęczący mężczyzna zamoczył palec we krwi na kamieniu, a następnie opuszką palca dotknął czoła i głęboko się skłonił.

Wydawało mu się, że człowiek był Latynosem i praktykował santerię. Nie widział jednak twarzy starca i był z tego zadowolony. Coś mu mówiło, że lepiej nie oglądać rysów ukrytych w mroku.

*Może to nie santeria, lecz satanizm.*

Pomysł nie był aż tak mało prawdopodobny i kiedy starzec pakował martwego kurczaka z powrotem do czarnej torby, Dennis starał się nie wydawać żadnych dźwięków. Jeśli wywiązałyby się bójka, był pewien, że zdołałby pokonać starucha... ale nie był pewien, czy siła fizyczna by wystarczyła.

Mężczyzna wstał i wypowiedział dwa słowa, które mogły być hiszpańskie, ale brzmiały jak kantońskie *bo sau* - „zemsta” - a potem pokuśtykał w stronę, z której przyszedł. Kiedy opuścił cmentarz, zapadła ciemność i Dennis zdał sobie sprawę, że przez kilka chwil księżyc rzucał światło dokładnie w miejsce, gdzie kłęczał starzec.

Dennis wyszedł zza drzewa na polanę, ostrożnie obchodząc teraz jednokowe kopczyki, świecąc latarką na ziemię, aż doszedł do poplamionego krwią kamienia. Mały kawałek skały był mokry i błyszczący, a tam gdzie krew ściekała na ziemię, widniały dwie smoliście czarne plamy w kształcie chińskich symboli. Żałował teraz, że nie pozwolił mamie, by uczyła go czytania i pisania po chińsku tak, jak tego chciała. Teraz było na to za późno i mógł jedynie zapamiętać te znaki i później próbować znaleźć ich znaczenie.

*Bo sau.*

Zemsta.

Chciał dotknąć krwawych liter, ale się bał. Znaki otaczała aura nienawiści, wrażenie, że zawarty w nich jad może wnikać w każdego, kto ich dotknie.

Dennis wycofał się trwożnie, zastanawiając się, co dokładnie uczynił tamten starzec. Nigdy w życiu nie czuł takiego strachu i choć uważał, że przeznaczone mu było to zobaczyć, nadal nie wiedział dlaczego. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że coś, co go tu przywiodło, co zmusiło go do wyruszenia w tę podróż, może wcale nie być mu przyjazne.

Szedł z powrotem tą samą drogą, przyrzekając sobie, że nigdy nie wróci w tamto miejsce.

Tamto miejsce? Do cholery, nie było powodu, by pozostawał w tym miejscu. Zarobił dosyć gotówki, by dotrzeć przynajmniej do Kolorado, a jeśli ominie kilka posiłków i spędzi parę nocy w samochodzie, niewykłuczone nawet, że do Kalifornii. Może natychmiast wrócić do motelu, spakować graty, uciąć sobie drzemkę, a rano odebrać należną zapłatę i odjechać. W razie potrzeby znajdzie następną głównianą pracę w innej zapadłej miejscinie i zatrzyma się tam na tydzień, by zarobić więcej gotówki.

Ale nie zostanie w Selby ani dnia dłużej.

To załatwiało sprawę. Z lepszym samopoczuciem, czując się lżejszy, jakby zdjęto z niego ciężkie brzemie, Dennis minął martwe kłody, które znaczyły teren przyszłej dzielnicy, i dotarł do chodnika.

Dziesięć minut później przeglądał swoje rzeczy i pakował walizki, zastanawiając się, czego potrzebuje, zanim wyruszy w drogę.

Szkoda tylko, że nie zabrał płyty Brigit's Well...

## 14

### FLAGSTAFF, ARIZONA

**W**e śnie Angela mieszkała w namiocie w lesie z brzydką małpką, która była jej dzieckiem. Ukrywała się, ale nie wiedziała, przed kim czy przed czym się chowa. Wywoływało to u niej jeszcze większe napięcie i obawy, niż gdyby знаła tożsamość prześladowcy. Rozchyliła lekko poły namiotu i wyjrzała, by się upewnić, czy w pobliżu obozowiska nikogo nie ma. Przez chwilę nasłuchiwała odgłosów z okolicznego lasu, a ponieważ nie usłyszała niczego nieznanego, szybko wyszła na zewnątrz z dzieckiem na jednej ręce i wiadrem w drugiej, by nabrać wody ze strumyka płynącego u stóp wzgórza.

Dziecko gaworzyło, odsłaniając kły.

Nie dostrzegła śladów obecności innych osób, żadnych oznak, że ktoś znajdował się w pobliżu lasu, ale wyczuwała, że coś jest nie tak, i żałowała, że nie wstrzymała się z wyprawą po wodę.

Teraz jednak było za późno na odwrót. Już przebyła połowę drogi i równie dobrze mogła dojść do końca. Przebiegła między drzewem a krzakiem mącznicy - a przynajmniej starała się biec, mając obciążone ręce - i tuż przed sobą zobaczyła strumień. Dotarła do niego, uklękła i nabrała do wiadra świeżej, czystej wody...

Wtedy padł na nią cień.

Przestraszona spojrzała w górę. Serce waliło jej jak szalone.

To była Chrissie, ale jakby nie Chrissie. Była mężczyzną, a nie kobietą, i stała na drugim brzegu strumienia ubrana w szary mundur, który Angeli wydał się znajomy, choć nie potrafiła tego określić. Czapka w paski i kombinezon...

Maszynista.

Ten mężczyzna, czyli Chrissie, był maszynistą kolejowym.

Warknął wściekle i wszedł do wody, zza pleców wyjął latarnię i cisnął nią w głowę Angeli. Angela wyciągnęła ręce, żeby zasłonić się przed ciosem, ale trzymała dziecko i latarnia metalową krawędzią uderzyła małą prosto w twarz. Zwierzątko zapłakało krótko, ostro, a potem z tyłu jego roztrzaskanej czaszki trysnęła krew, obryzgując Angelę. Kropelki, które wpadły jej do ust, smakowały słono, obrzydliwie.

Potem biegła po torach kolejowych, później po miękkiej ziemi pokrytej suchymi liśćmi, dalej po ubitej drodze do miasta. Wiedziała, że jest ścigana, ale ani razu się za siebie nie obejrzała z obawy, że zobaczy, jak blisko jest jej prześladowca.

W mieście skryła się w sklepie. Nigdy przedtem go nie widziała, ale doskonale знаła jego rozkład i przebiegła przez drzwi, przesłonięte zasłoną z koralików i po wąskich schodach w dół do...

Tunelu.

Był pełen nie martwych ciał, lecz żywych ludzi, którzy się tu skryli tak samo jak ona. Od razu wiedziała, że ukrywają się przed maszynistą.

Nad głowami usłyszeli odgłos kroków. Powolne, miarowe stukanie butów o drewnianą podłogę.

Butów maszynisty.

Kobiety zaczęły szlochać, mężczyźni - jęczeć, dzieci - płakać. Angela usiłowała się przepchnąć przez zbity tłum, chciała przedostać się jak najdalej od

wejścia, pewna, że tym razem maszynista zignoruje wszystkich innych, że tym razem przyjdzie po nią. Ale mur ciał był nie do przebiccia, nikt nie chciał jej przepuścić ani zamienić się z nią miejscami.

Kroki było słycać coraz niżej.

Ktoś krzyknął i wtedy mężczyzna, czyli Chrissie, stanął w drzwiach. Był kolosalny, w ręce miał zakrwawioną latarnię. Spojrzał na zgromadzonych i zaśmiał się głębokim basem, ale nie zrobił ani kroku w głąb tunelu. Cofnął się za to i parę sekund później drzwi zostały zamknięte.

Szczelnie zamknięte.

Gdy odgłos kroków cichł na schodach, a w ciemności powietrze stawało się coraz gęstsze, cieplejsze, coraz trudniej było nim oddychać, Angela zyskała przenikającą ją do szpiku kości pewność, że umrze.

Obudziła się, ciężko dysząc, jakby rzeczywiście uciekła przed chwilą z pozabawionego powietrza tunelu. Była w swoim pokoju, we własnym łóżku i przez ścianę słyszała odgłos wyciąganych i wsuwanych przez Chrissie szuflad.

Brzmiało to jak odgłos butów na schodach.

Angela zadrżała i nie wychodziła z łóżka. Czy powodem był sen, czy ostatnie starcie z przyjaciółką, obawiała się spotkania z Chrissie i pozostała bezpieczna pod kołdrą, aż usłyszała szum prysznica. Wtedy zrzuciła z siebie koc i wyskoczyła z łóżka.

Odruchowo spojrzała na łóżko. Poprzedniego dnia wyrzuciła zapleśniałą pościel i ubranie, w którym była w tunelu, gdzie trup chwycił ją ręką - wszystko włożyła do grubego worka na śmieci i jadąc na uniwersytet, cisnęła do olbrzymiego śmietnika na tyłach stacji benzynowej. Teraz jednak pleśń wróciła, zajmując znacznie większy kawałek pościeli. Pod dziwną, gęstą, włochatą warstwą dolna połowa prześcieradła przypominała skórę, ludzką skórę, naciągniętą na tyle mocno, że widać było naczynia krwionośne. Angela cofnęła się z obrzydzeniem, ale nie mogła odwrócić wzroku od pościeli. Spała na tym. Z przerażeniem przypominała sobie, że jej stopy przykryte kocem wyczuwały przyjemne ciepło, jakby leżały na aksamicie, i omal nie zwymiotowała, uzmysłowiwszy sobie, że palcami u nóg dotykała tej okropnej panoszącej się pleśni.

Co tu się dzieje? Czyżbym znalazła się w jakimś alternatywnym wszechświecie?

Spojrzała szybko na swoje stopy, na nogawki piżamy i z ulgą stwierdziła, że nie ma na nich czarnych plam, pleśni ani niczego niezwykłego.

Kamień spadł jej z serca, ale wiedziała, że przez cały dzień co dziesięć minut będzie sprawdzać, czy na skórze nie pojawiły się nietypowe narośla.

Czy powinna pójść do ambulatorium w kampusie, żeby się przebadac? Może. Wczoraj ze dwadzieścia razy podejmowała taką decyzję, ale rezygnowała z obawy, czego mogłaby się dowiedzieć. Bez wątpienia dziś skończy się to tak samo.

W rurach odezwało się szczęknięcie - któryś z lokatorów w innym mieszkaniu odkręcił kran. Angela nasłuchiwała. Z prysznicza ciągle leciała woda, ale długo to nie potrwa. Chrissie, zapalona obrończyni środowiska, miała zwyczaj brać krótki prysznic, ponieważ oszczędzała wodę, i Angela chciała wymknąć się z Domu Babbitta, nim ta skończy kąpiel. Włożyła dzinsy, T-shirt, sandały, włosy związała z tyłu gumką, chwyciła książki i torebkę i wybiegła z sypialni przez salon na korytarz.

Tutaj wcale nie oddychało się źzej.

Korytarz na piętrze był pusty, ale panowała tu ciężka, przynębiająca atmosfera, którą Angela skłonna była przypisać temu, że dom nawiedzają duchy. Miała nadzieję, że to jej percepcja jest wypaczona, że obiektywnie w domu nic się nie zmieniło. Ale po tym, czego doświadczyła, już nie była tego pewna. Teraz wiedziała, że uspokoi się dopiero na zewnątrz, na świeżym powietrzu.

Pomyślała o pleśni na swoim łóżku, o prześcieradle przypominającym ludzką skórę.

Zbiegła ze schodów, zadowolona, że nikogo nie spotkała. Na parterze minęła otwarte drzwi do mieszkania Winstona i Brocka. Żadnego z nich nie zauważyła, ale dostrzegła wielką czarną plamę na nieskazitelnej dotąd białej kanapie. Zrobiło jej się zimno, wstrzymała oddech i poczuła napięcie w piersi. Przemykając dalej, usłyszała za sobą wołanie Winstona:

- Angela!

Nie chciała tego, ale zatrzymała się i odwróciła. Wyszedł z mieszkania i stanął obok niej z wyciągniętymi ramionami.

- Chrissie mówiła mi, co się stało - powiedział ze współczuciem.

Angela skupiła wzrok na szpecącej jego kołnierzyk plamie czarnej pleśni. Spojrzała na jego twarz i dostrzegła, jak zatroskany wyraz twarzy zmienia się w chytry, triumfujący uśmieszek.

- Dobrze ci tak, ty głupia brązowa suko!

Z wnętrza mieszkania dobiegł drwiący śmiech Brocka. *Głupia brązowa suka.*



Dokładnie tych samych słów użyła Chrissie.

Angela wybiegła przez frontowe drzwi na trawnik. Łzy szczypały ją w oczy. Za nią panowała cisza, ale Angela wyobrażała sobie, że wszyscy lokatorzy śmieją się, wyglądają przez okna z wycelowanymi w nią palcami pokrytymi czarną pleśnią.

Drżącą dłonią wyciągnęła z torebki kluczyki na łańcuszku i niezgrabnie usiłowała znaleźć właściwy. Poprzedniego wieczoru, chcąc uniknąć spotkania z Chrissie, siedziała w bibliotece uniwersyteckiej aż do zamknięcia i późno wróciła do domu. Jej miejsce parkingowe było już zajęte, więc musiała zostawić samochód dalej. Dobrze się złożyło, bo teraz nie miała ochoty być w pobliżu Domu Babbitta.

Wsiadła do samochodu i ruszyła. Płakała, jadąc objazdem na autostradę, i ciągle płakała, gdy wreszcie przez centrum miasta dotarła do kampusu.

Tego dnia zajęcia z doktorem Welkesem były dziwaczne.

Połowa studentów nie pojawiła się, a większość z tych, którzy przyszli, przypominała zombi: mieli szklane, nieruchome oczy, ospałe ruchy i bladą cerę. Wykładowca wydawał się zamroczony. Próbował kontynuować zajęcia, jakby nic się nie stało i choć bez wątpienia poprzednio już wiele razy prowadził ten sam wykład o Indianach Anasazi, teraz jąkał się, tracił wątek, nie kończył zdań. Najwyraźniej na wszystkich tamto doświadczenie wpłynęło w jakiś głęboki, trudny do określenia sposób i już nie byli w stanie funkcjonować w normalnym świecie.

Angela też tak się czuła.

Zastanawiała się, czy policjant odczuwał to samo.

Uświadomiła sobie, że nie wie, czy informacje wyciekły do publicznej wiadomości, czy policjant napisał raport, czy dziennikarze, zajmujący się tematyką kryminalną, podjęli temat, czy podano te wiadomości w gazetach i dziennikach telewizyjnych. Żyła w swoim hermetycznym środowisku i ponieważ nikt z zewnątrz się z nią nie kontaktował, nie wiedziała, co się dzieje na zewnątrz.

Zajęcia ciągnęły się w nieskończoność i gdy doktor Welkes zwolnił ich wcześniej, studenci popędzili do wyjścia. Tego dnia Angela wybrała krzesło w pobliżu drzwi i zdołała wybiec na korytarz jako jedna z pierwszych. Nie chciała spotkać kolegów ani z nimi rozmawiać, więc pomknęła na drugi koniec korytarza i zeszła schodami zamiast zjechać windą.

Teraz miała w planie zajęcia z nauk politycznych, ale postanowiła je opuścić, a ponieważ nie wiedziała, dokąd iść, odruchowo poszła do uczelnianego

biura zakwaterowania, do Edny Wong. Szlochając, opowiedziała o nieoczekiwanej zmianie w zachowaniu Chrissie i o nieuzasadnionej rasistowskiej napaści słownej ze strony Winstona.

Administratorka okazała współczucie i zrozumienie. Tego właśnie Angela od niej oczekiwała, lecz, o ile się nie myliła, wyczuła w zachowaniu kobiety coś jeszcze: Edna Wong wiedziała, co się święci, znała przyczynę wydarzeń, które Angela jej zrelacjonowała.

Edna pochyliła się ku niej.

- Nie powinnam zadawać ci tego pytania, więc to będzie nieoficjalne i w razie czego zaprzeczę, że coś podobnego mówiłam. - Spojrzała szybko na zamknięte drzwi. - Czy oni wszyscy są biali? Ci twoi współlokatorzy?

Zaintrygowana Angela skinęła głową.

- Owszem.

- Tak właśnie myślałam.

- Sądzi pani, że to ma znaczenie?

- Może tak, może nie - odparła starsza kobieta enigmatycznie. - Jest za wcześnie, żeby to stwierdzić.

- Za wcześnie? - Robiło się coraz dziwniej.

Administratorka nie odpowiedziała, tylko zmieniła temat. Dotarły do niej informacje o brzemiennej w skutki wyprawie studentów do ostatnio odkrytego tunelu, poprosiła więc Angelę, by jej o tym opowiedziała.

- Powiedz mi szczerze o wszystkim, choćby to miało brzmieć niewiarygodnie.

Angela opowiedziała więc szczegółowo, nawet o tym, jak trup chwycił ją za ramię, a potem w tym miejscu powstała czarna pleśń, która się rozprzestrzeniła.

Edna kiwała głową, nie okazując zdziwienia.

Nagle Angelę opadły wątpliwości, czy w ogóle miała ochotę z nią dłużej rozmawiać.

- Jakie są twoje korzenie? Latynoskie, zgadza się?

Angela skinęła głową i zaczerwieniła się, choć nie miała powodów do zażenowania.

- To ciekawe - stwierdziła Edna. Uśmiechnęła się promiennie i przykryła dłonią rękę Angeli, której łzawy nastrój zmienił się w ostrożną ciekawość. Rozmowa rozwijała się w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. - W tej chwili nie mamy żadnego wolnego miejsca w akademikach, moja droga, ale nawet gdybyśmy mieli, prosiłabym cię, byś nie wyprowadzała się z tamtego domu

jeszcze przez tydzień. Chciałabym, żebyś... miała sprawy na oku. Czy mogłabyś to dla mnie zrobić? Zapewniam cię, jesteś u mnie pierwsza na liście osób oczekujących na akademik. Pamiętam o tym i zawiadomię cię, jeśli coś się zwolni. Ale proszę, żebyś do tego czasu obserwowała, co się dzieje, nie narażając się na nieprzyjemności... - Nie dokończyła zdania.

Angela skinęła głową, choć na myśl o powrocie do Domu Babbitta poczuła, jak skręca ją w żołądku. Wyobrażała sobie czarną pleśń rozprzestrzeniającą się z mieszkania do mieszkania oraz lokatorów czekających w holu z obelgą „głupia brązowa suka”.

To skręcanie w żołądku skłoniło ją do odmowy.

- Nie - oznajmiła. To niesamowite, że postawiła się osobie o tyle od niej starszej, autorytetowi. - Nie mogę.

Edna uśmiechnęła się życzliwie.

- Rozumiem, moja droga. Doskonale cię rozumiem. Nigdy nie namawiałabym cię do zrobienia czegoś, do czego nie jesteś przekonana. - Obróciła się na krzesło i wcisnęła klawisz komputera. - Mogę spróbować zorganizować zamianę. Minęło parę tygodni... z pewnością wpłynęły skargi osób, którym nie układa się wspólne mieszkanie. Może znajdę kogoś, kto zechce się z tobą zamienić.

Angela poczuła się jeszcze dziwniej. Nie mogłaby się usprawiedliwić, gdyby kogoś w to wrobiła. Przecież pleśń ciągle się rozprzestrzeniała, zarażała lokatorów.

Żyję w cholernym świecie science fiction, pomyślała.

- Nie powinnyśmy przypadkiem kogoś wezwać? - zasugerowała. - Tam coś się dzieje. Może policja już się tym zajmuje, nie wiem, ale na uniwersytecie są na pewno jacyś profesorowie, mikrobiolodzy, specjaliści, których zainteresowałoby zbadanie mojej pościeli i którzy potrafiliby coś z tym zrobić.

- Niczego nie zdołają zrobić - stwierdziła Edna głosem bardzo pewnym i Angela znowu pomyślała, że starsza kobieta wie więcej, niż gotowa jest zdradzić. Zrobiło jej się zimno i przemknęło jej przez myśl, że może nie powinna być tak otwarta.

Na biurku administratorki zadzwonił telefon i Angela skorzystała z okazji, by się pożegnać.

- Muszę iść. - Wstała i wzięła swoje książki.

- Poczekaaj chwilę - powiedziała Edna.

Ale Angela nie czekała. Skinęła głową, wybiegła za drzwi i pośpieszyła korytarzem, minęła recepcję i wyszła z budynku, szczęśliwa, że jest na świeżym

powietrzu. W Kalifornii nadal panowało lato, ale tu we Flagstaff powietrze było rześkie i ciepłe, dla Angeli - odświeżające.

Musiała zadzwonić do rodziców, wysłać e-maile do przyjaciół w Kalifornii. Potrzebowała uzziemienia. Coś jej mówiło, że powinna spakować manatki i wrócić do domu, zrzec się stypendium, znaleźć jakąś pracę na pół etatu na trzy miesiące, potem w semestrze letnim zapisać się do Szkoły Policealnej we Wschodnim Los Angeles. Ale zbyt długo i ciężko pracowała na to, by dostać się na uniwersytet, a przecież nigdy nie poddawała się bez walki. Wyrwanie się z rodzinnego środowiska i wyjazd na studia były ciężkim bojem - większość jej rówieśników ten bój przegrała - i teraz nie zamierzała dać się przstraszyć kilkoma efektami specjalnymi i czmychać znów pod skrzydła rodziny.

Czy bohaterowie filmów grozy w ten sposób racjonalizują swoje zachowanie? Czy dlatego zawsze postępują tak głupio?

Ja nie postępuję głupio, powiedziała sobie. Będę dzielna.

Zauważyła chłopaka, który pytał ją tamtego dnia, czy wybiera się na ekspedycję i który się tam nie pojawił. Dziś uczestniczył w zajęciach, ale Angela była zbyt rozkojarzona, by zwrócić na niego uwagę. Gdy teraz o tym pomyślała, uświadomiła sobie, że należał do nielicznych osób, które nie były otumanione, przestraszone czy zamroczone. On i inni, którzy nie brali udziału w wycieczce.

- Hej! - zawołał, gdy ją dostrzegł. - Poczekaj!

Zatrzymała się głównie z ciekawości.

- Co się właściwie działo na naszych zajęciach? - spytał, gdy do niej podszedł.

Spojrzała na niego. Nadal nie знаła jego nazwiska i wątpiła, czy on znał jej. Irytowało ją to uzurpowane koleżeństwo, a równocześnie odczuła wdzięczność, że ma kontakt z kimś, kto nie jest dziwaczny.

- Przepraszam, ale chyba nie wiem, jak się nazywasz - powiedziała.

Uśmiechnął się.

- Derek. Derek Scott. A ty jesteś...

- Angela Ramos.

- Więc co działo się z ludźmi na dzisiejszych zajęciach?

Ciągle się uśmiechał. Czyli był zainteresowany, a nie zaniepokojony, i nie wiedziała, ile powinna mu powiedzieć. Była w pełni świadoma, jak absurdalnie brzmi cała historia.

Próbował zgadywać:

- Czy to z powodu tych ciał? Słyszałem, że tam na dole ktoś się wystraszył i wybuchła panika.

A więc taka opowieść krążyła!

- Żałuję, że nie poszedłem.

- Dlaczego nie poszedłeś?

- Coś mi wypadło. - Jakby się zaniepokoił, że Angela mogłaby uznać, że ma dziewczynę, więc dodał szybko: - Musiałem odebrać brata ze szkoły. Samochód mamy się zepsuł.

A więc był nią zainteresowany. I pochodził stąd. To dodało jej odwagi.

- Masz szczęście, że nie poszedłeś. - Spojrzała na Dereka, odetchnęła głęboko i wszystko opowiedziała. Nie była pewna, czyjej uwierzy choćby częściowo - nie miała nadziei, że uwierzy we wszystko - ale potrzebowała komuś się zwierzyć. Reakcja chłopaka daleko odbiegała od stonowanego zachowania Edny Wong. Nie zadawał pytań, lecz wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Derek naprawdę jej wierzył, był zszokowany, ale i przerażony.

Gdy wspomniała o czarnej pleśni na pościeli, o tym, jak Chrissie tego dotknęła i doznała natychmiastowej zmiany osobowości, Derek przerwał:

- Co zrobiłaś z pościelą i kocem? Zaniósłaś gdzieś, żeby przeprowadzili analizę?

- Miałam zamiar - przyznała Angela - ale... wyrzuciłam to.

- Co?

To była głupia decyzja już wtedy, a teraz wydała się jej jeszcze głupsza. Angela nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła, i potrafiła wymyślić jedyne usprawiedliwienie - sama była zakażona, tak jak Chrissie. Początkowo czarna plama usadowiła się na jej ramieniu, nie chciała zejść mimo szorowania. Może pozostawia u Angeli śladową pamięć, skłoniła ją raczej do chronienia pleśni, a nie do jej tępienia.

Gdzie jest teraz ta wyrzucona pościel? - zastanawiała się Angela. Czy pleśń wydostała się z torby na śmieci? Czy właśnie rozprzestrzenia się po mieście? Angela wpadła w panikę.

- Dziś rano znów pojawiła się na moim łóżku. Jeszcze gorsza. Jeśli nikt nie buszował w moim pokoju, nadal tam musi być.

- Musimy o tym komuś powiedzieć - stwierdził Derek. Dosłyszała strach w jego głosie, ale to ją jednocześnie przeraziło i uspokoiło. Przynajmniej spotkała kogoś, kto normalnie reagował na bodźce. - Chodzę na kurs mikrobiologii.

Wykładowca może będzie wiedział, jak postąpić. Jeśli nie, prawdopodobnie zna kogoś, kto wie. Chodźmy!

Złapał ją za rękę i niemal ciągnął po chodniku między grupkami studentów.

Wreszcie, pomyślała. Oboje szybko poszli przez kampus w stronę budynku nauk przyrodniczych.

## 15

### CMENTARZ NARODOWY ARLINGTON, WIRGINIA

**J**osh McFadden przełykał zimne fusy z kubka i próbował zdecydować, co powinien zrobić. Dopijał ohydny ciecz raczej po to, by czymś się zająć niż dlatego, że pragnął kawy.

Akurat w tej chwili zupełnie nie potrzebował kolejnych dawek kofeiny.

Był już wystarczająco roztrzęsiony.

Stał w drzwiach swojego biura i patrzył na rozległą murawę, filmowo zieloną w świetle nowego dnia. Tam gdzie powinny stać identyczne rzędy białych nagrobków - zbudowany przez człowieka pomnik porządku - zapanowały chaos i bałagan. W nocy cmentarz zasłużonych został zdewastowany. Ktoś, a może grupa ludzi, odkopał wiele grobów i wydobyl ciała. Trupy w różnym stadium rozkładu nie zostały po prostu porzucone byle gdzie, ale celowo ciśnięte na nagrobki. Ich ciemne, nieregularne kształty kałały idealną symetrię cmentarza.

W centrum zabytkowego terenu bliźniacze ślady wąskich kół zostawiły postrzępiony ślad wśród ustawionych równo rzędów identycznych kamiennych płyt. Ślady wbiły się głęboko w trawę i odsłoniły czarną glebę. Musiał tamtędy przejechać jakiś ciężki pojazd i dokonać tej destrukcji. Z miejsca, w którym stał Josh, wydawało się, że to rodzaj buldożera przebił wschodnią bramę i skierował się na ukos ku starszej części cmentarza.

Nie.

Nie buldożer.

Pociąg.

Josh nie miał pojęcia, skąd o tym wiedział, jednak hipoteza wydawała się słuszna. Nie był w tej dziedzinie ekspertem, ale koleiny najwyraźniej zostawiła lokomotywa, która zjechała z torów.

Niezwykłe było to, że pociąg, kiedy dotarł do pewnego punktu, chyba po prostu zniknął. Albo wycofał się tak precyzyjnie, jadąc po własnych śladach.

Było w tym coś niesamowitego - niesamowitego i niezgłębionego. Josh zamiast rozmyślać postanowił działać. Poszedł do biura i zadzwonił do Tanka, swego brygadzysty. Niech ten umięśniony dupek zarobi na swoją pensję i załatwi sprawę. Najwyższy czas, by tu w okolicy wykonał jakąś pracę.

Tymczasem Josh tkwił na cmentarzu zupełnie sam.

Wprawdzie pociąg zniknął i był biały dzień...

Nie przypuszczał, by miało to wielkie znaczenie. Zamknął się w biurze z telefonem w dłoni, gotowy wydzwaniać na policję, dopóki nie przybędą.

Wkrótce cały cmentarz zaroił się od typów z Pentagonu, żołnierzy i agentów FBI. Przybyło nawet kilku zwykłych gliniarzy, którzy chcieli brać udział w akcji, ale zostali szybko odesłani. Każdy miał swoją pracę, wykonywał ją, więc Josh i Washington Carter, z którym Josh dzielił obowiązki, zostali przepytani przez niekończący się strumień śledczych. Josh i Washington odpowiadali w kółko na te same pytania, aż wpadli w otępienie. Z pewnością nikt ich o nic nie podejrzewał, ale odpowiedzialność spływa w dół i Josh wiedział, że obydwoj będą obwiniani o to, co się stało. Równie dobrze mógł już w tej chwili zacząć rozsyłać swoje CV.

Nie rozumiał jednak - nikt tego nie rozumiał - w jaki sposób tak ogromnych zniszczeń dokonano w ciszy. Płoty i bramy były przecież zabezpieczone najnowocześniejszymi systemami alarmowymi, jakie dotychczas wymyślono. A jednak nie włączył się żaden alarm, kiedy ten moloch pokonywał ogrodzenie cmentarza.

Dopiero później, znacznie później, kiedy zapisano wszystkie informacje o zniszczonych grobach, dowiedzieli się, że wszystkie wygrzebane ciała należały do weteranów wojny domowej.

Prawdopodobnie istnieje jakaś przyczyna, myślał Josh.

Ale ani on, ani nikt inny nie potrafił stwierdzić jaka.

## PARK NARODOWY KRAINY KANIONÓW, UTAH

Henry stał na piasku i spoglądał na wodę. Był nagi, ale się tego nie wstydził. W gruncie rzeczy czuł dumę, choć przyczynę poznał dopiero wtedy, gdy jego penis zaczął rosnąć i poczuł jeden język liżący jego jądra, a drugi ślizgający się w górę i w dół w szparze jego tyłka. Opuścił wzrok i zobaczył, jak bliźniaczki niewolniczo pracują nad intymnymi częściami jego ciała. Jakaś rodzina przepływała obok żaglówką - miał nadzieję, że widzą te dwie wspaniałe laski, które tak rozpaczliwie pożądamy właśnie jego.

Dawny Henry chciał powiedzieć kobiecie za nim, że liże miejsce, którym on sra, że może złapać jakąś chorobę, ale nowy Henry pławił się w zakazanej rozpuście i doświadczał dziwnej triumfalnej satysfakcji z uległości azjatyckich bliźniaczek.

Ta, która liżała jego krocze, zaczęła lekko poruszać głową, a jej język zamigotał szybciej przy jego jądrach. Jego wzniesiony penis pocierał o jedwabiste gładkie włosy na czubku jej głowy; wrażenie osiągnęło gorączkowy szczyt i chwilę później Dennis przeżył orgazm, wytrysnął. Wydawało się, że pompuje w jej proste włosy kubek, kwartę, galon spermy. Nie ściekała do jej uszu ani na gołe plecy, ale wchłaniały ją włosy i kiedy na nie patrzył, czerń zaczęła rosnąć. To już nie były włosy, ale cień włosów, głowy, ciała, osoby; cień, który rozrastał się, zakrywając piasek, wodę i wreszcie niebo, a w końcu pochłonął również jego.

Henry obudził się bez majtek, z penisem przyklejonym zaschniętym nasieniem do owłosionego brzucha.

Spróbował usiąść, ale zabolalo go, jakby z członka zrywano mu skórę. Przyjrzał mu się uważnie. Spróbował określić najlepszy sposób, by go uwolnić, a potem zwilżył dłoń śliną, potarł penisa i stopniowo go oderwał.

Usiadł, krzywiąc się. Wydarzenia snu (koszmaru?) były nieprawdziwe, ale miejsce było realne. Wiedział to na pewno. Widział to miejsce już wcześniej, choć nie przypominał sobie gdzie. Podniósł wzrok na fotografię Sary, ale wiedział, że to nie tam. Nie miał nawet pewności, czy to ocean, przynajmniej nie w dosłownym sensie. Owszem, woda rozciągała się aż po horyzont, ale fale były mikroskopijne, sięgały mu zaledwie do kostek. Mogło to oznaczać,



że to miejsce było symbolem, metaforą czegoś innego, ale Henry w to wątpił. Rzeczywiście, kiedyś przebywał w tamtym miejscu, to pewne, ale im mocniej usiłował je sobie przypomnieć, tym bardziej pamięć o nim zdawała się umykać.

Znalazł majtki zwinięte w kulkę w nogach łóżka. Nie miał pojęcia, jak slipy się tam znalazły i jak się z nich uwolnił. Miał nadzieję, że zdjął je sam podczas snu, ale nie mógł być tego pewien i to go niepokoiło.

Poszedł do małej łazienki, cisnął majtki do kosza i długo mył się pod prysznicem. Szorował skórę, aż wszystko zniknęło, a potem pozwolił, by strumień gorącej wody płynął mu po plecach, dopóki nie zaczęło jej brakować. Ubrał się, przygotował sobie śniadanie, zjadł je, a potem krążył w kółko po domku, zerkając od czasu do czasu na zasnute chmurami niebo. Znowu miał wolny dzień, a dyrektor jasno dał do zrozumienia, że aż do odwołania personel parku i wszyscy strażnicy, którzy akurat nie pełnili służby, muszą pozostać w swoich domkach. Henry rozumiał, że to środek ostrożności, że tam na zewnątrz dzieje się mnóstwo dziwnych, niewyjaśnionych i niebezpiecznych rzeczy... ale na samą myśl o całodziennym siedzeniu w domu dostawał świra.

Spojrzał na regał z książkami. Obok „kanonu” - zebranych prac Edwarda Abbeya i Wallace'a Stegnera - stało kilka książek z jego przeszłości i kilka nowszych, pożyczonych od znajomych, których jeszcze nie zdążył przeczytać. Wybrał jedną z nich i usadowił się na kanapie. *Na wpol uśpieni w żabich piżamach*. W czasach, kiedy książki coś dla niego znaczyły, kiedy literatura służyła mu za mapę życia; kiedy kolejnej lektury oczekiwał z przyjemnością niczym odwiedzin u starego, zaufanego przyjaciela, był wielkim fanem Toma Robbinsa. Odrzuciła go jednak fotografia autora na skrzydełku obwoluty. To miał być Tom Robbins? Kiedy spojrzał na czarno-białe zdjęcie, serce mu się ścisnęło. Przepadł szczęśliwy zarośnięty hipis o szerokim, otwartym uśmiechu z tylnej okładki *Martwej natury z dzieciółem* i nawet szczerzący zęby w uśmiechu nawiedzony wyznawca New Age z *Nóg jak patyki*. Na jego miejscu pojawił się trzeźwy, pretensjonalny yuppie z miną osoby zbyt zajętej sobą, by poświęcać czas komuś innemu.

Henry, nie przeczytawszy słowa, odłożył książkę. Robi się ze mnie stary pierdziel, pomyślał. Muzyka również go teraz zasmucała; piosenki, które słyszał po długiej przerwie, napełniały go melancholią prawie nie do zniesienia. Zeszłej nocy usłyszał starą piosenkę Johna Prine'a - wiatr przyniósł ją z czyjegós domku - i nagle zaczął płakać. Oczywiście, był prawie pijany, więc mogło to mieć coś wspólnego z alkoholem, ale jednak...

Ostatnio dużo pił. Wydawało się, że tylko w ten sposób może sobie porażić z tym, co się dzieje.

Laurie Chambers znaleźli wczoraj w jednym z wąwozów Labiryntu. A raczej znalazł ją turysta. Zawiadomił o tym przez komórkę, a jej ciało musiał zabrać śmigłowiec. Była rozszarpana i na wpół zjedzona, prawdopodobnie przez drapieżne zwierzęta już po śmierci. Władze ciągle czekały, aż sekcja zwłok określi przyczynę zgonu.

Henry już znał przyczynę.

Bliźniaczki.

Laurie znaleziono w odległym zakątku rezerwatu. Podlegał on ścisłej ochronie, ale wokół niej ściany urwiska zostały zdewastowane. W piaskowcu zostały wyżłobione nonsensowne rysunki: wizerunki kapeluszy-cylindrów, szyn kolejowych, koni, pistoletów i słońce. Co to znaczyło? - zastanawiał się Henry. Co to wszystko miało na celu? Gdyż był w tym jakiś cel i to coś znaczyło. Tego był pewien. Czuł się tak jak kiedyś, gdy jako nastolatek na zajęciach z algebry, choćby nie wiadomo jak się starał, nie mógł pojąć zagadnień, które próbował wyjaśnić mu nauczyciel. Bez względu na to, ile czasu temu poświęcał, oświecenie pozostawało frustrująco poza jego zasięgiem.

Słońce zastąpił cień, spowijając pokój w mroku.

*Cień? Słońce?*

Niebo było zasnuwane ciężkimi chmurami od samego rana, odkąd się obudził.

Henry podniósł się z kanapy, podszedł do okna. Ciemny, przezroczysty obiekt, który zasłaniał światło, odsunął się od szyby na wąski ganek i stał tam, nie dotykając niczego. Był to, jak Henry powinien był się domyślić, cień rozmiarów człowieka, sylwetka nagiej kobiety. Jedna z bliźniaczek? Inny ludzki cień oddzielił się od okna aneksu kuchennego. Ten, ku zaskoczeniu Henry'ego, był cieniem mężczyzny.

Henry się odwrócił. Teraz zobaczył, że cały dom roił się od cieni, wewnątrz i na zewnątrz.

Widoczny z ganku mały tłum kłębiących się kształtów zdawał się okrążyć budynek, wzajemnie się potracając. W łazience małe matowe okienko jakby do niego mrugało, kiedy cień przy umywalce wyginał się nad nią. W aneksie kuchennym męski kształt falował przy lodówce.

Co się dzieje, do cholery?

Nie był aż tak przestraszony, jak mógł czy nawet powinien być, i dobrze. Zamiast znieruchomieć, otworzył drzwi frontowe i wymaszerował na ganek,

gotowy do bitwy. Karawana cieni przeszła nad nim, wokół niego i, o ile mógł się zorientować, przez niego, ale nie czuł nic.

- Wynoście się stąd - nakazał.

Zaatakował ruchomą grupę, mając nadzieję, że ich rozproszy, ale cienie dalej szły, nie chcąc lub nie mogąc się zatrzymać.

Henry spojrział na pustynię przed domem.

I zobaczył bliźniaczki. Były ciemniejsze od innych cieni, bardziej materialne, niemal trójwymiarowe i stały w tym samym miejscu co wówczas, gdy pierwszy raz o nich śnił.

Teraz zaczynał się bać, ale zszedł z ganku i ruszył w ich kierunku. Kiedy zszedł, inne cienie uciekły z jego domku, rozproszyły się w powietrzu i wsiąkły w ziemię, aż zostały tylko dwie siostry. Wydawało się, że tamci przybyli do jego domu, by zwrócić jego uwagę, spowodować, by zauważył bliźniaczki.

Na czarnych, pustych twarzach rysy były niewidoczne, ale wiedział, że bliźniaczki go obserwują. Poczekaly, aż podszedł na odległość splunięcia, i odsunęły się od niego. Ku jego zaskoczeniu, nie skierowały się z powrotem na pustynię, ale w stronę domków innych strażników.

Chciał na nie krzyknąć, chciał im powiedzieć, by trzymały się z dala od jego przyjaciół i współpracowników, ale bał się odezwać. Ponadto wiedział, że nie odniosłoby to skutku. Nie miał nad nimi władzy.

Zastanawiał się, czy rzeczywiście chciał chronić innych strażników. A może po prostu pragnął zachować bliźniaczki dla siebie?

Poczuł, że już teraz zaczyna się erekcja.

Poszedł za płynącymi cieniami do domku Raya Danielsa. Natychmiast w głowie zadźwięczały mu dzwonki alarmowe: rolety były opuszczone, ale frontowe drzwi stały otworem, a Ray nigdy nie pozostawiał otwartych drzwi. Dwa kształty stopiły się z mrokiem wewnątrz, znikając z pola widzenia, i Henry zwolnił kroku. Instynkt samozachowawczy przestrzegwał go przed nagłym wtargnięciem do środka. Począł chwilę, mając nadzieję, że bliźniaczki znów się wynurzą. Zmrużonymi oczyma obserwował wnętrze, szukając jakichkolwiek oznak ruchu, ale w ciemnej przestrzeni za futryną wszystko pozostawało nieruchome.

I ciche.

Henry'emu zjeżyły się włoski na ramionach. Nie było żadnych dźwięków, nawet śpiewu ptaków czy szelestu jaszczurek.

*Tak jak wtedy w kanionie.*

Chciał uciec. W domku działo się coś niepokojącego i nie spodziewał się niczego dobrego. Ale przygotował się na najgorsze i zmusił do kolejnych kroków.

- Ray! - zawołał. - Ray! Jesteś w domu?

Cisza.

Henry głęboko odetchnął, minął ganek i wsadził głowę do środka.

- Ra...

Jego głos zamarł, kiedy zobaczył zwłoki przyjaciela.

Ray leżał nagi na podłodze, to co pozostało z jego twarzy, obgryziono do kości, strach w nienaruszonych oczach kontrastował z kościotrupim uśmiechem obnażonej szczęki. W zaciśniętej prawej dłoni trzymał róg kilimu Indian Navaho, kupionego w zeszłym roku w Third Mesa. Lewa dłoń była kikutem, palców nie było nigdzie w pobliżu, wokół rozlewała się kałuża krwi.

Henry'ego zemdlilo. Ale nie był zaskoczony.

Zerknął w lewo i kątem oka uchwycił ruch. Spod krawędzi żaluzji w kuchni przenikała cienka smuga światła i ujawniała dwie ciemne postaci przy stoliku.

Bliźniaczki.

Siedziały naprzeciw siebie i choć z ich widmowych ust nie wydobywał się żaden dźwięk, śmiały się, kołysały nieco na krzesłach, a ich ciała podrygiwały z rozbawienia.

I znowu Henry miał wrażenie, że powinien z tego wyciągnąć wniosek, że otrzymuje wiadomość lub ostrzeżenie, że coś próbuje przekazać mu informację, ale nie miał pojęcia jaką.

Zdezorientowany, przestraszony, ale przede wszystkim wściekły, Henry podszedł do najbliższego okna i podciągnął roletę. Wzniosła się z głośnym trzaskiem, a do domku wlało się światło. Podszedł do następnej rolety i zwinął ją. Potem do kolejnej. Kiedy spojrzał na stół, by zobaczyć reakcję bliźniaczek, już ich nie było.

Dobrze, pomyślał z satysfakcją.

Spojrzał przez okno ku bezkresowi płaskiej pustyni na zachodzie. I zamarł.

Pośród piachów stał pociąg.

Widok był groźniejszy i znacznie bardziej przerażający niżby sugerował krótki opis. Bo pociąg był skąpany w mroku, nie zaledwie czarny, lecz przesycony aurą grozy, którą wyczuwało się nawet z oddalenia. To nie był cień ani nieco wyraźniejszy zarys, lecz fizyczna obecność na pustyni; staroświecka lokomotywa parowa z tendrem, cztery wagony pasażerskie i wagon sypialny

dla obsługi. Henry widział jukkę zmiążdżoną pod jednym z metalowych kół parowozu, widział dziwnie mroczne fale ciepła drżącego wokół nieregularnej powierzchni lokomotywy. Jak pociąg się tu dostał i skąd przyjechał...

*niech to piekło*

...nie miał odwagi zgadywać, ale to, że przybył, nie ulegało wątpliwości.

Wspomniał opowiedzianą przez ojca historię o duchu w pociągu w Nebrascie. Jego tata podróżował koleją, szukając pracy. Wykorzystywał wagony towarowe jak wielu sezonowych robotników w tamtych latach, by dotrzeć na zbiory owoców w Kalifornii czy na żniwa na Środkowym Zachodzie. Stracił swojego jedyne go towarzysza podróży już w Wyoming, gdzie mężczyzna wyskoczył z pociągu w rodzinnym mieście. Była chłodna noc i ojciec Henry'ego kulił się w kącie wagonu towarowego, owinięty w skradzioną końską derkę. Było ciemno choć oko wykol, wewnątrz wagonu oświetlała jedynie drzazga księżycowego światła przenikającego przez szparę w zamkniętych drzwiach. I nagle...

Nie było już tak ciemno.

Pojawiła się dziwna luminescencja w przeciwnym rogu. Nie blask elektrycznej latarki czy płomienia lampki gazowej, ale nieokreślona szara poświata, która stopniowo rozjaśniła się do chorobliwej zieleni. Ojciec opowiadał, że przez krótką chwilę widział postać człowieka, indiańskiego wojownika, i choć efemeryczna figura wyglądała dziko, nie czuł strachu. Duch zniknął, nie stopniowo, lecz w mgnieniu oka, chociaż resztki szarej poświaty zniknęły dopiero parę chwil potem. Przejeżdżali przez rejony, gdzie kolej zbudowano na terytoriach indiańskich, i ojciec Henry'ego przypuszczał, że to dzięki swemu indiańskiemu pochodzeniu mógł przelotnie ujrzeć ducha dawno zmarłego wojownika.

Henry myślał o tym teraz, patrząc na pociąg na piasku. Obserwował go jeszcze przez kilka sekund przez okno, a potem wyszedł przez tylne drzwi domku, by przyjrzeć mu się lepiej. Zobaczył, że inni strażnicy też dostrzegli widmową lokomotywę i wyszli ze swoich domków. Pociąg to nie halucynacja. Stał tam naprawdę - Henry nie potrzebował na to dowodu, ale mimo to był nieco zaskoczony, że inni też go widzieli. Jill miała służbę, tak jak jej mąż, Chris, ale Stuart, Pedley, Raul i Murdoch, wszyscy szli ku lokomotywie wydeptaną dróżką między domkami pracowników parku.

Henry dołączył do nich. Choć mroczny pociąg nadal był oddalony o ponad kilometr, wszyscy zatrzymali się na skraju dróżki i bali podejść bliżej. Groza

emanująca z tych nieruchomych, czarnych wagonów była mocno wyczuwalna nawet z tej odległości i Henry pozostawał czujny, gotów do ucieczki, nawet gdyby z lokomotywy wynurzył się tylko kłęb dymu z komina.

- Osobowy na wybrzeże - szepnął stojący obok Stuart.

Henry wspomniawszy ten eufemizm. Używali go w wojsku, mówiąc o kimś, kto zginął. Na podstawowym szkoleniu jeden z chłopaków zasłabł podczas biegania. Zabrano go do izby chorych i nigdy nie wrócił. Inspektor musztry, zapytany, co się stało, odpowiedział po prostu: „Pojechał osobowym na wybrzeże”. Wtedy Henry spotkał się z tym wyrażeniem po raz pierwszy, ale podobnie jak wszyscy w jego jednostce wykorzystywał je ponad miarę w ciągu następnych trzech lat, ośmiu miesięcy i dwudziestu ośmiu dni. Jednak już od dziesięcioleci się z nim nie zetknął - nawet o nim nie myślał - więc obraz wywołany szeptem Stuarta tym bardziej go przestraszył.

Osobowy na wybrzeże.

*Wybrzeże.*

Przypomniał mu się sen, bezkres wód i to lingwistyczne połączenie, aczkolwiek wątle, wywołało u niego gęsią skórę. Znowu poczuł, że prawie, prawie dotyka jakiegoś znaczenia i celu.

Wszyscy się uciszili - to znaczy ci, którzy w ogóle ośmielili się szeptać, jak Stuart. Pociąg czekał - jak lew, pomyślał Henry - i strażnicy czekali również. Próbowali zgadnąć, co się teraz wydarzy, czy pociąg odjedzie i rozplynie się w powietrzu, odwróci się i zmiążdży ich oraz ich domy, czy też może będzie wiecznie tam stał, aż jeden z nich znajdzie w sobie dosyć odwagi, by podejść bliżej i mu się przyjrzeć.

Henry spojrzał na Stuarta, Pedleya, Raula i Murdocha i znowu zwrócił się ku pociągowi.

Czemu tu był? W jakim celu?

Czy bliźniaczki są w środku?

Tak pragnął znać odpowiedź na to pytanie, że niemal ruszył przez piasek, by się tego dowiedzieć.

Niemal.

Odezwiał się parowy gwizdek lokomotywy, krótki i szybki, aż wszyscy podskoczyli w miejscu. Gwizd składał się z dźwięków, jakich pociąg nie powinien wydawać, były to tony tuż poniżej progu świadomości. Choć Henry ich nie słyszał, z jakiegoś powodu przywoływały na myśl masowe wrzaski. Już chciał rzucić się do ucieczki, z powrotem do swojego domku, byle tylko nie być na

zewnątrz, na otwartej przestrzeni, kiedy czarny pociąg ruszył - nie powoli, nabierając mocy, ale natychmiast z pełną szybkością, jak na przyśpieszonej taśmie filmowej. W ciągu kilku sekund minął wydmy i zniknął z pola widzenia.

- Co to, kurwa, było? - wydyszał Raul.
- No - skomentował Stuart.
- Ray nie żyje - oznajmił im tępo Henry.

- Pociąg? - spytał sceptycznie dyrektor. Powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go strażników i najwidoczniej nie zobaczył w nich tego, czego się spodziewał. Henry też się rozejrzył. Miny kolegów nie wyrażały zakłopotania ani wahania, a jedynie zaciętą determinację i ledwie skrywany strach.

Z twarzy Healeya zniknęła nadzieja. Zrezygnowany usiadł na jednym z krzeseł Raya.

- Opowiedzcie mi, co się stało.

Wszystkie oczy zwróciły się na Henry'ego. Teraz on grał kluczową rolę w całej tej abrakadabrze. To on znalazł ciało Raya i choć nie mówił nic o bliźniaczkach, wszyscy już wiedzieli, że to właśnie on odkrył zdewastowane małowidła naskalne. Co najwidoczniej przydawało mu autorytetu.

Henry westchnął i wyjaśnił w sposób rzeczowy krok po kroku, co się wydarzyło. Opuścił informację o cieniach w swoim domu i o tym, jak poszedł za widmem orientalnych dziewcząt do domku Raya, ale aby zawrzeć w opowieści jak najwięcej prawdy i emocji, opisał swój niepokój i złe przeczucia, jakie miał, zbliżając się do domu Raya.

Potem mówił o pociągu.

Wszyscy to widzieli, więc niczego nie ukrywał, opisał tamtą czarną lokomotywę w całej jej piekielnej wspaniałości, wyjaśnił, jak nawet z daleka wyczuwał ciemną moc. Kiedy mówił, inni kiwali głowami. Widział lęk na ich twarzach, rozpoznawał go, znowu sam go czuł.

- Chodzi nam o to - oznajmił Healeyowi - że potrzebujemy zapewnienia, że będziemy chronieni. My jesteśmy codziennie w terenie, kiedy pan siedzi bezpiecznie w swoim gabinecie...

- Mój gabinet nie jest znowu taki bezpieczny - zauważył dyrektor.
- Tym bardziej powinien pan... wymyślić jakiś plan.

Henry zauważył, że się płacze. Nie miał już nic do powiedzenia.

- Tam coś jest - oświadczył Stuart. - A ja nie mam ochoty spotkać się z tym twarzą w twarz.

Henry zerknął przez otwarte drzwi. Policja stanowa odjechała zaledwie kilka minut temu. Zabrała ze sobą podpisane zeznania świadków i ciało Raya

w plastikowym worku. Była to ta sama brygada śledcza, która wcześniej badała ciała nadal niezidentyfikowanej kobiety i Laurie Chambers. Jeden ze śledczych zażartował, że powinni umieścić przekaźnik satelitarny w Krainie Kanionów. Nikt się nie roześmiał. Wszyscy byli na skraju załamania nerwowego. Czekali, aż zginie następna osoba. Henry zastanawiał się, czy inni strażnicy myślą o porzuceniu pracy, a przynajmniej o przeniesieniu się do innego parku. On sam z pewnością o tym myślał.

Nie. To nie była prawda. Myślał w jakiś obiektywny, abstrakcyjny sposób o porzuceniu Krainy Kanionów, ale tak naprawdę nie brał tego pod uwagę.

Z powodu bliźniaczek.

Pomiędzy jego nogami coś się poruszyło i - aby powstrzymać erekcję - próbował myśleć o czymś obrzydliwym: przejechanych wiewiórkach, rozdeptanych robakach, psich odchodach.

Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy znowu na niego patrzą. Wyłączył się na chwilę i nie miał pojęcia, jaki kierunek obrała rozmowa. Zdawało się, że ktoś zadał pytanie i czekano na jego odpowiedź.

- Przepraszam - powiedział, kręcąc głową, by podkreślić swoje rozżalenie. - Co takiego?

- Pytałem - mówił dyrektor z przesadną cierpliwością - jak się panu wydaje, co możemy zrobić, by złagodzić ten problem?

Umysł Henry'ego analizował możliwości: ograniczyć dostęp do części parku, zawsze pracować w trzyosobowych zespołach, zatrudnić szamana...

Pomyślał o bliźniaczkach.

Powiódł wzrokiem po kolegach w pokoju.

- Nie wiem - przyznał. - Nie sądzę, abyśmy mogli cokolwiek zrobić.

## 17

BEAR FLATS, KALIFORNIA

Nie mogę w to uwierzyć - stwierdziła Leslie.

Jolene odchyliła się na kanapie i popijała wino, którym poczęstowała ją przyjaciółka.

- Uwierz.



- Ale nie rozumiem, dlaczego tam nie wróciłaś. To przecież zadziwiające rzeczy. Wcale nie jesteś ciekawa?

Jolene westchnęła. Jak mogłaby wyjaśnić przyjaciółce to wrażenie niesamowitego zła emanującego z piwnicy, ten okropny strach, jaki tam czuła, koszmary, które ma od tamtego czasu? Nie da się. To były uczucia zbyt głębokie, by opisać je słowami; doznania, których język nie potrafi oddać.

- Nie - skłamała. - Nie jestem ciekawa.

Przez chwilę milczały, popijając drinki.

- Penis? - odezwała się w końcu Leslie. - Naprawdę?

Jolene skinęła głową.

- Więc przypuszczasz, że Chester czy któryś z Williamsów to seryjny morderca?

- Chyba tak - odparła Jolene.

Ale przecież tak nie myślała. Nie z tego powodu postanowiła nie wracać. Prawdziwy powód miał swoje źródło głębiej, w znacznie bardziej pierwotnych rejonach psychiki. Chodziło o dziecięcy lęk przed duchami, potworami, przed nieznanym, przed niezgłębioną tajemnicą. Wiązało się to z widokiem twarzy, którą ona i Skylar widzieli nocą za oknem. I z dwoma grobami.

- Czy sądzisz, że mogłabym to zobaczyć?

- Penisa? - spytała z ociąganiem.

- Dom. Wszystko.

Jolene pokręciła głową.

- Daj spokój! Co w ciebie wstąpiło? - dopytywała się Leslie.

- Nic.

- Więc o co chodzi? Czy Anne May miałyby coś przeciw temu?

- Nie. Jedno mogę stwierdzić, że Anne May uczciwie traktuje historię. Nie zamierza sprawy wyciszyć, żeby chronić reputację tamtej rodziny, ponieważ podarowali ten dom. Na razie milczy, póki nie dowie się wszystkiego, co możliwe, i nie uzyska dokładnego obrazu sytuacji, ale zamierza wszystko ujawnić.

- Dom, w którym straszy, przyciągnie znacznie więcej turystów niż stare, zakurzone muzeum.

- Nie chodzi nawet o to. Ona rzeczywiście uważa, że takie informacje należy udostępnić, choćby były makabryczne, niszczące czy niewygodne. W pewien sposób podziwiam ją za to.

- Do informacji musi być swobodny dostęp. Czy nie tak brzmi kodeks honorowy hakerów?

- Nie wiem. - Jolene zastanawiała się przez chwilę, dopiła wino i westchnęła. - Jeśli chcesz, mogę cię tam zaprowadzić. Mam wyrzuty sumienia, że porzuciłam biedną Anne May. Powinna ją przynajmniej przeprosić. Już chyba kilkanaście razy dzwoniła do domu mojej mamy, a ja jej unikam.

- Naprawdę?

- Tak.

- A jeśli chodzi o dom twojej mamy... - zaczęła Leslie.

Jolene jęknęła.

- Błagam, jeden problem na razie wystarczy.

Leslie się zaśmiała.

Może nie będzie tak źle, pomyślała Jolene. Może to, czego doświadczyła w piwnicy, urosło w jej głowie do nieproporcjonalnie wielkich rozmiarów i popadła w obsesję na punkcie czegoś, co wcale nie było tak straszne, jak sobie wyobrażała.

Miała nadzieję.

Pojechały do posiadłości Williamsów samochodem Jolene. Na owalnym podjeździe stał oldsmobile Anne May. Jolene zaparkowała za nim i lekko nacisnęła klakson, żeby zaanonsować swoje przybycie. Może starsza pani nie była tak strachliwa jak ona, ale gdyby to ją ktoś zaskoczył w tym domu bez uprzedzenia, prawdopodobnie dostałaby ataku serca. To miejsce było straszne. Nawet gdyby Jolene nie widziała niższej piwnicy, dom nappełniałby ją lękiem. Zwłaszcza w dzień taki jak ten, gdy słońce kryło się za parawanem groźnych chmur i całe miasto okrywał ponury cień.

Gdy wychodziły z samochodu, Anne May była już na werandzie. Uśmiechała się szeroko i Jolene przyjęła to z ulgą. Przynajmniej starsza pani nie była na nią zła. Choć z drugiej strony to nieco wzmogło jej poczucie winy. Jak mogła zachować się tak bezmyślnie i opuścić Anne May bez żadnego wyjaśnienia?

Nie byłam bezmyślna, usprawiedliwiała się w duchu. Byłam przerażona.

Czyżby Anne May pracowała samotnie dlatego, że pozostali członkowie towarzystwa historycznego też się wystraszyli?

- Pani Carter! - zawołała Leslie. Wskoczyła po schodach werandy i uściśkała starszą panią. - Nie widywałam pani od pewnego czasu.

- Byłam zajęta - odparła Anne May. - Jak widzisz.

Rzeczywiście, wewnątrz domu wypełniały pudła, papiery i obrazy przeniesione ze starego muzeum. Rodzinne meble Williamsów zostały

tymczasowo zepchnięte pod ścianę wraz z innymi darami. Jolene zerknęła na Leslie, której spojrzenie pytało: „Co teraz powiemy?” Żadna z nich nie wiedziała, jak podjąć interesujący ich temat.

Niepotrzebnie się martwiły. Anne May aż paliła się, żeby opisać im swoje ostatnie odkrycia. Podczas tych wszystkich lat, gdy badała historię Bear Flats i hrabstwa Pinetop, nigdy nie natknęła się na tak cenne znalezisko rzeczy dziwaczných i fascynujących.

- Ten dom - mówiła Anne May z zachwytem - to marzenie dwunastolatka. Jest tu tajemne przejście z jednej sypialni do drugiej. Jest podwójny strych i oczywiście ta sekretna piwnica. To jakby dom zbudowany dla podziemnej linii kolejowej. - Jej oczy zaszkliły się z podniecenia. - Gdy czyta się dziennik, można się przekonać, że Chester Williams, pierwszy Chester Williams, z pewnością nie należał do tego typu ludzi, którzy bawiliby się w takie rzeczy.

Jolene przebiegł dreszcz.

- Dam ci przeczytać, jak skończę - obiecała Anne May. - To... - Pokręciła głową. - Nie potrafię tego nawet opisać. Ale są tam rewelacje. Nadzwyczajne rewelacje.

- Co takiego? - spytała Leslie. - Nie mogłaby nam pani czegoś zdradzić?

Starsza pani się uśmiechnęła.

- Morderstwa! - szepnęła podekscytowana.

Z pochyłego pudła ześliznął się segregator z papierami i upadł głośno na podłogę. Trzy kobiety podskoczyły. Leslie się zaśmiała.

- Ale z nas dzielna drużyna, co?

Takiego właśnie wstępu potrzebowała Jolene.

- Jak udało się pani tu pracować zupełnie samej? - spytała Anne May. Ściszyła głos. - Zwłaszcza po tym, co znalazłyśmy.

- Nie wiem. - Starsza pani zastanawiała się poważnie nad postawionym pytaniem. - Przyznaję, jest tu bardzo... strasznie. Ale to takie ekscytujące, że chyba o tym zapominam i pochłania mnie przygoda. - Uśmiechnęła się szeroko. - Chcecie zobaczyć, co odkryłam dziś rano?

- Nie wiem - odparła Jolene szczerze. - Nie wiem, czy chcę.

- Chcemy! - zdecydowała Leslie za nie obie.

Anne May poprowadziła je przez salon ścieżką między piętrzącymi się pudłami. Wzięła z blatu antycznego stolika coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak ciało dziecka przewiązane sznurkiem.

- Znalazłam to w szafie wnękowej ukrytej za inną szafą. - Uniosła przedmiot w dłoń i teraz dokładniej widziały, że to marionetka zrobiona ze

sklejonych części ludzkiego ciała, zbieranina zmumifikowanych kawałków nosa i palców u nóg, zszyta baraním jelitem ścięgiem krzyżykowym. Postać szczyrzyła do niej małe białe zęby, zęby dziecięce w ustach o uniesionych do góry kącikach warg.

Krew zamarzła w żyłach Jolene. Oblicze marionetki przypominało twarz, która patrzyła zza okna na nią i na Skylara, nawet brązowa pergaminowa skóra była taka sama. Jolene odwróciła wzrok, mając nadzieję, że pozostałe dwie kobiety nie widzą, jak drżą jej ręce.

- Muszę odebrać syna ze szkoły - oznajmiła.

- Masz jeszcze czterdzieści pięć minut - zauważyła Leslie. - Do szkoły jedziesz dwie minuty.

- To może przerazić - przyznała Anne May, odkładając marionetkę na stół. - Tak jak wiele rzeczy, które znalazłam. A dziennik... - Pokręciła głową. - To dlatego nie wróciłaś po pierwszym dniu? - skierowała pytanie do Jolene. - Przestraszyłaś się?

- Przepraszam - powiedziała Jolene. - To prawda. Chciałam do pani zadzwonić, mam wyrzuty sumienia, że tego nie zrobiłam, ale...

- Nie przejmuj się tym. - Starsza pani się uśmiechnęła. - Theo też się wystraszył. Nie mam do was pretensji. Chyba dałam się ponieść tym odkryciami i nie myślałam o niczym innym. Historia jest całym moim życiem. Ta dobra, ta zła i ta odrażająca.

- Starsze pokolenie ulepione jest z twardszej gliny - stwierdziła Leslie żartobliwie.

- Masz rację - odparła Jolene z powagą.

- Phi! - Anne May się uśmiechnęła.

Jolene chyba nigdy nie słyszała, żeby ktoś mówił „phi”.

- Więc o co w tym wszystkim chodzi? - spytała Leslie. - Czy według pani ojciec lub dziadek Chestera Williama albo któryś z ich przodków był rzeczywiście seryjnym mordercą? I dlaczego reszta rodziny trzymała te wszystkie rzeczy? Można by sądzić, że powinni to wyrzucić. To znaczy mogę sobie wyobrazić, że milczeli na temat dawnego krewnego, nie chcieli, żeby ludzie wiedzieli o mordercy w rodzinie. Ale żeby przechowywać części ciał w charakterze pamiątek rodzinnych? - Pokręciła głową. - To jak *Teksańska masakra piłą mechaniczną*. Williamsowie musieli być bardzo niezrównoważoną emocjonalnie gromadką.

W pomieszczeniu na górze rozległ się głuchy odgłos.

- Zaczekajcie chwilę - powiedziała Anne May. Szybko przeszła między pudłami do schodów. - Za chwilę wracam! - krzyknęła. Na schodach rozległ się tupot jej kroków.

- Jak myślisz, co to było? - spytała Jolene. Pierwsza nieracjonalna myśl, jaka jej przyszła do głowy, była taka, że Anne May znalazła coś żywego w którymś z sekretnych pomieszczeń.

Albo coś nieżywego.

- Tak jakby coś upadło - odparła Leslie zwyczajnie.

Tak. To musi być to. Przyjaciółka bez wątpienia miała rację. Ale gdy powoli przechadzały się po salonie, oglądając różne przedmioty i fotografie, Jolene miała wyraźną świadomość, że z góry nie dociera żaden dźwięk, że dom jest cichy i tylko one dwie hałasują.

Leslie niepewnie dotknęła marionetki.

- Boże, to przyprawia o gęsią skórkę.

- Jak wszystko w tym domu.

- Pamiętasz, kiedy byliśmy dziećmi... ten stary Williams wydawał się taki nadęty. Arystokratyczny sztywniak zbyt ważny, by utrzymywać stosunki z normalnymi ludźmi. Kto by się spodziewał, że w swojej rezydencji przechowywał części ludzkich ciał?

Jolene skinęła głową. Czują, że jest jej zimno.

- Jego żona już wtedy nie żyła, więc siedział samotnie w domu z tymi wszystkimi sekretnymi pokojami, ukrytą piwnicą i pamiątkami po rodzinnych morderstwach. A co robił wieczorami, jak myślisz? Nie widziałam tu telewizora ani zbyt wielu książek. Może wytwarzał takie rzeczy. - Wskazała na marionetkę.

- To tylko dowodzi, że nigdy nie wiadomo, co robią ludzie za zamkniętymi drzwiami swoich domów.

Jolene spojrzała w sufit. Z piętra nadal nie dochodził żaden dźwięk. „Za chwilę wracam”, powiedziała starsza pani, ale pojęcie „chwili” rozciągnęło się poza sensowne granice. Coś było nie w porządku.

Wtem usłyszały kolejne głucho uderzenie na górze, głośniejsze od pierwszego. Znacznie głośniejsze.

- Anne May! - zawołała Jolene.

Nikt nie odpowiedział.

Wymieniły z Leslie szybkie spojrzenia, przedarły się między pudłami do schodów i wbiegły na piętro. Tam zatrzymały się tylko na sekundę w korytarzu, potem zaczęły otwierać drzwi do kolejnych pokojów.

- O Boże! - wrzasnęła Leslie.

Jolene pośpieszyła w stronę przyjaciółki, która chwiejnie cofała się od otwartych drzwi. Jeszcze nim Jolene do niej dotarła, dostrzegła zmasakrowane ciało Anne May - czerwoną miazgę w miejscu twarzy, wgniecioną jamę klatki piersiowej, powiększającą się kałużę krwi na podłodze. Jednak dopiero

gdy stanęła w drzwiach, zobaczyła cięcia na nogach starszej pani, cięcia tak głębokie, że przez czerwone ciało widoczne były białe kości. Teraz głównie przez te rany gęsta, purpurowa krew wypływała w rytmie gasnącego pulsu. Kobieta musiała zginąć zaledwie kilka sekund temu.

Jolene poczuła palce wpijające się w jej ramię i przez ułamek sekundy myślała, że też zostanie zgładzona, ale to Leslie chwyciła ją kurczowo.

- Kto to zrobił? - spytała przyjaciółka, patrząc w głąb korytarza. - Gdzie oni są?

Jolene też chciałaby to wiedzieć. W tym pokoju nikogo nie było. Żadnego zabójcy - ani człowieka, ani zwierzęcia. Ale na ścianach widziały coś, co przypominało pelzającą czarną pleśń. Wyglądało to bardziej jak cień niż jak grzyb, jakby pleśń dopiero się kształtowała czy - dokładniej mówiąc - jakby znajdowała się w tym miejscu, w tej przestrzeni, ale w innym wymiarze, i próbowała się tu przedostać.

Nie, pomyślała Jolene. To nie tak. To jakby scenę z przeszłości nałożyć na teraźniejszość, jakbyśmy widziały zjawy zdarzeń z przeszłości.

Ale zakrwawione ciało Anne May nie było zjawą. Jolene i Leslie rozglądały się ukradkowo po korytarzu, jakby w obawie, że jakiś fantom może w każdej chwili wyskoczyć z innego pomieszczenia.

- Zabierajmy się stąd - powiedziała Jolene. - Zadzwonimy na policję, niech oni się dowiedzą, co tu się stało.

Leslie odzyskiwała zimną krew i gdy obie biegły w dół po schodach, wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer 911.

- Anne May Carter została zamordowana! - krzyknęła. - Jesteśmy w rezydencji Williamsów!... Nie wiem!... Przy ulicy Fistler!... Będą wiedzieli, gdzie to jest... proszę im tylko powiedzieć, żeby jak najszybciej tu przyjechali!... Leslie Finch. - Dotarły na parter i przez labirynt wśród pudeł szybko szły do frontowych drzwi. - Nie, nie chcemy czekać!... Dobrze, zaczekamy w samochodzie, ale jeśli coś zobaczymy, to odjedziemy! - Gdy Leslie kończyła rozmowę, były już na zewnątrz i biegły ulicą do samochodu. - Chcą, żebyśmy tu poczekały - zwróciła się do Jolene. - Nie rozłączyłam się na wypadek, gdyby coś się stało, więc pamiętaj, że cokolwiek powiesz, może zostać utrwalone dla potomności.

Jolene już słyszała z dala syreny i natychmiast ten dźwięk podziałał na nią kojąco. Otworzyła drzwi od strony kierowcy i wskoczyła do środka. Widok brutalnie zamordowanej kobiety dominował w jej umyśle. Nagle ciała

meksykańskiej rodziny, które znalazła w wąwozie, wydały jej się miłe, kojące, niemal przyjemne.

- Ona nie krzyczała - stwierdziła Leslie, gdy Jolene blokowała wszystkie drzwi samochodu. - Nie wydała żadnego dźwięku.

Jolene wcześniej o tym nie pomyślała, ale rzeczywiście, to była najdziwniejsza rzecz. Na ból reaguje się odruchowo. Nawet gdyby Anne May umarła niemal natychmiast, powinna krzyknąć przy pierwszym zadanym jej ciosie. A dlaczego nie słyszały kroków mordercy?

Bo to duch.

Jolene nie chciała tam iść, nie chciała o tym myśleć.

Od telefonu Leslie nie zdążyły minąć trzy minuty, gdy nadjechał pierwszy samochód policyjny. Imponujący wynik, nawet jak na tak małe miasto. I już dwa następne hamowały na owalnym podjeździe. Z aut wyskoczyło sześciu policjantów z wyciągniętymi pistoletami.

Boże, dzięki, pomyślała Jolene.

Jeden z policjantów, najwyraźniej dowódca, nakazał im gestem, by zostały w samochodzie, a czterech innych poprowadził do domu. Jeden został przy pierwszym samochodzie patrolowym z bronią gotową do strzału, na wypadek gdyby na podjeździe wywiązała się jakaś awantura. Jolene i Leslie cicho czekały, nasłuchując. Wydawało im się, że trwa to niemal godzinę, ale prawdopodobnie upłynęło tylko dziesięć minut. Jolene miała nadzieję, że to się wreszcie skończy, ponieważ wkrótce musiała odebrać Skylara ze szkoły. Jeśli policja zechce je przesłuchać i spisać zeznania, Jolene będzie musiała zadzwonić do matki i poprosić, by przyprowadziła wnuka do domu.

Wolała tego nie robić.

Dwaj policjanci wyszli z domu. Mieli oszołomione miny. Jeden z nich wkładał pistolet do kabury, drugi już schował broń i niósł plecak z rysunkami mangi.

Plecak Skylara.

Serce Jolene gwałtownie podskoczyło, nagle nie mogła złapać tchu. Jednym nieprawdopodobnie płynnym ruchem odblokowała i otworzyła drzwi samochodu, i już biegła w stronę domu, nim Leslie zdążyła zapytać ze zdziwieniem:

- O co chodzi?

Jolene pędem minęła zaskoczonych gliniarzy i wpadła do domu, ile sił w płucach wołając syna po imieniu. Racjonalna, lecz teraz podrzędna część jej umysłu podpowiadała, że to, co robi, jest głupie, że tu, na miejscu przestępstwa, znajduje się trzech roztrzęsionych policjantów, którzy mogą ją przez przypadek postrzelić.

- Skylar! - krzyczała. - Skylar!

Usłyszała odpowiedź, ale nie był to głos jej syna, tylko niski baryton jednego z funkcjonariuszy wydobywający się z dołu.

Z piwnicy.

Powinna była to przewidzieć. Bardzo się bała znów zejść na dół, sama myśl ją przerażała, ale strach o syna był znacznie większy i Jolene nikt ani nic nie był w stanie zatrzymać. Błyskawicznie pokonała labirynt pudeł i wpadła do kuchni, a potem, przeskakując po dwa stopnie, zbiegła do piwnicy. Jak się obawiała - jak już wiedziała - kłapa do sekretnej piwnicy była podniesiona. Zagłądali tam dwaj policjanci.

- Skylar! - zawołała i dwaj mężczyźni odwrócili się ku niej powoli. Widząc ich puste spojrzenia, poczuła przesywający ją grom przerażenia i niczym dzikie zwierzę odsunęła obu policjantów i zajrzała do piwnicy.

Tam nagi Skylar siedział we własnych odchodach i kiwał się w przód i w tył, śmiejąc się do siebie jak szaleniec.

*Hej!*

Głos rozległ się tuż obok, z prawej strony. Skylar podskoczył i odwrócił się, ale szkolny korytarz był pusty. Nikogo przed nim ani za nim, drzwi do wszystkich klas były zamknięte. Musiał koniecznie zrobić siusiu, ale nagle bał się przejść nawet na koniec korytarza, nie mówiąc o samotnej wizycie w łazience dla chłopców. Zastanawiał się, czy jeśli się powstrzyma, zdoła wytrwać do przerwy.

Nie ma mowy.

Na szczęście nieco dalej otworzyły się drzwi do jednej z sal i na korytarz wyszła dziewczynka, niosąc przepustkę, taką jaką miał i on. Ruszyła zdecydowanie w stronę łazienek i Skylar poszedł za nią, zyskując trochę śmiałości przy dziewczynce, która okazała się odważniejsza od niego. Przy łazienkach niemal ją dogonił i pchnął drzwi z napisem „Chłopcy”, gdy drzwi „Dziewczynki” nadal się wahały.

Lampy były zgaszone - szkoła próbowała oszczędzić na elektryczności - ale wysoko umieszczone matowe okno i podwójny świetlik w suficie nie zapewniały dość światła w tym wysokim pomieszczeniu i choć dzień był słoneczny, tutaj wydawało się, że jest pochmurny. Wyłożone szarymi kafelkami wnętrze było puste i wystraszony Skylar szybko podszedł do najbliższego pisuaru, rozpinając po drodze suwak; śpieszył się, by jak najszybciej stąd wyjść.

*Hej!*



Skylar podskoczył i omal nie nasiusił sobie na but. To był ten sam głos - teraz odbijał się od kafelkowych ścian i brzmiał nie tylko dziwnie, lecz również złowrogo. Aż tu przyszedł za Skylarem. Serce chłopca zaczęło walić jak młotem. Próbował skończyć siusiak jak najszybciej, nim głos znów się odezwie, i chciał wybiec z łazienki, nawet gdyby rozporek nie był do końca zasunięty; powrócić do klasy i do bezpieczeństwa w grupie.

*Hej.*

Uznał, że już skończył. Wytrzyma do przerwy. Zapiął spodnie i odwrócił się, nie spuszczać wody.

*Hej. Hej. Hej. Hej. Hejhej. Hejhejhejhej...*

Głos przyspieszył, stał się wyższy. Doszły inne słowa, których Skylar nie rozumiał... i nagle był to głos z grobu.

*Matka, Córka.*

Nad świetlikiem, za oknem przesunął się cień. Łazienka pograżała się w mroku i Skylar zaczął krzyczeć:

- Pomocy! Pomocy!

Obcy język brzmiał teraz jak śmiech.

Chłopiec bał się uciekać, bał się poruszyć. Już nie był w toalecie sam - co do tego miał pewność - i mógł tylko wołać o pomoc w nadziei, że jakiś nauczyciel lub woźny go usłyszy i przyjdzie na ratunek.

Nagle pojawiło się światło, ale skąd, Skylar nie potrafił stwierdzić. Oświetliło obszar między nim a drzwiami i Skylar zobaczył małą postać na sznurkach tańczącą na podłodze. Oddychał krótkimi urywanymi haustami sprawiającymi mu ból w gardle. To był pajacyk - obrzydliwa rzecz, ohydnie szczerząca zęby - która przypominała mu coś, co już wcześniej widział. Wydało mu się, że pajac rośnie, staje się większy, ale to było złudzenie, bo zbliżał się do niego w tajemniczej iluminacji, tańcząc jak szalony.

Skylar przestał krzyczeć. Nie wiedział kiedy, nie wiedział dlaczego, ale gdy próbował wrzasnąć, nie mógł. Nie miał głosu. Potrafił tylko wydobyć z siebie chrapliwe krakanie.

Ale chyba nie musiał już więcej krzyczeć. Ktoś powinien tu już przyjść. Czy nikt nie słyszał jego wołania? Przecież Skylar wrzeszczał z całych sił.

Pajac przysunął się bardziej.

Skylar cofnął się aż pod metalową ściankę pierwszej kabiny i nie mógł się dalej ruszyć. Za światłem widział teraz cień. Widział sylwetkę postaci, która kierowała marionetką. Światło nie przemieściło się; pajacyk wyszedł z jego

kregu, a manipulująca nim postać weszła na parapet.

Był to stary mężczyzna, którego Skylar i mama widzieli w nocy za oknem swojej sypialni. Teraz Skylar uzmysłowił sobie, dlaczego okropna twarz lalki wydała mu się tak znajoma.

- Skylar - powiedział z dziwnym akcentem mężczyzna.

Znał jego imię!

- Hej.

- Nie. - Tylko to chłopiec potrafił odpowiedzieć.

- Mam ci tyle do pokazania - oznajmił starzec.

Skylar zaczął jęczeć.

Postać uśmiechnęła się do niego. I wzięła go za rękę.

## 18

### FLAGSTAFF, ARIZONA

**T**esty wykazały, że nic tam nie ma.

To było po prostu niemożliwe.

Angela i Derek słuchali doktora Mathewsona, który opisywał przebieg przeprowadzonych analiz pleśni.

- Wiem, że ona istnieje - mówił poirytowany. - Przecież widzę.

Wszyscy ją widzimy. Ale pod mikroskopem, w czasie analizy spektrograficznej czy poddana testom chemicznym na reakcje z różnymi roztworami zachowuje się tak, jakby nie istniała. Jakbyśmy patrzyli na... - wykonał palcami spiralny ruch nad głową - ...powietrze.

Angela nie miała pojęcia, jak coś takiego było możliwe, ale wierzyła w to. Z jej punktu widzenia od samego początku więcej w tym było magii niż nauki. Ciągłe nie mieli odpowiedzi na pytanie, z czym mają do czynienia, i wiedziała, że brak konkretnych faktów frustruje i profesora, i Dereka. Ona również była sfrustrowana, ale z innego powodu. Nie oczekiwała bezwzględnie racjonalnych wyjaśnień, ale chciała wiedzieć, co się stało i dlaczego.

Częściowo czuła się wszystkiemu winna, jakby to ona przyniosła to na siebie, jakby to była kara wymierzona jej przez wszechświat.

To był wpływ rodziców. I Kościoła.

Poprzednią noc spędziła w domu Dereka. Początkowo odmówiła przyjęcia propozycji w obawie przed tym, co pomyśli jego rodzina, ale on zawiózł ją do swojego domu, przedstawił ją mamie i w skrócie opisał, co się stało. Matka nalegała, by Angela zanocewała w pokoju gościnnym.

- Dziękuję - odparła z wdzięcznością. - To tylko dzisiejsza noc. Obiecuję.
- Możesz zostać do czasu, aż wyjaśni się twoja sytuacja - rzekła kobieta.
- Derek ma dziewczynę! Derek ma dziewczynę! - wołał śpiewnie Steve, brat Dereka.

- Cicho! - polecił mu Derek.

- Derek ma dziewczynę!

- To mój przyrodni brat - wyjaśnił Derek Angeli, wskazując fotografie rodzinne ustawione na gzymsie nad kominkiem. Zobaczyła zdjęcia pani Yount i dwóch jej mężów.

- Mamo! - skomlał Steve.

- Derek! - ostrzegła go matka.

Jak miło było znów poczuć rodzinną atmosferę. Samodzielność w dorosłym świecie była przyjemna, ale gdy coś się nie układa, w rodzinnym gronie znacznie łatwiej stawić czoło problemom.

Wykorzystała prawie wszystkie minuty abonamentu, dzwoniąc do rodziny i przyjaciół w Kalifornii. Prawdopodobnie uznali, że przeżywa załamanie psychiczne. Nic dziwnego - po raz pierwszy mieszka sama z dala od domu. Wszystko im opowiedziała, ale zupełnie jej nie wierzyli. Dlaczego mieliby wierzyć w tę absurdalną historię? Angela wprowadziła się do domu zamieszkanego przez grono barwnych lokatorów; potem w tunelu ożywiony trup chwycił ją za ramię, w wyniku czego na pościeli Angeli rozwinęła się czarna pleśń, której dotknęła koleżanka, i w efekcie i ona, i inni lokatorzy zmienili się w rasistowskich dupków. Brzmiało to jak scenariusz trzeciorzędnego horroru.

Poza tym rodzina i przyjaciele Angeli byli teraz zbyt daleko, żeby udzielić jej wsparcia.

Przynajmniej Derek potrafił się nią zaopiekować.

Zerkała na niego podczas rozmowy z naukowcem. Obaj przeglądali wydruki komputerowe. Nie była pewna, czy Derek rozumie z nich coś więcej niż ona, ale przynajmniej był obecny, starał się.

Doktor Mathewson odłożył kartki zawiedziony.

- Co teraz? - spytał Derek.

Profesor pokręcił głową.

- Porozmawiam z kolegami z wydziału, wymienię informacje z innymi osobami na uniwersytetach, gdzie mają bardziej zaawansowaną aparaturę, skontaktuję się z Centrum Zwalczenia i Zapobiegania Chorób, będę próbował. W końcu to zidentyfikujemy, ale teraz nic więcej nie mogę zaproponować.

- Dziękujemy za pomoc - powiedziała Angela.

- To ja wam dziękuję - odparł. - To prawdziwe naukowe wyzwanie. Będę mógł przynajmniej napisać artykuł.

Gdy wyszli na zewnątrz, Derek spojrzął na kamienny budynek uniwersytetu.

- Za tymi murami ciężko pracuje wielu mądrych ludzi. Można by się spodziewać, że znajdziemy kogoś, kto rozwiąże naszą zagadkę albo przynajmniej wysunie jakąś użyteczną hipotezę.

- W tej chwili chcę tylko wrócić do domu i zabrać stamtąd swoje rzeczy, gdy wszyscy są na uczelni.

Oboje postanowili opuścić dziś zajęcia. Derek zgodził się pomóc Angeli w przewiezieniu jej rzeczy z Domu Babbitta do jego garażu, gdzie mogłaby je przechować, póki nie znajdzie innego lokum.

- W takim razie zgoda, jedziemy - zdecydował.

Jeśli przedtem zdobna fasada i dobrze utrzymany trawnik wiktoriańskiej rezydencji miały dla Angeli coś z uroku cyganerii, to teraz dom wydał jej się przerażający i nieprzyjazny. Piernikowe ściany jak w domu, w którym straszny; okazały trawnik izolujący to miejsce od pozostałych domów. Angela trzymała tam swoje ubrania, komputer, książki i płyty, ale kusiło ją, by to zostawić, porzucić wszystko i uciec z tego miejsca. Nie miała ochoty wracać do tego domu.

Derek już szedł do wejścia, ale obejrzał się.

- No, chodź, niech to już będzie za nami.

Miał rację. Przyspieszyła, by go dogonić.

„Głupia brązowa suka”.

Miała nadzieję, że Chrissie jest nieobecna. Winston też.

Drzwi frontowe były zamknięte. Angela wyjęła z torby klucze na kółku i wybierała właściwy, gdy na betonowej ścieżce pod stopami Dereka pękł balon wypełniony ciecżą. W powietrzu rozszedł się cierpki, okropny zapach moczu.

- Ani się waż wchodzić, zły wilku! - wrzasnął z góry Randy.

Angela usłyszała odgłos zatrząskiwanej okna.

W tej samej chwili, jakby na zawołanie, Kelli i Yurica wysunęły głowy z okna przy drzwiach wejściowych - to okno ich salonu - i krzyknęły unisono:

- Wracaj do Meksyku, ty zdziro! - Chichocząc, schowały się wewnątrz pokoju.

- Jakiś cholerny dom wariatów - ocenił Derek.

- To z powodu pleśni - stwierdziła Angela. - Przynajmniej tak sędzę - dodała po chwili, otwierając drzwi.

Derek skulił się, gotów zrobić unik, gdyby zauważył, że coś znów nadlatuje, ale nic takiego się nie wydarzyło.

- Czy myślisz, że to samo przytrafiło się doktorowi Welkesowi? I wszystkim innym, którzy zeszli do tunelu?

- Nie wiem - przyznała Angela, wchodząc do środka.

Zwykle o tej porze Dom Babbitta był pusty i cichy. Czasem tylko któryś z lokatorów uczył się w swoim pokoju lub słuchał muzyki. Teraz jednak wydawało się, że wszyscy byli w domu, za zamkniętymi drzwiami swoich mieszkań, i choć Angela ich nie widziała, wyczuwała ich obecność - nasłuchiwali, obserwowali, czekali.

Było...

Coś jeszcze.

Hałas.

Zaczął się jako niskie ledwo słyszalne buczenie, ale po paru sekundach mamrotanie dochodziło nie tylko z mieszkania Winstona i Brocka, ale ze wszystkich mieszkań, jakby stereofonicznie. To było to samo niezrozumiałe trajkotanie, które Angela słyszała przedtem...

*duch*

...które przeraziło nawet Dereka.

- Do diabła, co to jest? - spytał drżącym głosem.

- To duch - wyjaśniła. - W tym domu straszy.

- Też wziął się z pleśni?

- Nie. To dodatek do pleśni.

- Jezu Chryste - szepnęła Derek. Paplanie stało się bardziej szalone.

- Pośpieszmy się, a potem wynośmy się stąd - ponaglała Angela.

Pędem wbiegli po schodach. Angela niemal oczekiwała, że ze ścian zaczną ściekać krew albo czarna woda, a cały budynek się zapadnie, ale bez przeszkód dotarli na piętro.

W końcu korytarza zobaczyła Drew i Lisę w samej bieliźnie. Stali sztywno jak posągi. Obce mamrotanie nadal rozbrzmiewało wkoło, jakby dochodziło

z głośników ukrytych we wszystkich ścianach. Coś, co w innych okolicznościach można by uznać za komiczny żywy obraz, tu stało się niepokojącą scenką niezgłębionego horroru.

Musieli działać szybko.

Angela podeszła do drzwi swojego mieszkania. Były zamknięte na zasuwę. Zastukała głośno.

- Chrissie? - Pomimo wszystko miała nadzieję, że koleżanki nie ma w domu i nie usłyszy odpowiedzi. Pomyślała, że może uda się jej zabrać swoje rzeczy bez przeszkód. Do zamka włożyła klucz, przekręciła go i próbowała otworzyć drzwi, ale napotkała opór. Przelotne uczucie ulgi zniknęło. Angela pchnęła mocniej, chcąc siłą otworzyć drzwi, ale Chrissie opierała się o nie z drugiej strony.

- Suka! - wrzasnęła Chrissie. - Pieprzona brązowa fasolowa.

Derek położył dłoń jej na ramieniu.

- Zostaw - powiedział. - Zabierajmy się stąd. Niech policja się tym zajmie.

- Nie! - zaprotestowała zdecydowanie. Była teraz bardziej wściekła niż przerażona. - Tam są moje rzeczy i zabiorę je.

- Suka! - krzyknęła Chrissie.

- Pieprz się! - ryknęła w odpowiedzi Angela. Cofnęła się krok i natarła barkiem na drzwi, naśladując filmowych gliniarzy. Derek zacisnął rękę na jej dłoni na klamce i razem napierali na drzwi, które stopniowo ustępowały. Chrissie nie zdołała się oprzeć ich połączonym siłom.

Drzwi puściły.

Angela wstrzymała oddech. Derek również. Całe mieszkanie oblepiała pleśń, która opanowała wszystko. Całkowitą czernią pokryła kanapę, telewizor i blat kuchenny. Atramentowe macki wpełzały na ściany jak gałęzie drzew, wybuchały na suficie niczym galaktyka komet. Grzyb przykrywał podłogę ciemnym dywanem.

I ten zapach...

Stanęli w progu. Chrissie wrzeszczała na nich. Była naga. Miała mleczno-białą skórę, nietkniętą zarazą, i patrzyła na nich z dziką wściekłością, ale to nie jej widok powstrzymywał ich przed wejściem do środka, tylko obraz transformacji, jakiej uległo mieszkanie. Angela ledwo je poznawała. Przypominało jaskinię nietoperzy, a jej pokój musiał wyglądać jeszcze gorzej, gdyż tam znajdowało się źródło pleśni. Bez wątplenia wszystkie rzeczy opanowała ta rozpleniona przez trupy zaraza.

Razem z Derekiem wycofali się i zamknęli drzwi, w chwili gdy Chrissie ruszyła na nich z wyciągniętymi ramionami i palcami zagiętymi w szpony.

- Ty wstrętna brązowa... - I uderzyła w drzwi z głuchym łoskotem.
- Wynośmy się stąd - powiedział Derek.

Angela przytaknęła. W głębi korytarza Drew i Lisa nadal stali jak kamienie posągi.

Choć teraz były bliżej.

Angela i Derek zbiegli ze schodów. Winston i Brock stali przed wejściem do swojego mieszkania. Przez otwarte drzwi wydobywał się szaleńczy, przeraźliwie głośny jazgot. Gdy ostatnim razem Angela zerknęła do ich salonu, zauważyła czarną plamę na kanapie. Teraz czerń królowała wszędzie, nie tak wszechogarniająca i gęsta jak na piętrze, ale równie koszmarna.

Angela obawiała się, że jej dwaj niegdysiejsi przyjaciele mogą stwarzać problemy, że ona i Derek będą musieli siłą przedzierać się do wyjścia, ale najwyraźniej oglądała zbyt wiele filmów, bo do żadnego starcia nie doszło. Winston i Brock patrzyli na nich wściekle, posyłali jej wyzwiska „fasolowa” i „brązowa suka” - dokładnie takie same jak Chrissie - ale Angeli i Derekowi udało się bez kłopotów wyjść na zewnątrz. Po trawniku pobiegli na ulicę do bezpiecznego samochodu Dereka.

- Cholera! - zaklął chłopak, gdy wsiedli i zablokowali drzwi. - To dopiero przeżycie!

Angela, zbyt zmęczona, skinęła jedynie głową. Czowała się wycieńczona, a równocześnie spięta. Dostała skurczów żołądka i miała nadzieję, że nie wymiotuje. Rzuciła okiem na Dom Babbitta - w każdym oknie dostrzegła identyczne czarne cienie. To musiała być pleśń, choć cienie miały zarys ludzkich sylwetek. Kątem oka Angela dostrzegła ruch jednej z nich, a przynajmniej tak jej się wydawało. Szybko odwróciła głowę.

- Jedźmy. Szybko - powiedziała do Dereka.

Włączył silnik, odjechał od krawężnika i ruszył ulicą, na horyzoncie widać było góry dominujące nad miastem.

- Dokąd? - spytał.

- To wszystko zaczęło się w tunelu - odparła - od tego... zombi. Jedźmy na posterunek policji, odszukajmy tamtego policjanta i spytajmy, czy coś już wiadomo. On tam był. Widział, co się naprawdę stało.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem, ale powinniśmy to łatwo ustalić.

Odezwwał się jej telefon komórkowy. Angela zaskoczona wyjęła go z torebki. Spojrzała na wyświetlacz, ale numer był „nieznany”, więc nie wiedziała, kto dzwoni. Nacisnęła guzik.

- Halo?

To była Edna Wong. Chciała porozmawiać.

Umówiły się w centrum, w restauracyjce Mountain Oasis serwującej zdrową żywność. Lokal nie był zaciszny, ale teraz, po godzinach szczytu, siedział tam tylko jeden klient - siwobrody sobowtór Karola Marksa. Jadł zupę i czytał imponująco grubą książkę przez przygnębiająco grube okulary.

Angela i Derek przyszli dziesięć minut przed Edną - kiedy się umawiali, już byli w pobliżu restauracji, Edna natomiast musiała przyjechać z uniwersytetu i pokonać korki. Oboje powtórnie napełniali kubki mrożoną bezkofeinową herbatą, gdy kobieta weszła do sali. Angela pomachała do niej. Wcześniej siedziała z Derekiem prawie w całkowitym milczeniu. Próbowali się odprężyć, zrozumieć to, co się stało, niezdolni jeszcze do rozmowy o tym, co widzieli.

Siedzieli naprzeciw siebie, a Edna wzięła krzesło stojące przy sąsiednim stoliku i usiadła z boku.

- Chciecie wiedzieć coś o tunelu - zaczęła bez wstępów.

- Tak - przyznała Angela, a Derek skinął głową.

- W takim razie dobrze. - Administratorka głęboko odetchnęła. - Znam tylko pogłoski. Może są prawdziwe, może nie. Może to tylko zmyślane opowieści. Ale powiem wam to, co słyszałam. Gdy byłam mała, we Flagstaff mieszkała prawie wyłącznie biała ludność. Och, od czasu do czasu widywało się Indian, ale teraz jest zupełnie inaczej. Latynosi w Arizonie osiedlali się w rejonie Tucson i nigdy nie zapuszczali się na północ od Phoenix. Nigdy nie widziałam żadnego czarnoskórego. O ile wiem, mieszkały tu tylko trzy rodziny azjatyckie, w tym moja. Ale nie zawsze tak było. W pewnym okresie, na początku XX wieku, gdy prowadzono tu linię kolejową i wybudowano dworzec, żyło tu dość sporo Chińczyków. Wykonywali prace, których inni nie chcieli się podjąć. - Uśmiechnęła się smutno. - Czarną robotę. Ale panowały tu nastroje antyimigranckie, prawdopodobnie takie jak obecnie, i wielu miejscowych było do nich uprzedzonych; twierdzili, że Chińczycy odbierają pracę białym obywatelom Arizony.



Do stolika podeszła kelnerka z notesem. Edna uśmiechnęła się do niej.

- Poproszę tylko wodę.
- Oczywiście - odparła dziewczyna pogodnie.
- Zostawię duży napiwek - obiecała Edna.

Kelnerka się zaśmiała.

- Proszę się nie przejmować.

- W każdym razie - podjęła Edna - dochodziło do bójek, czasami do napaadów. Tarzanie w smole i pierzu. Próba linczu. W tamtym okresie Flagstaff nadal uchodziło za dzikie pogranicze, bezprawie i ruch samoobrony obywatelskiej nie były tu nieznanne. Niektórzy ludzie widzieli, że nieszczęście wisi w powietrzu, i kilku lokalnych przedsiębiorców, których interesy zależały od taniej pracy Chińczyków, na wszelki wypadek zbudowało kryjówki... i tunele - dodała po chwili.

- Tamten...? - zaczęła Angela.

Edna skinęła głową.

- Tak. Przynajmniej tak mi powiedziano. W końcu wybuchły zamieszki, zamieszki antychińskie. Grabiono firmy i sklepy zatrudniające chińskich robotników, palono domy, w których Chińczycy wynajmowali mieszkania. Szkody wyniosły tysiące dolarów, kilkadziesiąt osób zostało rannych, kilka umarło. Ale żadna z nich nie była chińskiego pochodzenia. To jest udokumentowane. Możecie sprawdzić w gazetach z tego okresu. Są dostępne w bibliotece uniwersyteckiej. Ja je czytałam.

Kelnerka przyniosła wodę i Edna jej podziękowała. Wypiła duży łyk i kontynuowała opowieść:

- Wydawało się, że wszyscy chińscy robotnicy wraz z rodzinami zniknęli. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Gdy się w końcu uspokoiło, kilku się odnalazło: pracowali w hotelu albo w fabryce. Prawdopodobnie podczas zamieszek schowali się w kryjówkach lub w tunelach.

Ale wiele rodzin nigdy nie powróciło. Mówiono mi, że później, może nocą, gdy było bezpiecznie, opuściły miasto. Pojechały pociągiem na wschód.

Teraz Angelą zrozumiiała.

- Nie wyjechali - powiedziała zszokowana. - Nie opuścili tunelu. Zmarli tam. To właśnie widzieliśmy.

Edna poważnie potaknęła.

- Ale zbudowano tunele - podkreśliła z naciskiem. - Liczba mnoga. Przynajmniej tak słyszałam. Więc... - urwała.

- Więc mogło ich być więcej - zauważył Derek.

- Tak.

Spojrzał na podłogę.

- Może nawet tuż pod nami znajdują się ciała.

- Zbudowano je podobno gdzieś tu, w centrum - potwierdziła Edna.

Nagle poczucie bezpieczeństwa Angeli znacznie zmalało. W Los Angeles były gangi, przemoc i problemy typowe dla dużego miasta. Myślała, że tu, w północnej Arizonie, będzie wiodła życie spokojne i sielankowe. Nigdy nie przypuszczała, że zetknie się z podobnymi zjawiskami.

- Ale... - zaczęła słabym, ochrypłym głosem i musiała odchrząknąć - ale oni się ruszali. Jakaś ręka mnie chwyciła. I co to jest ta czarna pleśń? Przekazaliśmy ją do analiz, ale nic nie wykazały. Jakby jej nie było. Więc to musi być magia czy coś takiego. Czy z tunelami i ludźmi, którzy tam umarli, związana jest jakaś klątwa? Czy też... nie wiem. Co to jest?

- Tego nie potrafię powiedzieć - odparła Edna. - Wiem tylko, że tunele miały być częścią podziemnej linii kolejowej dla chińskich imigrantów, miały ich chronić przed bandami samozwańczej milicji. Poza tym wiem niewiele więcej od was. Doszłam tylko do wniosku, że zapoznanie się z historią pomoże wam znaleźć jakiś punkt wyjścia.

- Dziękuję - powiedziała Angela. Nie była jednak pewna, czy to rzeczywiście pomoże.

Edna myślała przez chwilę, po czym westchnęła.

- Cóż, może warto jeszcze o czymś wspomnieć. Nie wiem. Jednak powiem. - Pociągnęła duży łyk wody. - Kiedy byłam małą dziewczynką, odwiedził nas wujek z Missouri. Jak na Chińczyka był bardzo wysoki, cieszył się dużym szacunkiem. Miał jakąś prestiżową pracę, choć nie pamiętam, co to było. Bawił u nas przez tydzień i było wspaniale. Pewnego dnia moi rodzice gdzieś poszli i wujek poprosił mnie, żebym mu pokazała, gdzie został pochowany dziadek. Nie na zwykłym cmentarzu, bo w tamtym czasie Chińczycy nie mogli być grzebani razem z białą ludnością. To był prowizoryczny cmentarz w północnej części miasta, dla ludzi odrzuconych przez społeczeństwo. Indianie mieli własne miejsca pochówku, ale reszcie z nas, innym mniejszościom, a w sumie chodziło o kilka rodzin, musiało wystarczyć niczyje poletko w lesie, mała polanka. Wuj kupił najpierw kurczaka, którego włożył do czarnej torby. Pomyślałam, że to bardzo dziwne. Cały czas go pytałam, co zamierza z tym zrobić. Byłam naprawdę zafascynowana. Ale wuj nie chciał powiedzieć. Gdy go zaprowadziłam na grób dziadka, uklęknął i zaczął odprawiać jakiś... rytuał, to jedyne trafne określenie. Coś szeptem recytował; znałam

niektóre słowa, ale nie wszystkie. Potem wyjął z torby kurczaka i poderżnął mu gardło. Krew kapłała na grób. Potem umoczył w niej palec. Na nagrobku narysował jakieś chińskie znaki... nie potrafiłam wtedy jeszcze czytać, więc nie wiem, co napisał... potem lekko posmarował sobie czoło krwią, wstał i pokłonił się. Z tego co powiedział, pamiętam dwa słowa: *bo sau*, zemsta. Udzielił mi wykładu, twierdził, że moja matka i ojciec powinni zrobić to samo co on. Wszyscy powinniśmy. Ale przestraszyłam się i zaczęłam płakać. Potem wziął mnie za rękę i wróciliśmy do domu. Gdy opowiedziałam to mamie, pamiętam, że była przerażona. Chyba nawet drżała, choć może tylko tak to zapamiętałam. Powiedziała: „Wuj próbuje wskrzesić zmarłych”. To wystarczyło, żeby mnie przerazić. Więcej tego tematu nie poruszaliśmy. Wuj wyjechał następnego dnia i nigdy się nie dowiedziałam, czy dlatego, że rodzice go wyrzucili, czy postanowił się wynieść, ale więcej nas nie odwiedził. Wiem, że moi rodzice nigdy nie uczestniczyli w takich rzeczach i nie słyszałam, żeby ktoś inny to robił. Wuj powiedział jednak, że każdy dobry Chińczyk powinien odprawić ten rytuał. Przez lata się zastanawiałam, czy są inni. Teraz zastanawiam się, czy to nie jest przypadkiem związane z tymi ciałami w tunelu.

Milczeli, nie wiedząc, jak to wszystko skomentować. Angeli kręciło się w głowie.

- Chcą państwo jeszcze herbaty? - spytała pogodnie kelnerka, podchodząc do stolika.

Poprosili o herbatę i przez kilka chwil zajmowali się sypaniem cukru do szklanek, wyciskaniem cytryny, mieszaniem. Edna popijała wodę.

*Próbował wskrzesić zmarłych.*

To musiało mieć jakiś związek.

Derek poinformował Ednę o najnowszych wydarzeniach, o tym, jak poszli do Domu Babbitta i wycofali się. Starsza pani zszokowana i przestraszona stwierdziła, że powinni wezwać policję oraz powiadomić stanowe władze kontroli sanitarnej.

- To może być początek epidemii - rzekła.

Żadne z nich nie pomyślało o tym wcześniej. Oboje zdali sobie sprawę, że Edna ma rację.

- Nic pani nie wie na temat tej pleśni czy grzyba? - spytała Angela.

Edna pokręciła głową.

- Niestety, nie. Powiedziałam wam wszystko, co mogłoby się przydać. O pleśni nigdy nie słyszałam.

Angeli przyszyły na myśl zamieszki. Agresja tłumu rozprzestrzenia się podobnie jak choroba czy wirus, zaraża zwykłych racjonalnie myślących ludzi. Może czarna pleśń była tu również w tamtych czasach. Może wywołała antychińskie nastroje, co doprowadziło do strasznych konsekwencji. Może Flagstaff zbudowano na ziemi nasyczonej trucizną konfliktów, a po odkopaniu tunelu te konflikty znów się uwolniły.

Przyznawała Ednie rację, że należy powiadomić władze, ale nie miała pewności, czy ludzie badający zjawisko również nie zostaną zainfekowani. Spojrzała podejrzliwie na Dereka. Czy uległ zarażeniu? Nie dotykał pleśni i wyglądał zdrowo. Ale...

Może najlepiej byłoby wycofać się w porę i jak najszybciej wrócić do Kalifornii autobusem Greyhound.

Odezwał się sygnał telefonu i wszyscy sprawdzili swoje komórki. To do Edny. Przeczytała wiadomość.

- Muszę iść - oznajmiła. - Problemy w biurze. Jak zwykle. - Uśmiechnęła się uprzejmie i dotknęła ramienia Angeli. - Tak mi przykro, moja droga. Nie udał ci się ten semestr.

- Bardzo oględnie powiedziane - skwitowała to Angela z uśmiechem.

Edna Wong wyjęła z portmonetki dwa dolary i położyła banknoty pod solniczka.

- Jeśli będziecie mnie potrzebować, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

- Dziękuję - odparła Angela.

- Dziękuję - zawtórował jej jak echo Derek.

Edna wyszła pośpiesznie. Popatrzyli na siebie.

- Co teraz? - spytał Derek. - Na komisariat?

Angela szybko dokończyła swoją herbatę.

- Tak. Idziemy.

## 19

### WASZYNGTON DC

**G**reg Rossiter patrzył ponuro przez szybę swojego gabinetu na boksy młodszych agentów FBI, z których każdy chciał dostać jego posadę.

Jego stary gabinet miał okno wychodzące na zewnątrz. Na miasto. Na niebo.

Zaciągnął żaluzje i ukrył pomieszczenie przed wzrokiem innych. Od czasu kiedy zdjęto z anteny *Archiwum X*, jego akcje w biurze spadły. To smutne, lecz prawdziwe. Nie miało znaczenia, że w ciągu ostatnich pięciu lat przeprowadził z sukcesem śledztwo w ponad pięćdziesięciu sprawach i pracował nad dwoma powszechnie znanymi sprawami, w których rolę grały obiektywne, sprawdzalne zjawiska nadnaturalne - obecność tego pieprzonego serialu telewizyjnego bardziej uzasadniała jego pozycję w pracy niż jakkolwiek rozwiązana sprawa. Teraz go nie lubiano, uważano, że jego czas minął, że jest reliktem z ubiegłej epoki.

Tak jak wcześniej nie lubiano Foksa Muldera.

Cholera, nienawidził tego programu.

Rossiter pospacerował nerwowo po pokoju, po czym usiadł przy biurku. W tych czasach wszystko skupiało się na terroryzmie. To także był kij w szprychach jego kariery. Rozumiał to, ale, do diabła, w kraju istniały również inne zagrożenia, inne przestępstwa zasługujące na uwagę biura.

Na przykład wampiry.

To dziwne, jak beznamiętnie odnosił się do napotkanych przez siebie zjawisk paranormalnych. Odkrycie, że te potwory istnieją, nie zmieniło go w paranoidalnego Kurczaka Małego z kreskówki - przeciwnie, pozostał zaskakująco niewzruszony. Praca nadal była dla niego pracą, nie krucjatą czy stylem życia, i zamiast wiecznie się zamartwiać infiltracją sił nadnaturalnych, troszczył się bardziej o to, jak takie sprawy wpływają na jego karierę zawodową. Nie był pewien, czy korzystnie, czy nie.

Drzwi się otworzyły. Jego asystentka wsunęła głowę.

- Proszę pana?

Podniósł wzrok niezadowolony.

- O co chodzi?

- Dyrektor chce pana widzieć.

Dyrektor? Rossiter wstał, poprawił krawat i sprawdził, czy ze spodni nie wychodzi mu koszula.

- Gdzie? W swoim gabinecie?

- Tak. Natychmiast.

Mnóstwo agentów, wiedział o tym, trzęsłoby portkami na samą myśl o podobnym wezwaniu, ale on rozkwitał przy takich okazjach, wiedział, jak je dla siebie wykorzystać. To były okazje, nie wyzwania, i jeśli rozegra właściwie swoje karty, dzięki temu krótkiemu spotkaniu zdoła pchnąć swoją stojącą w miejscu karierę.

Ale po co dyrektor chce go zobaczyć? To była jedyna niewiadoma w tej sytuacji.

Nie ma znaczenia. Nawet z otrzymanych reprimend można uprząć złotą nić, jeśli ten, który przędzie, wie, co robi.

A on wiedział.

Rossiter spojrzął na swoje widmowe odbicie w lustrze, sprawdził uczesanie, a następnie wyszedł pewnym krokiem z gabinetu, przemaszerował obok boksów młodszych agentów, potem zewnętrznym korytarzem do windy. Gdy już wszedł do windy, patrzył wprost przed siebie z obojętnym wyrazem twarzy, bardzo świadomy faktu, że go obserwują.

Oczekiwał, że na spotkaniu będą jacyś ludzie - może jego bezpośredni zwierzchnik, inni agenci, z którymi pracował - ale nie był przygotowany na to, że przywitają się z nim osoby na tak wysokich stanowiskach i choć starał się nie pokazywać tego po sobie, widok szefa sztabu Białego Domu, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego i szefa Tajnej Służby, siedzących w półkolu przed biurkiem dyrektora, przytłoczył go i lekko onieśmielił. Mimo to zachowywał się tak, jakby coś podobnego zdarzało się codziennie, jak gdyby był przyzwyczajony do takiego towarzystwa. Zajął wolne krzesło i spokojnie usiadł, czekając, aż mu powiedzą, po co go wezwano.

- Agencie Rossiter - zwrócił się do niego szorstko dyrektor. - Na Manhattanie zdarzył się incydent. Według raportów ma pan pewne doświadczenie w radzeniu sobie z niezwykłymi lub rzekomo niewyjaśnialnymi zdarzeniami, więc postanowiłem włączyć pana do sprawy.

- Dziękuję, panie dyrektorze.

- Mówiąc w skrócie, grobowiec Granta został sprofanowany. Zablokowaliśmy Riverside Drive, by nikogo nie dopuszczać, a obszar wokół budynku został oddzielony kordonem. Przykrywką jest zagrożenie zamachem bombowym. Jak pan bez wątpienia się orientuje, grobowiec jest strzeżony przez cały czas, a także monitorowany przez nasz najlepszy sprzęt dozoru, więc teoretycznie taka rzecz nie mogła się zdarzyć. W gruncie rzeczy nie mamy pojęcia, jakim cudem się wydarzyła, i tę kolosalną porażkę środków bezpieczeństwa właśnie omawiamy od czterdziestu pięciu minut. - Spojrzął na innych z dezaprobatą i Rossitera rozbawił fakt, że pozostali mężczyźni wyglądali na skarconych.

- Nazywając rzeczy po imieniu, ciało prezydenta Granta zostało wydobyte z ostatniego miejsca spoczynku i... porąbane. Zwłoki sprofanowano z taką brutalnością, że łatwo można by dojść do wniosku, że to sprawa dzikiego zwierzęcia, chociaż przecież tylko człowiek mógł wyjąć ciało z grobu. Celowe

podzielenie ciała na części wskazuje, że całej operacji dokonali ludzie. Ponadto ściany grobowca pokryto dziecięcymi rysunkami. Ciało jego żony pozostało nietknięte.

W pokoju zapadła cisza. Rossiter nie był pewien, co powiedzieć.

- Czy już są fotografie? - zapytał.

- Tak. I nagrania wideo, do których ma pan dostęp, jak również pisemny raport odpowiedzialnego funkcjonariusza.

- Będę musiał osobiście zobaczyć to miejsce. Muszę porozmawiać z personelem na służbie. Pojadę tam natychmiast i...

- Później. - Dyrektor odchrząknął i powiódł wzrokiem po pokoju. - Przedtem chce pana widzieć prezydent.

Prezydent! - wykrzyknął w duchu Rossiter. Sytuacja zmieniała się z dobrej we wspaniałą. Jednak Rossiter nadal był ostrożny.

- Czy mogę spytać, o co chodzi?

Szef sztabu spojrzął na niego pochmurnie.

- W tej chwili wszystko odbywa się na zasadzie „wiedzieć tylko to, co niezbędne”. Obecnie musi pan wiedzieć tylko to, że ma pan się zameldować u prezydenta w towarzystwie dyrektora Horna.

- Tak, proszę pana - odpowiedział Rossiter.

Dyrektor znowu się skrzywił, choć Rossiter nie mógł orzec, czy mina jest przeznaczona dla niego, czy dla szefa sztabu. Wręczył Rossiterowi szarą teczkę na dokumenty i podkreślił, że mimo ważności miejsca przestępstwa Rossiter musi dołożyć jak najwięcej starań, by nic z tego, co się wydarzyło, nie wyciekło do prasy.

- Zupełnie nie potrzebujemy rozgłosu. Zwłaszcza w tej chwili.

Te słowa chyba były sygnałem dla innych, by podnieść się i wyjść. Żaden z mężczyzn nie powiedział nawet „do widzenia”. Po prostu gęsiego opuścili pomieszczenie. Dyrektor wstał i nacisnął klawisz interkomu na biurku.

- Przygotujcie samochód - rozkazał.

Rossiter nie słyszał odpowiedzi - nie był pewien, czy dyrektor w ogóle jej oczekiwał. Zauważył tylko, że Horn jednym krótkim gestem nakazał, by za nim iść, i pewnie pomaszerował w kierunku ledwie widocznych drzwi z boku gabinetu.

Prywatną windą zjechali na parter, gdzie wsiedli do czarnego samochodu z zaciemnionymi oknami. Podczas krótkiej podróży przez ulice Waszyngtonu dyrektor zachowywał milczenie, a Rossiter poszedł za jego przykładem. Istniały pytania, które chciał zadać. Czy biuro uważa, że grób sprofanowały siły

nadnaturalne? Czy właśnie dlatego go wezwano? Czy podejrzewa się jakiś związek między tym zdarzeniem a wykopaniem weteranów wojny domowej w Arlington? Ale czuł, że teraz powinien siedzieć cicho, więc siedział.

Samochód minął bramę Białego Domu i przejechał gładko obok budki strażników. Rossiter przez przyciemnione szyby zauważył, że siedzibę częściowo skrywały rusztowania i ogromna falująca płachta czerwonego brezentu.

- Nowy projekt Christo? - zażartował.

Na dowcip zareagowano milczeniem.

- Wykonują kilka kosmetycznych napraw budynku. Ulepszenia.

To były pierwsze słowa dyrektora od opuszczenia gabinetu.

Rossiter nie odpowiedział, oczy miał szeroko otwarte, głowę - zamkniętą. Mieszkał w DC już ponad dwanaście lat, przetrwał trzy rządy i nigdy nie widział czegoś podobnego. Nie miał pojęcia, jaki szalony impuls skłonił go do żartów na temat wyglądu Białego Domu. Szukał tylko informacji na temat tego niezwykłego widoku i niemądrze sądził, że próba spoufalenia się da jakieś wyniki. Nie powinien być taki głupi.

To krok w tył.

Tyle na temat remontu własnej kariery.

Samochód zatrzymał się pod Białym Domem, naprzeciw rusztowania. Drzwi otworzył im umundurowany żołnierz piechoty morskiej. Opuścili tylne siedzenie i zostali natychmiast wprowadzeni przez jedno z bocznych wejść budynku. Rossiter dotychczas odwiedził Biały Dom jedynie raz - brał wtedy udział w formalnej uroczystości i wchodził frontowym wejściem razem ze wszystkimi. To wejście prywatne było dla niego doświadczeniem nowym, ale pozostał bierny, pełen stoicyzmu - zachowywał się tak, jakby takie rzeczy przydarzały mu się codziennie.

Poprowadzono ich wąskim, krętym korytarzem, który zdaje się nie przecinał żadnych pokoiów, holi czy pomieszczeń publicznych, i wynurzyli się w przedpokoju Gabinetu Owального, gdzie czekali już przybyli przed nimi szef sztabu i szef Tajnej Służby. Dwóch z pozostałych mężczyzn ze spotkania również znalazło się w tym pomieszczeniu, ale brakowało doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Rossiter nie miał pojęcia, o co może chodzić, ale musiała to być sprawa poważna.

Drzwi do Gabinetu Owального otworzyły się i wyszedł z nich prezydent. Wyglądał na wyższego niż w telewizji, prezentował się bardziej prezydencko, i choć Rossiter nie głośował na niego, rozumiał teraz, dlaczego większość



obywateli wybrała jego. Prezydent właśnie zbliżał się do nich zdecydowanym krokiem. Miał zakasane rękawy koszuli i poluzowany krawat. Mogła to być poza, wszystkim jednak sygnalizowała, że ten mężczyzna jest zajęty i przyszedł tu pracować. Rossiter mimo woli stanął sztywniej na baczność.

- Panowie - powiedział, pozdrawiając wszystkich. Zatrzymał wzrok na Rossiterze. - Pan agent Rossiter?

- Tak jest, proszę pana.

- Proszę za mną. Mam coś, co chciałbym panom pokazać.

Cała siódemka z prezydentem na czele poszła wysokim, szerokim holem do zamkniętych drzwi strzeżonych przez personel wojskowy. Jeden z umundurowanych mężczyzn otworzył je i weszli do wielkiej galerii, wyglądającej jakby jej nie przemeblowywano od czasów Abrahama Lincolna.

Jedynie...

Jedynie daleka ściana pomieszczenia została dyskretnie zakryta grubą, niebieską zasłoną ciągnącą się od podłogi do sufitu i kompletnie zasłaniającą wszystko za sobą. Zasłona wydawała się do tego stopnia nie na miejscu i zamocowana tak pośpiesznie, że było jasne, że nie zamierzano jej wykorzystywać w żadnej uroczystości ani obchodach. Zanim Rossiter zdążył pomyśleć o możliwych zastosowaniach tej draperii, prezydent wprowadził ich za nią.

I zatrzymał się.

Tam, gdzie kiedyś znajdowała się ściana, ziała dziura otoczona gruzem. Za brakującą częścią pomieszczenia Rossiter widział ciąg innych galerii z rozbitymi ścianami, a na ich końcu trzepotał czerwony brezent. Całe wschodnie skrzydło Białego Domu wyglądało tak, jakby trafiła je gigantyczna gruszka burząca albo jakiś masywny pojazd. Pociąg, pomyślał Rossiter, spojrzawszy na kształt otworu i zniszczoną podłogę.

We wszystkich zdewastowanych pomieszczeniach krzątał się personel wojskowy. Rossiter nie mógł jednak stwierdzić, co robią - czy szukają sprawców, ich śladów, czy też próbują jedynie zabezpieczyć teren.

Inni najwidoczniej widzieli już te zniszczenia. Hornowi prawdopodobnie opowiedziano o nich, więc wiedział, czego się spodziewać, mimo to wyglądał na zszokowanego i po jego zwykłej niewzruszonej postawie nie pozostało ani śladu.

- Mój Boże.

Rossiter pozostawał niewzruszony i obojętny. Miał nadzieję, że wszyscy zauważą kontrast.

Szef sztabu odchrząknął.

- Prezydent uważa, że pociąg uderzył w Biały Dom i spowodował uszkodzenia.

- To był pociąg - powiedział z naciskiem prezydent. - Nie widziałem go, ale usłyszałem. I wszyscy to czuliśmy. - Spojrzał po pokoju, jakby prowokował wszystkich, by spróbowali mu zaprzeczyć. - Mógł być niewidzialny, ale tam był i przebijał się przez wschodnie skrzydło. Słychać było gwizdek, lokomotywa pędziła pełną parą... Czy wspominałem, że to był parowóz? A więc to był parowóz. - Po raz pierwszy prezydent wydawał się rozkojarzony, rozproszony. - Ja akurat byłem w pokoju odpraw, tam. - Wskazał na zburzoną ścianę. - Razem z innymi pracownikami gabinetu. Zobaczyliśmy uderzenie. Zobaczyliśmy, jak pociąg przebija się przez ściany, choć nie widzieliśmy samego pociągu, widzieliśmy, jak ludzie uciekają mu z drogi, widzieliśmy biurka i meble porozbijane i zepchnięte na bok. To zdumiewające, zginął tylko jeden człowiek. Ale tym człowiekiem był Jordan Mayhew. Agent Tajnej Służby. Agent mojej córki. - Spojrzał w oczy Rossitera. - Muszę wiedzieć, co się tutaj wydarzyło. Powiedziano mi, że to pan nadaje się do takiej pracy, że ma pan pewne doświadczenie ze zdarzeniami tego typu.

- Cóż, owszem, panie prezydencie, ale...

- Żadnych ale. Niech pan wyjaśni, co to jest, czy to pociąg-widmo, czy jakiś rodzaj niewidzialnej broni, niewidzialna bomba czy promienie śmierci. Mimo że brzmi to głupio, stawiam na pociąg-widmo. Jestem człowiekiem upartym, ale nie głupcem, i choć moje widzenie świata nigdy nie obejmowało zjawisk nadnaturalnych, wiem, co słyszałem. Wiem, co widziałem. Niech pan zbada tutaj wszystko, co trzeba. Przepyta każdego, kogo trzeba. Daję panu nieograniczony dostęp do mojego personelu. Ale chciałbym, żeby zajął się pan tym natychmiast.

- Tak, proszę pana.

- Zakładam, że słyszał pan, co wydarzyło się w Arlington?

- Tak - odpowiedział Rossiter. - Ale nie zajmuję się tą sprawą i naprawdę nie...

- Teraz się pan nią zajmuje. - Prezydent gniewnie spojrział na dyrektora. - Chcę, żeby agent Rossiter zajął się wszystkim, co może choćby częściowo mieć z tym związek. Ma koordynować wszystkie niewyjaśnione sprawy, które uzna za związane z tym śledztwem. Nie obchodzi mnie zwykły łańcuch zależności służbowych. Chcę, by je zawieszono do czasu wyjaśnienia tej sprawy. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak, panie prezydencie.

Rossiter siłą powstrzymywał się od uśmiechu. Jedna szybka podróż do Białego Domu kompletnie odwróciła jego losy - już nie będzie gnąć w zapomnieniu w trzewiach budynku FBI, bo prezydent Stanów Zjednoczonych dał mu specjalne zadanie i wyposażył go w bezprecedensową władzę. Kariera nie dość, że wkroczyła na właściwe tory, to jeszcze posunęła się po nich dalej, niż się kiedykolwiek spodziewał.

Przy założeniu, że uzyska jakieś wyniki.

Teraz pracował pod presją. Ofiarowano mu życiową szansę, ale tylko od niego zależało, jak ją wykorzysta. Jeśli to spieprzy, to w najlepszym razie przydzielią go do szorowania ustępów.

Prezydent zatrzymał spojrzenie na Rossiterze.

- Tam też widziano pociąg-widmo. W Arlington. Nikt nie ma zamiaru tego przyznać publicznie, wszyscy boją się o tym powiedzieć nawet mnie, ale wiemy, że tak właśnie było, i najwidoczniej te dwa wydarzenia są powiązane. Chcę wiedzieć, dlaczego tak się dzieje, co to powoduje i czy możemy spodziewać się w przyszłości dalszych ataków tego rodzaju.

- Dowiem się tego - odparł pewnie Rossiter.

- Chcę otrzymywać codzienne meldunki.

- Zorganizujemy poranne odprawy - powiedział szef sztabu. - Ale obecnie, panie prezydencie...

- Wiem, wiem. - Kiwnął głową Rossiterowi. - Niech pan tu zostanie tak długo, jak pan musi, niech pan pracuje jak najdokładniej, robi, co konieczne, ale niech pan wyjaśni tę sprawę.

- Tak jest, proszę pana.

Wszyscy wyszli, pozostawiając Rossitera samego z Hornem. Dyrektor miał niezadowoloną minę. Rossiter nie chciał go jeszcze bardziej irytować, ale musiał zabrać się do pracy, i to szybko.

- Czy sądzi pan, że mogę zatrudnić kilku agentów do rutynowych czynności?

- Pan jest szefem - odparł sarkastycznie dyrektor.

Wspaniale.

- Mam zamiar nadzorować tutejszą sytuację, porozmawiać z niektórymi śledczymi wojskowymi i zobaczyć, co zdołam wywnioskować sam. Aha, i chciałbym obejrzeć grobowiec Granta.

- Niech pan działa bardzo ostrożnie - odparł Horn. - Balansuje pan tutaj na cienkiej linii.

Zabrzmiało to bardziej jak ostrzeżenie niż groźba i Rossiter zdecydował, że tak to potraktuje.

- Tak będę działał, proszę pana. I dziękuję.

Sprofanowany?

Łagodne określenie.

Po drodze obejrzał fotografie i filmy na swoim laptopie, ale mimo to brutalność zniszczeń nim wstrząsnęła. Zniszczenia na żywo były nie tylko bardziej sugestywne, ale również znacznie bardziej rozległe. To prawda, żonę Granta pozostawiono w spokoju, ale sarkofag prezydenta rozbito, ciało wyrzucono na kamienną podłogę i rozerwano, ręce i nogi rozrzucono w czterech kątach grobowca, a formalnie odziany korpus poturbowano jak kawałek szmaty. Z czaszki pozostały jedynie resztki, a tam, gdzie powinna być głowa, widniały jedynie dziwaczne fragmenty wyschniętych mięśni i skóry. Leżały z kępkami szorstkich włosów i zębami na warstwie drobnego proszku obok rozbitych brązowych popiersi, które kiedyś postawiono w krypcie.

Marmurowe ściany zbyt wielkiego pomieszczenia zostały zniszczone, ale nie sprejem, flamastrem czy innymi zwykłymi narzędziami. Nie, to graffiti zostało wydłutowane w kamieniu, a na pendentywach poniżej kopuły sprawcy wyrzeźbili kilka wizerunków tego samego pociągu.

Rossiter skoncentrował się na tych czterech obrazach. Wyrzeźbiono również inne rzeczy - ludzi, góry, abstrakcyjne kształty - ale jego interesował pociąg, gdyż miał poczucie, że artysta próbuje przekazać jakąś wiadomość, że te obrazki mają im wszystkim powiedzieć coś o tym, co się dzieje.

Tylko że on po prostu nie mógł odgadnąć, co to, do cholery, takiego.

Rysunki były szczegółowe. Musiał to przyznać. Miał tylko nadzieję, że są wystarczająco szczegółowe, gdyż zamierzał jak najszybciej przekazać fotografie komuś, kto zna się na pociągach. Miał nadzieję, że ekspert zidentyfikuje markę i model pojazdu, że dowiedzą się czegoś o sprawcy czy nawet o parowozach, które uderzyły w cmentarz i w Biały Dom.

Wiedział, że to strzał w ciemno, ale na razie, przy braku odcisków czy fizycznych śladów, nie mieli żadnych tropów.

Przeanalizował źródła informacji o pociągach-widmach, złośliwych duchach i nawet o militarnych eksperymentach z psychokinezą. Jednocześnie musiał odbyć konsultacje z ekspertami z dziedziny literatury i baśni amerykańskiej na temat lokalnych opowieści o niewidzialnych parowozach. Czasami legendy wyrastają z ziaren prawdy.

Jeden ze starszych członków zespołu medycyny sądowej, łysy, tłusty facet, którego nazwiska Rossiter już nie pamiętał, wstał i spojrzał na niego. Na twarzy miał grozę i zdumienie.

- Czy uwierzy pan, że to coś kiedyś było prezydentem Stanów Zjednoczonych? - spytał, wskazując gestem fragmenty czaszki na podłodze. - To jest generał Grant? Wszystkie te lata przeleżał tutaj nietknięty, a teraz, bum! Już go nie ma. Jesteśmy świadkami historii. To koniec epoki.

Rossiter spojrział na niego chłodno.

- Tak - powiedział. - A teraz niech pan wraca do pracy.

## 20

### MILNER, WYOMING

#### **Brigit's Well**

To właśnie nazwa na tablicy przed kawiarnią spowodowała, że Dennis zatrzymał się w Milner. I tam pozostał. W centrum miasta ograniczono szybkość do czterdziestu kilometrów na godzinę, więc zwolnił, przejeżdżając obok lokalnych sklepów i punktów usługowych. Gdy zbliżył się do pierwszych świateł w mieście, zmieniły się akurat na żółte. Dennis uznał, że ten odcinek drogi monitorowano i w pobliżu czai się glina z wyraźnym zamiarem, by wlepić mandaty kierowcom z obcymi tablicami, więc zatrzymał się. Czekaając, spojrzął na prawo i zobaczył kawiarnię i tablicę przed nią.

Na rogu skręcił w prawo i zajął pierwsze wolne miejsce parkingowe.

Przybył do miasta w poniedziałek, a Brigit's Well miał grać dopiero w sobotę wieczór, ale on całą podróż kierował się przecuciem, ponaglany niewątpliwie fałszywym założeniem, że jego podróż ma przyczynę, że jest prowadzony przez kraj w określonym celu. Jeśli cokolwiek miało być znakiem, to było właśnie to. I, musiał to przyznać, czuł podniecenie, że ponownie usłyszy Brigit's Well. Natknąć się na ten duet tutaj, na zabitym deskami zadupiu, to jak spotkać starego przyjaciela w tłumie obcych i było w tym coś pocieszającego. Zastanawiał się, czy duet wydał nową płytę. Miał taką nadzieję, ale nawet jeśli nie wydał, kupi drugi egzemplarz starej, by słuchać w podróży.

Ta myśl uradowała go i mimo że Milner niezupełnie można było nazwać pępkiem zachodniego świata, cieszył się, że tu jest.

Chociaż zakładał, że będzie jeździł po kraju bez celu i zwiedzał Amerykę, jego ukrytym celem pozostawała Kalifornia. On i Cathy zawsze chcieli zobaczyć Los Angeles i od początku w jego niesprecyzowanych planach na przyszłość były nowa praca i nowe życie w południowej Kalifornii. Jednak z jakichś przyczyn, kiedy przejechał z Missouri do Nebraski, poruszał się nie na południe, lecz na północ, nie kierując się ku Oklahomie, Teksasowi, Nowemu Meksykowi i Arizonie, ale przez Nebraskę do Wyoming.

Aż wylądował tutaj.

Gdy skierował się na północ, dziwne i niewiarygodnie realistyczne sny, które miewał po wyjeździe z domu, natychmiast się nasiliły i przez pewien czas bał się zasypiać. Gdyby nie to, że jeszcze bardziej bał się lekarstw, kupiłby trochę no-dozu czy jakiegoś innego leku bez recepty, by odgonić sen. Jednak musiał walczyć ze snem siłą woli.

Niektóre miasta były niczym punkty krytyczne, gdzie koszmary stawały się niezwykle męczące i trudne do zniesienia. W Kearney, w Nebrasce, dręczyły go wizje krwawych szkieletów ciężko pracujących przy jakiejś niewidocznej budowie, wymachujących młotami w porannym słońcu, podczas gdy on leżał z tyłu postrzelony w brzuch, próbując dłonią zatrzymać wypływające kiszki. W Brubec, w Wyoming, śnił, że spływa sparaliżowany rzeką, a na brzegu kowboje z długimi nożami kroją stopy trupów, zabierając nosy i uszy na pamiątkę, nanizując je na długie rzemyki zwisające im z pasów. Zastanawiał się, czy gdyby na mapie Stanów Zjednoczonych zaznaczył wszystkie miejsca, gdzie miewał te okropne sny, i połączył kropki, powstałby jakiś rozpoznawalny kształt lub wzór.

We wszystkich snach objawiał się tamten ogromny duch, ten sam, którego widział przy ścianie dymu na krańcu drogi i który wcześniej przyzywał go gestem. Nie powodował tych wypadków, ale je obserwował. Dennis widział go na niebie, ponad drzewami, ponad górami. Czasami jego głowa była trójkątna, czasami owalna, a czasem kwadratowa. Czasami był z futra, czasem z kamienia, czasem z kory. Ale zawsze tam był, próbował się z nim skomunikować, coś mu powiedzieć, choć Dennis nie miał pojęcia co.

Prawdopodobnie tygodniowy pobyt w Milner specjalnie nie nadwerężył funduszy Dennisa, ale nie było tutaj wiele do roboty, a on wyrobił w sobie nawyk pracy. Ponieważ i tak włóczył się po mieście, pomyślał, że może równie dobrze sprawdzić, czy nie da się zarobić trochę dodatkowej gotówki. Znalazł dorywczą pracę jako roznosiciel miejscowej gazety, „Milner Sentinel”,

staromodnej publikacji, którą dostarczano późnym popołudniem, a nie wczesnym rankiem. Stały roznosiciel pojechał na tygodniowy urlop. Dennis brał więc paczki gazet od drukarza i podrzucał je do domów innych roznosicieli, którzy z kolei dostarczali gazety prenumeratom. Musiał być u drukarza każdego popołudnia o drugiej trzydzieści i przeważnie ostatni pakiet podrzucał koło czwartej.

Za fatygę dostawał piętnaście dolarów dziennie, co mniej więcej pokrywało koszt jego posiłków w Milner, a częściowo nawet motelu.

Chociaż miasteczko było zbyt małe, by mieć prawdziwą chińską dzielnicę, znajdowała się w nim chińska restauracja, a przy niej należąca do Chińczyków stacja benzynowa i Dennis spędzał tam mnóstwo wolnego czasu, kręcąc się i gwarząc z pracownikami oraz właścicielami. Poznał ich tylko dlatego, że inni ludzie w miasteczku - biali - odnosili się do niego zazwyczaj nieprzyjaźnie. Odrzucał myśl, że to kwestia rasizmu - nie dzisiaj, nie w tej epoce. Ale po tamtym incydencie z dzieckiem przed motelem w Selby...

*Żółtek!*

...i po wizycie w Twierdzy, zaczynał się zastanawiać, czy cała ta część kraju nie jest wroga mniejszościom, zwłaszcza ludziom pochodzenia azjatyckiego.

Tak musieli się czuć czarni na Południu we wczesnych latach sześćdziesiątych, myślał.

Zeszłego wieczoru poszedł zjeść do restauracji i Carl Fong, dwudziestoparoletni syn właściciela stacji benzynowej, zaprosił go do swojego stolika. Gdy kończył posiłek, było ich już pięciu i kiedy Carl powiedział, że wybierają się na przejażdżkę po okolicy i spytał, czy Dennis chce się do nich przyłączyć, przyjął propozycję.

Nie był to typ ludzi, z którymi normalnie spędzałby czas - jego siostra kpiąco mówiła na takie osoby „żółte śmieci” - ale mimo to było zabawnie tłoczyć się na tylnym siedzeniu starego dżipa cherokee, pędząc tam i z powrotem po cichych ulicach miasteczka, ścigać się po Main Street z ostrzyżonym na jeża wiejskim chłopakiem, krzywić się prowokująco do grupy pijanych kobiet w średnim wieku, chwiejnie wychodzących z baru bez towarzystwa mężów. To w jakimś sensie otwierało mu oczy, ponieważ wychowany w wielkiej metropolii zawsze miał znajomych z różnych środowisk. Pomijając rodzinę, nigdy nie bawił się wyłącznie w towarzystwie osób pochodzenia chińskiego. Ale tutaj, w Milner, nie miał wyboru i niesamowite było patrzeć na to z takiej perspektywy.

Wydawało się, że Carl i jego przyjaciele, podobnie jak on, utknęli pomiędzy światami, ani całkowicie Chińczycy, ani Amerykanie, ani buddyści, ani chrześcijanie, ale wzrastając w zamkniętej społeczności, w której byli społecznymi i kulturowymi wyrzutkami, mieli ciaśniejsze i bardziej zdecydowane poglądy, postawę bardziej cyniczną i agresywną od tej, do której był przyzwyczajony.

Kupili dwunastopak w sklepie z alkoholem na skraju miasteczka, a potem podjechali nad rzekę i zaparkowali.

- Czy kiedykolwiek pomyśleliście, że seryjni mordercy pracują chyba dla Boga? - spytał Carl, pociągając budweisera.

Inni się zaśmiali.

- Nie, mówię poważnie. Wszyscy ci religijni faceci zawsze pragną jednego: dostać się do nieba. To główny cel w ich pieprzonym życiu. Wszystko, co robią, ma na celu dotarcie tam. Może Bóg wysłał tych zabójców, by wypełniali jego polecenia, i pomaga tamtym się wydostać, wysłał ich w drogę.

Śmiech stał się bardziej niepewny. Czasami trudno było stwierdzić, czy Carl żartuje, wygłaszając swoje skandaliczne opinie, czy może w głębi duszy naprawdę wierzy w te bzdury. Jako obcy, Dennis nie czuł się upoważniony do komentowania. Uznał, że jego zadanie polega tylko na słuchaniu.

Jack Chu rzucił pustą puszkę w stronę rzeki, odchrząknął.

- Śniłem o tym zeszłej nocy. Czymś w tym rodzaju.

Sen? Dennis skupił uwagę na chłopaku.

- To nie było tutaj, to było jakieś inne miejsce. I nie było teraz. To wydarzyło się dawno temu. Byłem jakimś facetem, brygadzystą. Mieliśmy coś budować, ale moja praca polegała na zabijaniu ludzi, którzy nie pracowali. Był taki gość, który zrobił sobie przerwę, pił z manierki. Rozwaliłem mu głowę młotem. Inny facet sikał, więc go zastrzeliłem. Dwaj inni faceci rozmawiali, więc ich też zastrzeliłem.

Carl Fong się roześmiał.

- Całkiem miły sen.

Rozległy się niepewne chichoty.

Dennis miał nadzieję, że innym również śniło się coś dziwnego. Chciał się otworzyć i zrelacjonować własne koszmary, ale stracił szansę, bo rozmowa przeszła na seks.

Później, w pokoju motelowym, ciągle podminowany i wcale nie senny, włączył talk-show Lettermana i wziął egzemplarz popołudniówki, którą zatrzymał dla siebie. Głównym tematem był cmentarz odkryty przez robotników



budowlanych pracujących na pustej działce spółki The Store. Traktor i koparka jednocześnie rozbiły dwie zgniłe sosnowe trumny i wydobyły rozkładające się szczątki pochowanych ludzi. Sądząc po strzępach zgniętego ubrania, biżuterii i symbolicznych pieniądzech znalezionych przy ciałach, wydaje się, że był to chiński cmentarz - nieznane wcześniej miejsce pochówku sprzed lat.

Dennis pomyślał o ukrytym cmentarzu, który odkrył w Selby, wspomniawszy mężczyznę odprawiającego przy grobie jakiś rytuał, słowa wypowiedziane przez tamtego, które brzmiały jak *bo sau*.

Zemsta.

Zbieg okoliczności?

Nie ma zbiegów okoliczności.

Z trudem potem zasnął i następnego ranka przyniósł gazetę na stację benzynową. Dla Carla Fonga i jego przyjaciół było nowością, że w Milner istniała wcześniej jakaś chińska wspólnota i to tak duża, że potrzebowała własnego cmentarza. Natychmiast zapytali o to rodziców i niektórych starszych mieszkańców. Wszyscy okazywali zaskoczenie i przyznawali, że nigdy wcześniej nie słyszeli o takiej społeczności. Oczywiście historia Chińczyków w Ameryce była, łagodnie mówiąc, pełna białych plam. Nie prowadzono zapisów o członkach społeczeństwa żyjących na marginesie, poddanych ostracyzmowi przez ogół. Ze wstydu rodziny nie przekazywały młodym historii o niepowodzeniach i odrzuceniu, opowiadano tylko optymistyczne anegdoty o sukcesach, których w tamtym wczesnym okresie było niewiele. Dennis, kiedy słuchał rodziców Carla i opowieści niektórych weteranów, rozumiał, dlaczego mama tak się niepokoiła jego podróżą. W całych Stanach Zjednoczonych imigranci chińscy przez lata byli nielegalnie sprzedawani jako niewolnicy, bici i rabowani przez oprychów, morderstwa na nich popełnione nie były nigdy badane przez obojętny system sprawiedliwości. Wiadomości o trudnym życiu w Ameryce docierały do Chin i przed przybyciem tutaj większość emigrantów wiedziała, czego się spodziewać - byli ostrzegani, że z nowymi możliwościami wiąże się wielkie ryzyko. Nawet w Kalifornii, gdzie chińska społeczność w San Francisco szybko stała się liczna i zaludniła całą północną część stanu, zapewniając wsparcie górnikom w czasie gorączki złota - nikt, kto miał w żyłach chińską krew, nie mógł posiadać ziemi. I to jeszcze w XX wieku! W gruncie rzeczy to właśnie z powodu wzrastających wpływów ekonomicznych społeczności chińskiej i jej rosnącej populacji wprowadzono takie prawa - biała Ameryka bała się żółtej inwazji.

Dennis zakładał, że matka była po prostu nadmiernie ostrożna, że lękała się kraju, którego nadal w pełni nie rozumiała. Ale może więcej wiedziała, niż mówiła.

Zadzwoił do niej tuż przed obiadem i chciał z nią o tym porozmawiać, ale ich rozmowa stała się tak ogólna i powierzchowna, że nie miał pojęcia, jak poruszyć ten temat. Jak zwykle skończyło się na tym, że omawiali szczegóły jej codziennej krzątania, a matka błagała go, by wracał do domu.

Po dostarczeniu paczek z gazetami roznosicielom na wyznaczonej trasie Dennis zatrzymał się niedaleko miejsca, gdzie planowano budowę filii The Store. Wysiadł z samochodu, by sprawdzić, czy da się zobaczyć cmentarz. Ale działkę otaczał płot i postawiono tabliczki „Wstęp wzbroniony”, więc tylko stał na chodniku i patrzył, nawet nie próbując wejść do środka. Pozostał tam przez chwilę, starając się wyczuć to miejsce, mając nadzieję, że odbierze te same dziwne wibracje, które ogarnęły go na ukrytym cmentarzyku w Selby, ale nie poczuł nic. Kiedy agresywnie nastawiony robotnik budowlany w chustce na głowie i ze szpadlem w dłoni zapytał w końcu: „Na co się gapisz?”, Dennis uznał, że nadszedł czas, by odejść.

Tego wieczoru nie przyjął zaproszenia Carla i jego kolegów na nocną przejażdżkę; pozostał w pokoju hotelowym. Miła zabawa na jeden raz, urlop od rzeczywistości, posmakowanie świata innych ludzi. Ale jednocześnie przynębiało go to, ponieważ wiedział, że gdyby urodził się tutaj, a nie w Pensylwanii, to byłby również jego styl życia. Był tu tylko gościem. A oni właśnie tak żyli.

Obejrzał drugą połowę *Robocopa*, a potem, czując smutek, zadzwonił do siostry. Opowiedział jej o chińskim cmentarzu, a ona rzeczowo to skomentowała:

- Założę się, że w The Store będzie straszyc.

Roześmiał się.

- Niewykluczone - odrzekł. Po chwili milczenia dodał: - Ale...

- Ale co?

Nie wiedział, co powiedzieć, ponieważ nie wiedział, co myśli; nie wiedział nawet, co czuje. Niejasny niepokój z powodu snów, cmentarzy i historii Chińczyków w Ameryce, który przecież nie miał sensu.

Rozmowa skończyła się niezręcznie i Dennis czuł się gorzej niż wcześniej.

Przynajmniej na coś czekał z przyjemnością: Brigit's Well. Myśl o tym, że pójdzie do kawiarni i zobaczy żeński duet grający celtycką muzykę, sprawiała,

że czuł się jak król, zwłaszcza gdy zdał sobie sprawę, że tylko z tego powodu zatrzymał się w tym mieście.

Żałował, że nie było tu Cathy.

Ona też była królową.

Carl i jego przyjaciele woleli hardcore. Wątpił, czy muzyka Brigit's Well wywarłaby na nich piorunujące wrażenie.

Po nocnym śnie wypełnionym straszliwymi koszmarami, których w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, Dennis zjadł śniadanie w Waffle House, po czym spędził cały ranek w parku, spisując wydarzenia ostatnich kilku dni w notesie na spirali, kupionym w Walgreens. Postanowił prowadzić dziennik podróży i choć dopiero zaczął, uznał, że cofnie się w czasie i w wolnych chwilach wypełni puste miejsca. Na obiad poszedł do baru Golden Phoenix.

- Widziałem ją - powiedział Jack Chu, gdy ze swojego stanowiska przy kasie dostrzegł Dennisa.

Carl i inni siedzieli przy pierwszym stoliku i się śmieli.

- Akurat - zadrwił Victor Vee.

Dennis wziął menu.

- Co takiego? - spytał.

- Widziałem ostatniej nocy czarną lokomotywę.

Jeśli to był dowcip, Dennis go nie chwycił.

- Czy większość lokomotyw nie jest czarna?

- Nie! Ta nawet nie jechała po szynach. Była obok szyn! W polu za moim domem.

- Czy twoja mama, tato albo ktokolwiek inny ją widział? - spytał Carl.

- Nie, ale...

- Przyśniła ci się.

- Na pewno nie! - Zwrócił się do Dennisa. - Myślę, że to był pociąg-widmo.

Pozostali wybuchnęli śmiechem, ale Dennis wcale się nie śmiał. Wyraz twarzy Jacka świadczył o tym, że chłopiec mówił absolutnie poważnie, a wizja pociągu-widma na otwartym polu przemawiała do niego, współgrała z obrazem cmentarza, z koszmarami, ze wszystkim, co napotkał w podróży. Oczyma duszy widział nawet potężną lokomotywę i zastanawiał się, czy nie pojawiła się ona w jednym ze snów z ubiegłej nocy, snów, które zapomniał.

Przy chińskich krokciekach i sałatce rozmawiali o pociągu-widmie Jacka. W miarę jak rozmowa przeciągała się, kiedy osłabła potrzeba rozśmieszania

innych i kiedy pragnienie nabijania się z najmłodszego członka grupy zostało zaspokojone, Carl i jego koledzy przyznali, że Jack rzeczywiście wierzy, że widział coś dziwnego. Bobby Lam zaproponował, by obserwowali wieczorem pole o tej samej godzinie, o której Jack - jak utrzymywał - widział pociąg.

- Zobaczymy, czy wróci.
- A jeśli nie - powiedział Carl - wypijemy piwo.

Wszyscy się roześmiali.

Dennis postanowił pójść z nimi. Nie przypuszczał, by coś się pojawiło akurat w drugą noc pod rząd, kiedy wszyscy będą na to czekali. Ale jednak była na to szansa, a ponieważ podczas podróży pozwalał, by kierowały nim bieżące wydarzenia, a nie plan, uznał, że to dobry pomysł.

Po dwóch godzinach, kiedy wypito już dwa sześciopaki i omówiono wszystkie tematy, nie był jednak tego taki pewien. Minęła północ i w tej chwili jego pokój hotelowy, łóżko i telewizja wydawały się kuszącą perspektywą. Spojrzał na dom Jacka, a potem na puste pole. Co on tu w ogóle robi? Gdyby jego przyjaciele z Pensylwanii zobaczyli go teraz, umarliby ze śmiechu. Cathy udzieliłaby mu wykładu i powiedziała, że zdemoralizowały go ignoranckie prostaki z zadupia. Nawet mama - choć była zabobonna - pomyślałaby, że traci czas na nonsensy.

Właśnie zamierzał zasugerować, żeby dali spokój, kiedy...

Coś się zmieniło.

Wszyscy to poczuli. Poruszenie powietrza. Spadek temperatury. Słaby powiew śmierzącego dymu. Siedzący na masce samochodu Carl i Bobby wyprostowali się, a Jack z zadyszką przybiegł z miejsca, gdzie opierał się o pień. Victor, który siusiał przy oddalonym drzewie po prawej, pośpieszył z powrotem, po drodze zapinając rozporek.

Nadjeżdżał.

Dennis usłyszał go z daleka, nie „ciuch-ciuch-ciuch” zwykłego pociągu, ale raczej „szuuu” jak wiatr czy woda słyszana z oddali. Wszyscy spoglądali w różnych kierunkach, próbując określić, z której strony się pojawi. Czy wyłoni się z ziemi, czy spadnie z nieba? Czy wbije się w jeden z domów, czy też może przejdzie przez niego jak duch? Czy może przyjedzie po szynach, a potem ostro skręci?

Po prostu się pojawiła. Nie przed nimi, ale na skraju pola, kierując się nie ku nim, nie ku domowi Jacka, ale ku linii chroniących od wiatru topoli na zachodzie. Lokomotywa była rzeczywiście czarna, miała z tyłu tender, a za nim staromodny wagon pasażerski. Dalej pociąg stawał się bardziej niewyraźny. Dennis miał wrażenie, że do pociągu przyczepiono dalsze wagony, ale

noc była ciemna, szlak kolejowy rozmywał się i nie można było stwierdzić, co tam jechało. Nawet trzy widoczne części wydawały się nie mieć ciężaru rzeczywistości i chociaż nie były, ściśle mówiąc, przezroczyste, w jakimś nieokreślonym sensie były efemerydami.

Pociąg się zatrzymał.

I pasażerowie wsiadli.

Byli duchami, ale mimo to widział ich wyraźnie w świetle księżyca. Wyszli, powłócząc nogami, spomiędzy gęsto rosnących topól, wchodzili na schody wagonu pasażerskiego, chwytając za poręcz i podciągając się do otwartych drzwi. To ludzie, których groby odkopano, pomyślał Dennis, i w tej samej chwili, w której nadeszła ta myśl, wiedział, że ma rację. Widział workowate koszule, kapelusze kulisów, warkocze i stopy w sandałach.

Opuszczali Milner i jechali w jakieś lepsze miejsce.

Pewien element tej sceny przemówił do niego, poruszył coś w jego duszy na tak głębokim poziomie, że Dennis nawet nie zdał sobie z tego sprawy. Nie lękał się, choć prawdopodobnie powinien, ale raczej czuł się poruszony tym, że po niezliczonych dekadach te dusze są wolne. Zobaczył, jak po schodach wchodzi kobieta, trzymająca za rękę małą dziewczynkę. Z każdą osobą wchodzącą do pociągu czarna lokomotywa stawała się nieco mniej ulotna, nabierała substancji.

Szum umilkł, kiedy pociąg się zatrzymał, ale teraz rozbrzmiał dochodzący z komina inny dźwięk, który Dennisowi przypominał muzykę. Stał w bezruchu i myślał, że nigdy nie słyszał czegoś równie cudownego - tak spokojnego, pocieszającego i przyjaznego. Nie było słów, nie było nawet melodii, tylko te dziwne, wirujące tony, które dla niego brzmiały jak zaproszenie, i zanim się zorientował, szedł już naprzód, ku pociągowi.

Właśnie dlatego jechał przez kraj, dlatego wyruszył w tę podróż.

- Hej! - powiedział Carl. - Do cholery, co ty wyprawiasz?

Niejasno zdawał sobie sprawę z faktu, że Carl do niego mówi, ale nie odpowiedział. Szedł przez wysoką trawę na polu, uwagę skupił na czarnych wagonach kolejowych przed sobą. Nie był martwy, nie był duchem, więc prawdopodobnie nawet nie będzie w stanie wsiąść do pociągu, ale wiedział, że musi spróbować. To był jego cel. To właśnie dlatego był tutaj.

- Stój! Wracaj! Nie rób tego!

Wszyscy teraz ryczeli za nim, ale zew pociągu był jeszcze silniejszy. Dennis szedł dalej. Nikt nie próbował go zatrzymać i zorientował się, że boją się podejść bliżej.

Dlaczego ja się nie boję?

Nie wiedział.

Zapach dymu był silny, temperatura zbliżała się do zera i opadała z każdym krokiem, ale to go nie odstraszyło. Brnął naprzód, aż stanął przed wagonem pasażerskim. Pozostali już wsiedli - w kolejce nie czekał nikt. Przez okna nic nie widział, żadnych sylwetek, twarzy, jedynie nieprzenikniony mrok.

Przez chwilę się wahał.

A potem pomyślał o kobiecie, trzymającej rękę dziewczynki, usłyszał w uszach i poczuł w mózgu kojący odgłos kolei. Złapał metalowy pręt, by podciągnąć się do pociągu.

Tylko pręt nie był z metalu.

- Dennis! - Jack krzyczał daleko za nim.

Ale on był już w pociągu.

## 21

### BEAR FLATS, KALIFORNIA

Jolene siedziała w salonie w domu Leslie. Drżącymi palcami głośno zamknęła oprawny w skórę dziennik.

Czy to na pewno skóra zwierzęcia?

Nagle miała ochotę rzucić tom i umyć dłonie, ręce, całe ciało, ale siłą woli się powstrzymała. Reagowała paranoicznie, choć trudno było nie wpaść w paranoję po tym, co widziała, co przeczytała. Ukradkiem spojrzała na okładkę dziennika, by się przekonać, czy dostrzeże żyłki, włosy, linie papilarne.

Skylar spał na kanapie obok, palcami ścisnął materiał jej bluzki tak mocno, jakby się bał ją puścić. W drugim końcu pokoju jej matka - zupełnie trzeźwa - siedziała nieruchomo w fotelu. Twarz miała pobladłą i patrzyła z wyrazem być może niedokładnie opiekuńczej troski, ale z pewnością mniej skoncentrowanym na własnej osobie niż zwykle. Leslie z drinkiem w dłoni stała oparta o framugę kuchennych drzwi. W panującej ciszy głośno dzwoniły kostki lodu w szklance. Leslie drżała.

- Myślałam, że przeczytasz to na głos - powiedziała.

Jolene zaczerpnęła tchu. Spojrzała na syna i by się uspokoić, odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła.

„Oni chcą zemsty”, powiedział jej Skylar, gdy w szpitalu podano mu środki uspokajające i lekarz potwierdził, że chłopiec nie doznał żadnych obrażeń ani nie został wykorzystany seksualnie. Jolene nie była pewna, czy rozumie pojęcie „zemsty”, nie była nawet pewna, czy wie, kim są „oni”. Była pewna jednego: właśnie dlatego Skylar został uprowadzony; właśnie dlatego został uwolniony.

By przekazał wiadomość.

*Oni chcą zemsty.*

Ale kto go porwał? I w jaki sposób jej syn znalazł się w piwnicy?

Tego nadal nie wiedziała.

Mimo niesamowitych okoliczności policjanci, którzy na ogół bez wyobraźni trzymali się przepisów, stwierdzili, że nic się nie stanie, jeśli pozwolą Jolene zabrać dziennik z domu Williamsów. Wzięła tom z nadzieją, że znajdzie w nim jakieś wskazówki. Przeczytała jedną przypadkowo wybraną stronę i była tak przerażona, że zamknęła książkę i nie chciała jej więcej czytać.

- Nie chcę czytać na głos - odparła. - Skylar mógłby się obudzić. Mógłby usłyszeć.

- Jest aż tak straszna? - spytała Leslie tak dla niej nietypowym, poważnym głosem.

Jolene skinęła głową. Strona, z którą się zapoznała - jedna z ostatnich w dzienniku - mówiła o mężczyźnie, który został zabity i wypatroszony tylko dlatego, że wkroczył na ziemię Williamsa. Wnętrznosciami nakarmiono wieprze, a odcięte ręce i stopy powieszono wraz z kawałkami wołowiny, by schły przeznaczone na gryzaki dla psów. Opis nie obfitował w szczegóły - zwłaszcza jeśli porównać go ze współczesnymi krwawymi filmami - ale z wyraźną przyjemnością wspominano to wydarzenie, uważano je za pomyślne. Ton opowieści był taki, że Jolene poczuła mdłości. Pomyślała o tym, jak po raz ostatni widziała Anne May - ten obraz na zawsze odcisnął się w jej pamięci, obraz pociętego, zmasakrowanego ciała i powiększającej się na podłodze kałuży krwi.

*Oni chcą zemsty.*

- Pozwól mi przeczytać. - Leslie podeszła do niej.

- Proszę bardzo. - Jolene podała jej dziennik. Znów poczuła instynktową ochotę, by umyć dłonie albo przynajmniej wytrzeć je o spodnie. Leslie usiadła przed nią na podłodze, otworzyła wymyślnie oprawioną księgę i zaczęła ją szybko kartkować.

Jolene popatrzyła na matkę - ta równocześnie spojrzała na nią z przepaszającym uśmiechem. Potem skierowała wzrok na syna. Uśpiony, wydawał się mniejszy niż wtedy, gdy nie spał. Jolene pękało serce, gdy zamiast gładkiej, anielskiej dziecięcej buzi widziała zmarszczone czoło. Dotknęła piąstki syna, ciągle zaciśniętej na jej bluzce, wyczuła napięcie mięśni. Chłopiec już wcześniej miał trudne życie, a teraz doszły nowe wypadki. Czy kiedykolwiek zdoła się z tego otrząsnąć?

„Pomoc psychologa”, poradził lekarz i choć takie rozwiązanie było również obciążone piętnem, prawdopodobnie to jedyne wyjście.

- Jezu - westchnęła Leslie. Szybkim spojrzeniem upewniła się, czy Skylar nadal śpi.

- Co takiego? - spytała Jolene zmęczonym tonem. - Uświadom mnie.

- Wiem, kto jest pochowany w tych grobach - rzekła Leslie. - Tych przyścieżce. - Spojrzała znad książki.

Jolene poczuła, jak na jej ramionach pojawia się gęsia skórka.

- To Chinka i jej córka z mieszanego związku. Odkryto, że kobieta mieszka z górnikiem w Hells Canyon, i Chester Williams złośliwie podjudził miasteczko do linczu. Przeczytałam, że zdarzyło się to jakiś czas przed innymi opisywanymi wydarzeniami, gdy był młodszy, ale musiał to być punkt zwrotny w jego życiu, bo nie tylko o tym wspomina, ale także opisuje to w szczegółach.

- „Mocno pociągnąłem linę i dziewczyna podjechała na drzewo. Śmialiśmy się, gdy jej nogi wciąż tańczyły”. - Leslie przewróciła stronę. - Potem mężczyznę pochowano na cmentarzu, tym przy polu golfowym, a matkę i córkę, ponieważ nie były chrześcijankami, pochowano w lesie, gdzie teraz prowadzi ścieżka.

Jolene przebiegł dreszcz.

*Rodzina w wąwozie.*

Tak. Widziała podobieństwo. Obcy w obcym świecie szukający lepszego życia, a znajdujący tylko śmierć. Zastanawiała się, którą z nich powieszono najpierw, matkę czy córkę? Miała nadzieję, że kobieta umarła pierwsza. Jako matka, nie potrafiła sobie wyobrazić niczego straszniejszego niż patrzeć, jak ktoś zabija twoje dziecko. Odruchowo otoczyła ramieniem Skylara i mocno go przytuliła.

Leslie patrzyła na nią z pobladłą twarzą.

- Gdy umarli, odciął im kciuki i je zachował. Tu jest napisane, że po tych wszystkich latach nadal lubił wyciągać te kciuki i się im przyglądać.



Jolene spojrzała na mamę, spodziewając się jakiejś reakcji, ale nic takiego nie zauważyła. Mama знаła ostatniego z Williamsów, Chestera, wnuka autora dzienników. Można było od niej oczekiwać emocjonalnej reakcji na takie rewelacje.

- W piwnicy było więcej kciuków - stwierdziła Leslie.

Jolene przypomniała sobie, co powiedział jej syn...

*Oni chcą zemsty.*

...i po raz pierwszy pomyślała, że chyba wie, kim są „oni”.

- Ta dwójka nie była jedyna - powiedziała cicho. - Takich osób było więcej.

Leslie skinęła głową.

- Czytam dalej.

Śniła mu się twarz, widziana tamtej nocy za oknem - brązowa pomarszczona głowa i te okropne wyszczerzone zęby. Tylko że twarz nie była za oknem. Pochylała się nad nim i patrzyła na niego z odległości kilkunastu centymetrów. Skylar zorientował się - bo jego leżące ciało łagodnie się kołysało - że mężczyzna niesie go na rękach.

Tylko że to nie był człowiek.

Kiedys nim był, ale dawno, dawno temu. Istota, która go zabrała ze szkolnej łazienki i która go teraz gdzieś niosła, była truposzem, więcej, była jakimś potworem, którego Skylar nie potrafił rozpoznać ani zidentyfikować.

A on nie był sobą. Był pajacykiem. W jakiś sposób zmienił się w marionetkę i ten truposz przenosił go przez tunel głęboko pod ziemią do... dokąd?

Nie wiedział i bał się nawet nad tym zastanawiać.

- Mam ci tyle do pokazania - powiedział potwór, sepleniąc, i choć mówił obcym językiem, Skylar doskonale go rozumiał. Potwór szarpnął za sznurki i Skylar został posadzony na zagiętych ramionach szkieletu.

W zagłębieniach w ziemi zobaczył chłopca, któremu odrąbano głowę, ręce i stopy, mężczyznę i kobietę spalonych żywcem, starego człowieka, którego uduszono, i nastolatkę przeciętą na pół.

Wydawało się, że to krewni potwora, który teraz niósł Skylara. Skylar dostrzegł podobieństwa w kształcie głowy, w kolorze skóry.

- Oni chcą zemsty - szeptał mu potwór do ucha i wtedy odcięta głowa staruchy otworzyła swoje matowe, białe oczy i zaskrzeczała.

Skylar obudził się, kurczowo ściskając mamę w pasie. To, czego teraz doświadczył, nie było tylko snem - to było odtworzenie prawdziwych wydarzeń.

Jego serce biło mocno, ale po przebudzeniu ani nie płakał, ani nie krzyczał, co przyjął z ulgą, ponieważ zobaczył panią Finch i babcię, a nie chciał się zbłaźnić w ich obecności.

Kiedy jednak się rozejrzał, natychmiast zauważył, że one są równie wystraszone jak on. A może nawet bardziej. Kiedy spał, musiały rozmawiać o czymś makabrycznym, i choć był ciekawy, co to takiego, w istocie nie chciał o tym słyszeć.

Puścił mamę i usiadł.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytała.

Skinął głową, nie ufając własnemu głosowi. Nigdy jeszcze nie czuł się gorzej. W porównaniu z tym nawet powrót do taty był niczym majowy piknik.

Dlaczego potwór mnie puścił? - zastanawiał się.

Nie miał pojęcia. Wyczuwał wściekłość i nienawiść tej istoty, wiedział, że za jej strasznym uśmiezkiem czai się nieludzkie zło, że maskara chciałaby mu po kolei odrywać wszystkie kończyny i śmiać się, gdy krew będzie tryskać wkóło. Był jednym z tych, na których potwór pragnął się zemścić, ale hamował się z dziwnych, niezrozumiałych dla Skylara powodów. Wiedział, że to nie maskara dyktuje warunki, że jest taką samą marionetką jak on. Za potworem stały inne siły, ktoś znacznie potężniejszy, kto wykorzystywał go do łączności ze Skylarem. Miał przecucie, że to ma związek z tymi wszystkimi ciałami, które mu pokazano, ale na czym ten związek polegał, nie potrafił określić.

Spojrzał na mamę.

- Zostaniemy tu na noc? - spytał.

- Tak - odparła, choć bez dalszych wyjaśnień. Był pewien, że to z powodu tamtej twarzy za oknem, i cieszył się, że nie wracają do domu babci.

Babcia wstała.

- Zabieram go do łóżka - oznajmiła. - Jestem zmęczona. Obojgu nam się przyda trochę snu.

Nie chciał spać z babcią, chciał spać z mamą, ale nie zareagował gdy mama powiedziała:

- Dobrze. - Pocałowała go mocno, długo obejmowała, a on uściśnął ją szczęśliwy, że jest przy nim. - Dobranoc.

Odsunął się.

- Pa, pa, dobranoc.

Poszedł za babcią do sypialni, ale nie wszedł do środka, póki nie zapaliła lampy. W salonie mama rozmawiała z panią Finch. Zdejmując buty i wchodząc

do pościeli, Skylar nucił piosenkę, by nie słyszeć, o czym dyskutują. Rzucił babci „dobranoc”, przewrócił się na bok i zatkał uszy. Próbował zasnąć.

Miał nadzieję, że nic mu się nie przyśni.

Było ich więcej.

Znacznie więcej.

Nim Skylar obudził się tuż przed północą, Leslie udało się przeczytać zaledwie niewielką część dziennika, ale i tak ujawnił już tyle zbrodni, że rodzina Mansona mogłaby pozazdrościć. Używano w nim skomplikowanego, formalnego języka, realia dotyczyły tak dalekiej przeszłości, że trudno było mieć do tego żywy, emocjonalny stosunek, ale mimo to relacje napawały grozą, a banalizacja śmierci, towarzysząca zwykle opisom, nie mogła nikogo pozostawić obojętnym. Mimo tych barier Leslie zrozumiała, że Chester Williams to samo zło, psychotyczny sukinsyn.

Dźgał ludzi nożem i strzelał do nich, wieszał dzieci, obdzierał kobiety ze skóry, wyjmował wnętrzności z zabitych przez siebie ludzi, a wszystko to najwyraźniej z cichym przyzwoleniem i błogosławieństwem społeczności.

Leslie robiło się niedobrze zarówno z powodu beznamiętnego tonu relacji, jak i przerażających wydarzeń, które Williams opisywał.

Zdumiewające było to, że jego ofiarami byli wyłącznie Chińczycy. Tak się przynajmniej wydawało. Dziennik wspominał o innej rzezi, o wojnach i o wielkim projekcie, w którego wyniku wiele osób straciło życie, i do którego realizacji Chester Williams widocznie się przyczynił, ale tych wydarzeń dziennik nie obejmował i Leslie zastanawiała się, czy istniały wcześniejsze pamiętniki, nadal schowane gdzieś w rezydencji Williamsów.

Ofiarami wszystkich morderstw opisanych w tym dzienniku byli Chińczycy. Williams żywił do nich szczególną nienawiść i choć w tamtych czasach uprzedzenia rasowe były przypuszczalnie powszechne, to jego wrogość przybrała monstrualne rozmiary.

Leslie spojrzała na książkę. Przeczytała dopiero jedną czwartą. Co się działo w ostatnich latach?

Nadzwyczajne rewelacje, powiedziała Anne May. Morderstwa!

Nie kłamała.

Leslie opowiedziała Jolene o morderstwach. Mówiła cicho, by nie obudzić Skylara i jego babci.

- Żałuję, że nie ma z nami Anne May - westchnęła Jolene. - Potrafiłaby może spojrzeć na to z właściwej perspektywy.

- Twoja mama być może wie...

Jolene machnęła ręką.

- Nie próbuj.

- A jaka tu może być perspektywa? Bądźmy szczerze, facet był psycholem.

I tyle.

- A potem jego syn, a potem syn syna.

- Gdyby Anne May rzeczywiście coś wiedziała, postępowałyby nieco ostrożniej. Wiesz, o co mi chodzi? Widziałas ją przecież. Zachowywała się jak dziecko w sklepie ze słodyczami. Nie miała żadnego sygnału, że coś się jej przydarzy, że coś mogłoby się przydarzyć.

- Chcę wiedzieć, kto lub co porwało Skylara. To tak, jakby wszystko... było zaplanowane. Przeraza mnie to. Prawdopodobnie został uprowadzony, gdy jechałam do ciebie, nim w ogóle postanowiłyśmy pojechać do Anne May, i pewnie był już zamknięty w piwnicy, gdy dopiero zaczynałyśmy planować wyjazd do rezydencji. Porzucono go w taki sposób, żebym mogła go znaleźć. Ten ktoś wiedział, co zrobimy, zanim my same to wiedziałyśmy.

- Może nie chodziło o to, żebyśmy go znalazły. Właśnie my.

- W tym sęk. Myślę, że chodziło konkretnie o nas - stwierdziła Jolene.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Leslie się zamyśliła.

- Mogę się założyć, że te głosy z grobów mówią po chińsku.

- Ale co mówią? - Jolene przeczesła nerwowo włosy. Rozmawiały cicho, tak by babcia i wnuk nie usłyszeli. Leslie wyczuła w głosie przyjaciółki nowe emocje. - Czuję się tak, jakbyśmy były na „Titanicu” i widziały tylko wystający mały fragment lodu, podczas gdy pod spodem jest olbrzymia góra lodowa, która za moment rozerwie nasz statek na kawałki.

Celne porównanie. Leslie uświadomiła sobie, że czuje to samo.

- Ale co możemy zrobić?

- Siedzieć cicho i czekać, aż rąbnie.

- Albo przeczytać jak najwięcej i się przygotować. - Leslie weszła na kanapę, przysunęła się blisko Jolene i otworzyła dziennik, by obie mogły go czytać.

## PARK NARODOWY KRAINY KANIONÓW, UTAH

Henry pozostawił na kuchence płonącego na patelni hamburgera i oszołomiony stał przed telewizorem. Leciąca końcówka NBC Nightly News - w tej części programu panował zazwyczaj ton na wpół żartobliwy, by załagodzić przejście od okropności tego świata do pretensjonalnego blichtru następnego programu rozrywkowego. Tym razem pokazywano historię w stylu Roberta Ripleya o dziwacznych ludzkich zachowaniach i niewyjaśnionych wydarzeniach. Opuścił pierwszą część programu, ale zdjęcie Salt Lake City przykuło jego uwagę. Skupił się więc na telewizji. W miarę słuchania narracja wciągała go coraz bardziej.

Najwyraźniej Indianie z całego kraju odbywali pielgrzymkę do Utah. Samolotami, pociągami, samochodami, motocyklami i piechotą. Jechali, lecieli i szli ze swoich rezerwatów do Utah niczym do ula. Jeśli ta migracja zmierzała do jakiegoś określonego miejsca lub miała jakąś przyczynę, uczestnicy pielgrzymki nic o tym nie wspominali, a kilkoro ludzi, których reporter pytał, albo odmówiło odpowiedzi, albo utrzymywało, że nie mają pojęcia, dlaczego biorą udział w tej podróży lemingów. Według reportera kilka kobiet z paru stanów zwróciło się do policji, nie mając pojęcia o tej masowej migracji, zgłosiło, że ich małżonkowie zniknęli.

*Zniknęli.*

Kiedy gładkie „zaginięli” zmieniło się w niezgrabne i podejrzane logicznie „zniknęli”? Czy osoba rzeczywiście może „zniknąć”? Henry miał wątpliwości.

Program zakończono obietnicą, że NBC News będzie informował widzów na bieżąco, w miarę rozwoju sytuacji.

Henry poczuł swąd palącego się hamburgera, pośpieszył więc do aneksu kuchennego i przeniósł patelnię na zimną część kuchenki. Wziął bułkę z paczki. Coś w tej dziwacznej pielgrzymce wydało mu się dręczą - co znajome - lub dokładniej wydawało mu się, że powinno być znajome - i mimo że nie widział prawdziwych podobieństw, pomyślał o dziwnych rzeczach, które ostatnio wydarzyły się w parku. Do Healeya dotarły pogłoski o zjawach w

kilku innych parkach narodowych, choć nie było nic równie dobrze udokumentowanego i z pewnością nie miało takich rozmiarów jak u nich. Może cały naród dotknęło jakieś przekleństwo, metafizyczny odpowiednik potężnej burzy obejmującej ogromne obszary.

Znowu odzywała się w nim indiańska krew.

Ale czy płynęła w nim indiańska krew i czy to ona dawała o sobie znać? Nie czuł przecież zagadkowego przymusu, żeby na pewien czas przenieść się gdzieś indziej, by wskoczyć do dżipa i ruszyć szosą lub zawiązać tenisówki i wyruszyć w drogę.

Oczywiście, on już tu był, w Utah, w miejscu, do którego rzekomo zmierzali podróżnicy.

Wyjął z lodówki keczup i musztardę. Był zbyt leniwy, by pokroić cebulę i pomidory. Położył spalonego hamburgera na bułce, posmarował sosami i jadł nad bufetem. Wyjrzał przez okno kuchenne, przechylił głowę, by spojrzeć w bok, i patrzył tam, gdzie wcześniej stał pociąg. Udali się na pustynię, by zbadać to miejsce; jak zwykle wiał wiatr, ale nie zdołał zatrzeć głębokich kolein, wytłoczonych w piasku i ciągnących się prostą linią ku horyzontowi.

Czymkolwiek ten pociąg był, nie był zaledwie cieniem czy widmem. Był cielesny. Istniał w świecie fizycznym.

Ale co to znaczyło? Co znaczyły wszystkie te zjawiska?

Według NBC niektórzy Indianie jechali do Utah pociągiem. Czy z tej właśnie przyczyny pojawił się tamten pociąg? Henry w to wątpił. Te dwie sprawy mogły się łączyć, ale jeśli taki związek istniał, był znacznie subtelniejszy i bardziej złożony, prawdopodobnie niedający się objąć umysłem.

I w grę wchodziła śmierć.

Henry zerknął na telewizor - skończyły się wiadomości i kamery rejestrowały przybycie eleganckich gwiazd na hollywoodzką galę. Żałował, że go tam nie ma... albo w Chicago... lub w Nowym Jorku... gdziekolwiek, byle w tłumie, w blasku lamp elektrycznych, w bańce iluminacji, która odpędzi mrok realnego świata. Podniósł wzrok na fotografię Sary na ścianie i uśmiechnął się ironicznie. Mimo wszystko w końcu przyjął jej punkt widzenia.

Coś się przesunęło przed telewizorem.

Przestraszony podskoczył i pokręcił głową, rozglądając się wokół, ale niczego nie zauważył. Tylko meble...

I gęsty kudłaty cień w kącie przy kominku.

Zaczerpnął powietrza. Cień poruszył się, rozłączył na dwa węższe cienie, niczym dzielący się jednokomórkowiec. Rozpoznał natychmiast obie połówki. Były nagie, kobiece i sunęły wolno ku niemu.

Bliźniaczki.

- Nie - szepnął Henry.

Zabrakło mu jednak siły woli. Zsunął spodnie, a cienie skłębiły się wokół jego rosnącego organu, dotykając go, lecz nie dotykając, aż stercząc w powietrzu, tryskał na kafelkową podłogę.

A cienie zlizywały.

I ciemniały.

Cały następny dzień spędził w centrum informacji turystycznej i sprawiał wrażenie osoby zapracowanej. Wszyscy tak robili. Wykłady strażników parku zostały odwołane, szlaki zamknięto, a turystom zakazano wstępu do parku. Wędrowców kierowano do parku Skalne Łuki. Wszystkie obowiązki strażników w terenie zostały zawieszono do odwołania. Healey nie ryzykował i Henry naprawdę go za to podziwiał. Praktycznie rzecz biorąc, Krainę Kanionów zamknięto, a z pewnością nie było to łatwe, kiedy miało się na karku waszyngtońskich oficjeli żądających racjonalnych wyjaśnień, których po prostu brakowało.

Wszyscy byli nerwowi, wykazywali rozdrażnienie przy wzajemnych kontaktach. Przerażało ich każde skrzypnięcie drewnianej podłogi budynku. Czuli się jak żołnierze oblężeni na terytorium wroga i choć tylko kilka kilometrów dzieliło ich od Moabu z jego stacjami benzynowymi, sklepami, barami szybkiej obsługi i motelami, Henry miał wrażenie, że wszyscy znajdują się gdzieś w dziczy, niesłychanie daleko od cywilizacji.

Po pracy pojechał do Moabu i w barze Bay Howdy spotkał się z Ectorem przy piwie. Jednak przyjaciel był małomówny i gburowaty, a zwykle niefrasobliwa atmosfera w barze zdawała się napięta, jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć bójka. Po dwudziestu minutach Henry wyszedł. Kiedy wracając, przejeżdżał przez miasto, spoglądał na chińskie i japońskie restauracje. Cienie roślin, przyciętych na wzór bonsai, rzucane przez pomarańczowe zachodzące słońce przyprawiły go o drżenie.

W domu znów dostawał klaustrofobicznego świra. Tu w Krainie Kanionów zawsze czuł się komfortowo. Odkąd rozpoczął pracę w parku, czuł się jak u siebie pośród surowego piękna krajobrazu, szczęśliwy przebywał w swoim domku. Teraz był niespokojny i spięty i po raz pierwszy zapragnął większego mieszkania.

Zrobił sobie kanapkę z szynką, obejrzał wiadomości. Telewizja zmęczyła go, włączył więc stereo, próbował czytać książkę. Nie mógł się jednak skoncentrować i znowu włączył telewizor.

Zabrakło prądu.

Było już ciemno, zapadła noc. Po omacku przeszedł do szafki, gdzie trzymał sprzęt awaryjny, wyciągnął lampę na baterie, włączył ją natychmiast i ustawił na stoliku do kawy. Świetlówka dawała jednak dziwaczne światło, więc znalazł świece, umieścił je w odpowiednich miejscach i zapalił. Domek nie został oświetlony w pełni, ale przynajmniej Henry coś widział.

Zastanawiał się, czy to ogólna awaria, czy też prądu nie było tylko w jego mieszkaniu. Spojrzał przez okno, ale nie zobaczył światła w żadnym innym domku. Wyjął latarkę i podszedł do telefonu. Chciał zadzwonić do Stuarta i dowiedzieć się, co zaszło, ale telefon również nie działał.

W Henrym zadźwięczały dzwonki alarmowe.

Podskoczył, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Natychmiast pomyślał o bliźniaczkach, oczyma wyobraźni zobaczył zakrwawione ciało Raya. Pozostał na miejscu, w bezruchu, ledwo ważąc się oddychać, mając nadzieję, że cokolwiek tam jest, zrezygnuje i odejdzie.

Pukanie się powtórzyło.

- Kto tam? - zapytał, rozglądając się za strzelbą. Serce waliło mu w piersiach, ale nie z powodu tego kogoś lub czegoś, co mogło stać za drzwiami, ale dlatego że nie powinien w takich wypadkach rozglądać się za strzelbą. Powinna spoczywać w tym samym miejscu co zawsze - z tyłu schowka na mioty.

Ale tam jej niebyło. Zabrano ją. Pukano dalej.

- Czego?! - krzyknął sfrustrowany. Spojrzał pod łóżko, do szafy z ubraniami, sprawdził za kanapą. Nic. Przy kominku leżała jednak siekiera. Uniósł ją w dłoni i zanim zdążył zmienić zdanie, otworzył drzwi i cofnął się na wypadek, gdyby potrzebował miejsca na zamach.

Na progu stało czterech Indian.

Nachmurzył się. Za nimi na drodze widział pikapa z włączonymi reflektorami i silnikiem. Za kierownicą siedział mężczyzna. Dlaczego wewnątrz nie usłyszał wcześniej hałasu?

- Tak? - zapytał ostrożnie.

- Przyjechaliśmy, by cię podwieźć - powiedział Indianin z lewej, starszy człowiek z bandaną i końskim ogonem.

Powinien być zdezorientowany. I był. Ale powinien również być przestraszony. A nie był. Wyszedł na ganek, a Indianie skinęli głowami.



- Chodźmy - powiedział Koński Ogon.
  - Dokąd? - spytał Henry, zdając sobie sprawę, z niejakim zadziwieniem, że jeśli odpowiedź będzie właściwa, pojedzie z nimi.
  - Do Promontory Point.
- Odpowiedź była właściwa.

## 23

JARRETT, NEVADA

**Dzieci! Dzieci! Nie idźcie tam! Brian, wracaj!**

Pszczoły pełzały po zewnętrznym murze przedszkolnej sali, kilkadziesiąt grubych owadów spadło na ziemię niczym krople wody z topniejącego sopła. Panna Iris nigdy czegoś podobnego nie widziała. Wezwała dozorcę, który już jechał, by zająć się problemem, ale dzieci były zafascynowane pszczołami i choć Ashley Curtis już został użądłony, nauczycielka nie potrafiła zapanować nad podopiecznymi.

Równie przerażająca była czarna pleśń, która wyrosła na ścianie tuż przy roju pszczół, nieco poniżej okapu.

Godzinę temu nie było tam ani pszczół, ani pleśni.

- Z powrotem do sali! - rozkazała. - Wszyscy z powrotem do środka.
- Ale jest przerwa! - narzekał Joel.
- Zrobimy przerwę, gdy pan Gehring pozbędzie się pszczół. Ale jeśli mnie nie posłuchacie i natychmiast nie wróćcie do środka, w ogóle nie będzie przerwy.

To do nich przemówiło. Nastąpiły jęki i łkania, ale dzieci posłusznie weszły gęsiego do klasy i usiadły na dywaniku, na którym zwykle się uczyły. Potorach przy szkole przejechał pociąg, grzechocząc szybami tak jak zwykle, i choć do tej pory dzieci się do tego przyzwyczyły, niektórzy chłopcy nadal wyciągali szyje, by coś dojrzeć ponad ławkami. Panna Iris usiadła w fotelu. Wzięła elementarz i zaczęła czytać. Dzieci dołączyły, recytując znane im fragmenty, i wkrótce zapomniały o przerwie.

- Zrobione! - ogłosił stróż chwilę później, wtykając głowę przez uchylone drzwi.

- Dziękuję panu, panie Gehring - powiedziała panna Iris, a klasa powtórzyła chórem:

- Dziękujemy, panie Gehring!

- Odrodziłem tamtą część placu zabaw, więc dzieci, nie podchodźcie tam, jasne? Może tam nadal być trucizna.

- Dopilnuję, by tego nie robiły - obiecała panna Iris.

Przeczytała dzieciom następną historyjkę, a potem kazała im narysować przy stolikach portrety swoich rodzin na zbliżający się wieczorek. Następnie pozwoliła, by spędziły przerwę na dworze.

- Pamiętajcie, co mówił pan Gehring - poprosiła, kiedy wyprowadziła dzieci wężykiem przez drzwi prowadzące na plac zabaw. - Na ścianie jest nadal trucizna i może sprawić, że się rozchorujecie. Więc nie przekraczajcie linii, dobrze?

- Dobrze - odpowiedzieli.

Panna Iris pozwoliła im się bawić i poszła popatrzeć na miejsce, gdzie wcześniej roily się pszczoły, ale dzieci, zamiast pobiec na zjeżdżalnię i huśtawki, postanowiły jej towarzyszyć. Posłusznie trzymały się za żółtą linię. Pszczoł nie było, ale czarna pleśń pozostała na ścianie budynku i w ciągu ostatnich czterdziestu minut narosło jej jeszcze więcej. Już nie była pozbawioną kształtu plamą, ale przypominała profil Jerzego Waszyngtona. Sylwetkę wyciętą z czarnego papieru, taką jak te, które dzieci wykonywały na zajęciach z plastyki.

Serce panny Iris podskoczyło. To nie było przypadkowe podobieństwo. Twarz na ścianie była wykonana zbyt dokładnie, rysy były zbyt precyzyjne. Ten kształt został odwzorowany umyślnie, chociaż nie miało to żadnego logicznego wytłumaczenia.

A pszczoły wracały.

Usłyszeli owady, jeszcze zanim je zobaczyli - brzęczenie, z początku słabe, niczym budzik buczący gdzieś daleko, potem coraz głośniejsze. A potem zobaczyli kudłaty ciemny obłok, nurkujący między drzewami ku budynkowi szkoły z hałasem, który dla panny Iris brzmiał tak, jakby przyłożono jej do uszu dwa wibratory.

- Z powrotem do środka! - nakazała, ale jej głos zginął w zgiełku i zanim zdołała powtórzyć polecenie głośniej, pszczoły - setki, może tysiące - poleciały prosto do ściany, choć pozostały na niej resztki trucizny. Kłębiły się nad pleśnią, dopasowując dokładnie do jej konturów.

Rój przybierał kształt trójwymiarowego Jerzego Waszyngtona. Pszczoły stale się ruszały - skrzydła biły, odnóża pracowały, odwłoki kręciły się i ten złożony ruch nadawał twarzy wygląd żywej.

I mówiącej.

Dzieci, które były się, piszczwały i walczyły o miejsce, teraz stały cicho, jakby intensywnie nasłuchiwały. Panna Iris zauważyła, że dźwięk pszczół wyraźnie się zmienił. Nie był już tylko brzęczeniem, lecz brzęczeniem rytmicznym, miał barwę i odcień. Brzęczeniem, które niesamowicie przypominało głos. Kiedy skojarzyło się je z ruchami twarzy, wydawało się, że to mówi Jerzy Waszyngton.

Nie mogła rozróżnić wymawianych słów, ale chyba dzieci coś słyszały - słuchały uważnie, nawet te najbardziej rozbrykane. Zanim wydała polecenie, by weszły do środka, pobiegły jednocześnie na środek placu.

- Dzieci! - zawołała, podążając za nimi. Przypuszczała, że pędzą do zabawy, choć ich zgrane ruchy ją niepokoiły. Jednak niemal natychmiast stało się jasne, że dzieci nie bawią się, lecz wypełniają rozkazy.

Pierwsze z nich dotarły do placu zabaw...

I zaczęły rozbijać sobie twarze o kraty drabinek i podpory huśtawek.

- Mój Boże! - wrzasnęła. Popędziła za nimi.

- Przestańcie! Brian! Joel!

Po nich inne zaczęły tłuc twarzami o drabinki, kąsać boki zjeżdżalni. Wszędzie była krew, tryskała z osiemnastu par ust, kapiała na sukienki i koszule, kapiała na asfalt. Niesamowite - dzieci nie krzyczały, nie wydawały dźwięków, ale samookaleczały się i krwawiły w ciszy.

Lisa Johnson wypluła swoje zęby, wyrwała palcami jeden z prawej strony, a następnie podniosła garść wiórów z placu zabaw i wgrzyła się w nie.

Joey Higgins podniósł dwa patyczki i umieścił je w zębodołach po dwóch jedynkach.

Inni zaczęli robić to samo - wkładali sobie do ust kamyczki i wióry, wypychali mocno małe kawałki w krwawiące dziąsła, uśmiechali się szaleńczo do siebie, a wychowawczynie, czując w żołądku ucisk, zrozumiała, co robią.

Dzieci robiły drewniane zęby.

Z tyłu na ścianie Jerzy Waszyngton zdawał się gromko śmiać, jego nieskrępowany rechot był dźwiękiem brzęczących pszczół i choć panna Iris uważała się za twardą, jej powieki zatrzepotały, świat poczerniał i zemdlona padła na ziemię.

Zbudziła się z wrzaskiem chwilę później, gdy Ashley Curtis zaczął wybijać jej zęby kamieniem.

To nie w porządku - powiedziała Angela, gdy Derek, znalazłszy wolne miejsce na południowym parkingu, zatrzymał samochód.

- Wiem - odparł. - Ale prawdziwe życie toczy się dalej. Mamy pracę, mamy zajęcia na uczelni i jeśli nie będziemy na nie chodzić, oblejemy egzaminy i nas wyrzucą.

Uśmiechnęła się.

- Tych elementów nie pokazują na filmach. Zwykle ludzie porzucają wszystko i walczą z potworem albo wyjaśniają tajemnicę, a gdy problem zostaje rozwiązany, domyślamy się, że odtąd wszyscy żyją długo i szczęśliwie. Nie pokazują, jak ci ludzie są zwalniani z pracy, nie mogą zapłacić czynszu i w końcu zostają eksmitowani z domu i lądują na ulicy.

- My ciągle mamy przed sobą walkę z potworem i wyjaśnienie tajemnicy. Tylko że musimy to zrobić po pracy i po zajęciach.

Teraz Angelą znów spoważniała.

- Jak myślisz, co się stało w Domu Babbitta? - Wyobraziła sobie ten wiktoriański dom pokryty całkowicie czarną pleśnią, która zaczyna się rozprzestrzeniać na sąsiednie budynki.

- Nie wiem.

- Chcę tam później zajrzeć.

- Angela...

- Tylko przejedziemy obok. To wszystko. Ty będziesz szybko prowadził, a ja popatrzę w okna.

- Zobaczymy. - Spojrzał na zegarek. - Teraz muszę zabrać się do pracy, a ty musisz iść na zajęcia. Spotkamy się na placu przed wydziałem o jedenastej, potem pójdziemy do doktora Mathewsona i zobaczymy, czy udało mu się coś odkryć.

- Gdyby się udało, zadzwoniłby do nas - zauważyła.

- Może dzisiaj coś znajdą. Nigdy nic nie wiadomo.

Pomachali sobie i ruszyli w przeciwnie strony, Angela na zajęcia. Niezręcznie byłoby powiedzieć „do widzenia”, pomyślała. W ciągu ostatnich paru dni spędzali razem prawie każdą wolną chwilę i choć nie było między nimi niczego romantycznego, wytworzyła się pewna bliskość i mogło się wydawać,

że na pożegnanie powinni się uścisnąć, dotknąć, zrobić coś, co potwierdziło by tę więź.

Poszła na zajęcia z algebry, a potem na kurs z literatury i czuła się zdecydowanie nieswojo. Po surrealistycznym chaosie ostatnich dni siedzenie w sali w otoczeniu innych studentów pilnie notujących, słuchających akademickiego wykładu wydawało się osobliwe. Na matematyce Angela kilka razy odruchowo spojrzała na swoje odsłonięte ramię, za które chwycił ją trup - sprawdzała, czy wszystko było w porządku, czy nie było śladu czarnej pleśni, która wciąż mogła się pojawić.

Według planu Chrissie powinna mieć teraz zajęcia z teorii muzyki i Angela zastanawiała się, czyjej współlokatorka - była współlokatorka - jest na uczelni czy też całkowicie zrezygnowała ze studiów i cały czas spędza w gnijącym Domu Babbitta, ogląda czarne zapleśniałe ściany, piekli się, wymyśla Meksykanom i z każdą minutą popada w coraz większe szaleństwo.

W tym ciągu myśli coś wydało jej się ważne, jakby zawierało klucz do zagadki lub przynajmniej rzucało nowe światło na ostatnie wydarzenia. Angela już niemal to uchwyciła, ale myśl umknęła jej i im bardziej próbowała ją złowić, tym dalej odpływała.

Słuchała wykładu i robiła notatki, ale choć zgodziła się z Derekiem, że życie toczy się dalej i gdy kiedyś całe to szaleństwo się zakończy, będą musieli wrócić do rzeczywistości, to informacje przepisywane do zeszytu wydały jej się banalne i nieważne. Bardzo się starała traktować je inaczej, ale wciąż dostrzegała ich błahość w tym nowym wspaniałym świecie pełnym chodzących zwłok i obcej pleśni.

Zajęcia z angielskiego skończyły się wcześniej i Angela z dużą grupą studentów zbiegła po schodach budynku nauk humanistycznych i przeszła na plac. Po drugiej stronie kłębił się tłum, do którego ciągle dołączali nowi ludzie wychodzący z właśnie zakończonych zajęć. Czy to koncert, wiec, przemówienie? Angela ruszyła przez otwarty plac, by to sprawdzić, ale w miarę jak podchodziła bliżej, zwalniała kroku. Wśród zgromadzonych nie dostrzegała radości czy intelektualnego zaangażowania, ale złość i napięcie emocjonalne. Przystanęła, choć inni starali się przedrzeć do centrum. Ktoś, kogo nie widziała, wykrzykiwał słowa, których nie potrafiła rozróżnić, podburzał tłum i gdy na chwilę zawieszał głos, wśród tłumu odzywał się ryk aprobaty.

Wiwatowano entuzjastycznie, gdy w górze pojawiła się postać kobiety. Przez krótką chwilę Angela myślała, że to jakaś magiczna sztuczka. Wtem zobaczyła, że kobieta nie unosi się w powietrzu, lecz jest podciągana na linie

zawiazanej wokół jej szyi. Szarpała się na wszystkie strony, gdy ktoś ciągnął w dół linę zaczepioną o gałąź sosny.

To była Edna Wong.

Angela wydała stłumiony krzyk i omal nie zemdląa. Stojący w pobliżu studenci obejrzeni się; dostrzegła na ich twarzach wyraz odrazy i satysfakcji.

Edna jak szalona wierzgała nogami, usiłując znaleźć oparcie, ale wisiała już ponad trzy metry nad ziemią. Palce zacisnęła wokół pętli, twarz wyrażała dziki strach i kompletne zagubienie. Angela nigdy nie widziała czegoś tak okropnego. Zaczęła krzyczeć z całych sił, z głębi duszy, przedzierała się przez tłum do przodu, pchnęła na ziemię wiwatującą blondynkę, rozpaczliwie próbowała ratować starszą kobietę.

Edna drgała spazmatycznie, ramiona młóciły, nogi wierzgały w przód i w tył, jak u tancerki kankana. Zaprzestała wszelkich wysiłków, by się ratować. Tłum wybuchnął śmiechem, gdy spomiędzy nóg administratorki pocięła moc i kał - opróżniały się kiszk i pęcherz umierającej.

- Nie! - krzyknęła Angela.

- Masz nauczkę, ty skośnooka ździro! - zawołał ktoś z mocnym nowojorskim akcentem.

Angela zobaczyła chudego chłopaka z wielką aureolą włosów, który zawiązywał linę wokół pnia sosny. Rozpoznała go - gdy pierwszego dnia czekała w kolejce do administracji, przechodził obok chodnikiem.

Tłum wiwatował.

Teraz, wśród studentów, dostrzegła czarne, kosmate plamy na bluzkach dziewcząt i spodniach chłopców. Czarna pleśń porastała ich ramiona, szyje i policzki. To wyglądało jak wiec zombi. Angela czuła przerażenie, ale jeszcze większą wściekłość.

- Co wy robicie?! - krzyczała na ludzi. - Mordercy!

Chłopak z kozią bródką odwrócił się do niej. Nienawiść wykrzywiła mu twarz, dłonie zacisnął w pięści.

- Trzymaj się od tego z daleka, ty głupia brązowa suko!

Derek wałnął go prosto w brzuch.

Nie zauważyła, jak podchodzi, nie wiedziała, jak ją znalazł, ale była mu wdzięczna, że tu jest. Nim chłopak podniósł się z ziemi, nim ludzie zdążyli mu pomóc, Derek chwycił Angelę za rękę i pociągnął ją. Przedzierali się przez motłoch, rozpychali ludzi na boki, biegli ku parkingowi, ku bezpieczeństwu.

Co się wydarzyło? Jak to się zaczęło? Gdzie była ochrona uniwersytetu? Angela myślała gorączkowo, bezskutecznie próbowała sobie wyobrazić, jak

przygotowano ten lincz, ale części układanki nie pasowały do siebie. Wraz z Derekiem wyrwali się z tłumu i pomknęli między dwoma budynkami wydziału nauk ścisłych, zewnętrznym chodnikiem obiegli budynek i przedostali się na południowy parking. Zabrakło im tchu, a ponieważ nikt ich nie gonił, zwolnili i teraz powłócząc nogami wśród samochodów, dotarli do hyundaia Dereka.

- To była Edna Wong - powiedziała tępo Angela. - Oni...
- Wiem. Widziałem.
- Co teraz zrobimy?
- Zawiadomimy policję.
- A jeśli nie zareagują?

To było bardzo prawdopodobne. Oboje przygnębieni i załamani w milczeniu wsiedli do samochodu i wyjechali z parkingu, obok sklepu Bookmans pomknęli na autostradę.

Przed nimi nad miastem wyrastały majestatyczne szczyty gór San Francisco, a niebo miało głęboko niebieską barwę, jakby chciało wszystkich przekonać, że tu jest Montana, ale Angela czuła się klaustrofobicznie, jak w pułapce, jak w pokoju, którego ściany na nią napierają. Tego już było za wiele! Nie mogła tu już dłużej zostać. Musiała wrócić do Los Angeles, choć w tej chwili nawet tamta gwarna metropolia nie wydawała się bezpieczna. To kwestia czasu, aż całe Flagstaff zostanie opanowane. A potem reszta Arizony. A potem Kalifornia.

To musi jednak trochę potrwać. Może tymczasem doktor Mathewson albo ktoś inny znajdzie rozwiązanie problemu i cała sprawa się zakończy.

Chyba że to ona, Angela, jest nosicielką.

Może właśnie tak się stało. Może to ona jest przyczyną. To ona roznosiła pleśń.

Nie, nie dopuszczała takiej myśli.

Jednak nic na to nie mogła poradzić. Wyobrażała sobie, jak jej przyjaciele odwracają się od niej, wyzywają ją od głupich brązowych suk. Wyobrażała sobie pokryte kędzierzawą pleśnią pomieszczenia w swoim domu - kuchnię mamy i gabinet ojca.

Po raz pierwszy zrozumiała głęboką beznadzieję, jaką odczuwają osoby, myśląc o samobójstwie.

Przejechali pod wiaduktem kolejowym i zakręcili. Humphreys Street była z jakichś powodów zamknięta, więc Derek pojechał do następnych świateł i tam skręcił w lewo, by aleją Aspen dojechać do posterunku policji.

- Zatrzymaj samochód! - krzyknęła Angela. - O mój Boże!

Derek nacisnął hamulec, hyundai zjechał nieco na prawo i zatrzymał się pośrodku ulicy.

Przy następnej przecznicy stał hotel, do którego wyprawiła się Angela z grupą doktora Welkesa.

Oni stamtąd wychodzili.

Trupy wychodziły z tunelu.

Wynurzały się na światło słoneczne - pełzły, kulały, sunęły, popychały się nawzajem kościstymi ramionami, połamane nogi wlokły się bezużytecznie za nimi. To był obraz z koszmaru sennego, przerażający i niewiarygodny, szczególnie że był środek dnia, gdy elegancko ubrane kobiety i mężczyźni w garniturach opuszczali biura i powoli szli do restauracji na obiad.

- Jezu Chryste. - Derek włączył wsteczny bieg i cofnął samochód jednokierunkową ulicą.

Angela cały czas wpatrywała się w oddalający się obraz za przednią szybą. Widziała kobiety i mężczyzn, którzy odwracali się i uciekali, gdy tylko dostrzegli szkielety przechodzące przez chodnik na ulicę; widziała, jak samochody hamują z piskiem opon; widziała, jak zaciekawieni ludzie wychylają się ze sklepów i restauracji, żeby przekonać się, co się dzieje.

Zmumifikowana postać wysokiego mężczyzny w zgniłych szmatach wlokła się przez ulicę jak istota ze starego horroru.

Ktoś musiał zadzwonić na policję, bo nagle rozległy się syreny, ich dźwięk szybko narastał i gdy Derek wjeżdżał tyłem w puste miejsce przy rogu domu, minęły ich cztery auta patrolowe, migając światłami. Angela chciała wiedzieć, co zrobi policja. Będą próbować złapać szkielety? Zaczną strzelać z pistoletów? - zastanawiała się. Ale przecież martwa Edna zwiisała z drzewa pośrodku kampusu zamordowana przez bandę oszalałych studentów i to powinno być teraz priorytetem dla policji. Derek musiał mieć te same wątpliwości, ponieważ spojrzał pytająco na Angelę, jakby się zastanawiał, co należy robić.

- Edna - powiedziała.

Skinął głową, skręcił na rogu i wjechał w następną ulicę, a potem już prosto na posterunek.

Zastali tam dom wariatów. Minęły ich dwa samochody policyjne i dwa motocykle z włączonymi reflektorami i syrenami, gdy próbowali zaparkować na małym placu dla interesantów. Derek musiał walczyć o wolne miejsce z czterema innymi kierowcami, którzy najwyraźniej mieli coś ważnego do przekazania policji.

- Myślę, że ci policjanci pojechali na południe - stwierdził Derek. - W stronę uczelni.



- Dowiemy się tego.

Jedyne wolne miejsce na parkingu było przeznaczone dla niepełnosprawnych i Derek je zajął, ustawiając samochód między niebieskimi liniami.

- Kuleję - oznajmił z suchą ironią.

Wysiedli i pognali do wejścia. W holu posterunku co najmniej dwanaście osób - głównie mężczyzn - stało w kolejce do dyżurnego policjanta i głośno opowiadało innym interesantom o powodach swojej wizyty. Była wśród nich dwójka bardzo młodych osób, prawdopodobnie studentów college'u, i Angela zastanawiała się, czy oni też tu przyszli, by złożyć doniesienie o linczu.

*Lincz.*

Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek użyje tego słowa poza kontekstem historycznym. Próbowała nie wspominać wyrazu śmiertelnego bólu i beznadziejnego przerażenia na twarzy Edny, usiłującej zagiętymi palcami rozluźnić pętlę na szyi.

Zastanawiała się, czy w tłumie była Chrissie. A Winston i Brock?

Miała nadzieję, że nie.

Z bocznych drzwi wynurzył się funkcjonariusz w granatowym mundurze i stanawszy przed biurkiem dyżurnego, uniósł ręce.

- Panie i panowie! Jeśli przyszli państwo donieść o zdarzeniu w Alei Aspen, to oświadczam, że już o tym wiemy i posłaliśmy tam funkcjonariuszy. Sytuacja jest pod kontrolą. Jeśli ktoś chce donieść o wydarzeniach na uniwersytecie czy w liceum, o tym też wiemy i nasi ludzie są na miejscu.

*Wydarzenia?*

Angela spojrzała na dwoje młodych. Dziewczyna lkała na ramieniu chłopaka. Angela zrozumiała, że nie są studentami, lecz uczniami liceum.

Co takiego stało się w liceum?

Nie była pewna, czy chce to wiedzieć.

Prawie wszyscy, z wyraźną ulgą, ruszyli do wyjścia, ale Angela, trzymając mocno Dereka za rękę, została i przesunęła się w głąb holu. Funkcjonariusz za biurkiem spojrzał na nich, gdy do niego podchodzili.

- Proszę?

- Byliśmy w kampusie uniwersytetu, a potem w Alei Aspen, więc widzieliśmy oba wydarzenia - powiedziała. - Pomyślałam, że powinien pan wiedzieć, że oba są prawdopodobnie ze sobą związane, Chodzi tu o pleśń, która...

- Och, to pani składała o tym doniesienie. - Policjant uniósł brwi ze zdziwieniem. - Dziękuję. Uwzględniając tę hipotezę działaliśmy na Aspen. Oczywiście. Funkcjonariusze w liceum i uniwersytecie też ją uwzględniają. Na wszelki wypadek, gdyby ten czynnik miał znaczenie.

Nie wiem, czy sierżant Sandidge odezwał się do pani, ale dom przy State Street objęliśmy kwarantanną i zawiadomiliśmy Centrum Zwalczania i Zapobiegania Chorób, choć jeden z profesorów Uniwersytetu Północnej Arizony już to wcześniej zrobił. Przypuszczam, że pani z nim rozmawiała?

Angela i Derek skinęli głowami.

- Ktoś z głównego ośrodka w Atlancie powinien tu dziś przyjechać. Może ktoś z FBI. Zajmujemy się tym.

- Dzięki Bogu - powiedziała cicho Angela. Od razu poczuła się lepiej.

Nadal dwóch mężczyzn stało przed biurkiem dyżurnego, jeden z nich coś mówił do umundurowanej kobiety w stopniu podchorążego, a drugi czekał, aż oficer, z którym rozmawiała Angela, będzie wolny.

- Proszę wybaczyć, jesteśmy teraz trochę zapracowani. Chyba że mają państwo coś jeszcze...?

- Nie - odparł Derek. - Dziękuję, że zechciał nam pan poświęcić czas.

Wyszli z budynku. Parking dla interesantów szybko pustoszał. Za wycieraczką hyundaia nie tkwił mandat za parkowanie na miejscu dla niepełnosprawnych - najwyraźniej policja miała obecnie inne priorytety. Wsiadli do samochodu, Derek włączył silnik.

- Zobaczmy, gdzie są - zaproponowała Angela.

Nie musiała nawet wyjaśniać, co ma na myśli.

- To samo mi przyszło do głowy - rzekł Derek. Skręcił w Aspen, zamierzając wrócić drogą, którą tu przyjechali, ale kilka przecznic dalej zobaczyli czerwono-niebieskie błyskające światła i pasiaste zapory odgradzające fragment ulicy, gdzie stał hotel. Derek pojechał więc dalej na autostradę, by dotrzeć do hotelu od innej strony. Na starej drodze 66 był korek, samochody osobowe i ciężarówki stały w miejscu, więc Derek zjechał na parking przed bankiem, a potem wąskim przesmykiem między starymi budynkami dotarł pod hotel.

Bocznych uliczek nie blokowały ani zapory, ani samochody policyjne. Bez przeszkód minęli ulice Beaver i Leroux, a potem wjechali na ulicę przed barakadą. Mogli pojechać uliczką dalej na przyhotelowy parking, ale najwyraźniej wcześniejszy widok ożywionych trupów przestraszył Dereka równie

mocno jak Angelę i teraz chłopak nie chciał podejźdzać zbyt blisko.

Dzięki Bogu.

Ale... gdzie one były?

I co się stało z policją? I z ludźmi?

Derek zwolnił, gdy mijali policyjne zapory. Włączone światła samochodów patrolowych migaly, ale wydawało się, że gliniarze uciekli albo gdzieś zniknęli. Potem Angela ich zobaczyła - razem z gapiami, którzy wyszli ze sklepów, biur i restauracji, leżeli na ziemi z twarzami pokrytymi czarną pleśnią, zaczynającą już wpełzać na asfalt i beton pod martwymi ciałami.

- Nie - powiedziała słabym, zatrwożonym głosem i pokręciła głową.- Nie. Nie...

- Dokąd poszli? - Głos Dereka, nieco donośniejszy, również drżał ze strachu. Derek zahamował, by mogli się dokładniej rozejrzeć, ale ani na ulicy, ani na chodniku nic się nie poruszało, tylko na ziemi leżały martwe ciała policjantów i gapiów.

Nagle zasuszone ciało wyskoczyło z otwartych drzwi hotelu i wylądowało na czworakach. Obracało głową jak obłąkany lew wypatrujący ofiary. Angela krzyknęła, ale okna samochodu były zamknięte i istota nie mogła jej usłyszeć. O ile w ogóle mogła słyszeć. Naga, brązowa, była tak wychudła i wyschnięta, że nawet nie dało się określić jej płci, a uszy miała albo obcięte, albo tak się skurczyły, że stały się niewidoczne. Trup znów dał susa, tym razem na ulicę, przeskoczył poczerniałe ciało jednego z policjantów, potem obok martwej kobiety w czerwonej sukience pomknął w alejkę między lodziarnią a agencją turystyczną.

- Za nim! - poleciała Angela. Mimo przerażenia z jakichś wewnętrznych zapasów czerpała niezłomność, która przewyciężała strach.

W okolicy tylko oni dwoje byli żywi. Jeśli nie ruszą w ślad za tą istotą, potwory umkną i nikt się nie dowie, gdzie są.

*Potwory.*

To zadziwiające, jak szybko to dziecinne określenie weszło do jej słownictwa, jak szybko jej umysł dostosował się do świata, w którym potwory rzeczywiście istniały.

Zauważyła, że Derek miał ochotę zaprotestować, że nie chciał jechać, ale ponownie krzyknęła, by śledził uciekający zewłok, więc z piskiem opon zawrócił samochód i ruszył ulicą równoległą do trasy, jaką obrało zmumifikowane ciało. Patrzyli w przestrzenie między budynkami, w głąb pasaży, znów między domami, w głąb ulicy, aż w końcu dostrzegli mumię wyskakującą zza

drogerii. Nawet z oddali widok trupa budził grozę.

- Myślę, że zmierza w stronę autostrady - stwierdził Derek, dodając gazu. Potężny korek nadal blokował ulicę i Derek zatrzymał się na rogu tylko na sekundę, a potem zakręcił w lewo i pojechał na wschód pasem ruchu prowadzącym na zachód.

Angela odruchowo się skuliła, gdy jeden z samochodów jadących prosto na nich zatrąbił, zmienił pas i minął ich z prawej strony, ale po tej stronie autostrady panował zadziwiająco mały ruch i Angela zobaczyła teraz, jaka jest tego przyczyna - pasy w kierunku zachodnim zablokował karambol jakieś półtora kilometra dalej.

Mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie zaczynał się korek na pasie w kierunku wschodnim.

To niedobrze, pomyślała Angela.

Derek zwolnił i się zatrzymał. Zaledwie kilka metrów przed maską ich samochodu wyskoczył zewłok, przebiegł między autami i pomknął w stronę torów kolejowych. Potem stracili go z oczu, więc Derek szybko zaciągnął ręczny hamulec, wysiadł z samochodu i wspinał się na dach, by mieć widok ponad innymi pojazdami. Prawie natychmiast zeskoczył na dół i z powrotem usiadł za kierownicą.

- Idzie torami, nie przez tory.

Włączył bieg i ruszył na wschód. Kilku innych kierowców wyłamało się z szyku i też jechało pod prąd, ale Derek trzymał się lewego pasa, by - o ile to możliwe - uniknąć kolizji.

- Gdzie według ciebie są inni...? - Angela nie skończyła pytania.

Zobaczyła to.

Czarny pociąg na torach.

Dlaczego nie zauważyli go, gdy tylko wjechali na autostradę? Przecież lokomotywa i wagony były duże, ciemne, dobrze widoczne nad linią samochodów. Jednak pociąg był niezwykle, choć nie dało się wyraźnie określić, na czym ta niezwykłość polegała.

Może go w ogóle tam przedtem nie było?

Tak, z pewnością o to chodziło. Pociąg miał w sobie coś niezmiernie, fantomowego. Sylwetka lokomotywy i wagonów rozmywała się, była niewyraźna, jakby zrobiono je z tworzywa nieznanego ludzkości.

Dotarli do miejsca, gdzie kończył się korek - jeszcze jeden karambol z udziałem wielu samochodów. Natychmiast się zorientowali, że oba wypadki, które wydarzyły się tak blisko siebie, umożliwiły stworzenie bezpiecznego korytarza dla trupów przekraczających autostradę.

Wydawało się, że tutaj zewłoków jest znacznie więcej niż w podziemnym tunelu pod hotelem. Edna Wong mówiła, że w rejonie Flagstaff zbudowano inne tajemne kryjówki. Angela zastanawiała się, czy właśnie teraz wszystkie się opróżniają i czy pociąg przyjechał po umarłych, wzywając je niesłyszalnym dla człowieka gwizdkiem. Wiele żywych trupów znalazło się już w wagonach, ale Angela widziała kolejne ciała na żwirowym nasypie. Rozpadające się, poskręcane zwłoki przemieszczały się w dziwaczny sposób, w stronę otwartych drzwi czarnych wagonów. Choć dzień był słoneczny, nad tym miejscem chmury przesłoniły słońce; były białe, ale rzucały na miasto mroczny cień. Na delikatnym wietrze trzepotały strzępki trupich ubrań.

Przy torach dostrzegli postać, którą widzieli wcześniej, gdy wyskakiwała z hotelu.

- Musimy jechać za pociągiem - zdecydowała Angela. Intuicja jej podpowiadała, że jeśli mają znaleźć odpowiedź, jeśli chcą dotrzeć do sedna wydarzeń, muszą doprowadzić sprawę do końca. Umarli wyjeżdżali stąd z jakiegoś powodu i cel ich podróży może wiele wyjaśnić. - Ile benzyny zostało?

- Pół baku.

- Zatankujmy gdzieś szybko. - Angela szukała wzrokiem otwartej stacji benzynowej.

- Muszę pojechać po mamę i brata. Nie mogę ich tu zostawić, gdy dzieją się takie rzeczy.

Angela to rozumiała i zgodziła się z Derekiem. Musieli jednak działać szybko, żeby nie stracić pociągu z oczu. Nie wiadomo, kiedy odjedzie.

Derek już objeżdżał karambol i stojących tam ludzi - ofiary wypadku. Zamierzał na najbliższym skrzyżowaniu przejechać przez tory, zawrócić i dostać się do swojej dzielnicy. Angela wyjęła telefon i zadzwoniła na policję. Teraz jechali bocznymi drogami Flagstaff, a ona rozmawiała z dyspozytorem, informując go o zabitych policjantach i uciekających trupach. Nie spodziewała się, że jej uwierzą, ale mogą się sami przekonać, wysyłając kogoś na miejsce. Nie była pewna, iloma jeszcze funkcjonariuszami dysponuje policja we Flagstaff, ale jeśli będą musieli wezwać policjantów z innych miejsc, to miała nadzieję, że wezwą tych z liceum, a nie z kampusu uniwersytetu. Przynajmniej tyle szacunku należało się Ednie.

Derek jechał szybko, wybierał skróty, nie tracił czasu, ale i tak wrócili dopiero po kwadransie. Choć mama Dereka orientowała się nieco w ostatnich

wydarzeniach, postanowił jednak nie informować rodziny o dzisiejszych wypadkach. Wyjaśnienie całej historii trwałoby zbyt długo. Zamierzał ich tylko poprosić, żeby wsiedli do samochodu, ponieważ chce im coś pokazać. Miał nadzieję, że Steve'a, swojego młodszego brata, zastanie w domu i nie będą musieli szukać go w szkole czy u kolegów. Pod tym względem mieli szczęście - gdy dotarli pod dom, chłopiec właśnie wracał po krótkim dniu nauki odwiedziony przez matkę jednego z uczniów.

Niczego nie pakowali, nie zabierali żadnych rzeczy osobistych. Mama i brat Dereka wsiedli do samochodu i Derek natychmiast ruszył z powrotem.

Tak jak wcześniej obawiała się Angela, pociąg już odjechał, choć nad torami unosił się ciągle czarny dym. Na miejscu nie było ani policji, ani wozów straży pożarnej, ani ambulansów. Przypadkowi ludzie ochotniczo pomagali dwóm ofiarom karambolu, które odniosły obrażenia. Inni ludzie chodzili chaotycznie oszołomieni, z wyrazem szoku i dezorientacji na twarzach.

W samochodzie nie rozmawiano, ale Angela wyczuła, że matka Dereka nabiera podejrzeń.

- Co tu się dzieje? - spytała w końcu. - Po co nas tu przywiozłeś, co chcesz nam pokazać?

Derek nic nie powiedział, tylko zatrzymał samochód i wyskoczył z niego, zostawiając otwarte drzwi.

- Dokąd pojechał? - spytał ludzi stojących najbliżej. - Ten pociąg. Na północ czy na wschód?

Dym pachniał nieprzyjemnie. Siarka, pomyślała Angela. Z piekła.

- Chyba na rozwidleniu zjechał w kierunku Page! - krzyknął ktoś.

- Kieruj się dymem - poradził inny mężczyzna.

Dobry pomysł, stwierdziła w duchu Angela. Najwidoczniej Derek też tak uważał, ponieważ natychmiast wskoczył do auta i ruszył w stronę centrum handlowego.

- Co tu się dzieje? - dopytywała się mama Dereka. - Dokąd nas wieziesz?

- Na północ - odparł.

Rossiter patrzył na boksy przed swoim gabinetem i próbował przetrwać to, czego się dowiedział.

Na biurku leżał tom nieocenzurowanych pamiętników Ulyssesa S. Granta. Rossiter oczywiście wiedział, że wspomnienia i dzienniki prezydenta zostały wyglądzone, zredagowane i przygotowane do publicznej konsumpcji, rzekomo z przyczyn dotyczących „bezpieczeństwa narodowego”, ale zaskoczyło go, kiedy się dowiedział, że aby przejrzeć ten stary dokument, potrzebuje wyjątkowych uprawnień do materiałów tajnych. Co, na miłość boską, może się tam znajdować? - zastanawiał się.

Szybko się tego dowiedział. Stary zapijaczony sukinsyn spisał znacznie więcej niż powinien, wygadał się na temat brutalnej masakry, która wydarzyła się na terytorium Utah, w której dziesiątki niewinnych cywili zostało zabitych przez armię USA bez żadnych widocznych powodów. Prezydent został w to później wmieszany, gdyż kierował procederem zacierania śladów niczym operacją militarną, stosując taktykę tak skuteczną, że nigdy nikt, kto miał z tym związek, nikomu o tym nie wspomniał. Jedyne informacje zachowały się tutaj. Ale Grant pisał nieznośnie mętnie o miejscu rzezi i rzekomych jej przyczynach.

Zwykle zacieranie jest wykonane gorzej niż przestępstwo. Ale w tym wypadku najwidoczniej było inaczej.

„Najbardziej żałuję incydentów wynikających z naśladownictwa tamtych wydarzeń”, napisał Grant.

„Nie mam środków, by dowiedzieć się, w jaki sposób wiadomość o masakrze doszła do uszu innych, ale jest dla mnie jasne, że tak się stało. Moi wysłannicy poinformowali mnie, że niemożliwa jest ocena, ile osób zostało zabitych w podobnych atakach, i choć ofiary były poganami i niewiernymi, zabijanie bez powodu jest zawsze złe”.

Poganie i niewierni.

Była to jedyna poszlaka, która dysponował Rossiter, by zidentyfikować ofiary, ale niespecjalnie zawężyła pole poszukiwań, ponieważ rozległe obszary kraju, zwłaszcza na zachodzie, nie były w tamtym czasie zamieszkałe przez chrześcijan czy Europejczyków.

Nie należał do tych, którzy drwią z rzucanych klątw, duchów i zemsty z za grobu, zwłaszcza po tym, co widział choćby w Wilczym Kanionie. I mógł zrozumieć, dlaczego wzięto na celownik Granta, czemu sprofanowano jego grób i zbezczeszczone ciało. Pasowało to również do incydentu z weteranami wojny domowej, których wykopano i rozrzucono po Narodowym Cmentarzu Arlington. Nawet Biały Dom mógł stanowić ważny cel dla mściwych duchów, które dokonywały odwetu za masakrę.

Ale jak to się miało do innych niewyjaśnionych incydentów, do których dochodziło w całym kraju?

Ostatni zdarzył się na Mount Rushmore, gdzie wyrzeźbiono bliźniacze linie na twarzach prezydentów, jakby kamień zarysowano dwukrotnie gigantycznym nożem sprężynowym.

Albo jakby pociąg przejechał na ukos przez górę.

Ten właśnie obraz przyszedł mu na myśl jako pierwszy - tory kolejowe. Ale ponieważ przez ostatnie trzy dni myślał tylko o pociągach, należało się spodziewać takiej interpretacji.

Jednak głowa Granta nie została wyrzeźbiona w Rushmore. Jakiż więc był związek?

Wszystko to dezorientowało go, nic nie pasowało do siebie zbyt dobrze. Już był krytykowany przez wszystkich ludzi prezydenta, że nie daje spokoju tej zagadce. Przywódca wolnego świata powinien skoncentrować się na ważnych bieżących sprawach, oznajmił szef sztabu. Ale on popadł w obsesję na punkcie ataku na Biały Dom i nie zajmuje się praktycznie niczym innym.

I tak właśnie powinien postępować, pomyślał Rossiter.

Nacisnął klawisz swojego peceta i na ekranie pojawił się obraz pociągu wygenerowany na podstawie analizy szkód w Białym Domu i wzorów zniszczeń. Prezydent miał rację. To, co przebiło się przez budynek, mogło być niewidzialne, ale zdecydowanie był to parowóz. Rossiter nacisnął inny klawisz i kąt widzenia zmienił się, dając trójwymiarowy obraz pociągu. Rossiter skontaktował się z ekspertami kolejowymi z całego kraju w nadziei, że ktoś będzie w stanie zidentyfikować lokomotywę. Zakładał, że pochodziła z czasów kadencji Granta, z lat 1869-1877. Ale albo wizualizacja okazała się błędna, albo informacje, którymi nakarmiono komputer, były sprzeczne, ponieważ parowozu nie rozpoznał nikt. Rossiter sądził, że obrazek przedstawia typowy pociąg, ale cała gromada naukowców i pracowników kolei zapewniła go, że lokomotywa nie przypomina żadnego znanego typu parowozu.



Rossiter uznał to za dodatkowy problem.

Udało się nie dopuścić prasy do Arlington i grobowca Granta. Uwierzono także w historyjki na temat Białego Domu, ale reporterzy wytropili Mount Rushmore i była to prawdopodobnie kwestia czasu, nim wszystko odkryją, a on znajdzie się po uszy w gównie.

Z rozmaitych źródeł zaczęły napływać wiadomości, a on z zastępem agentów przesiewał informacje stare i nowe, szukając podobieństw i korelacji. Mnóstwo informacji było bezużytecznych i z niczym się nie wiązało, ale niektóre łączyły się ze śledztwem, a on chciał mieć pewność, że niczego nie przeoczy. Znajdował na przykład meldunek, że jakiś pociąg-widmo pojawił się w Zion, w Krainie Kanionów czy w innych parkach narodowych w Utah. To rzeczywiście wymagało dalszego śledztwa.

Chodzi o urazę, niechęć do Stanów Zjednoczonych, myślał, ponieważ to coś atakuje nie tylko relikty wojny domowej, ale także budynki i tereny będące własnością obywateli, jak parki narodowe. Cokolwiek to jest, nie zwraca się przeciw konkretnej osobie czy miejscu. Atakuje najpotężniejsze symbole narodu...

Ekran monitora nagle poczerwieniał, obraz zniknął, a z głośników rozległ się donośny, ostry sygnał.

Nastąpił atak na Biały Dom.

Gdy tylko rozpoznał tę myśl; gdy zdał sobie sprawę, co się dzieje, na ekranie ukazał się obraz Białego Domu. Poczuł jakby cios w brzuch. Ogromna ziejąca dziura, niemal na wysokość budynku, została wybita w ścianie i prawie przepołowiła budynek. Fragmenty gruzu nadal sypały się z otworu, jakby jakaś wielka niewidzialna siła drążyła tunel.

Pociąg.

Nie musiał o to pytać.

Biały Dom był najlepiej zabezpieczonym i monitorowanym budynkiem na planecie, więc Rossiter, klikając myszą, mógł zobaczyć każdy gabinet, każdą galerię, bibliotekę czy sypialnię. Ale taka sytuacja wystąpiła po raz pierwszy - przedtem nigdy nie zdarzyło się nic choćby odrobinę podobnego - a Rossiter bez zaglądania do obszernej instrukcji nie wiedział, jak uzyskać obrazy konkretnych pomieszczeń, więc pośpiesznie klikał myszą, przełączając się z jednej kamery do drugiej, przewijając następujące po sobie sceny, próbując dogonić pociąg. Program, zaprojektowany przez komputerowego specja na wypadek podobnej sytuacji, porządkował ujęcia według rozwoju wydarzeń, więc po pierwszej uderzonej części budynku Rossiter oglądał następną, potem następną i dalsze, co pozwalało mu śledzić ruch intruza.

Klikał najszybciej, jak mógł. Nagrywano całe wydarzenie, ale on obserwował je w czasie rzeczywistym i nie chciał stracić z tych wydarzeń ani sekundy, chciał widzieć dokładnie, na bieżąco, co się dzieje. Mikrofon w Białym Domu rejestrował dźwięki - głośny łoskot i wrzaski, które niezupełnie pasowały do scen na monitorze. Obrazy wyprzedzały dźwięki o sekundę czy dwie, jak w zagranicznym filmie z dubbingiem.

Znalazł czoło niewidzialnego pociągu. Parło naprzód znacznie wolniej, niż przypuszczał. Uznał więc, że pociąg hamuje. Lokomotywa przebijając się przez mały gabinet, miażdżąc meble i instalację elektryczną. Ludzie uskakiwali przed niewidzialną siłą. Mężczyzna potknął się o krzesło i został w makabryczny sposób zmiądzony. Jego ciało zgięło się, a następnie, rozcięte, otworzyło, kiedy koła obciążone masą lokomotywy przecięły go na pół. Krew nie tyle się lała, ile wręcz tryskała na wszystkie strony i rozbryzgiwała na ścianach pomieszczenia.

W żaden sposób nie da się tego wyciszyć lub ukryć. Fotografie Białego Domu będą na pierwszej stronie wszystkich gazet świata, a CNN, Fox i wszystkie inne kanały telewizyjne na planecie będą je pokazywały dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Ale to nie jego sprawa. Istniały zespoły ludzi od kontaktów z prasą i kontroli medialnych opowieści. Powinien się koncentrować na faktach, nie na efektach ubocznych.

Nie mógł teraz powstrzymać się od refleksji, że po tym wszystkim nastąpi okres powszechnego zainteresowania potencjalnym zagrożeniem ze strony zjawisk paranormalnych. Spowoduje to gwałtowny popyt na ekspertów w tej dziedzinie, na ludzi, którzy mają kompetencje i wiedzę pozwalające na walkę z zagrożeniami nadnaturalnymi.

Na takich ludzi jak on.

Rząd i jego agendy będą usiłowały wyciszyć tę sprawę lub całkowicie ją zatuszować; mogą nawet posunąć się do twierdzenia, że szkody w Białym Domu wyrządziły bomby jakiejś organizacji terrorystycznej. Kiedy patrzył na obrazy z komputera, taki pomysł wydawał mu się śmieszny, ale Amerykanie byli już wcześniej wprowadzani w błąd, a współcześni nie są już tak pilnymi detektywami jak ich rodacy przed czterdziestu laty. Najprawdopodobniej zaakceptują to wytłumaczenie, zwłaszcza jeśli Biały Dom będzie udostępniał zdjęcia i udzielał różnym grupom medialnym wywiadów na wyłączność.

Rząd nadal może się z tego wywinąć.

Albo nie. A jego kariera rozpędzi się jak rakietą.

Zakładając, że poradzi sobie z tą sprawą.

Odrzucił wszelkie myśli o opinii publicznej i prasie i klikał, oglądając transmisję zniszczeń w Białym Domu, szukając prezydenta. Jeśli zostanie ranny lub zabity, wszelkie prognozy wezmą diabli. Wtedy gra się odmieni.

Ale był tam. Pociąg zatrzymał się w Gabinetcie Ovalnym, zburzywszy całą ścianę, a pokój przypominał raczej podkowę niż owal. Prezydent stał na biurku. Twarz miał czerwoną i wykrzywioną wściekłością. Wykrzykiwał chyba rozkazy, choć jego głos był niesłyszalny w chaotycznym hałasie z głośników. Jeśli ten obraz w postaci filmu lub zdjęcia wydostanie się z tego gabinetu na zewnątrz, pomyślał Rossiter, prezydent wyjdzie na kompletnego szaleńca i pogrzebie swoją karierę polityczną.

Jakiś agent, bardziej pozbawiony skrupułów niż on, mógłby wypuścić do prasy właśnie ten materiał - za kilka miesięcy, kiedy ucichnie całe poruszenie.

Pociąg w końcu zatrzymał się, strąciwszy przedtem prezydenta z biurka i wyróciwszy jego fotel na podłogę. Dywan został porwany i splątany, fotele porozbijane i odrzucone na bok, ale biurko było tylko nieznacznie przesunięte i nadal nienaruszone. Prezydent za nim podniósł się na nogi. Strażnicy z piechoty morskiej i falanga agentów z Tajnej Służby rzucili się do gabinetu, a za nimi szef sztabu, któremu Rossiter niechętnie przyznał kilka punktów za niespodziewane męstwo. Wszyscy upewnili się, że prezydentowi nic nie jest, a potem, wbrew jego gniewnym protestom, utworzyli wokół niego żywą tarczę.

Wszyscy zdawali się wstrzymywać oddech i czekać, aż coś wyłoni się z niewidzialnego pociągu. Może duchy. Rossiter również wstrzymał oddech i kiedy mijały minuty i nic się nie działo, stawał się coraz bardziej niespokojny.

Jeden z żołnierzy piechoty morskiej wystąpił naprzód z wystawionym bagnetem i niepewnie próbował dotknąć niewidzialnej lokomotywy.

Ale broń przeszła powietrze.

Pociąg zniknął.

Pociąg jechał, przemierzał kraj, ale Dennis tego nie czuł. Żadnego kołysania, wstrząsów, żadnego wrażenia ruchu. Ani parowóz, ani inne wagony nie wydawały dźwięków. Wiedział, że zmierzają do jakiegoś miejsca, chociaż nie wiedział dokąd.

Przeszedł przez wagon pasażerski i bez zaskoczenia stwierdził, że wszystkie miejsca są zajęte. Twarze osób, które mijał, wszystkie blade i widmowe, należały do Chińczyków. Tego właśnie się spodziewał, niemniej było to niepokojące. Chyba nikt na niego nie patrzył. Zdaje się, że nikt nie patrzył na nik konkretnego, wszyscy po prostu spoglądali przed siebie bez wyrazu. Dennis jednak wiedział, że siedzący zdają sobie sprawę z jego obecności, i był mocno zażenowany, kiedy przechodził obok nich. Oni zazdrościli mu życia i choć ich twarze pozostawały obojętne, czuł, jak falami płynie od nich niechęć.

Dotarł na koniec wagonu i pociągnął za metalowe suwane drzwi do przedziałka łączącego wagony. I znowu nie było żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Czuł się wytracony z równowagi, że zdołał przejść z wagonu do wagonu przez tak spokojną, gładką przestrzeń.

Rozsunął drzwi po przeciwnej stronie łącznika. Wagon był pusty. Mógł zająć dowolne miejsce - wybrał to pośrodku, by zauważyć, gdyby ktoś zbliżał się z tyłu bądź z naprzeciwka.

Dennis się rozejrzał. Jeśli nie liczyć widmowych pasażerów w drugim wagonie, mógłby to być zwykły pociąg Amtraku do Nowego Jorku.

Nie, niezupełnie, gdyż za oknami świat wypełniał mrok. I choć pod stopami miał teraz solidną podłogę, a drzwi i siedzenia, których dotykał, wyglądały absolutnie zwyczajnie, jego palce nadal czuły, jakby zapisany w zmysłowej pamięci dziwny, nieprzyjemnie organiczny dotyk kłamki, którą chwycił, by wejść do pociągu, i tych pierwszych kilka sekund obrzydliwej sprężystości pod butami, kiedy znalazł się w drugim wagonie pasażerskim.

Dokąd oni jadą? - zastanawiał się znowu. Ten...

*...widmowy*

...pociąg nie jechał po szynach, mógł więc zmierzać dokądkolwiek.

Drzwi z przodu wagonu, te same, którymi wszedł, otworzyły się. Ukazał się w nich mężczyzna. Z wolna zbliżał się do Dennisa. Też był Chińczykiem, ale wyglądał inaczej niż inni pasażerowie. Jego strój był bardziej nowoczesny, choć nosił dziwne ubranie ręcznej roboty. Denis nigdy przedtem takiego nie widział. Mężczyzna był powściągliwy i przygaszony - martwy - tak jak inni, ale jego twarz ożywiała inteligencja. Lub, dokładniej mówiąc, świadomość. Stał przed Dennisem, skłonił się i usiadł obok.

Dennis przesunął się do okna. Powietrze z zewnątrz chłodziło.

- Pan Chen - powiedział mężczyzna.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

Zostałem wezwany, myślał Dennis. Poprowadzono mnie tu. Ten człowiek zna moje nazwisko.

- Tak? - odparł. W jego drżącym głosie brzmiał lęk.

Jego widmowy towarzysz podróży zaczął mówić, a Dennis słuchał. Obce głosy wypełniły mu głowę, a czerń za oknami pojaśniała. I ukazała mu różne rzeczy.

## BEAR FLATS, KALIFORNIA

**J**olene i Leslie dosłownie pożarły dziennik - niezbyt stosowne określenie, ze względu na to że Chester Williams w jednym z rozdziałów opisał, jak rzeczywiście zjadł ciało swojej ofiary. Potem zwróciły się do Neda Tannera, komendanta policji, by im pozwolił zabrać pewne przedmioty z domu Williamsów. To miejsce przestępstwa, powiedział Tanner. Prosiły jednak usilnie. Wreszcie przyznał, że śledczy zbadali tam wszystko, co mogli, i przyjaciółki, w towarzystwie policjanta, wybrały się do rezydencji, by szukać wiatru w polu, czyli jakichś dodatkowych zapisków, które mogłyby rzucić więcej światła na to, co dotychczas odkryły.

Nie było to jednak szukaniem wiatru w polu.

W tajemnej piwnicy, gdzie znaleziono Skylara, Jolene zobaczyła drugą marionetkę, zrobioną ze zszytych części ludzkiego ciała. Kukła leżała na dwóch wielkich oprawnych w skórę tomach, przypominających rodzinną biblię, ale od razu się zorientowały, że to dzienniki. Jolene miała pewność - ani tych dzienników, ani marionetki przedtem tu nie było. Spojrzała na Leslie, której mina potwierdzała jej podejrzenia.

To było tak, jakby ktoś...

coś

...specjalnie się postarał, by znalazły te księgi, jakby wiedział, że tu wróca, i celowo położył dzienniki w miejscu, gdzie łatwo będzie je dostrzec.

- Właśnie o to nam chodziło - powiedziała z myślą o policjancie, który im towarzyszył.

- Tak, Anne May chciała, żebyśmy to przejrzały - dodała Leslie - ale tamte wydarzenia tak nami wstrząsnęły, że o tym zapomnieliśmy.

Woluminy były ciężkie, więc każda wzięła po jednym, choć policjant zaproponował swoją pomoc. Leslie podniosła marionetkę, krzywiąc się, choć trzymała ją za sznurki i nie dotykała samej lalki.

Skylar z babcią nadal przebywali w domu Leslie. Jolene nie chciała, by oboje wrócili do domu matki, bała się o nich...

*przecież to wiedziało, gdzie mieszkają*

...i póki nie zyska pewności, że wszyscy są bezpieczni i nic im nie grozi, muszą trzymać się razem. Zastanawiała się nawet, czy nie zadzwonić do Franka, żeby tu podjechał i na pewien czas wziął do siebie Skylara, ale ten pomysł zrodził się w jej głowie w momencie słabości - rozumiała przecież, że dla Skylara, w jego obecnym stanie psychicznym, byłoby to posunięcie drugoczące emocjonalnie, a poza tym trudno byłoby jej odzyskać syna z powrotem. Wiedziała, do czego zdolny był Frank.

Nie, na razie zostaną w domu Leslie i tam też zanosły dzienniki Williamsa. Nie powiedziały o tym ani matce, ani Skylarowi - dla ich bezpieczeństwa. Płonęły z ciekawości, ale poczekały do nocy, aż matka i syn zasną.

Dopiero wtedy otworzyły oprawne w skórę dzienniki i zaczęły je czytać na zmianę.

## AUTOSTRADA NUMER 6, UTAH

**J**adąc w mroku, indiańscy mężczyźni powiedzieli Henry'emu, że dowiedzieli się o nim od szamana Indian Papago w Phoenix. Henry poinformował ich, że nie zna żadnego szamana Papagów w Phoenix, ale protestował bez przekonania. To wszystko nie było zwyczajne i gdyby utrzymywał, że uznaje jedynie tradycyjne kanały łączności, byłby hipokrytą.

- Nie jestem pewien, czy jestem Papago nawet w milionowej części - przyznał. - To tylko plotka, którą przekazał mi mój staruszek, kiedy byłem dzieckiem. Prawdopodobnie to nieprawda.

Niski, barczysty, ostrzyżony na jeża mężczyzna odwrócił się, by na niego popatrzeć.

- Przyszły po ciebie - oznajmił rzeczowo. - Tak jak po mnie. Cienie. Osuszły cię.

Henry pomyślał o bliźniaczkach, wspomniawszy nasienie tryskające na kafelki aneksu kuchennego, cienie, które je zlizywały. Przypomniał sobie, jak czuł się później wyczerpany i wykorzystany.

- Co się dzieje? - zapytał podejrzliwie.

A oni powiedzieli mu to, co wiedzieli, co zostało im przekazane przez ojców, co odkryli w wizjach i snach. Dlaczego jadą do Promontory Point.

## 27

LISTOPAD 1866

Chester Williams siedział w biurze Harrisona i patrzył gniewnie na prezesa kolei.

- Nie można pozwolić, by pracowali ramię w ramię z normalnymi ludźmi!

Harrison wyjął z ust cygaro i wycelował zapalony koniec w Williamsa.

- Powiadam panu, oni wykonają tę pracę. Zrobią ją dwa razy szybciej i za połowę ceny; podejmą się roboty, której Irlandasy nie zrobią za żadne pieniądze. Jeśli mamy skończyć tory na czas, potrzebujemy żółtków, i to mnóstwo. Wszystkich gównem obchodzi, że to poganie.

Williams pochylił się czerwony na twarzy.

- Mnie obchodzi!

- Cóż, obawiam się, że to nie wystarczy. Doceniam wszystko, co pan zrobił, by wesprzeć ten projekt, ale nie pozwolę, by dyktował pan mojej firmie warunki zatrudnienia. Potrzebujemy tych Chińczyków i zatrudnię ich nawet więcej. Dwa dni temu na „Dorze Lee” przybył następny transport i są w drodze do San Francisco, teraz, gdy my tu rozmawiamy.

- Nie może pan tego zrobić!

Harrison wałnął pięścią w biurko, przewracając stos papierów.

- Nikt mi nie będzie mówił, co mogę robić, a czego nie mogę robić z moją własną firmą! - ryknął. - Nikt!

Williams wiedział już, że przegrał spór. Teraz już żadne argumenty nie wpłyną na właściciela kolei. Będzie głuchy nawet na apele o moralność i zwykłą przyzwoitość. Mężczyzna czuł, że mu ubliżono, i w gruncie rzeczy tak było. Williams nie miał żadnego szacunku dla kogoś, kto najmuje żółtków, i gdyby wcześniej wiedział, że do tego dojdzie, nigdy nie wykorzystałby swoich wpływów w Senacie ani nie zainwestował żadnych pieniędzy w to przedsięwzięcie - bez względu na to, jak szlachetny miało cel i jak niezbędny był ten projekt dla przyszłości narodu.

Williams wstał, włożył kapelusz i wykonał formalny półukłon - wiedział, że Harrisona zirytuje ten gest.

- Do widzenia panu!

Nie oglądając się, wymaszerował z gabinetu, wściekły ponad wszelką miarę z powodu przebiegu spotkania. Nie uzyskał nic, w gruncie rzeczy zaszkodził swojej sprawie i nastawił Harrisona przeciwko sobie.

Czy w tym momencie mógł jeszcze cokolwiek zrobić, by powstrzymać nadchodzące niebezpieczeństwo? Musiało coś być. Nie mógł z czystym sumieniem pozwolić, by kolej zatrudniła setki żółtych diabłów, uczyniła krok, który doprowadzi do jeszcze większej moralnej zgnilizny, wpłynie na stopniową akceptację pogana. Nie mógł przyzwolić na takie zło. Na nim właśnie spoczywał obowiązek dołożenia wszelkich starań, by temu przeszkodzić.

W jego mózgu zrodził się pomysł. Załedwie zarys pomysłu, ale Williams sądził, że w przyszłości może okazać się korzystny.

Zatrzymał się na chwilę na chodniku przed budynkiem United Pacific, spojrzął na zachmurzone niebo i poczuł się nieco lepiej. Odetchnął głęboko, a potem sięgnął do kieszeni marynarki i włożył rękawiczki.

Robiło się chłodno.

Williams stanął nad grobem żony.

I napluł na niego.

Minęło pięć lat, odkąd zabił dziwkę; od kiedy wykorzystując swoje męzowskie prerogatywy, dusił ją, aż jej brudny język zwisał napuchnięty spomiędzy jej martwych warg. Nie było dnia, żeby się nie radował z jej śmierci. Umierała długo. Tak jak sobie zasłużyła.

Ale najpierw patrzyła, jak zabijał jej kochanka, Czina Lee.

Nawet teraz skakało mu ciśnienie, kiedy sobie przypominał, jak ich nakrył - we własnym domu! Jak z niego kpili, upokorzyli go, zrobili z niego rogowca.



Musiała wiedzieć, że wrócił do domu; musiała słyszeć, jak wchodzi i idzie przez salon, kuchnię, potem hol i woła ją po imieniu. Ale albo do tego stopnia zatraciła się w namiętności, albo - co wydawało mu się bardziej prawdopodobne - chciała, by ją nakrył i kontynuowała to nienaturalne zespolenie, nawet gdy wpadł do sypialni.

Leżała na łóżku całkowicie naga w pozycji, w jakiej nigdy jej nie widział - z nogami szeroko rozłożonymi, a chiński służący lizał jej pleć jak pies. Nigdy nie widział czegoś równie odrażającego, nawet nie słyszał o podobnej perwersji i zdeprawowaniu, a zwierzęce krzyki wydobywające się z jej ust oraz wyraz ekstazy na jej spoconej twarzy sprawiły, że od żołądka wezbrała w nim fala mdłości. Chińczyk był również nagi i kiedy Alice zobaczyła wściekłego Williama stojącego w drzwiach i zrozumiała, że została nakryta, grzesząc, złapała swojego kochanka za ramiona, przyciągnęła go i przyjęła do wnętrza, dysząc, kiedy jego napuchły od krwi organ przeszył jej gotowy otwór.

Była to otwarta drwina, rozmyślny policzek wymierzony jego męskości i gdyby nie miał u boku szabli, sprawy mogłyby potoczyć się inaczej. Ale szabla została wyciągnięta natychmiast i z wściekłością łatwo wysunęła się z naoliwionej pochwy, i Williams przeciągnął ostrzem po brązowych plecach żółtka. Satysfakcja wezbrała w nim już w chwili, gdy krew pociekła z nacięcia, a tchórz próbował z dzikim wrzaskiem wygramolić się z łóżka i schronić w bezpiecznym miejscu.

Za drugim razem Williams raczej pchnął, niż ciął, a długie ostrze weszło łatwo i głęboko w bok służącego. Krzyki urwały się - zastąpił je dyszący charkot. Wyciągnął ostrze i niedbale wytarł je o dywan, czując się jak człowiek, który właśnie rozdeptał szczególnie wstrętnego owada. Alice teraz wrzeszczała, jej nagi brzuch i piersi pokryła krew Chińczyka. Williams spojrzął na nią i obserwował jej twarz, kiedy wymierzał śmiertelny cios drgającemu, umierającemu ścierwu na podłodze - pchnął szablę przez środek torsu żółtka i tam ją pozostawił.

A potem odwrócił się do żony.

Jej krzyki przeszły w skomlenie. Skuliła się u wezglowia, jakby się chrońnię, rozpustne nogi miała teraz ściśnięte. Ale Williams pragnął wymierzyć sprawiedliwość, a nie okazywać miłosierdzie, i dusił ją gołymi rękami, naciskał kciukami tchawicę, a kobieta rzucała się pod nim, obscenicznie kopiując swoją wcześniejszą namiętność. Kiedy zaczęła drapać jego ramiona, nie miała już sił i była za słaba, by go zranić. Jej twarz poczerwieniała, potem zsiniała. Oczy wyszły na wierzch. Język wysunął się z ust, kiedy próbowała złapać dech.

A potem umarła.

Kazał innym sprzątnąć bałagan, nie chciał więcej brudzić sobie rąk. Dopilnował, by jego polecenia wypełniono skrupulatnie.

Williams rozejrzał się po innych grobach, zadowolony, że pomnik jego zmarłej żony był nadal najświetniejszy, największy i najbardziej wyrafinowany na całym cmentarzu. Służący oczywiście nie został tutaj pochowany. Jego ciało zabrano do lasów na południe od miasta i tam porzucono. Krew i wnętrzności przyciągnęły zwierzęta - został pożarty. Jego kości zapewne nawet teraz tam gnily wystawione na działanie żywiołów.

Williams z satysfakcją uśmiechnął się do siebie.

Uśmiech jednak zbladł, gdy usłyszał gwizdek pociągu pocztowego przejeżdżającego przez centrum miasta. Przypomniało mu to Jeba Harrisona. Prezes kolei może sobie myśleć, że zna się na interesach, ale z pewnością nie zna Chińczyków, a Williams był pewien jednego - zanim projekt się zakończy, Harrison pożałuje, że najął tych skośnookich sukinsynów. Teraz mogą się wydawać ciężko pracującymi robotnikami, ale później, kiedy to będzie ważne, kiedy będą naprawdę potrzebni, żółtków nie będzie na miejscu albo nie zrobią tego, czego się od nich wymaga i coś pójdzie straszliwie nie tak. Czuł to w głębi serca. Po prostu nie można wierzyć pogańskiemu chinolowi.

Ponadto kolej amerykańska powinna być budowana przez Amerykanów.

Nawet jeśli to Irlandasy.

Gwizdek osłabł, gdy pociąg przejechał, a Williams ostatni raz spojrzął na grób Alice. Miał w głowie pewien pomysł - na wpół uformowany, ale ciągle błakający się po zakamarkach umysłu szkielet idei. Teraz przeanalizował go głębiej, przemyślał nieco. Na szkielecie pojawiło się ciało i Williams nie wątpił, że jeśli ucieleśni się szczegóły, ta idea stanie się niezwykle obiecująca.

Ale na razie postanowił po prostu schodzić Harrisonowi z drogi.

I czekał.

MARZEC 1867

Łuuuūuuūuuūuuuuuu!

Tym razem wojenne okrzyki usłyszeli przed stukotem kopyt, co oznaczało, że Siuksowie są niedaleko i że konie startują z pobliskiego obozu, a nie galopują po równinach. Johnny Fowles i trzej najemni rewolwerowcy wyciągnęli

broń, przygotowali zapasową amunicję, a potem upewnili się, że reszta członków obozu kolejowego robi to, co powinna. Ci z karabinami zajmowali stanowiska obok innych mężczyzn, którzy krzatali się, zabezpieczając skład prowiantu. Chińczycy przycupnęli razem w swojej sekcji obozu, wyglądali na zdezorientowanych i Johnny poczuł gniew. Ci Chińczycy byli jak dzieci, tępe dzieci, które chyba nie mogły się niczego nauczyć, a ich kompletna bierność w obliczu ataków narażała wszystkich na niebezpieczeństwo.

Taniej było zastąpić Chińczyków niż jedzenie, drewno czy szyny i Johnny polecił, by w sytuacji, gdy ludzie lub zapasy będą w niebezpieczeństwie, najpierw poświęcać Chińczyków. Ale okazywało się to cholernie trudne, bo żołtki trzymały się jak najdalej od walki, oczekując ochrony, jakby się uważały za małych księżąt.

- Łuuuūuuūuuūuuuuuu!

Atakujący byli już prawie na miejscu i choć Johnny, Tibbits i Duncan byli gotowi na stanowiskach, Maxwell, drugi rewolwerowiec, nadal grzebał przy swojej amunicji.

- Do cholery! - zaklął Johnny.

- Nie mogę wysłać wiadomości! - ryknął Petersen znad stołu telegrafu. - Chyba przecięli linię.

I wtedy Indianie pojawili się na wzniesieniu. Wyglądali jak duchy w ogromnej chmurze pyłu wzniesanej przez ich galopujące konie. Robotników kolejowych atakowali zarówno Czejeni, jak i Siuksowie, ale Johnny o wiele bardziej wolał walczyć z Czejenami. Mieli reputację lepszych wojowników, ale walczyli czystiej, bardziej bezpośrednio. Łatwiej było ich przechytrzyć. Siuksowie, z drugiej strony, byli przebiegli. Woleli przeprowadzać pozorację, ataki oskrzydające, ataki falami niż bezpośrednie ataki frontalne. Podczas walki ze Siuksami Johnny zawsze spodziewał się jakiejś przykrej niespodzianki i dlatego musiał zachowywać podzielną uwagę, a jego efektywność w walce spadała, co zresztą może było przez cały czas celem przeciwnika.

Johnny westchnął i strzelił zadowolony, że słyszy niemal równocześnie broń innych rewolwerowców. Cztery ciemne figury przed chmurą pyłu zwaliły się na ziemię, potem jeszcze dwie, potem dalsze trzy...

A potem atakujący wpadli na nich i musiał przerwać liczenie. Zapanował chaos i mógł tylko leżeć i strzelać do jeźdźców. Dookoła rozlegał się ogień karabinowy zmieszany z wrzaskami bólu i wojennymi okrzykami wydawanymi przez Siuksów, by zastraszać przeciwników. Johnny nie odróżniał, kto jest kim, ale kiedy front walki minął go i musiał raczej namierzać tych, którzy

się przedarli, niż odpierać próby ataku, zobaczył, że nie ma już stołu telegraficznego i zniszczono namiot kucharza. Wydało mu się, że widzi, jak Buster Thornton, jeden z brygadzystów, pada od kuli i zostaje stratowany końskimi kopytami. On, Tibbits, Duncan i Maxwell - nadal bez szwanku - pozostawali w akcji. Strzelali na prawo i lewo, kładąc pokotem wojowników Siuksów. Killkudziesięciu robotników kolejowych również przyłączyło się do walki.

To zadziwiające i nieprawdopodobne - Chińczycy stali w swojej części obozu zupełnie nietknięci, obserwowali, co się dzieje, jakby z wnętrza kapsuły ochronnej. Nierozumnie pozostawali w miejscu, kiedy inni dzielnie próbowali odpierać napad.

W końcu, jak zawsze, Siuksowie się wycofali. Zdawali się zawsze wiedzieć, w którym momencie wyrządzone przez nich szkody były większe niż własne straty i niezmiennie odjeżdżali, zanim szale się wyrównały. Strzelił w ślad za uciekającymi końmi i był zadowolony, kiedy ostatni wojownik spadł na ziemię, a jego koń popędził dalej bez jeźdźca.

Walka się skończyła - jak na razie - ale szybko ocenili, że tym razem ponieśli większe straty niż kiedykolwiek wcześniej. Trzech ludzi nie żyło, kilkunastu było poważnie rannych, a wielu powtarzało każdemu, kto chciał słuchać, że odchodzą, że żadna suma pieniędzy nie jest warta śmierci. Na północnym krańcu obozu wybuchł pożar i dwa namioty stanęły w płomieniach, ale teraz Chińczycy w końcu zaangażowali się, podając sobie wiadra z wodą ze strumienia i już po kilku minutach płomień ugaszono.

Celem Siuksów było zatrzymanie lub przynajmniej opóźnienie budowy kolei i w tej sprawie osiągnęli częściowy sukces. Wagon z narzędziami został przewrócony i sporo sprzętu ukradziono lub zniszczono. W pewnym sensie wzbudzało to podziw. Indianie potrafili się tak skupić na zadaniu, że nawet wśród chaosu, mając niewiele czasu, zdołali przeprowadzić niezwykle precyzyjny i skuteczny atak. To robiło wrażenie.

- Fowles!

Johnny podniósł wzrok. Szedł ku niemu Duncan, z szerokim uśmiechem, z pistoletami w kaburze i dwoma karabinami na ramieniu.

- Dziesięciu - zakrakał. - Wszystkie trafienia śmiertelne!

Johnny ze zmęczeniem skinął głową, pozdrawiając drugiego rewolwerowca, ale nie raczył odpowiedzieć. Mężczyzna był chwalipiętą i bez wątplenia najbardziej egocentryczną osobą, jaką kiedykolwiek spotkał. Nawet w obliczu katastrofy Duncan dostrzegał tylko to, co dotyczyło jego. I jak zwykle wierzył, że wyszedł na bohatera.

Ktoś już kazał Chińczykom zebrać ciała poległych Siuksów i mali mężczyźni z warkoczykami po dwóch brali nieboszczyków i zanosili zwłoki na tory, gdzie Maxwell i kilku niskiej rangi brutalni od machania młotem rozplątywali je i pozostawiali myszołowom. Johnny szedł obok martwych ciał i umierających. Nigdy nie wspomniałby o tym żywej duszy, ale głęboko w sercu współczuł Indianom. To była ich ziemia nie wiadomo od jak dawna, a teraz obcy budowali linię kolejową w samym jej sercu. On też by walczył, gdyby znalazł się na ich miejscu.

Czyjaś dłoń klepnęła go po plecach i Johnny odwrócił się, gotów wyciągnąć pistolet, ale to był tylko Tibbits, więc odetchnął głęboko i trochę się odprężył.

- Już minęło - powiedział rewolwerowiec. - Odpręż się. Po prostu przyszedłem się pożalić.

- Przepraszam. Nadal to przeżywam.

- Wiem.

Tibbits ze swoimi smutnymi oczyma zawsze wyglądał, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata i o ile Johnny wiedział, rzeczywiście dźwigał. Obydwaj nigdy nie mówili o przeszłości ani o przyszłości, tylko o chwili bieżącej, ale mimo zaprzeczeń kolegi Johnny'emu zawsze się wydawało, że Tibbits nie przepada za zabijaniem, że żałuje, iż nie wybrał sobie innej pracy.

W przeciwieństwie do Duncana.

Młodszy mężczyzna wszedł między nich i położył im na ramionach męskularne ręce.

- Czy któryś z was pobije moją dziesiątkę?

Johnny pokręcił głową. Nigdy nie prowadził takich rachunków. Nie było to coś, z czego byłby dumny. Po prostu wykonywał swoją pracę. Tibbits ciężko westchnął.

- Naprawdę nie wiem.

Duncan zaśmiał się konfidencjonalnie.

- Cóż, ja wiem, że Maxwell nawet się nie zbliżył do mojego wyniku.

Cichy śmiech przeszedł w maniackalny rechot, który robił na Johnnym nieprzyjemne wrażenie.

- Żółtki nie były bardzo pomocne - zauważył Tibbits, postanowiwszy zignorować Duncana.

Johnny potaknął.

- Czasami staje mi to ością w gardle.

- Ale to dobrzy robotnicy - stwierdził Tibbits.

Johnny patrzył, jak dwóch z nich przechodzi obok, niosąc ku torom postrzelonego Siuksa.

- Tak - odparł. - Chyba tak.

Jeszcze jeden indiański najazd.

Harrison był tak wściekły i sfrustrowany, że miał ochotę walić głową w ścianę. Tym razem nie zaatakowali załogi ani obozu, ale uszkodzili szyny dwa dni jazdy na wschód od końca linii. Był to atak zaskakująco prymitywny, przeprowadzony nie za pomocą nowoczesnej broni czy kradzionych środków wybuchowych, ale z użyciem kamieni i siły mięśni. I to wystarczyło, by poważnie uszkodzić tory. Pociąg dostawczy jadący na zachód ku Wyoming został wykolejony, przewrócono wszystkie cztery wagony. Maszyniście i czterem innym osobom z pociągu udało się wprawdzie ująć z życiem dzięki zwierzętom jucznym, które wieziono do obozu robotników, by zastąpiły te stracone w ostatnich walkach, ale kiedy agenci kolejowi powrócili, by zbadać zniszczenia, wszystko było już spalone, a tory zarzucone szczątkami.

Teraz będzie musiał zorganizować zespół i naprawić uszkodzenia, zanim będzie można wysłać robotnikom następny pociąg dostawczy, co opóźni budowę co najmniej o tydzień.

Zakładając, że znajdzie robotników chętnych do nadstawiania karku.

Zawsze mógł tam posłać Chińczyków. Robili wszystko, co im kazano. I to za grosze. Żółtki były takie szczęśliwe, że są w Ameryce, że gotowe były wziąć każdą gównianą pracę, jaką im dawano.

Harrison wyglądał przez okno swojego gabinetu na stację rozrządową. Ale co z tego? W żaden sposób nie zdoła skończyć na czas tego projektu bez Chińczyków. Obecnie miał ich sześć tysięcy na swojej liście płac. Ani przez moment nie żałował, że ich wynajął, ale teraz przybywało ich mnóstwo i dzięki pracy na kolei rozprzestrzeniaли się po kraju. Nie chciał tego przyznawać, ale być może ten samochwała Chester Williams miał rację. Może jest ku temu jakaś przyczyna, jakiś dalekosiężny cel. Ameryka to wielki kraj i nadal w większości niezasiedlony. Żeby osiągnąć to, co mamy, musieliśmy wykopać Brytyjczyków, Francuzów i Hiszpanów i ciągle próbujemy zdławić Indian. Może Chińczycy myślą perspektywicznie, planują dalekosiężnie, mają nadzieję, że dostaną kawałek tortu i sami zasiedlą dużą część kraju.

Myśl, że się do tego przyczynia, była mu wstrętna.

Ale co mógł zrobić? Był właścicielem spółki kolejowej. Jego praca polegała na puszczaniu pociągów na szlak, a nie na decydowaniu, kto ma gdzie się osiedlać.

Jednak był to jego kraj i nie chciał widzieć go w ruinie. Choć Williams to wstrętny typ, w tym, co mówi, może była odrobina racji. Harrison zdecydował, że następnym razem, kiedy pojedzie do Waszyngtonu, poruszy tę sprawę z ludźmi, którzy być może mają na ten temat jakieś przemyślenia, znają odpowiedzi, potrafią coś z tym zrobić.

LIPIEC 1867

O'Hearn stał nad robotnikiem i kopał go z całej siły, a żółtek usiłował niezgrabnie się uchylać.

- Jeśli powiedziałem teraz, to znaczy teraz! - krzyczał, podkreślając każde słowo kopniakiem w plecy. Nie miał pojęcia, czy robotnik rozumie, co mówił, ani nawet czy zrozumiał pierwsze polecenie, ale miło było wyładować w ten sposób frustrację, więc kontynuował kopanie, nawet gdy robotnik stracił przytomność.

Tłumacz jak zwykle był chory i bezużyteczny, gorączkował w jednym z chińskich namiotów. O'Hearn sądził, że nigdy nie widział mężczyzny tak zniewieściałego. Sukinsyn był prawdopodobnie eunuchem. Czy robią tam w Chinach takie rzeczy?

Dziwne było to, że inni Chińczycy chyba nigdy nie chorowali. Lub też nie dawali tego po sobie poznać. Jego ludzie mieli biegunki i różne dolegliwości żołądkowe przez pół sezonu. Ale te żółtki po prostu harowały dzień w dzień, niezmiennie i niewzruszone jak maszyny. Prawdopodobnie dlatego, że przywieźli ze sobą mnóstwo jedzenia i te swoje dziwaczne zioła i inne gówna. Nawet wodę gotowali, zanim ją wypili. Gdyby ich jedzenie nie było tak cholernie obrzydliwe, kazałby im gotować dla całego obozu, ale przecież nie bę-dzie karmił swoich ludzi pogańską mamałygą.

Ponadto, gdyby zwykli ludzie jedli tę żywność, mogliby się otruć.

Albo Chińczycy mogliby otruć ich celowo.

Ich bierność czasami go wściekała i wówczas miał ochotę zbić ich na kwaśne jabłko, co często robił. Ale chyba nie sprawiało im to żadnej różnicy. Nawet z posiniaczonymi i pokrwawionymi twarzami patrzyli na niego bez wyrazu tymi swoimi skośnymi oczyma i wtedy miał ochotę bić ich jeszcze mocniej. Choć od czasu do czasu wydawało mu się, że pod płaszczykiem uległości widzi coś jeszcze - wewnętrzny ukryty ogień - i podejrzewał, że może Chińczycy

rzeczywiście chcieliby otruć ich wszystkich.

Ale może to tylko jego wyobraźnia.

Ten, którego właśnie skopał do nieprzytomności, leżał nieruchomo na ziemi, a jego towarzysze stali obok, patrząc obojętnie. O'Hearn gniewnym gestem kazał im go podnieść i zabrać, i czterech z nich wykonało polecenie, spoglądając na niego cały czas nieprzeniknionymi oczyma, a ich towarzysze stali za nimi nieruchomo. Niektórzy z nich na pewno mają żony u siebie w kraju, pomyślał. Zastanawiał się, czy gdyby w ich obecności pieprzył ich żony, wywołałoby to jakąś reakcję tych biernych sukinsynów.

Nie miał kobiety od dłuższego czasu i nawet Indianka czy Chinka wydała się teraz atrakcyjna. Przy rekrutacji robotników kolej obiecała dostarczyć kobiety, ale wycofali się z tej obietnicy i ludzie stawali się niespokojni. Takie życie nie było właściwe. To nie było naturalne. Nie byli duchownymi.

Usłyszał trzask bicia w pobliżu - jeden z pracowników próbował zmusić zaprzęg krnąbrnych koni do pociągnięcia ładunku szyn. To podsunęło mu pomysł. Może dzisiaj, by rozerwać mężczyzn, urządzi małe zakłady. Wyciągnie chińskiego tłumacza, przywiąże go do słupa i będzie go smagał. Ludzie będą mogli obstawiać, jak długo żółtek wytrzyma, zanim zemdleje.

Pozostaną na tej przełęczy prawie cały tydzień, więc w pracy nie mogli się spodziewać urozmaicenia. Ponadto wszyscy już wiedzieli, co mają robić. Potrzebowali tłumacza jedynie w specjalnych przypadkach. Jeśli przez kilka dni będzie niedomagał, nie powinny z tego wyniknąć żadne trudności.

Może to nawet nauczy tłumacza, żeby w przyszłości był bardziej męski.

O'Hearn uśmiechnął się szeroko.

A ludzie zawsze chętnie się trochę rozerwą.

MARZEC 1868

**C**hester Williams, chociaż nadal utrzymywał dom w Chicago i apartament w Nowym Jorku, przez ostatnich pięć lat mieszkał głównie w małym miasteczku Bear Flats, w Kalifornii. Właśnie w tej okolicy zrobił majątek na złocie i to miejsce wybrał na siedzibę. Wykorzystał najlepszych kalifornijskich budowniczych przy konstrukcji domu, który zaprojektował wspólnie z jednym



z czołowych nowojorskich architektów. Czuł się tu u siebie i w tej zapadłej wsi, z dala od wścibskich oczu mężczyzn ze swojej warstwy społecznej i ich plotkujących żon, urządził swój prywatny folwark, społeczność, w której policja istniała po to, by wypełniać jego polecenia, a inni właściciele domów lękali się jego gniewu. Kilka lokalnych małych przedsiębiorstw założono tylko po to, by zaspokajać jego potrzeby - na przykład był jedynym klientem introliigatora i gdyby nie Williams, nie byłoby sklepu z galanterią męską. Dostrzegwał poważanie, jakie okazywali mu miejscowi, co więcej, on tego poważania oczekiwał.

Od dłuższego czasu wszyscy wiedzieli, że Szalony Merle, górnik, mieszkający w górach w Piekelnym Kanionie - który głupio utrzymywał, że istnieje nieodkryta żyła złota biegnąca przez Dodge Mountain - wziął sobie chińską żonę, po tym jak w Colimie, w napadzie pijackiej wściekłości, zabił jej męża. Niedawno urodziło im się dziecko mieszaniec i choć dotychczas nikt ich nie niepokoił, bo wszyscy obawiali się, że Merle zastrzeli ich, jeśli pójdą w górę kanionu - Williams postanowił, że to musi się zmienić. To ohyda, mężczyzna zadający się z Chinką. Kiedy powrócił ze swojego ostatniego spotkania z Harrisonem, zdecydował, że takie zachowanie nie będzie dłużej tolerowane w Bear Flats.

Williams posłał swojego nowego służącego, Etona (Anglika, nie będzie już bowiem zatrudniał przedstawicieli ludów o ciemniejszej skórze) po Lane'a McGratha, szeryfa. Dwadzieścia minut później starszy mężczyzna był w jego gabinecie i czujnie się rozglądał. To był pierwszy przypadek, gdy do prywatnej rezydencji Williamsa wpuszczono kogoś z miasta - spotkania zwykle odbywały się na zewnątrz - i zrozumiałe było, że Lane czuł się niepewnie. Wiedział, że to coś ważnego.

Williams grał na zwłokę. Zakłopotanie szeryfa bawiło go.

- Czy napije się pan czegoś, panie McGrath?  
- Nie, proszę pana - odpowiedział szeryf.  
- Ja chyba napiję się brandy. Brandy zawsze koi moje nerwy. Na pewno nie chce mi pan towarzyszyć?

- Ee, tak. Chciałem powiedzieć, dziękuję, panie Williams.

Williams uśmiechnął się, napełnił kieliszki, potem usiadł w fotelu naprzeciw Lane'a. Powoli, z rozmysłem pociągnął brandy.

- Zaprosiłem pana tutaj, ponieważ chciałbym przedyskutować sytuację, która według mnie stała się nie do zaakceptowania. Mówię oczywiście o górniku z Piekelnego Kanionu. Chyba nazywa się Merle. Ludzie nazywają go Szalony Merle.

- Tak. Słyszałem o Merlem.

- Czy wie pan również, że zadaje się z chińską kobietą, co jest sprzeczne z prawami Kalifornii i prawami natury? - Pochylił się. - Mają dziecko mieszańca, to obraza boska, i obnoszą się ze swoim grzechem tuż pod naszym nosem!

Lane najwyraźniej nie wiedział, jak zareagować.

- Merle to wariat, ale nie sprawia kłopotów. Przynajmniej nic o tym nie wiem - dodał szybko. - Na ogół siedzi u siebie i widujemy go tylko wtedy, kiedy schodzi na dół po prowiant, raz na kilka miesięcy.

- Nie w tym rzecz, panie McGrath.

Szeryf milczał.

- Nie mogę już dłużej znosić istnienia tego zła i deprawacji w naszym pięknym zakątku świata. My sami podzęgamy do tej nikczemności, pozwalając jej trwać i udając, że nie wiemy, co się dzieje.

- Chce pan, bym wyeksmitował Merlego? - spytał Lane, który zaczął chwytac, o co chodzi. - Z jego własnej działki górniczej?

- Chcę czegoś więcej - oznajmił Williams.

I się uśmiechnął.

Jechali w górę Piekelnego Kanionu konno, prowadzeni przez szeryfa i jego dwóch zastępców. Williams maszerował tuż za nimi, ze strzelbą w ręce. Kiedy szli po wijącej się drodze, spora część miejscowych tuptała za nimi i Williams z zadowoleniem obserwował ich reakcję. Co prawda poprzedniego dnia na miejskim zebraniu wszyscy go poparli, ale łatwiej powiedzieć niż zrobić i czasem to, co ludzie mówią, i to, co robią, to dwie różne rzeczy.

Górnik mógł ich ostrzelać ze swojej chaty, ale szło kilkadziesiąt osób i nawet Merle nie był aż tak szalony. Ponadto szeryf obwieścił ich przybycie,wołając przy ujściu kanionu: „Merle! Musimy pogadać!” Jakby to było specjalne zebranie mieszkańców, którzy tu przybyli na naradę.

Szalony sukinsyn dał się nabrać.

Nie był taki głupi, by wyjść na spotkanie bez broni, ale Lane walnął go w głowę kolbą swojego winchestera i zwałił górnika na ziemię, a jeden z jego zastępców zabrał mu broń. Nie było śladu Chinki ani córki, ale Williams i chmara ludzi z miasta przeszukiwała chatę i jej okolice, aż znaleźli tę dwójkę skuloną w kącie małej kopalni, którą Merle wykopał w zboczu góry.

Kiedy już pochwycono całą trojkę, Williams stanął na frontowym ganku chaty i wyjaśnił sytuację. Mówił głośno, tak że słyszeli go nawet stojący z tyłu.

Skazał Chinki na śmierć.

Merle wszczął bójkę, zachowywał się jak szalony, jakby myślał, że rzeczywiście kocha tę kobietę. Kopał do tyłu, a potem rzucił się do przodu i wyrwał z uchwytu szeryfa. Strzelbę mu wcześniej odebrano i trzymał ją Cole Blackman, właściciel sklepu spożywczego, ale Merle był szybki i sprawny. Wyrwał się Lane'owi, zaczął podnosić z ziemi kamienie i z całej siły ciskać we wszystkich wokół.

Lane powalił go strzałem w nogę.

Potem sprawy potoczyły się szybko.

Claude ze sklepu galanteryjnego przyniósł linę i, z pomocą Jacoba i dwóch innych mężczyzn, powłókł Merlego do uschłego drzewa, i go powiesił.

Williams powiesił dziewczynkę własnoręcznie. Włożył jej pętlę na szyję, kiedy płakała i kwiliła. Kobieta wrzeszczała ohydny bełkotem, który ci ludzie nazywają językiem, więc ryknął, żeby ktoś ją uciszył. Mały Erskine, zastępca szeryfa, zamachnął się i uderzył ją w usta. Krew trysnęła z rozciętych warg i połamanych zębów, ale Chinka nadal wrzeszczała, aż zastępca szeryfa wymierzył jej cios w brzuch. Williams spojrział w ciemne skośne oczy dziewczynki i zobaczył jej łzy, a potem mocno pociągnął za linę, podrywając ją w powietrze. Zatańczyła nad nimi jak tancerka w musie hallu. Wszyscy wytykali ją palcami i śmieli się. Williams śmiał się również.

Potem powiesili kobietę. Kopała i walczyła, a on zauważył, że pod sukienką nie ma bielizny, że jej łono jest otwarte i wyeksponowane, by widzieli je wszyscy. Przeszła go fala obrzydzenia. Przypomniawszy sobie Alice i jak otworzyła się dla służącego, pozwoliła, by ją tam lizał jak zwierzę, i kiedy kobieta w końcu umarła, Williams czuł niemałą satysfakcję, śmiejąc się z innymi, kiedy wyciekł z niej mocz.

Wycieczka okazała się porywającym sukcesem. Nie tylko pozbyli się z powiatu szaleńca, żółtej kobiety i mieszańca, ale udało mu się w końcu wpoić bliźnim z miasteczka, jak ważne jest powstrzymanie kolejnych Chińczyków od przyjazdu do Ameryki i pozbycie się tych, którzy już tu żyją. Są oni nie tylko źli, są chytry. Zabrali pracę na budowie kolei, która powinna należeć do robotników amerykańskich, i nawet wżenili się w amerykańskie rodziny. Szalony Merle mógł być kretynem, ale okazywał całkowite oddanie tej chińskiej żonie i tylko patrzeć, jak cudzoziemcy omotają innych wyrzutków społeczeństwa, a potem, w swoim czasie, porządnych ludzi.

Trzeba ich powstrzymać natychmiast.

Jego ocena spotkała się z powszechną aprobatą.

Na podstawie tego jednego incydentu nie dało się wnioskować, że ludzie w innych miastach i innych częściach kraju podzielały te poglądy, że dostrzegą światło, gdy ukaże się im prawdę, ale Williams uznał, że warto spróbować. Choć zima jeszcze nie minęła i nadal warunki podróży były ciężkie, musiał zrobić to, co w głębi serca uważał za słuszne. I konieczne.

Podążył na wschód.

Podróżował z Kalifornii do Kansas, a w każdym mieście po drodze znajdował życzliwych słuchaczy. Trzymał się z dala od wielkich miast z ich nowoczesnymi ideami i błędnymi pojęciami. Odwiedzał natomiast bogobojne społeczności, gdzie nadal panowała przyzwoitość - nagradzały go tłumy, które zdawały się rosnąć w miarę postępów jego podróży, jak gdyby jego przesłanie go wyprzedzało.

Może wyprzedzało.

Miał nadzieję, że wyprzedzało.

Sz szczególnie ciepło witano go na wsiach w Missouri, gdzie już panowały silne antychyńskie nastroje. Nie spodziewał się, że znajdzie wielu Chińczyków tak daleko od Pacyfiku, ale w Selby i okolicach najwidoczniej żyło kilka rodzin żółtków. Mieszkały w barakach po złej stronie miasta. Dorośli pracowali w pralniach i restauracjach, dzieci łobuzowały. Fakt, że rodziny zawędrowały już tak daleko w głąb lądu, jeszcze wyraźniej uświadomił Williamsowi pilność jego misji. Właśnie w Selby spotkał mężczyznę o nazwisku Orren Gifford, gniewnego młodego gogusia z darem elokwencji - z zawodu był cieślą, ale podawał się za kaznodzieję, ponieważ wiązało się to z lepszymi zarobkami i lżejszą pracą. Williams i Gifford poprowadzili ludzi z miasta na wiec, na którym w ciągu jednej nocy udało im się zmusić nieśmiałyłch ojców miasta do przegłosowania rezolucji zamykającej Selby dla żółtków, żydków, czarnuchów i makaroniarzy. Nie tylko zabroniono im kupować ziemię czy zawierać małżeństwa - nie mogli tutaj pracować ani nawet zatrzymywać się na noc. Przemianę przeszedł Jimmy Johnson, dotychczas mięczakowaty burmistrz. Teraz kroczył na czele tłumu obok Gifforda, wrzeszcząc co sił w płucach:

- Jeśli któryś z nich postawi stopę w naszym przyzwoitym mieście, skończy pomazany smołą i wytarzany w pierzu, i zostanie wywieziony koleją!

Tłum to łykał.

Następnego ranka Gifford zabrał Williamsa za miasto do jam błotnych. Przez lata krążyła pogłoska, że Indianie kiedyś zażywali w jamach kąpieli

lecniczych, tak jak to czynią ludzie w tych szarych uzdrowiskach na Zachodzie, ale wrzące błoto było zbyt gorące, by ktoś w nim siedział, a kiedy przed kilku laty wpadł tam miejscowy chłopak, który szedł z ojcem farmerem do miasta, zmarł natychmiast. Nim farmer znalazł wreszcie dostatecznie dużą gałąź, by go wyłowić, oraz kamień dla przeciwwagi, ciało chłopca odeszło już od kości. Dziecko wyglądało tak źle, jakby wyciągnięto je z ognia, i nawet jego matce nie pozwolono na nie spojrzeć.

Błoto w szybie bulgotało i wypuszczało bańki zabarwione na brązowo, szaro i białe.

- Rzucano tu padłe jelenie - oznajmił Gifford. - Również łosie. W ten sposób nie przyciągają myszołowów. Wyobrażam sobie, że sporo miejscowych chłopców wrzucało tu również inne rzeczy. - Spojrzał znacząco na Williamsa. - Żadna z nich nie wypłynęła na powierzchnię.

Odczekał, by sens tej informacji doszedł do Williamsa.

- Założę się, że jamy pomieszczą wiele więcej.

Williams się uśmiechnął.

- Założę się, że tak - odparł.

Po postojach w Kentucky i w Wirginii pojechał do Waszyngtonu, gdzie ku swemu zaskoczeniu dowiedział się, że Harrison rozmawiał już osobiście z niektórymi kongresmenami, z którymi Williams także zamierzał podyskutować na temat problemu chińskiego. Najwidoczniej prezes spółki kolejowej ostatnio otrzymał kilka nieprzyjemnych lekcji i dostrzegł błędy w swoim postępowaniu.

Jak to wcześniej Williams przewidywał.

Nic nie zdecydowano, nic nie zostało wyryte w kamieniu i - jak to zwykle bywa z politykami - nikt nie zamierzał podejmować konkretnych działań. Jednak wydawało się, że osiągnięto ogólny konsensus dotyczący tego, że skoro ukończono budowę kolei, coś trzeba było zrobić, i to prawdopodobnie było najlepsze, na co Williams mógł liczyć.

Jak na razie.

10 MAJA 1869

Ameryka świętowała ten dzień i Harrison żałował, że nie może być wszędzie jednocześnie. W Chicago i Nowym Jorku zaplanowano parady, a setki ludzi miały wyjść na ulice, by upamiętnić to historyczne wydarzenie. We wszystkich miastach na szlaku odbędą się pikniki i imprezy dorównujące obchodom Dnia Niepodległości, a w Sacramento i Omaha, na dwóch końcach linii, zamierzano urządzić wielkie gale.

Ale w tym ważnym dniu jego miejsce było tutaj, w Promontory Point, gdzie linie w końcu się połączą.

Mimo konieczności przebicia się przez góry Sierra Nevada i poprowadzenia torów przez najniebezpieczniejsze i najmniej gościnne tereny znane człowiekowi, Central Pacific skończyła swoją część linii trzydziestego kwietnia jako pierwsza. Czekali przez całe półtora tygodnia na robotników Union i United Pacific, aż skończą swoją część. Harrison przypisywał to faktowi, że Central Pacific miało więcej Chińczyków. Jeśli te żółtki coś potrafiły, to posługiwać się dynamitem, i właśnie ich znajomość środków wybuchowych pozwoliła przeprowadzić linię przez wiele trudnych miejsc.

Chociaż Harrison uznał to również za powód do niepokoju. Tysiące cudzoziemców - wkrótce bezrobotnych - z dogłębną znajomością środków wybuchowych... to nie stwarzało komfortowej sytuacji.

Spojrzał ponad głowami Doca Duranta i Lelanda Stanforda i zobaczył Chestera Williama pograżonego w dyskusji z jednym z generałów, który przybył na Zachód z regimentem żołnierzy i teraz stał z grupą innych dygnitarzy przy lokomotywie Union. Nadal nie ufał temu mężczyźnie. W Waszyngtonie krążyły pogłoski, że próbował zawrzeć zakulisowe umowy dotyczące kolei, ale jak się zdaje, nic z tego nie wyszło. Harrison był temu rad. Ponowne prowadzenie interesów z tym samochwałą było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Harrison wziął pod rękę żonę i odwrócił się, nie chcąc przypadkowo napotkać wzroku Williama i spowodować, by mężczyzna do niego podszedł.

Prezydent nie przybył. Harrison spodziewał się tego, ale mimo to nieobecność generała Granta rozczarowywała i nawet spora liczba oficjeli, którzy przybyli tutaj, do serca pustkowia, nie mogła wynagrodzić braku prezydenta.

Przestał cokolwiek słyszeć, więc przypuszczał, że zapowiada to rychłe rozpoczęcie ceremonii. Trzy orkiestry grały chyba jednocześnie, a ponieważ tłumowi wystarczyłoby na dwadzieścia koncertów, dźwięki ogłuszały. Ktoś gdzieś wydał okrzyk radości i wystrzelił w powietrze, a Harrison wiedział, że kiedy już wbiją w podkład złoty szyniak, powietrze napełni się świątecznymi strzałami.

Przybył chłopak, który miał go zaprowadzić do miejsca, gdzie zostaną położone ostatnie szyny. Rzuty monetami zdecydowały, że szyniaki wbiją Stanford i Durant, ale do zdjęć potrzebna jest obecność wszystkich partnerów. Flesze zaczęły błyskać w chwili, gdy zbliżał się do torów.

Rozpoczęła się oficjalna ceremonia i położono ostatnie dwie szyny. Robotnicy chińscy przynieśli jedną, robotnicy irlandzcy drugą. Grały orkiestry, tłum wiwatował i kiedy kładziono ostatnie szyny na miejsce, robiono zdjęcia ze wszystkich miejsc. Pozowano, robiono kolejne zdjęcia, a pół godziny później Stanford i Durant w końcu wbili złoty szyniak.

Amerykanie mogli teraz przejechać koleją od wybrzeża do wybrzeża. To rzeczywiście był wielki dzień i Harrison wyobraził sobie, że niemal słyszy ludzi świętujących w całym swoim wielkim kraju. Wieczorem będą fajerwerki. I picie. A dla samotnych mężczyzn - hulanki. Zapowiada się pamiętne przyjęcie i słuszenie, gdyż ukończony dzisiaj projekt zmieni oblicze transportu - i oblicze Ameryki - na zawsze.

Odbierał gratulacje przyjaciół, wrogów i kolegów, aparaty fotograficzne błyskały, słuchał szczerych pochwał nieznanym panów z towarzystwa, ale co rusz mimowolnie zerkał na Chestera Williamsa, który stał samotnie z irytującym uśmiechem na szerokiej rumianej twarzy i patrzył za tory, na namioty obozu Chińczyków.

Williams coś knuł. Harrison był tego pewien. Ten człowiek miał jakiś plan, przygotowywał jakąś intrygę. Harrison był ciekaw - któż by nie był? - ale im bardziej się przyglądał niepokojącemu uśmiechowi, tym bardziej był przekonany, że być może lepiej się o tym nie dowiadywać.

Tłumy zniknęły, pociągi odjechały, pozostali jedynie robotnicy, milicja i gromadka samotnych dusz. Żołnierze mieli również odjechać i niektórzy tak zrobili, ale wielu pozostało.

Ponieważ Williams im za to zapłacił.

Mimo swoich kontaktów, mimo swej władzy i wpływów próba przekonania tamtych polityków w Waszyngtonie spełzała na niczym. Zbyt obawiali się działań, niektórzy mówili o moralnych skrupułach, inni cytowali zastrzeżenia konstytucyjne, inni po prostu przyznawali, że jeśli pozostali się nie dołączą, nie poprą takich ustaw. Próbował wykorzystywać ich niechęć do prezydenta, ale to też nie zadziało, więc udał się prosto do źródła i najął członków armii USA, by wykonali brudną robotę. Już wiedział, że chłopcy w mundurach są niedostatecznie opłacani. Wiedział również, że część młodych, którzy jeszcze nie uczestniczyli w żadnych działaniach, bo rozpoczęli służbę po wojnie, z radością witała pomysł zabicia kilku wrogów.

To było prawdziwe zrządzenie opatrności.

Ale akcja mogła zostać przeprowadzona dopiero, gdy znikną publiczność i dziennikarze. Ta „operacja”, jak nazwał ją generał, musiała być dokonana w największej tajemnicy.

Williams kazał tłumaczowi przekazać żółtkom, że ponieważ wykonali taką wspaniałą pracę przy budowie kolei, zanosi się na następną pracę, płatną dwa razy lepiej. Mimo to liczni wyjechali, by powrócić do rodzin w San Francisco lub nawet do Chin; niezadowoleni z życia robotnika, nie chcieli brać na siebie ponownie takiego brzemienia. Inni odjechali z irlandzkimi brygadami oraz innymi robotnikami i rozproszyli się ku wschodowi.

Tymi można się będzie zająć kiedy indziej.

Wielu jednak zostało i Williams oceniał, że we wschodnim obozie było ich przynajmniej dwustu, a w obozie zachodnim znacznie więcej. Sporą liczbę stanowili niewolnicy, ludzie, których przywieziono, kupiono i biciem zmuszono do uległości. Inni uwierzyli w kłamstwo i chcieli jeszcze zostać, by zarobić więcej pieniędzy na lepsze życie.

Uderzono o świcie.

Większość żółtków spała w namiotach i kiedy galopem przejechała po nich kawaleria, zrywając płótna szablami i bagnietami, uciekali z wrzaskiem na otwartą przestrzeń, gdzie inni żołnierze zapędzali ich razem niczym bydło i gnali od torów. Ze swojego stanowiska na pagórku Williams obserwował zdarzenie przez lunetę pożyczoną od generała i uśmiechał się radośnie, kiedy żołnierze bili i kopali mężczyzn, którzy wypadli z szeregu. Prowadzili pogan na południe. Wynajęcie zawodowców najwyraźniej się opłacało.

Szedł za nimi, gdy oddalali się od obozu, gdy żołnierze zebrali Chińczyków w centrum równiny i zaczęli ich okrążyć. Nie wiedział, jak liczne było wojsko, ale pył, który wzniciły ich konie, zaćmił wschodzące słońce. Kiedy konni żołnierze okrążyli setki robotników, jednego konia od drugiego dzieliły może dwa metry.

Na komendę generała podniesiono karabiny.

I wypalono.

Hałas ogłuszał, a dym z karabinów dołączył do pyłu, tworząc opar gęsty jak mgła, który chwilowo przysłonił wszystko. Kilku żółtków wyskoczyło spomiędzy koni, licząc na to, że będą mieli większe szanse poza kręgiem na otwartej równinie, ale szybko ich zastrzelono. Kilka małych postaci próbowało odpełznąć i w pyłe oraz chaosie rzeczywiście dotarli dość daleko, ale w końcu i oni zostali wytropieni i zabici.



Rzeź nie skończyła się szybko. Godzinę później żołnierze nadal ładowali karabiny i strzelali, chociaż do tego czasu większość zesła z koni i chodziła nad rannymi i zabitymi, by wytropić szczwane bandy ocalałych. Czuć było smród, mdlący odór. Williams krztusił się nim, a kilku młodych żołnierzy wymiotowało w zaroślach. Williams, naśladując starszych, bardziej doświadczonych żołnierzy, podciągnął wyżej koszulę i zapiął ją nad ustami oraz nosem, by materiał działał jak filtr. Czuł pył i własny pot, ale było to lepsze niż okropny zapach krwi i śmierci.

Nieco później generał podszedł do niego i powiedział, że akcję wykonano - nie było już Chińczyków. Zaprosił Williamsa, by z nim poszedł na obchód pola walki.

Poszedł tam z nożem.

I pomagał wykańczać tych, którzy nadal się ruszali.

LATO 1869

Nastąpiła nowa epoka.

Po sukcesie w Promontory Point Williams w dalszym ciągu jechał na wschód. Od znajomych usłyszał, że jego słuszną rzeź pogańskich żółtków trzymano w tajemnicy, że sam prezydent polecił to miejsce oczyścić, a ciała spalić i zażądał, by nikt się nie dowiedział, co zdarzyło się w Utah. Williams czerpał ponurą satysfakcję z wiedzy, że jego oponenty mieli tak wysokie stanowiska, ale słowa prezydenta nie miały na niego wpływu. Nie musiał się stosować do prezydenckich rozkazów. Był przecież Chesterem Williamsem, człowiekiem dobrze sytuowanym i nadal nim będzie, kiedy Ulysses S. Grant znowu stanie się rozpuszczonym generałem na emeryturze.

I chociaż gazety można przekonać, by nie donosiły o tym, co się wydarzyło, on osobiście nie był związany takimi ograniczeniami. Mógł mówić to, co chciał.

I mówił.

Jego słowa wywołały zamieszki w zwykłym pokojowym mieście Spellman w Wyoming. Zachęcił obywateli, by zignorowali niemrawego szefa policji i wzięli sprawy w swoje ręce, kiedy ów oznajmił, że chińska rodzina, mieszkająca w namiocie przy kościele baptystów, może według prawa cieszyć się pełną ochroną. Mieszkańcy miasta wzięli szturmem więzienie i zamknęli szefa policji oraz dwóch policjantów w celi; wybili szyby w sklepie spożywczym, który sprzedawał żółtkom owoce; rozbili prasę drukarską i sprzęt w redakcji gazety; w końcu podpalili namiot żółtków. Rodzina próbowała uciekać,

matka niosła niemowlę, a ojciec wypychał przed siebie dwoje innych dzieci, ale pobito ich kijami, grabiami, miotłami i widłami i zmuszono do powrotu do płonącego namiotu. Kiedy próbowali przedrzeć się drugą stroną, gdzie płomień zniszczył płótno, znowu ich pobito. Tym razem niemowlę w płonącym już ubranku wytracono z rąk matki. Upadło na twardą ziemię i pozostało ciche i nieruchome. Matka nie poddawała się ciosom i zdeterminowana próbowała dostać się do ciała swojego niemowlęcia, nawet gdy roztrzaskano jej głowę motyką. Pozostali członkowie rodziny usiłowali przedrzeć się przez rosnące płomień. Pobito ich jednak i po kolei padli.

W Stanton, w Nebrasce, trzech Chińczyków przyprowadzono spętanych do Williamsa, gdy tylko przybył do miasta. Odłączyli się, kiedy przechodziła tędy brygada budowniczych kolei. Złapano ich przeszło miesiąc temu i trzymano w piwnicy burmistrza, oczekując na decyzję, co z nimi robić. Williams zwiedził więzienie i z aprobatą zauważył kajdany na nogach, puszkę wody pitnej i brudną słomę. Ci mężczyźni byli zwierzętami i stosownie ich potraktowano. Wrócił z burmistrzem na górę i spojrzał na wynędzniałych żółtków. Widział obojczyki i żebra, stawy rąk i nóg. Zbyt wielkie głowy z zapadłymi policzkami, długie zęby i wąskie oczy, wyglądające zdecydowanie nieludzko.

- Powieście ich - polecił.

Obserwował z satysfakcją, jak dyndali w powietrzu.

Jego podróż trwała długo i po drodze zaczął zbierać pamiątki: uszy, nosy, palce rąk i nóg. Powiedziano mu, że tak robią Indianie, by przestraszyć swoich wrogów oraz smakować swoje zwycięstwa, i kilku jego znajomych, weteranów wojen indiańskich, również przyswoiło sobie tę praktykę. To w mieście Sycamore pierwszy raz pokroił trupa. Odciął ucho i euforia, jaką odczuł, przecinając chrząstkę, nie przypominała żadnych wcześniejszych doznań. Później, kiedy podróżował, świadomość, że ucho jest w skórzanej torbie, którą trzymał z rzeczami osobistymi, napelniała go poczuciem potęgi. Czuł się lepszy, silniejszy; czuł, że odnosił sukcesy większe niż kiedykolwiek, większe niż mogły mu zapewnić wszystkie jego pieniądze, i zaczął uważać, że to z powodu tego talizmanu, tego ucha. Wiedział, że taka myśl była zabobonna, ale czuł, że to prawda, i postanowił zebrać więcej talizmanów, by wzmocnić to poczucie euforii.

Wrócił do Selby w Missouri.

Właśnie tam cały czas się kierował. Chociaż nigdy o tym nie wspominał, zawsze był to ostateczny cel jego podróży; i delectował się perspektywą powrotu do

tego stopnia, że przeciągał podróż, udając się na wycieczki do innych miejscowości jedynie po to, by przedłużyć rozkoszne uczucie niecierpliwego oczekiwania.

Orren Gifford przywitał go jak dawno niewidzianego brata. Cieślakaznodzieja nie słyszał o wydarzeniach w Promontory Point, ale Williams go o nich poinformował i mężczyźni zaświecili się oczy.

- Od czasu, gdy pan tu był, wypędziliśmy z Selby sześć rodzin żółtków, a także polaliśmy smołą i wytarzaliśmy w pierzu pięciu mężczyzn. Ale nadal pozostaje ich około dwudziestu, mieszkają w lasach na peryferiach. Naliczyłem przynajmniej pięćdziesiąt głów w innych miastach powiatu: Waterbury, Cottonville i Północnym Newsom. - Uśmiechnął się szeroko. - Jamy ciągle czekają.

Jechali w nocy oddziałem liczącym prawie stu ludzi, z pochodniami i bronią, polując na żółtków. Niektórych spalili. Innych zastrzelili. Niektórych wlekli końmi po nierównym terenie, aż wyzionęli ducha. Taki los spotkał tych, którzy podjęli walkę, którzy mogli sprawić kłopoty. Resztę jednak złapano i zabrano ze sobą. Następnego ranka ponad dwudziestu stało związanych, posiniaczonych i pobitych przed jamami błotnymi.

W biały dzień niektórzy ludzie się rozmyślili. Byli dzielni, kiedy noc zapewniała im anonimowość, ale kiedy nadszedł czas, by się zadeklarować, nie mieli odwagi. Gifford i Williams musieli dać przykład, więc sami wrzucili pierwszego do jamy. Williams, z kaznodzieją u boku, złapał młodego człowieka za warkocz i pociągnął go na ziemię. Potem obydwaj podnieśli go i wrzucili do wrzącej brei. Przez ułamek sekundy rozległ się krzyk nieznośnego bólu, a potem cisza, gdy ciało utonęło w gęstym białym błocie.

Jeden z brutalnie pobitych facetów, czekając na śmierć, zaczął bardzo głośno nucić po chińsku. Był w tym rytm, który brzmiał niepodobnie do ich zwykłego bełkotu, brzmiał prawie jak poezja, jak dziecięca wyliczanka. Inni dołączyli, dośpiewując coś, co brzmiało jak refren, ponieważ odzywali się chórem i Williamsowi przyszło na myśl, że poganie wierzą, że to rodzaj pacierz. Albo zaklęcia. Ale to był nonsens, więc złapał tego mężczyznę i znowu z pomocą Gifforda pociągnął go na krawędź jednej z jam.

Żółtek spojrział na niego. W skośnych oczach był lęk, ale pod nim spokój i świadomość, pewność, która przestraszyła Williamsa. Odwrócił wzrok i spojrział na bulgoczące błoto. Niewierny kontynuował śpiew, inni mu wtórowali w pewnych miejscach, ale teraz skazaniec przerwał.

Mówił łamaną angielszczyzną z mocnym akcentem, ale można było go zrozumieć:

- Wracamy. Ile to potrwa. Bierzemy wasze dzieci i ich dzieci...

Williams usłyszał wystarczająco dużo i wrzucił związanego mężczyznę do jamy. Jednak Gifford nie wiedział, że Williams zamierza to zrobić, i nadal trzymał nogi żółtka, tak że tylko jego ramiona i głowa zanurzyły się w błocie. Powinien był wrzeszczeć, krzyczeć z okropnego bólu, ale w ostatnich kilku sekundach, zanim jego twarz rozpadła się, powiedział wyraźnie:

- Wróć.

Wtedy Gifford cisnął jego stopy i całe ciało wpadło do błota, i zniknęło.

To była klątwa. I choć Williams był chrześcijaninem i nie miał nic wspólnego z żadną pogańską religią, wierzył w nią. Głęboko w sercu, wierzył, że klątwa była prawdziwa.

Wszyscy w to wierzyli.

Być może było to tchórzostwo, ale w tamtym momencie cieszył się, że nie mieszka w Selby, że nie mieszka nigdzie w Missouri. Kiedy to się skończy, nigdy tu nie wróci. Gifford i inni mieszkańcy miasta oraz ich krewni pozostaną tutaj i będą musieli sobie z tym radzić, ale jego już tu nie będzie.

Wszyscy milczeli.

Williams działał dalej, jakby nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego, jak gdyby wszyscy, którzy wierzyli w czary-mary, które odprawił umierający mężczyzna, byli ówkami i kretynami. Sam złapał następnego żółtka, drobną kobietę, zaciągnął na brzeg innej jamy, kopnął do środka. Spojrzał na Gifforda, który nadal stał skołowany.

- Na co czekasz? Bierz się do pracy!

Kaznodzieja go posłuchał. Wszyscy go posłuchali i w ciągu godziny na parzarcie jamom wrzucono wszystkich Chińczyków. Ich mięso się ugotowało, a kości zmieszały z błotem. Po wszystkim panował nastrój świąteczny, jakby wszyscy zapomnieli o klątwie. Williams uśmiechał się, kiedy widział, jak pozbywają się ostatniego poganina - czterech krzepkich białych wrzucało do szybu chudego, wrzeszczącego chłopca.

To, na Boga, była Ameryka.

Stracili z oczu pociąg w okolicach Page, ale choć mama i brat prosili Dereka, by zawrócił, ten pędził przed siebie. Wjechali do Utah i po zmroku dotarli do St. George, małego miasta w południowo-zachodniej części stanu. Jedyne wolne miejsca znaleźli w małym rodzinnym motelu, który wprawdzie miał od frontu piękną rabatę kwiatową i szczylił się dziwaczną nazwą Jacaranda Country Inn, ale Angeli kojarzył się z motelem Bates z telewizyjnego serialu grozy.

Wszyscy byli zmęczeni, nie mieli żadnych pomysłów. Na kolację poszli do pizzerii i zjedli w milczeniu, siedząc pod zbyt głośnym telewizorem nastawionym na kanał sportowy.

Angela, choć zniechęcona, nie czuła kompletnego rozczarowania, że zgubili pociąg. Była zdeterminowana, by go odszukać, ale jednocześnie bała się i w istocie nie miała pojęcia, co zrobić, gdy uda im się dotrzeć za lokomotywą do jej ostatecznego celu podróży.

W drodze poczuła się lepiej. Nadal towarzyszyło jej przerażenie, ale z dala od Flagstaff, poza granicami miasta, strach nie wydawał się tak przytłaczający. Był mniej przynębiający. Przez większość dnia jechali przez wielkie pola nicości, obok Jeziora Powella i Vermilion Cliffs, widzieli jasnobrzązowy piasek i jasnobrzązowe odosobnione wzniesienia pozbawione roślinności. Angela nie wierzyła, by pleśń mogła się tędy przedostać czy pokonać ten teren.

Gdyby nie ten pociąg...

Po kolacji wrócili do motelu. Z domów, które mijali, dochodził sztuczny śmiech sitcomów, monotonne dziecinne rapowe rymowanki, płacz niemowlaków, połajanki rodziców - zwykłe odgłosy codziennego życia. Angela zazdrościła tym ludziom ich błogiej nieświadomości. O niczym tak nie marzyła jak o tym, by móc powrócić do czasów, gdy jej największym zmartwieniem było to, jak uda się randka w najbliższy piątek albo czy na sprawdzianie otrzyma piątkę czy czwórkę.

Próbowała sobie wyobrazić, co działo się w Domu Babbitta.

Miała nadzieję, że policja wkroczyła tam i zarządziła kwarantannę.

To nie było fair. Chrissie, która nazwała Angelę głupią brązową suką, nie była tą samą Chrissie, którą Angela poznała na początku semestru. To pleśń

przez nią przemawiała. Łatwo było czerpać inspiracje z filmów science fiction i uznać, że u współlokatorki pleśń wydobyła i wzmocniła głęboko zakorzenione przekonania, ale w głębi duszy Angela wiedziała, że to nieprawda. Czarny grzyb narzucił nietolerancję Chrissie i innym mieszkańcom domu, zmusił ich, by zachowywali się w określony sposób.

Ale dlaczego ona sama nie została zarażona? Przecież to ją trup chwycił za ramię.

Nie знаła odpowiedzi. Miała tylko pytania.

W motelu włączyli telewizję. Derek z bratem zajęli jedno szerokie łóżko, a Angela z matką Dereka - drugie. Telewizja interesowała wyłącznie Steve'a, więc pozwolono mu przełączać kanały. Wreszcie znalazł lokalną niezależną stację, która nadawała powtórki Simpsonów i serial *Bobby kontra wapniaki*. Mama Dereka poszła wziąć prysznic, a Angela zasnęła na chwilę.

Gdy się obudziła, światła były zgaszone, a telewizor nadawał dziennik z Salt Lake City. Tylko Derek jeszcze nie spał. Położył palec na ustach, prosząc ją w ten sposób, by nie robiła hałasu.

Najważniejsza wiadomość dotyczyła wielkiego zgromadzenia Indian, którzy przybyli do północnej części stanu bez żadnego widocznego powodu, a przynajmniej nie chcieli wyjawić go dziennikarzom telewizyjnym.

Przystojny mężczyzna z mikrofonem stał na szynach przed zbitym wielotysięcznym tłumem.

„W Promontory Point w 1869 roku spotkały się linie kolejowe Central Pacific oraz Union i United Pacific, tworząc transkontynentalną linię. Tu złoty szyniak wbili Leland Stanford i Thomas Durant. Wiele osób jest zaskoczonych tym zgromadzeniem, ponieważ nie ma aktualnie żadnej rocznicy związanej z tamtą datą i nie zauważono żadnych mówców ani artystów. Nieznane są powody tego historycznego zlotu. Zatem nadal pozostaje tajemnicą, co dzieje się w Promontory Point. Będziemy państwa informować o przebiegu wydarzeń”.

Derek ściszył pilotem dźwięk.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba chińscy robotnicy pomagali budować tę kolej, prawda? - powiedział spokojnym głosem.

Miał rację. Nie wiedziała, dlaczego to ważne, ale po prostu wiedziała, że tak jest.

*Promontory Point.*

- Właśnie to - powiedziała Angela. - Tam jedziemy.

**J**asna cholera - powiedział Henry.

Wyglądało to jak Woodstock w wersji dla rdzennych Amerykanów. Jak okiem sięgnąć, ludzie i namioty, przyczepy kempingowe i pikapy były stłoczone na otwartym terenie jak sardynki w puszcze. Powietrze wypełniało tysiące dźwięków, które zlały się w jedno falujące brzęczenie. Jego towarzysze nie zrobili nic, by dołączyć do kłębiącego się tłumu, by znaleźć jego centrum i dowiedzieć się o cel. Po prostu zaparkowali na skraju zgromadzenia i zaczęli rozbijać obóz - ustawili obok pikapa zardzewiały piecyk, wydostali z lodówki puszkę z piwem i rozpostarli śpiwory na pylistym gruncie.

Z nikim nie rozmawiali.

Nie musieli.

Rozumiał, dlaczego są tutaj, wiedział, jaka historia się z tym wiązała, ale mimo to miał wrażenie niespójności, poczucie, że tylko obserwuje siebie wykonującego rozmaite czynności. Według Wesa i innych Papagów, z którymi tu przyjechał, pielgrzymka ta miała sens, a jednak żaden z nich nie wyglądał na skoncentrowanego. Tak jakby wiódł ich autopilot, wykonujący określony z góry plan, ale jakby oni sami nie podejmowali żadnych świadomych decyzji.

Henry'emu się to nie podobało.

Siedli w koło, rozmawiali o niczym, od czasu do czasu wymieniali pozdrowienia z mężczyznami z innych plemion.

Zapadła noc.

A wraz z mrokiem przybyły cienie.

Kobiety i mężczyźni, a także postaci tak niewyraźne, że niemożliwe do zidentyfikowania. Wzniosły się z ziemi, spadły z nieba, nadeszły z równiny. Powinien był wiedzieć, że tutaj będą, ale nie oczekiwał ich i chyba wielu pozostałych również się ich nie spodziewało. Cienie poruszały się uwodzicielsko, kusząco, ich cel był wyraźny, i Henry zauważył, że są solidniejsze niż przedtem, gęstsze i bardziej rzeczywiste. Dręczyło go przerażające podejrzenie, że mimo tego, w co wierzyli Wes i inni, wszyscy Indianie zostali tutaj zwabieni w jednym celu. Za pomocą sztuczek sprowadzono ich w jedno miejsce, by ich napaść, wykorzystać i wyssać.

Rozejrzał się wokół, patrzył na zbliżające się postaci. Stanowiły teraz różne odcienie mroku, obszary, które wytyczały oczy, nos i usta, włosy łonowe i sutki. Była w nich obietnica czegoś więcej, sugestia, że jeśli pozwoli im skończyć to, co zaczęły, staną się rzeczywiste, uzyskają ciało oraz masę i dostarczą prawdziwej przyjemności, którą obecnie mogą jedynie symulować.

Większość mężczyzn nie reagowała, próbowała odpędzić cienie. Nawet ci, którzy się poddali, zdawali się z tym walczyć, rozpaczliwie próbowali pozostawać w ubraniu, powstrzymać interakcję z duchami. Henry był za to wdzięczny. I czuł ulgę. Otaczali go jemu podobni i ich wsparcie moralne dawało mu siłę, jakiej w samotności nie miał. Zauważył, że nie podniecają go bliźniaczki, kiedy nadeszły, by go uwieść. Znowu mógł widzieć kobiece ciało takie, jakie naprawdę było: zbiór zakończeń nerwowych i otworów spełniających groteskowe funkcje fizjologiczne. I choć bliźniaczki niezupełnie miały ciała, ta myśl wystarczała, by obniżyć jego mizerne libido.

Choć mogło się to wydać dziwne, czuł się dobrze, że jest znowu sobą.

Jedna z chińskich bliźniaczek - były Chinkami, wiedział to teraz - usiadła tuż przy nim i lewą ręką powoli gładziła swoje ponętne piersi, a prawą rękę wyciągała do niego. Druga siostra stała przed nim, pocierając się między nogami, a jej ciało falowało synchronicznie z ruchami dłoni.

Nie podniecało go to w najmniejszym stopniu.

I podobnie jak przedtem, pod powierzchnią zmysłowości czuł gniew, wrzącą wściekłość ukrytą pod warstwą erotyzmu.

Henry podniósł wzrok na platformę pikapa, gdzie Wes i Milton próbowali odpędzić cienie dwóch chłopięco wyglądających nastoletnich dziewcząt.

- To nasza siła życiowa - wyjaśnił Wes. - Dlatego właśnie umarli łakną naszego nasienia. Otrzymują to, czego nie mają.

Starszy mężczyzna po prawej stronie Henry'ego poddał się i wściekle się onanizował, opuściwszy spodnie do kostek. Kiedy szczytował, chmara cieni uniosła się wokół niego, próbując połykać nasienie. Bliźniaczki Henry'ego pofrunęły tam także, a on patrzył zafascynowany, jak ich kształt zdaje się zmieniać, staje się podobny do krągłej piersiastej matrony, która uwiodła starszego mężczyznę. Potem zwały się w jedną postać.

Tu i ówdzie w tłumie rozlegały się okrzyki bólu lub wołanie powodowane wyrzutami sumienia, pochrząkiwania rozkoszy, które stopniowo zostały



zastąpione rytmem rozmów, dźwiękiem odbiorników radiowych, magnetofonów i odtwarzaczy CD - mężczyźni włączali te urządzenia i odwracali się od cieni, ignorując je, zajmowali się przyziemnymi banalami zwykłego bytu. Trwało to ponad pół godziny. Cienie stawały się coraz bardziej szalone i zdesperowane w swoich próbach uwodzenia, aż w końcu, jak jeden mąż, odeszły. Nie wycofały się drogą, którą przyszły, ale zblakły, wtopiły się w noc. Odeszły bez hałasu - jak zawsze - ale z ziemi dobiegł dziwny, dudniący dźwięk, wycie frustracji przytłumione warstwami gleby. Wtedy Henry wiedział już na pewno, że wysiłki cieni poszły na marne. Czuł się dobrze, był dumny z siebie i z ludzi, którzy go otaczali.

- Dzięki Bogu - westchnął Wes, zaczesując dłonią włosy do tyłu.

Spojrzeni po sobie i Henry pomyślał, że porozmawiają o tym, co się wydarzyło, w końcu szczerze pomówią o tym, dlaczego tutaj są i co będą robili, i... o wszystkim.

Ale nie zrobili tego. Żaden z nich. Majstrowali przy śpiworach, razem z Miltonem, Antoniem i Jackiem wyjęli puszki piwa z lodówki i wszyscy stali lub siedzieli w milczeniu, kiedy wokoło gęstniała noc.

I czekali na pociąg.

## 30

WASZYNGTON, DC

### **P**romontory Point.

Rossiter oglądał DVD z reportażami czterech sieci informacyjnych i sześciu stacji lokalnych. To agent Saldana szybko nagrał tę płytę i mu przyniósł. To żałosne, myślał Rossiter, kiedy nijaki blondyn przekazywał wiadomości z miejsca zdarzenia. Jak to jest, że FBI, mimo ogromnych możliwości gromadzenia informacji, polega na Calu Perkinsie, trzeciorzędnym reporterze jednej z niezależnych stacji telewizyjnych w Salt Lake City?

To obalała argumenty zwolenników teorii spiskowych, postrzegających FBI jako monolityczną, dobrze naoliwioną maszynę z nieograniczonymi zasobami, która sekretnie i skutecznie zbiera informacje na temat każdego mieszkańca USA. A jednocześnie dostarczała argumentów drugiej stronie,

krytykom, którzy postrzegali FBI jako bandę nieskutecznych ciemniaków, fałszujących dowody, by usprawiedliwić niekompetentną pracę śledczą, podczas gdy przestępcy wciąż mówili im „a kuku”.

Cholera.

Po prostu nie mogli wygrać.

Rossiter uśmiechnął się z przymusem do młodszego agenta.

- Dobra robota, Saldana. Myśli pan niestandardowo. Podoba mi się to.
- Dziękuję, proszę pana.

Agent uśmiechał się promiennie, kiedy wracał do biurka.

Rossiter przez kilka ostatnich dni doskonalił swoje kompetencje społeczne, organizacyjne i przywódcze. Jeszcze za wcześnie na stuprocentową pewność, ale miał przeczucie, że po tym wszystkim nadejdzie awans. Uśmiech, słowa zachęty i pochwały nie przychodziły mu w sposób naturalny, ale robienie dobrej miny to niewielka cena, jeśli dzięki temu mógł posunąć się w górę drabiny.

Z drugiej strony, biorąc pod uwagę spekulacje w prasie na temat zniszczeń w Białym Domu i kontrowersyjną decyzję prezydenta, by raczej unikać odpowiedzi niż zająć stanowisko, Rossiter czuł stałą presję. Jeśli nie zamknie sprawy, i to szybko, skopią mu tyłek.

Cofnął nagranie, obejrzał je ponownie. Nie miał pojęcia, dlaczego mężczyźni z tych wszystkich plemion zebrali się w Promontory Point - nikt oprócz nich tam nie pojechał, a ludzie, którzy tam dotarli, nic nie mówili - lecz fakt, że właśnie tam spotkały się tory linii transkontynentalnej, oznaczał, że było to istotne miejsce w historii kolei.

I choć to Lincoln podpisał ustawę o kolei transkontynentalnej, linia została ukończona podczas kadencji Granta.

Pociągi.

Wszystko składało się do kupy.

W pewnym sensie.

Przejrzał wydruki innych zebranych dla niego sprawozdań o wypadkach, które mogły mieć ze sobą związek. Zwłaszcza niektóre rzucały się w oczy - w kilku stanach w ciągu paru ubiegłych miesięcy widziano tajemnicze czarne pociągi przemykające po nieużywanych torach, a nawet po sieci Amtraku. Równocześnie w wielu tamtejszych miastach słyszano duchy, zagadkowe bezcielesne głosy w domach, sklepach i - w jednym przypadku - w toalecie na stacji benzynowej. Zawsze opisywano tę mowę jako jazgot, jakiś niezrozumiały bełkot, o którym jedna pobożna kobieta z Missouri wyraziła opinię: „To

jakiś homoseksualista gadający różnymi językami”.

Zaledwie wczoraj w Bear Flats, w Kalifornii, funkcjonariusz policji natknął się na zjawisko tego rodzaju w budynku, w którym niedawno popełniono makabryczne morderstwo. Wykazał się przytomnością umysłu i zarejestrował zdarzenie na komórkę, a nagranie natychmiast rozbrzmiało w Internecie i zwróciło uwagę Rona Banksa, jednego z agentów w zespole Rossitera. Banks przeprowadził śledztwo w tej sprawie i złożył meldunek, a Rossiter patrzył teraz na wydruk z tego sprawozdania. Widział go niespełna pół godziny temu, nim Saldana przyniósł DVD, ale coś w tym meldunku go dręczyło, więc przeczytał sprawozdanie Banksa jeszcze raz.

Chester Williams.

Właśnie. Nazwisko Chester Williams z czymś mu się kojarzyło, choć od czasu przydzielenia mu tej sprawy był tak zavalony materiałami i pochłonięty badaniami, że nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wcześniej je widział lub słyszał. Zakreślił je na kartce, by o nim pamiętać, jeśli do niego wróci.

Rossiter nie miał wcześniej okazji przesłuchać nagranie głosu, które utrwalił funkcjonariusz policji, więc podszedł do komputera i je włączył. Dźwięk był z początku przytłumiony i trzeszczący, towarzyszyły mu oddech funkcjonariusza i kroki, które zostały zarejestrowane jako najgłośniejsze, ale stopniowo głosy wysunęły się na plan pierwszy. Głosy dwóch osób: mężczyzny i kobiety.

Duchy mówiły po kantońsku.

Rozpoznał ten język natychmiast. Minęło już przeszło dziesięć lat, odkąd stał się słynny dzięki sprawie w Rio Verde, w Arizonie, ale tamtych kilka tygodni ostro wyryło się w jego świadomości i jedną z rzeczy, które zapamiętał wyraźnie, był unikatowy rytm kantońskiego. Nie miał pojęcia, co mówią, ale wiedział, jakiego używają języka.

Przy budowie kolei transkontynentalnej pracowało mnóstwo Chińczyków.

I znowu wszystko wydawało się powiązane. Gdyby tylko mógł zidentyfikować te związki...

Postanowił zadzwonić do Wingów. Ta rodzina bardzo mu pomogła w Rio Verde - babka była prawdziwą skarbnicą wiedzy o tajemnych tradycjach ludowych - może będą mogli mu pomóc również teraz.

Bardzo mu pomogła? Pomóc mu? Kogo ja nabieram? - zapytywał sam siebie. Wtedy zaledwie plątał się w tej całej sprawie. Gdyby nie babka,

prawdopodobnie jego kości blakły by obecnie na pustyni - wraz z kośćmi całej ludności miasteczka. Swoją karierę zawdzięczał Wingom.

Zadzwoił w kilka miejsc.

Okazało się, że Wingowie wyjechali. Ich restauracja była zamknięta, a rodzina nie mieszkała już w miasteczku. Samo Rio Verde kwitło. Zbudowano dwa nowe ekskluzywne osiedla, obydwa ze sztucznymi jeziorami, a jedno z polem golfowym. Rewitalizowane śródmieście mieściło modne restauracje i butiki. Ośrodek wczasowego na farmie od dawna nie było, ale na jego miejscu powstało uzdrowisko i centrum odnowy biologicznej. Wraz z pieniędzmi musiały przyjść nowe poglądy, które sprawiły, że tradycyjna chińska restauracja Wingów stała się przestarzała.

A może po prostu chcieli wynieść się z miasta po tym wszystkim, co się tam wydarzyło.

Spodziewał się, że dupkowaty szef policji będzie nieco bardziej pomocny, ale ten albo nie wiedział nic, albo - co bardziej prawdopodobne - nie chciał dzielić się informacjami. Po krótkiej rozmowie wściekły Rossiter odłożył słuchawkę.

Będzie po prostu musiał wytropić tę rodzinę. Miał do dyspozycji wszystkie zasoby biura i nie tylko, dość szybko znajdzie ich adresy, a prawdopodobnie zdoła nawet otrzymać zdjęcia satelitarne ich domów. Rzeczywiście, w ciągu kilku minut dowiedział się, że Sue Wing jest nauczycielką angielskiego w chińskiej szkole w Irvine, w Kalifornii. Jej rodzice i brat mieszkali w Tucson.

Babka zmarła.

Dla Rossitera była to przykra wiadomość. I nie tylko dlatego, że stwarzało to przeszkodę na jego drodze. Choć trudno w to uwierzyć, wraz z upływającym czasem zmiękł i zaczął nie tylko szanować staruszkę, ale i podziwiać jej wiedzę, umiejętności i dzielność. Chyba w głębi duszy zawsze zakładał, że będzie ona w pobliżu - źródło informacji, z którym zawsze w razie potrzeby może się skonsultować. Kiedy dowiedział się, że jej nie ma, był to dla niego pewien szok.

Postanowił zadzwonić do Sue Wing. To właśnie z nią załatwiał sprawy. Była pośrednikiem między nim a resztą rodziny i to właśnie ona wydawała się najbliższa babce i najbardziej zainteresowana zjawiskami paranormalnymi. Poza tym jej rodzice ledwo mówili po angielsku. A w czasie tamtych wydarzeń jej brat był zbyt młody; wątpliwe, czy będzie wiele wiedział.

Jej numer pojawił się na ekranie. Odchrząknął, by jego głos zabrzmiał jak najmniej groźnie i jak najbardziej profesjonalnie. Wybrał numer. Podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

- Halo? - odebrała.
- Sue Wing? - odpowiedział.
- Tak? - odezwał się niepewny głos po drugiej stronie linii.
- Mówi agent Rossiter z FBI...

Telefon stał się głuchy.

Natychmiast zadzwonił powtórnie, ale linia była zajęta. Na wszelki wypadek spróbował jeszcze raz, ale wiedział, że kobieta zdjęła słuchawkę z widełek. Na chwilę zapłonął gniewem. Kusilo go, by zadzwonić do jednego ze swoich towarzyszy - dupków z lokalnego biura w Phoenix - który pracował obecnie w południowej Kalifornii, i kazać mu przywlec ją na przesłuchanie, ale stłumił ten impuls.

A zresztą co by ta dziewczyna mogła wiedzieć? To babka była ekspertem. Kiedy jej zabrakło, szanse Rossitera na wartościowe informacje spadły niemal do zera.

Ponadto nie mógł sobie pozwolić na wątki poboczne. Czas był kwestią podstawową i Rossiter nie mógł spieprzyć sprawy.

Opuścił wzrok na wydruk obok komputera, zobaczył zakreślone nazwisko. „Chester Williams”.

Prawie o tym zapomniał i chociaż nadal nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wcześniej natknął się na to nazwisko, łatwo mógł to wytropić. Wywołał inny ekran i wypisał „Williams, Chester”. Pojawiła się cała strona przefiltrowanych informacji. Teraz wiedział, dlaczego nazwisko było znajome. Williams był inwestorem w United Pacific Railroad. Miał wpływy na początku projektu budowy kolei transkontynentalnej, ale jego zaangażowanie z biegiem czasu zanikło. Spędził ostatnie lata w Bear Flats, w Kalifornii, gdzie założył organizację nazywaną Ligą Antychińską, która rozszerzyła się na cały kraj i w swoim apogeum miała przeszło dwieście oddziałów. Wśród jej zwolenników znajdowała się cała gama polityków.

Czyli o jeden zbieg okoliczności za dużo.

Rossiter nacisnął guzik komunikatora.

- Agencie Saldana - powiedział. - Proszę do mnie przyjść.

Miał zamiar powiedzieć: „Przyjdź tutaj”, bez form grzecznościowych, ale w ostatniej chwili się poprawił. Robił się w tym dobry, jeśli potrafił tak mówić sam z siebie.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi i jego asystentka wpuściła Saldane. Rossiter wstał.

- Chciałbym, żeby pan poprowadził czteroosobowy zespół do miasta Bear Flats, w Kalifornii. Funkcjonariusz policji zameldował, że słyszał głosy mówiące po chińsku i zarejestrował to na swojej komórce. To wydarzyło się w domu, w którym ostatnio miało miejsce morderstwo, domu zbudowanego przez magnata kolejowego Chestera Williamsa.

Przekażę panu wszystko, co mam. Sugeruję, żeby pan to wydrukował i wziął ze sobą laptop.

Agent wydawał się zaskoczony, a nie wyróżniony. To niewłaściwa reakcja, pomyślał Rossiter, ale zachował neutralny wyraz twarzy.

- Zakładałem, że pojedę do...

Rossiter mu przerwał:

- To ja poprowadzę zespół w Promontory Point. Chcę, żeby dowodził pan drugą grupą...

- Ale myślałem...

- Albo nie. - Rossiter odwrócił się lekceważąco i nacisnął guzik swojego interkomu.

- Nie! - Saldana niemal krzyknął. - Przepraszam! Dziękuję, proszę pana. Z chęcią pojedę do Bear Flats.

- Więc niech się pan do tego zabiera. Chcę, by pan tam dotarł dziś wieczór. I oczekuję codziennych raportów, gdy znajdzie się pan w mieście.

- Tak jest.

Rossiter spojrzął na znieruchomiałego młodego człowieka.

- Powiedziałem, że prześlę panu wszystko, co mam. Czy jest coś jeszcze?

- Nie, proszę pana.

- Więc czemu pan tak stoi? Niech pan się ruszy!

Saldana omal nie potknął się o własne stopy, kiedy uciekał z gabinetu. Rossiter się uśmiechnął. Jest miejsce na uprzejmości... ale nic nie zastąpi dobrego, staromodnego strachu, kiedy trzeba, by ktoś poczuł ogień koło dupy.

Zerknął na zegar. Tracił czas. Chciał, by Saldana dotarł do Bear Flats wieczorem, i chciał z własnym zespołem być w Promontory Point o północy. Wątpił, czy to się uda, ale było pewne jak cholera, że spróbuje. Przejrzał w myślach listę agentów, by zdecydować, kto z nich będzie nie tylko skrupulatny, kompetentny i zmotywowany, ale również najmniej dokuczliwy podczas lotu.

Owocna praca FBI czasami wymaga czegoś więcej niż pomysłu i zdolności.

Wcisnął guzik interkomu.

- Hanson - powiedział. - Singh, Worthington, Munoz...

## 31

### BEAR FLATS, KALIFORNIA

Jolene spojrzała na twarze matki i syna, znacznie spokojniejsze we śnie niż za dnia. Chciałaby zawsze widzieć u nich taki spokój. Skylar zmienił pozycję, przerzucił rękę nad głowę. Współczuła chłopcu. Był silny, poradził sobie z sytuacją, przystosował się, przetrwał, ale Jolene pragnęła ułatwić mu życie, oszczędzić mu ciężkich doświadczeń i zapewnić mu beztrudne dzieciństwo, na jakie zasługiwał.

Dotknęła ręką jego policzka. Był miękki, prawie tak delikatny jak u niemowlęcia. Zawładnęło ją uczucie bezwzględnej opiekuńczości. Gdyby ktoś - lub coś - usiłował zrobić mu najmniejszą krzywdę, gotowa była zabić.

Matka poruszyła się, coś niezrozumiale mamrotała, po czym znów zapadła w głęboki sen.

Mama dobrze się spisywała - w kredensie u Leslie znalazła małą butelkę wódki i wypila całą, ale na tym poprzestała i gdy dziś rano poszli do sklepu, matka nawet nie spojrzała na dział z alkoholem. Jolene była z niej dumna i chciała jej to powiedzieć, ale nie wiedziała, jak to zrobić, by nie zabrzmiało to protekcjonalnie.

Wyprostowała się, rozmasowała sobie zeszywniały kark i rozejrzała się po salonie. Leslie poszła do pracy. Przyjaciółka była wspaniała w tych trudnych dniach. Choć długo się nie widziały, a przez wiele lat Jolene nawet nie starała się z nią skomunikować, obie natychmiast odnowiły dawną zażyłość, jakby Jolene w ogóle stąd nie wyjechała. Przyjaźń z młodości pozostaje przyjaźnią na zawsze, pomyślała Jolene i lzy stanęły jej w oczach. Od tamtego czasu nie miała tak bliskiej osoby. Częściowo odpowiedzialne za to były obowiązki dorosłego życia. Pracowała, miała rodzinę i nie pozostawało jej ani trochę wolnego czasu, by spędzać z kimś długie godziny na pogaduchach jak w liceum.

Najważniejsza jednak okazała się tajemnicza chemia, która wytworzyła między nimi silną więź; która przyciągnęła je do siebie, gdy w ostatniej ławce na zajęciach z nauk społecznych u pani Wilson wymieniały pogardliwe uwagi na temat sportowych fanów i dziewczyn z grupy gimnastycznej. Pokrewne dusze nadające na tej samej fali. Przyjaźnie nawiązane w tym decydującym okresie są zawsze bardziej intensywne od późniejszych znajomości.

Nawet gdyby ona czy Leslie albo obie kiedyś stąd wyjechały, wiedziała, że tym razem nie stracą ze sobą kontaktu. Były związane i na zawsze pozostaną przyjaciółkami.

Zaschło jej w gardle. Poszła do kuchni, żeby napić się wody. Choć zasłony były zaciągnięte, starała się nie patrzeć na okna. Falbaniaste firanki prześwitwały i Jolene bała się tego, co mogłaby zobaczyć za szybą. Poza ścianami domu Leslie inni ludzie w mieście toczyli normalne życie, ale Jolene czuła się coraz bardziej jak schwyтана w pułapkę, zabarykadowana przed siłami zła, przeciwko którym nie mogła nawet walczyć. Wiedziała, że nie jest to zdrowe, że to buduje w niej strach i paranoję, ale rzeczywiście się bała. Zarówno o swojego syna, jak i o siebie. Gdy przeczytała dzienniki Williama, gdy zobaczyła te straszne rzeczy, zrozumiała, że siły zła naprawdę istnieją.

Zło nie było pojęciem abstrakcyjnym czy metaforycznym. Było realne. I żywe.

*Oni chcą zemsty.*

Jolene bardzo chciała, by przyjaciółka jak najszybciej wróciła do domu.

Przeszła znów do salonu i włączyła telewizor, ale ściszyła dźwięk. Nadawał *Jerry'ego Maguire'a*. Widziała ten film razem z Frankiem. Zanim Skylar się urodził. Choć film nie wydawał się tak stary, Jolene miała wrażenie, że ten okres w jej życiu jest już bardzo odległy, i zrobiło jej się smutno.

Wyłączyła telewizor.

Z sypialni dobiegł odgłos ruchu. Prawdopodobnie to nic strasznego, ale nie mogła tego zignorować. Poszła sprawdzić.

Skylar obudził się z krzykiem.

We śnie był sobą, ale równocześnie był marionetką. Sznurkami poruszał stary Chińczyk, który podglądał jego i mamę przez okno i który porwał go ze szkolnej łazienki. Pomarszczona twarz pochylała się z uśmiechem nad Skylarem, a sękaty palce manewrowały sznurkami, zmuszając go do tańca. Nie



chciał tańczyć - chciał uciec - ale jego wola i mięśnie nie potrafiły się przeciwstawić zniewalającej sile sznurków.

Nagle zobaczył zbliżającą się inną marionetkę. Sterował nią biały brodaty mężczyzna o gniewnej twarzy, ubrany w staromodny garnitur i kapelusz. Marionetka była zrobiona ze z mumifikowanego ciała dziecka. Jej oczy i usta zaszyte były ciasno chirurgiczną nicią i głowa wyglądała jak skurczona. Kościste ramiona i wyschnięte nogi były pociągane w górę i w dół, ich ruch przypominał groteskowy marsz. Skylar odruchowo chciał uciekać, ale stary Chińczyk zaczął chichotać i zmusił Skylara, by podszedł do tamtej lalki z wyciągniętymi ramionami, jakby zamierzał ją objąć.

Skylar chciał krzyknąć, ale nie mógł. Nie miał głosu.

Nagle w prawej dłoni Skylara pojawił się nóż. Bolesne szarpnięcie sznurka, przyczepionego do ramienia, kazało mu wykonać pchnięcie. Dźgał lalkę, zadawał z mumifikowanemu dziecku ciosy w wyschły brzuch, w kościstą klatkę piersiową. Z cięć i rozdarć nie wypływała krew, tylko sączyły się obłoczki kurzu, ale choć brodaty lalkarz wściekle manewrował sznurkami, marionetka poruszała się coraz wolniej, jak mechaniczna zabawka, której wyczerpuje się bateria. Kolejne silne szarpnięcie prawej ręki i Skylar dźgnął lalkę w twarz. Pękły szwy. Na Skylara wściekle spojrzały matowe oczy. Bezzębne usta krzyknęły cicho.

Potem został uniesiony w powietrze, stopami deptał zwieszoną głowę z mumifikowanego dziecka, dłońmi chwycił za sznurki marionetki i wspinał się po nich, wreszcie przeskoczył na ręce brodatego mężczyzny.

Chińczyk śmiał się głośno. To już nie był chichot, lecz rechot pełną pierśią. Brodaty mężczyzna najpierw chrząknął zaskoczony, a gdy Skylar odciął mu nożem kawałek ciała na ramieniu, mężczyzna krzyknął z bólu i strachu. Krzyki zmieniły się w skowyt, gdy przeszedł na jego barki i zaczął go dźgać w kark, policzki i ucho, a krew tryskała, pokrywając Skylara szkarłatnym sprejem.

Nic nie widział i z całej siły szamotał się ze sznurkami, żeby wytrzeć sobie krew z oczu. Wysiłek się opłacił i Skylar w końcu wyzwolił się ze wszystkich więzów. Wierzchem obu dłoni przetarł oczy...

Teraz był znów w tamtej piwnicy, leżał nagi na ubitej ziemi. Ale nie był sam. Znajdował się tam również biały, brodaty mężczyzna - ten sam co poprzednio - który na drewnianym stole odwijał kawałek zwiniętego wilgotnego płótna. Tym razem mężczyzna nie miał na sobie garnituru ani kapelusza, lecz

bieliznę z czerwonymi plamami krwi. Część z nich już wyschła, inne jeszcze nie. Również na jego skórze była krew i gdy Skylar usiadł, zobaczył, że z brudnego wilgotnego płótna mężczyzna wyjmuje ludzką rękę. U nadgarstka była poszarpana, jakby ktoś wyrwał dłoń z ramienia, a pośrodku czerwieni widoczny był krążek białej kości.

Chester Williams, pomyślał. Ten mężczyzna nazywa się Chester Williams. Stary Chińczyk mu to powiedział. Skylar pamiętał to z ostatniego spotkania.

Williams podniósł ze stołu długi nóż i z lubością odciął palec ręki. Pocięła stamtąd strużka krwi.

Skylar zakrztusił się i zwymiotował na ziemię obok siebie. To zwróciło uwagę Williamsa. Brodacz odwrócił się i Skylar spostrzegł z przerażeniem, że mężczyzna ma erekcję.

Wskazał na Skylara ociekającym nożem.

- Nie martw się, słodziutki. Ty jesteś następny.

Nagle Skylar znalazł się w ciemnym miejscu, które nie przypominało mu niczego, co znał. Nie potrafił powiedzieć, czy stopami dotyka ziemi, czy też unosi się w jakiejś bezgranicznej przestrzeni, ponieważ nie czuł oporu pod podeszwami butów ani na żadnej innej części ciała. Wyciągnął dłonie przed siebie i próbował iść, ale ciemność była tak kompletna, że nie miał pojęcia, czy porusza się do przodu, czy stoi w miejscu, czy też wiruje w otwartej przestrzeni. Wyczuwał, że nie jest sam, choć nie był tego pewien, póki nie usłyszał głosu:

- Skylar.

To nie był ten sam głos co przedtem - głos Chińczyka, lalkarza. Było w nim coś nieludzkiego, jakby wężowego, zwłaszcza te przeciągane, syczące spółgłoski w jego imieniu.

Skylar nie odpowiedział, usiłował się skurczyć, ukryć, choć o ile wiedział, ta istota widziała w ciemnościach i właśnie teraz na niego patrzyła.

*Zniszcz dom. To jest sprawa zasadnicza.*

Słowom towarzyszyły obrazy. Coś więcej niż obrazy. Zrozumienie. Skylar rozumiał, co widzi, pojmował stojące za tym powody.

A widział rezydencję, do której został zabrany, tę, w której znajdowała się sekretna piwnica - teraz wiedział, że to siedziba Williamsa. Chester Williams był człowiekiem nikczemnym, złym i wiele tego zła zagnieździło się w jego domu. Słyszał, jak jego mama, babcia i pani Finch rozmawiały o Chesterze Williamsie i o jego dziennikach, gdy sądziły, że śpi, i pamiętał, że widział

skalpy, palce u nóg i inne odcięte fragmenty ciała, gdy został zabrany do ukrytej piwnicy, ale to była tylko część. Chester Williams zrobił znacznie, znacznie gorsze rzeczy w tamtym domu i choć Skylar niektóre z nich widział, to rozumiał, że najgorsze potworności zostały mu oszczędzone, i był za to wdzięczny.

Dom jednak ciągle stał, jego tajemnice ochraniaли potomkowie Chestera Williamsa - jego syn i wnuk. Dom był nie tylko pomnikiem barbarzyństwa, ale także żywym repozytorium złych uczynków. Gdzieś w murach tego budynku przebywał sam Williams, niezupełnie jako duch, lecz istniał wpleciony w ściany, podłogi, sufit. Budowla podtrzymywała jego obecność i ogniskowała nienawiść ofiar jego ohydnych zbrodni. Długo czekały w równie ciemnym miejscu na okazję, by zemścić się na człowieku, który podburzał przeciwko nim tłumy, który ich torturował i zabijał, a teraz zgromadziły własne tłumy, armię zamordowanych, którzy w końcu zdołali połączyć się i potrafili teraz zemścić się nie tylko na Williamsie, lecz również na całym społeczeństwie, które akceptowało jego działania.

- Zniszcz dom - powtórzył głos i Skylar zrozumiał, że to pomoże powstrzymać Chińczyka i jego pobratymców. Miejsce skupiające ich wściekłość zostałyby usunięte. Wściekłość stanowiła ich napęd przez te wszystkie lata, podtrzymywała duchy przy życiu. Bez niej nie mieliby celu, sensu istnienia i na pewno by się rozproszyli, stopniowo zniknęli tam, gdzie normalnie znikają umarli.

Jeden z mięśni ramienia mu drgnął - mięsień pamiętający szarpanie sznurka przyczepionego do ręki.

- Dlaczego ja? - spytał Skylar.

Odpowiedź nie była jasna. Pojawiły się kolejne obrazy: mama w mundurze podczas patrolu na granicy odkrywa ciała rodziny w jarze na pustyni; w jakimś tunelu grupa przytulonych do siebie chińskich robotników, od dawna martwych, bardzo podobnych do tamtej rodziny z wąwozu; Skylar bawi się w Yumie z Carlosem, swoim najlepszym przyjacielem; znów Skylar, teraz idzie obok grobu Matki i Córk. Te obrazy zawierały przesłanie, które powinien zrozumieć, ale zupełnie nie chwycił sensu.

- Zostałeś wybrany - mówił głos, ale Skylar właściwie nie rozumiał, co to znaczy. Zastanawiał się, czy wszystko nie sprowadzało się do tego, że znalazł się we właściwym miejscu o właściwej porze.

Albo w złym miejscu o złej porze.

- Kim... kim jesteś? - spytał bezcielesnego głosu.

Istota pokazała się - w ciemności rozbłysła błyskawicą. I Skylar obudził się z krzykiem.

Jolene trzymała go mocno w ramionach. Jej matka również się obudziła, gwałtownie wyrwana ze snu pierwotnym, przesywającym krzykiem wnuka. Jolene ze zdziwieniem, ale i z przyjemnością zobaczyła, że matka ma na twarzy wyraz żarliwej opiekuńczości. Nie знаła jej od tej strony. To nie była ta sama kobieta, która ją wychowała - choć takiej matki zawsze pragnęła. Po raz pierwszy napełniła ją nadzieją, że syn będzie miał babkę, na jaką zasługuje, a ona sama nawiąże wreszcie autentyczną relację ze swoją mamą.

Jeśli wyjdą z tego żywi.

Krzyki Skylara przeszły w łkanie. Jolene mruczała słowa otuchy.

- Już dobrze... w porządku... Mama jest przy tobie...

Usłyszeli pukanie do frontowych drzwi. Jolene myślała początkowo, że to Leslie wróciła z pracy, ale pukanie się powtórzyło. Leslie by przecież nie pukała. Miała klucz.

- Kto tam? - zawołała Jolene. Jej serce waliło jak młotem. Przekazała Skylara matce i przeszła do salonu, rozglądając się za nożem do mięsa, który trzymała pod ręką na wszelki wypadek.

- Agent Anthony Saldana, FBI.

Tego zupełnie się nie spodziewała. Odpowiedź przyszła jakby z innej planety. Jolene była tak bardzo zaskoczona, że nie wiedziała, jak zareagować.

- Czy pani jest Jolene Connor? - spytał mężczyzna.

- Tak. - Ciągle nie otwierała drzwi. Spojrzała w głąb domu na matkę, która patrzyła wielkimi z przerażenia oczami. Skylar przestał płakać i wycierał łzy z twarzy. Spojrzenie miał skupione i czujne.

- Czy mógłbym z panią porozmawiać?

- Proszę, niech pan mówi.

- Chciałbym porozmawiać o tym, co pani przeżyła w domu Williamsa. Mniej więcej godzinę temu przesłuchałem komendanta Tannera, a przed chwilą skończyłem rozmawiać z pani przyjaciółką Leslie Finch, która mnie poinformowała, gdzie mogę panią znaleźć. - Zamilkł na chwilę. - Proszę, żeby zechciała pani otworzyć drzwi.

Głos należał do człowieka przywykłego do tego, że inni go słuchają, i nie miała pewności, czy była to prośba, czy rozkaz. Nadal pełna podejrzeń, nie chciała wpuszczać nikogo do domu, jednak drżącymi rękami odsunęła zasuwkę i uchyliła drzwi zamknięte wciąż na łańcuch.

Spojrzała przez szparę. Na ganku stał mężczyzna w szarym garniturze. W wyciągniętej ręce trzymał odznakę w etui i identyfikator. Drugi mężczyzna czekał na podjeździe w zaparkowanym czarnym samochodzie. Jolene pomyślała, czy nie napomknąć, że niedawno pracowała w straży granicznej, więc jako jego koleżanka po fachu, również była wyszkolona w egzekwowaniu prawa federalnego, ale doszła do wniosku, że nie miałyby to zbyt wielkiego znaczenia.

- Proszę otworzyć drzwi - powtórzył agent.

Jolene otworzyła, ale stanęła w przejściu i nie zaprosiła mężczyzny do środka.

- Jak zrozumiałem, była pani obecna w tamtym domu, gdy Anna May Carter została zabita, a pani syna znaleziono w piwnicy rozebranego i rozhisteryzowanego. Zgadza się?

Jolene skinęła głową.

Saldana spojrział ponad jej ramieniem na Skylara, który wyszedł z sypialni wraz z babcią.

- Czy to ten chłopiec?

- Co pan właściwie chce wiedzieć?

- Ma pani kilka dzienników, które prowadził Chester Williams i w których opisuje ze szczegółami morderstwa oraz akty przemocy, jakich dopuścił się sam i ze swoimi poplecznikami. To pani odkryła rozmaite części ciała, które Williams odcinał swoim ofiarom na prywatny użytek.

- Tak - potwierdziła.

- Czy może mi pani powiedzieć o jakichś niezwykłych czy niewytłumaczalnych zdarzeniach, jakie ostatnio miały miejsce w domu Williamsa albo w jego okolicy?

Zmarszczyła czoło.

- Co takiego? O co panu chodzi?

Spojrział jej w oczy. Tymczasem drugi agent wysiadł z samochodu.

- Czy widziała pani jakieś duchy albo zjawy, pani Connor?

- Tak - odparła po sekundzie milczenia. Głęboko odetchnęła. Poczwała w jakimś sensie ulgę, że może zrzucić ciężar z serca, że to, co widziała i czego doświadczyła, może przekazać komuś, kto ma władzę. Obaj agenci weszli do domu i usiedli. Choć do tej pory usiłowała zataić przed Skylarem najgorsze elementy, teraz w jego obecności swobodnie mówiła o wszystkim, co zaszło. Wiedziała, że nadszedł czas, by syn poznał prawdę. Gdy skończyła streszczać zawartość dzienników, wręczyła je Saldarne.

- Proszę.  
- Chciałbym, żeby towarzyszyła nam pani do domu Chestera Williamsa - oznajmił agent. - Chcę, żeby nam pani pokazała, gdzie się to wszystko zdarzyło.

- Ja też idę! - zgłosił się Skylar.
- Nie, nie idziesz. Zostaniesz tu z babcią - poleciła mu Jolene.
- Muszę iść. Muszę tam być. Ono rozmawia tylko ze mną.

*Ono rozmawia tylko ze mną.*

Nagle Jolene przebiegł zimny dreszcz.

- Nie chcę, żebyś się zbliżał do tego domu, rozumiesz? Ty...  
- Kim jest „ono”? - spytał Saldana Skylara.  
- Nie wiem. Ale miałem sen ze starym Chińczykiem, tym co mnie porwał. I śniłem o tym facecie Williamsie, a potem byłem w ciemnym miejscu i to było naprawdę duże... to... - Jolene zobaczyła, jak przez twarz syna przebiegł cień strachu... - mówiło do mnie i powiedziało, że jedyny sposób, żeby to wszystko powstrzymać, to zniszczyć dom.

- To „wszystko”? Jakie „wszystko”?  
- Nie wiem. Chyba chodzi o te wszystkie sprawy, jakimi się panowie tu zajmują. Te wszystkie sprawy, jakie macie powstrzymać.

Agenci wymienili spojrzenia.

- On musi z nami iść - stwierdził Saldana.
- Nie, nie pójdzie - sprzeciwiła się Jolene.
- Pójdzie z nami.

## 32

### W WAGONIE PASAŻERSKIM

Tutaj wewnątrz czas był niesprecyzowany. Obiektywnie rzecz biorąc, Dennis wiedział, że jeśli rzeczywiście jadą pociągiem, dotarcie do miejsca przeznaczenia powinno zająć najwyżej dzień. Ale czasami miał wrażenie, jakby przebywał tam już ponad tydzień, a czasami wydawało się, że minęło jedynie kilka godzin.

Nie zatrzymywali się, przynajmniej on nic o tym nie wiedział, ale od czasu do czasu do wagonu pasażerskiego przychodzili inni ludzie. Ludzie tacy jak on. Żyjący. Chińczycy. Wydawali się równie zdezorientowani jak on po wejściu

do pociągu i, tak jak w jego przypadku, widmowy mężczyzna siadał obok każdego z nich i wszystko wyjaśniał, pokazywał im sceny za czernią okien.

Potem nowiejusze siadywali przy nim, przyciągnięci jego ciepłem albo odepchnięci zimnem innych.

Dennis wiedział, że to co się działo, było złe. Przyznawał, że istniała przyczyna tej wściekłości, sam nawet odczuwał odrobinę wściekłości. Żądza zemsty była zrozumiała, a w tych okolicznościach może nawet usprawiedliwiona, ale dwie złe rzeczy nie czynią dobra i bez względu na to, co twierdzą różne religie, za grzechy ojców dzieci nie powinny cierpieć.

Nie wszyscy się z tym zgadzali. Jednym z jego towarzyszy podróży był profesor college'u w Denver, innym - gospodyni domowa z Oregonu, która przypominała mu mamę. Oboje uważali, że odwet jest całkowicie na miejscu. Powiedziano im i pokazano te same rzeczy, co jemu, ale oni chyba wiedzieli o nich wcześniej. Podobnie jak starzec, którego widział na cmentarzu w Selby, praktykowali rytuały odziedziczone po swoich ojcach i dziadkach, wiejskie rytuały, których celem było doprowadzenie do tego, czego obecnie doświadczali - do zmartwychwstania umarłych. Ich rodacy zostali tragicznie skrzywdzeni, mówił profesor, nie tylko wykorzystani, lecz zamordowani z powodu swej narodowości, i ci, którzy umarli, zasługiwali na szansę, by oddać cios społeczeństwu, które sprzyjało tamtej nienawiści. Każda kara, którą można wymierzyć, była zasłużona. Dennis zdecydowanie się nie zgadzał i myślał, że to może kwestia pokoleniowa, a może on uważał się bardziej za Amerykanina niż za Chińczyka. Odczuł ulgę, kiedy inny młody mężczyzna - student medycyny z Las Vegas - wydawał się równie niedoinformowany i przerażony jak on.

Dziwne było to, że nikt - z nim łącznie - nie panikował z powodu tego, że jedzie widmowym pociągiem. Zastanawiał się, czy inni doświadczyli tego samego podświadomego nacisku, który zmusił go do wyprawy na zachód, który prowadził go ze stanu do stanu, z miasta do miasta i w końcu przywiódł tutaj. Zastanawiał się, czy oni też traktowali tę mroczną przejażdżkę jako logiczną kontynuację podróży, którą wcześniej odbyli.

W pewnym momencie pociąg dojedzie do swojego miejsca przeznaczenia. Prawdopodobnie wkrótce. Nie był do końca pewien, co się tam wydarzy - w zasadzie wiedział co, chociaż nie wiedział jak - ale zdawał sobie sprawę, że musi znaleźć jakiś sposób, by temu przeszkodzić.

Pomyślał o tym, co widział przez okna. Armia rdzennych Amerykanów czekała na nich w Promontory Point. Pierwotnie zjednoczeni przeciwko białemu społeczeństwu, które wykorzystywało obie nacje, rdzenni Amerykanie w ciągu pokoleń ze sprzymierzeńców stali się wrogami ze względu na nieokleślaną nienawiść wobec Chińczyków. Dennis nie miał pojęcia, jak mężczyźni z indiańskich plemion odkryli, że wydarzy się to w Point, w miejscu palenia zwłok czy co tam było powodem ich zgromadzenia; wiedział tylko, że jeśli im się nie uda, umarli będą mieli wolną rękę i nikt nie będzie bezpieczny. Nie mógł do tego dopuścić. Na seminarium z etyki - uczęszczał na nie przez semestr, zanim zrezygnował z college'u - bez końca dyskutowano, czy powstrzymanie się od działania to nadal wybór i czy wybór niesprzeciwiania się złu czyni kogoś współsprawcą zła. Wszyscy zaklinali się, że jeśli mieliby okazję, stawiliby opór złu, bez względu na osobiste konsekwencje.

Teraz właśnie miał okazję, by działać, tak jak obiecywał.

Gdyby tylko mógł wymyślić sposób.

Żałował, że nie było tu Cathy. Jego siostra, choć młoda, była bystra i myślała praktycznie.

Powodowany impulsem spróbował do niej zadzwonić, ale komórka nawet się nie włączała. Nie miała światła ani sygnału. Przycisnął twarz do okna. Po drugiej stronie szyby nie odgrywały się już żadne sceny historyczne. Był tam tylko mrok.

- Dennis.

Podniósł wzrok na Malcolma, studenta medycyny.

- Tak?

- Czy sądzisz, że to wszystko prawda?

Dennis skinął głową. Tak sądził. Historia Chińczyków w Ameryce, podobnie jak historia wszystkich innych mniejszości, wyglądała nieciekawie. Odkrycie, że potoczyła się nawet gorzej i bardziej brutalnie, niż mu się wydawało, nie było specjalnym wstrząsem.

- Ale jednak nie jest to warte odwetu?

- Na ludziach, którzy nie mieli z tym nic wspólnego i nawet nie wiedzą, co się wydarzyło? Nie. - Nachmurzył się. - Czemu pytasz? Czyżbyś zmienił zdanie?

- Nie. Wcale nie. Chodzi tylko... Czemu tu jesteśmy? Czego od nas chcą? Co my do tego wnosimy? Wiesz, o czym mówię? Musi być jakiś powód. Ale jaki?

- Nie wiem - przyznał Dennis.

- Niepokoi mnie to - oznajmił Malcolm.



Denis skinął głową.

- Tak. Mnie też.

## 33

### PROMONTORY POINT, UTAH

Najbardziej zdziwiła Angelę skala tego zgromadzenia. Przekaz telewizyjny nie oddawał tego w pełni. W telewizji wyglądało to jak widownia na przeciętnym meczu futbolu. Ale patrząc z jadącego samochodu, miało się wrażenie, że ci wszyscy ludzie wypełniliby pięć lub sześć stadionów. Widok imponował, lecz również wywoływał ciarki na plecach. Tyle osób równocześnie w niewytłumaczalny sposób porzuciło nagle swoje codzienne życie i przyjechało tu, korzystając z wszelkich możliwych środków transportu. Ten fakt napawał ją przerażeniem i poruszał do głębi. Jeśli jakaś siła potrafiła zawezwać tysiące ludzi z tak wielkiego terytorium, to nie było nadziei, że ją pokonają. Równie dobrze mogli zawrócić i uciec stąd jak najdalej.

Samochód zbliżał się do skraju zgromadzenia. Brązowy znak przy drodze wskazywał: „Historyczne miejsce - Złoty Szyniak”. Gdzieś pośrodku tej rzeszy znajdowały się centrum informacyjne dla turystów, parking i drogi, ale w nieuporządkowanym tłumie zmieniała się topografia terenu. Angela nie potrafiła określić, gdzie są poszczególne obiekty.

Derek stanął obok furgonetki stacji CNN. Z dachu wystawała antena satelitarna na długim maszcie, górując nad zgromadzeniem. Z otwartych środkowych drzwi wychodziły wiązki kabli i ginęły wśród ludzi.

- Pociągu tu nie ma - stwierdził Derek.

- Na razie - odparła z naciskiem, ponieważ była pewna, że pociąg się pojawi. I to wkrótce. Nie wiedziała, dlaczego się spóźnia ani jaką trasą podąży, ale miała głębokie przekonanie, że lokomotywa wioząca umarłych przyjedzie. Tu zmierzała, tu był jej cel podróży.

Angela odpięła pas i wysiadła z samochodu. Po wielu godzinach spędzonych w tej samej pozycji miała skurcze w nogach. Z radością się przeciągnęła, szczęśliwa, że znów odzyskała swobodę ruchów. Gdy Derek, jego matka i brat wychodzili z auta, podeszła do furgonetki CNN z nadzieją, że czegoś się dowie.

Wetknęła głowę przez otwarte drzwi i zobaczyła rzędy urządzeń elektronicznych oraz sześć małych ekranów telewizyjnych pokazujących sześć różnych ujęć tłumu. Wewnątrz nie było nikogo. Przesuwała wzrokiem z jednego ekranu na drugi, szukając jakiejś wskazówki, odpowiedzi, gdzie należy iść i co robić, ale widziała tylko biwaki i kłębiącą się falę ludzi.

- Pomóc pani w czymś? - dobiegło ją pytanie zza pleców.

Wyciągnęła głowę z furgonetki i zobaczyła krótko ostrzyżonego mężczyznę zaledwie parę lat starszego od niej. Trzymał kamerę i zwój kabli.

- Eee - zająknęła się zaskoczona. - Tak sobie pomyślałam, że... eee... nie. Przepraszam. - Odsunęła się, by przepuścić mężczyznę do furgonetki.

- Co teraz? - Derek podszedł do niej.

- Nie wiem - stwierdziła Angela.

- To już bardzo blisko. Jeśli ten pociąg tu wjedzie, jeśli zombi wyjdą i pleśń zacznie zarażać ludzi? - Pokręcił głową. - Błyskawicznie się rozprze-strzeni.

To samo pomyślała, ale nie miała pojęcia, co robić, by temu zapobiec. Czowała się bezradna, słaba, beзуżyteczna.

- Może powinniśmy stąd odjechać - zasugerowała matka Dereka.

- Tak. - Steve, brat Dereka, nerwowo skinął głową.

- Nie - powiedzieli Angela z Derekiem jednocześnie.

Spojrzeni na siebie z uśmiechem. Gdzie jest humor, tam jest nadzieja, pomyślała Angela. Zastanawiała się, co teraz robią jej rodzice i jak by zareagowali, gdyby wiedzieli, gdzie jest ich córka i w jakim celu tam przyjechała. Od dwóch dni z nimi nie rozmawiała. Znała ich - na pewno myślą, że została porwana, i dzwonią na posterunek policji we Flagstaff, żeby wysłano grupę poszukiwawczą.

Słońce chyliło się ku zachodowi.

- Co robimy ze spaniem? - spytała. - Raczej nie znajdziemy tu hotelu.

- Przypuszczam, że nie znajdziemy tu nawet ubikacji - zauważył Steve.

Derek wzruszył ramionami.

- Prześpijmy się w samochodzie.

Ochłodziło się.

Angela rozejrzała się wśród zgromadzonych Indian. Widziała samych mężczyzn. Starych i młodych, grubych i chudych, obciętych na jeża i z końskimi ogonami. Mieli jedną cechę wspólną - zupełnie się nawzajem ignorowali.

Brakowało ducha wspólnoty, obecnego zwykle podczas dużych zlotów jak koncerty czy mecze futbolu. Tak jakby tysiące indywidualnych osób nie mających ze sobą zupełnie nic wspólnego, nieinteresujących się sobą przypadkowo znalazło się w jednym miejscu o jednej porze.

Wśród stłoczonych ciał dostrzegła szyny kolejowe.

Przyjedzie, pomyślała. Będzie tu dziś wieczorem.

Nic nie powiedziała do Dereka, ale gdy wziął ją za rękę, ścisnęła mu mocno dłoń, mając nadzieję, że w ten sposób opanuje drżenie.

Drugi dzień mijał powoli. Zabrakło im tematów do rozmowy, a ich sąsiedzi nie wykazywali ochoty do dyskusji, więc siedzieli w milczeniu i czekali. Henry żałował, że nie wziął niczego do czytania. Nikt z jego znajomych też nie takiego nie miał. Henry mógłby porozmawiać z dziennikarzami, przekazać informacje telewizji. Musiał jednak mieć na względzie swoją wiarygodność zawodową - kiedyś przecież to wszystko się skończy i trzeba będzie wrócić do pracy. Około południa trochę pospacerował, badając okolicę i bezskutecznie próbując nawiązać rozmowę z innymi. Wrócił na swoje miejsce zgrzany, znużony i sfrustrowany.

Ściągnęli tu różni ciekawscy, maniacy spiskowych teorii i matoly od New Age, zwabieni informacjami w wiadomościach telewizyjnych, którzy chcieli wszystko zobaczyć na własne oczy.

- Zostaną zaskoczeni - powiedział Wes po prostu.

Skinęli głowami.

Po zachodzie słońca ochłodziło się. Cienie wydłużyły się i zmieszaly z mrokiem, gdy zmierzch przeszedł w noc.

Henry miał dużo czasu, żeby wszystko przemyśleć, zastanowić się nad tym, czego się dowiedział i co mu powiedziano. Wydawało mu się, że od samego początku Indian łączył symbiotyczny związek z Chińczykami, ofiarami masakr. Obie grupy były wykorzystywane przez białych ludzi i przez kolej, więc ich interesy były zbieżne, obie grupy pragnęły dokonać zemsty na swoich prześladowcach. Chińczycy przejęli nawet dla własnych celów pewne elementy indiańskich wierzeń. Henry przypomniał sobie, jak pierwszy raz śnił o bliźniaczkach i widział ich cienie. Kobiety objawiały się powoli, uwodziły go. On nic o nich nie wiedział, uważał je za całkowicie obce i budzące strach, cienie natomiast od samego początku działały tak, jakby jego kapitulacja była nieunikniona, więcej - z góry przesądzona. Teraz rozumiał, że cienie

nabierały siły przez ponad sto lat i że początkowo odbywało się to za przyzwoleniem szamanów albo wodzów, a może nawet samych Indian. Ale lata mijały i wiedza o takim przymierzu zaginęła, została zapomniana, a współczesne pokolenie nie chciało być wykorzystane oraz odrzucało myśl, że ofiary masakr mogłyby zmartwychwstać. Przeszłość należało zostawić w spokoju. Zła nie można pomścić - można je jedynie naprawić.

Gdzieś z nocnych ciemności dobiegł odgłos jadącego pociągu.

Henry'emu stanęły włoski na karku i ramionach. Żałobny dźwięk gwizdka był mu znajomy, ale brzmiał teraz pełniej, miał w sobie coś upiornego, oddziaływał na zmysły znacznie głębiej. Stojący wokół ludzie zaczęli się niespokojnie kręcić. Twarze im pobladły, w oczach pojawił się strach.

Pociąg nadjeżdżał.

Ziemia drżała, gdy się zbliżał. Powietrze zmieniało się, stawało się to cieplejsze, to chłodniejsze, napierało, a potem się cofało; jednak nie był to wiatr i nawet delikatne włosy na czubku głowy Henry'ego nie poruszały się pod wpływem przemieszczających się wielkich mas powietrza. Nie wiedział, z której strony pociąg nadjeżdża i gdzie się w końcu zatrzyma. Wiedział tylko, że to koniec czekania.

Znów usłyszał gwizd, który tym razem przypominał wołanie bestii.

Koła na szynach powodowały potworny huk.

Wtedy go zobaczyli. Ze wschodnich obrzeży równiny wyłoniła się potężna ciemna sylwetka, pędząca po szynach w ich kierunku i jak czarna dziura zasysająca z otoczenia światło księżyca, gwiazd, latarek i latarni. Wyglądała jak pociąg.

Wyglądała jak pociąg.

Ale nim nie była.

Kiedy potężny obiekt podjechał bliżej, Henry zobaczył, że jest stworzony z wiercących się ciał, setek ciał powyginanych w niesamowity sposób jak elementy układanki i pokrytych czymś, co przypominało czarną pleśń. Ludzie znajdujący się w pobliżu torów zaczęli się nerwowo cofać, zostawiając swoje namioty, samochody, turystyczne łódki i krzesła. Usiłowali jak najdalej uciec z drogi nacierającej maszynie.

Henry nie widział wprawdzie twarzy poskręcanych ciał, ale wiedział, że to Chińczycy. To oni zbudowali tory i teraz je wykorzystywali, z całego kraju zebrali ofiary i przywieźli je tu, na miejsce ich największego triumfu i największej tragedii.

Olbrzymi czarny kształt nie hamował, nie zwalniał, nie wytracał stopniowo prędkości. Nie musiał stosować się do klasycznych praw fizyki. Nagle po

prostu zatrzymał się w miejscu. Nie rozległy się żadne dźwięki, jakich można by oczekiwać, gdyby to był prawdziwy pociąg - para nie syczała, części mechaniczne nie szczękały. Stał pośród tłumu, zamarł złowieszczy i cichy.

Ciała nie poruszały się już. Choć podczas jazdy stale się wierciły, wydawały się niemal żywe, to teraz były zdecydowanie martwe. Oczy miały zamknięte, a gruba warstwa czarnej pleśni spajała je w jeden kokon.

Ekipy telewizyjne zaczęły coś wykrzykiwać, nawoływać się, przenosić sprzęt. Dziennikarze przedzieraali się przez tłum w pobliże pociągu.

A raczej pociągów.

Ponieważ z przeciwnego kierunku nadjechał drugi pociąg. Ten był cichym cieniem i Henry zadrżał, obserwując jego jedwabisty ruch po szynach. Natychmiast skojarzył to z bliźniaczkami. Może ten nadzwyczaj duży pojazd przypominał obiekt mechaniczny, ale - choć to wydawało się niedorzeczne - miał w sobie coś zmysłowego, uwodzicielskiego.

Oba pociągi zderzyły się, dotknęły.

Henry i inni Papagowie nie starali się podejść bliżej. Większość osób na skraju zgromadzenia została na swoich miejscach, a ludzie najbliżej torów wycofywali się jak najdalej. Tylko ekipy telewizyjne i podekscytowani turyści ruszyli w stronę pociągów, nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji. Z niebezpieczeństwa.

Henry zauważył, że wszyscy ci ludzie byli biali.

*Byli wrogami.*

Jakby na sygnał pojawili się inni, momentalnie. Nie wyłonili się z pociągów, nie zlecieli z nieba, nie wychynęli z ziemi. Ruszyli w tłum na polowanie. Henry nie wiedział, kim są, ale to były istoty odpowiedzialne za zabójstwa, za śmierć, za zgładzenie Laurie Chambers i Raya Danielsa. Nie mieli określonego kształtu i wydawało się, że są uformowani z grzybni i pazurów. Nie miał pewności, w jaki sposób się poruszali - toczyli się, a równocześnie truchtały. Bał się ich i instynktownie wycofał się do swojego pikapa. Serce mu waliło jak młotem, jakby chciało rozerwać pierś.

Jeden ze stworów sięgnął po młodego mężczyznę i jego towarzyszkę, studentów college'u. Dziewczyna miała drogi aparat fotograficzny z teleobiektywem, a chłopak - kamerę wielkości dłoni. Robili zdjęcia do studenckiej gazety lub dla uniwersyteckiej telewizji albo na zajęcia dziennikarskie na uczelni

lub prywatnie, a może mieli nadzieję, że sprzedadzą materiały dokumentalne jakiejś agencji informacyjnej i dostaną za to trochę pieniędzy.

Stwór odciął im głowy.

Stało się to w jednej chwili, nawet nie zdążyli krzyknąć. Bezkształtna plama grzybni z ostrymi pazurami gwałtownie zaatakowała i jednym szybkim ruchem odcięła kark chłopaka, a potem dziewczyny. Oba ciała wykonały dodatkowy krok, a potem zderzyły się ze sobą i padły. Krew tryskała z przeciętych żył, a głowy spadły na ziemię. Ludzie obserwujący to z bliska zaczęli wrzeszczeć, gdy bryzgała na nich krew.

Henry poczuł, jak o plecy ociera mu się zimna jak lód maź. Przeszła przez grubą koszulę, jakby nie miał nic na plecach. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że to gigantyczna ostryga ślizga się po jego skórze. Odwrócił się i zobaczył, że jeden z tych stworów przechodzi tuż obok niego. Nawet z bliska nie widział w ciemnościach żadnych szczegółów, tylko nieostry zarys pleśni i wystające gdzieniegdzie ostre pazury. Odbiegł szybko i stanął jak wryty, bojąc się poruszyć. Jego sąsiedzi zrobili to samo, przeczekali, aż potwór zniknie w tłumie, w ciemności.

Henry się cofał.

Stwory były wszędzie, atakowały turystów, dziennikarzy, kamerzystów i obsługę techniczną ekip telewizyjnych. Czarne postaci szły przez tłum, zostawiając za sobą poucinane ręce, rozdarte brzuchy, porozrywanych ludzi. Może to dziwne, ale Henry uświadomił sobie realność całej sytuacji wtedy, gdy zobaczył, jak zabijani są ludzie sławni. Zarówno sieć NBC, jak i CNN ściągnęły na miejsce znanych korespondentów telewizyjnych. Widział, jak w makabryczny sposób umierają kobiety i mężczyźni, których wielokrotnie przy kolacji oglądał w telewizji. Niezliczoną ilość razy przekazywali relacje z niebezpiecznych wydarzeń. Teraz ginęli i Henry uświadomił sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Tymczasem Indianie z różnych plemion pozostawali nietknięci.

To nie było fair i choć sam należał do tych, którzy uniknęli śmierci, widział w tym niesprawiedliwość i czuł wyrzuty sumienia.

Należało to powstrzymać.

Spojrzał na Wesa, Milтона, Antonia i Jacka. Stali w pobliżu grupy Pimów i byli oszołomieni, pełni odrazy i zawstydzeni jak on.

A ciągle nadjeżdżały nowe pociągi.

Powietrze znów się poruszało. Jak poprzednio nie był to wiatr, lecz przemieszczenie mas powietrza. Po morderczych atakach w tłumie zapanował chaos, który jeszcze się powiększył, gdy ocaleni zaczęli biegać w kółko, usiłując

przewidzieć, z której strony nadjedzie kolejna lokomotywa. Tory kolejowe wyskakiwały im spod nóg, wznosiły się z twardej ziemi; powstała niesamowita krzyżująca się sieć, rozciągająca się we wszystkich kierunkach. Henry omal nie upadł, gdy szyny i podkłady wychynęły z gruntu. Jak szalony rozglądał się dokoła, żeby się upewnić, czy nic na niego nie naciera.

Ciemne stwory, dokonujące morderstw w tłumie, zniknęły, choć prawdopodobnie tylko przeniosły się w inny rejon olbrzymiego zgromadzenia. Henry stał na lekkim wzniesieniu i ze swojego miejsca miał widok na niezwykle tory kolejowe. Było wprawdzie ciemno, ale miał wrażenie, że niektóre stwory stapiają się z pociągiem jadącym na wschód, tym pociągiem-cieniem; nie wchodziły do niego, lecz były wchłaniane przez lokomotywę, stawały się jej częścią.

A pociąg stawał się ciemniejszy, bardziej wyrazisty.

Od południa dobiegły inne krzyki - nadjeżdżała następna lokomotywa, pruła po torach, które się niedawno wyłoniły. Rozjeżdżała martwe ciała i przeganiała daleko na bok innych ludzi. Choć wyglądała konkretnie, namacalnie, nie wydawała żadnego dźwięku i z jej komina buchał dym, Henry zauważył, że skomponowany jest z cieni, tych uwodzicielskich cieni, które gwałciły jego lud.

Jego lud.

Jak szybko zaczął się identyfikować z plemieniem Papago, po tylu latach, po dziesięcioleciach, gdy uważał się za osobę rasy kaukaskiej, a opowieści ojca uznawał wyłącznie za zmyślenie i plotkę.

Gdy przejeżdżał moloch cuchnący siarką i śmiercią, Henry poczuł podmuch gorącego wiatru. Smagnęły go długie włosy stojącego w pobliżu mężczyzny, a jego własne, krótkie, zafalowały boleśnie. Zobaczył krew i strzępki ciała na zderzakach z przodu maszyny oraz na kołach. Z okien wagonów pasażerskich wyglądały trupie oblicza i czaszki dawno umarłych osób.

Z północy nadjechał czwarty pociąg pozornie zwyczajniejszy od poprzednich, choć z tak znacznej odległości Henry nie mógł tego dokładnie określić. Wydawał dźwięki jak tradycyjna lokomotywa, ale jechał po szynach należących do nowo wyłonionej sieci, więc nie mógł być zwyczajny. Podobnie jak tamte pociągi, ten też pędził w tłum i na samotnie stojące osoby, zmierzając prosto do serca Promontory Point - do miejsca, gdzie wbito złoty szyniak.

Tak jak w 1869 roku, gdy spotkały się linie ze wschodu i z zachodu i narodziła się kolej transkontynentalna, dwa pociągi spotkały się czołowo na

oryginalnych torach wschód-zachód. Obserwował to wielki tłum ludzi. Tym razem jednak inna para pociągów - z północy i z południa - spotkała się na nowo wyłonionych torach. Widok był niesamowity, przerażający. Cztery lokomotywy wyglądały jak gigantyczne stworzenia odbywające naradę i Henry uznał, że tak właśnie było. Nie były to przecież zwykłe pojazdy przewożące pasażerów - były to samodzielne, stworzone w określonym celu jednostki, do których dołączyły trupy, cienie, duchy, pleśń oraz inne elementy i razem się zintegrowały. Henry nie miał pojęcia, co dalej się stanie, ale łatwo mógł sobie wyobrazić, że cztery pociągi się połączą, tworząc nadnaturalną siłę, zdolną przemierzać cały kraj w niekończącej się pogoni za zemstą.

Ziemia znów zadrżała. Żaden pociąg nie jechał, ale ruch odbywał się pod ziemią, jakby coś próbowało się wydostać na powierzchnię. Henry wyobraził sobie wynurzającą się z ziemi armię zewłoków, których twarze zamarły w wyrazie wściekłości i nienawiści.

Poczuł dym i żar, choć nie miał pewności, czy pochodziły z ziemi czy z lokomotywy.

Właśnie. Po to tu przyjechali, szamani to przepowiedzieli. Teraz musieli zająć stanowisko, sprzymierzyć się przeciw pociągom i zaborczej śmierci, odzyskać swoją siłę przywłaszczoną przez Chińczyków. Przez tłum przeszedł dreszcz. Tylko że nie był to w zasadzie dreszcz, ale raczej kolektywne przesunięcie, synchroniczny ruch przenikający z jednego krańca tłumy na drugi.

Henry poczuł, jak Wes chwyta go za rękę, ten z kolei wyciągnął dłoń do Milтона, który podał rękę Antoniowi, a on...

Rozprzestrzeniało się to falą i Henry obserwował tych wyeliminowanych mężczyzn, którzy dotychczas opierali się wszelkim próbom wciągnięcia ich do wspólnoty, jak teraz włączali się w ludzki łańcuch i łączyli za pomocą dotyku, zespalając się ze wszystkimi ludźmi, którzy odbyli pielgrzymkę do tego historycznego miejsca. Właśnie po to tu byli. Stojąc między dwoma mężczyznami, trzymając ich za ręce, Henry czuł spokój, ukojenie, które promieniowało przez niego, jakby przewodzone przez trzymające go dłonie. To podnosiło na duchu i równocześnie miało w sobie oczyszczającą siłę.

Teraz rozbrzmiała pieśń. Nie rozpoznawał słów, nie znał ich, ale włączył się do chóru, powtarzając po prostu sylaby. Początkowo robił to z wahaniem, lecz wkrótce głośniej, z większą siłą i pewnością. Inni ludzie też na ogół nie znali słów i Henry zastanawiał się, które plemię indiańskie zaintonowało tę



pieśń. Miał dziwne wrażenie, że nie pochodziła od konkretnego plemienia, a słowa zostały zaczerpnięte z języka znanego tylko szamanom. I gdy to zrozumiał, zaczął wymawiać słowa z większym naciskiem, przekonany, że w ten sposób przyda im mocy.

Ukojenie zmieniło się teraz w energię, która również była przekazywana za pośrednictwem rak. Przekazywana i wzmacniana. Nagle poczuł w sobie pragnienie, konieczność stawienia czoła pociągom i temu, co się za nimi kryło.

Nadszedł czas, by stawić opór.

## 34

### W POCIĄGU PASAŻERSKIM

**P**ociąg szarpnął.

Zatrzymał się kilka sekund wcześniej i choć Dennis nadal nic nie widział przez okno, mrok zdawał się nieco rzadszy, jakby świat zewnętrzny doganiał ich i stopniowo się wyostrzał. Szarpnięcie było dziwne, gwałtowne i stanowczo niezaplanowane. Nawet dwoje duchów rzuciło do przodu, a na ich twarzach, poprzednio pozbawionych wyrazu, malowała się teraz dezorientacja. Nie stawali się bardziej cieleśni, jak zaplanowano, przeciwnie - wydawało się, że mają mniej substancji i najwyraźniej nie spodziewano się tego.

Dennis wstał, Malcolm też, ale stać było trudno. W wagonie kolejowym coś się zmieniło. Był mniej solidny, słabszy. Jeśli wcześniej byli otuleni materią pociągu niczym kokonem, teraz ten kokon puszczał, kurczył się, zacieśniał wokół nich, więząc ich w środku.

Następne gwałtowne szarpnięcie. Jakby uderzono ich z tyłu. Martwi, którzy ich otaczali, zamigotali niczym żarówki, pojawiając się i znikając.

Dennis wiedział, że muszą wysiąść teraz albo nie wysiądą w ogóle. Nawet profesor z Denver i niektórzy ludzie pragnący zemsty obecnie byli przestraszeni i zdecydowani opuścić pociąg. Martwi pozostali na miejscu, nieruchomi, ich twarze zdradzały odczuwany teraz przez nich lęk. Wszyscy żywi szli przejściem między ławkami ku wyjściu. Powietrze wydawało się niezwykle gęste i Dennis miał wrażenie, że przedziera się przez wodę. Dotknął przypadkowo oparcia jednego z siedzeń - odniósł wrażenie, jakby dotknął włochatej

mazi i przeszył go dreszcz obrzydzenia. Od tego czasu trzymał ręce przy sobie.

Doszedł do drzwi i próbował je otworzyć, ale dźwignia, którą naciskał dłonią, nie zachowała swego kształtu ani funkcji i przelewała mu się przez palce niczym zgnięta czarna żelatyna. Krzyknął z zaskoczenia i obrzydzenia, strząsnął porcję mazi na ziemię, resztę wytarł o spódnie; ręką tarł nerwowo o materiał, aż był pewien, że dokładnie usunął maź.

Malcolm przeszedł przez łącznik do wagonu z przodu, a Dennis wepchnął się przed profesora i podążył za nim.

Tylko że wagonu tam nie było.

Łącznik pozostał taki sam jak wtedy, kiedy wsiedli do pociągu, ale pierwszy wagon pasażerski został zamieniony w coś, co przypominało grotę z pleśni i błota. Ze ścian zerkwały twarze, twarze jakby znajome, które niewątpliwie należały do pasażerów widzianych w pociągu, ale które teraz zamarły w wyrazie bólu. Dennis zdał sobie sprawę, że tak wyglądały twarze w chwili śmierci ludzi, i zrozumiał, że proces, który przywiódł ich do tego punktu, teraz się odwraca. Zmarli wracają do poprzednich kształtów. Jeśli pozostali nie wyjdą w tej chwili, zostaną na zawsze uwięzieni tutaj - czymkolwiek to „tutaj” było.

Malcolm cofnął się. Dennis z profesorem też. Tymczasem gospodyni domowa i programista komputerowy znaleźli sposób na otwarcie drzwi. Śliska breja, która była dźwignią, nadal leżała na podłodze, tam gdzie ją strząsnął, ale drzwi pozostały nietknięte i się rozsuwały. Na zewnątrz widzieli nocne niebo i chyba tysiące ludzi trzymających się za ręce i śpiewających coś na pustynnej równinie.

Promontory Point, pomyślał Dennis.

Tu właśnie to wszystko się zaczęło i tu miało się skończyć.

Zobaczył też inne pociągi, inne koleje, wiozące innych skrzywdzonych, zmasakrowanych, martwych.

Programista i gospodyni domowa zeszli po schodkach na zewnątrz.

Dennis zrobił głęboki wdech i poszedł za ich przykładem.

## BEAR FLATS, KALIFORNIA

Pod dom Williamsa podjechali samochodem agentów FBI. Dwaj agenci, Jolene i Skylar. Matka została w domu, na wypadek gdyby Leslie wróciła. Reflektory ich samochodu oświetliły inne auto zaparkowane na owalnym podjeździe i dwóch identycznie ubranych agentów stojących z Nede Tannem oraz oficerem, którego Jolene nie знаła i który najwyraźniej czekał na ich przybycie.

Jolene wysiadła przez tylne drzwi, mocno trzymając Skylara za rękę. Nie chciała, żeby tu przyjeżdżał, ale zorientowała się, że jest związany z wydarzeniami w jakiś tajemniczy sposób, którego nie rozumiała. Nawet gdyby próbowała go do tego nie dopuszczać, on i tak był w to zaangażowany i oceniła, że dla jego bezpieczeństwa powinna mu towarzyszyć przez cały czas.

Ned uśmiechnął się na powitanie i Jolene skinęła mu głową, przechodząc dalej. Czterej agenci zebrali się przy drugim samochodzie i po krótkiej naradzie się rozdzielili. Saldana najwyraźniej tu dowodził. Podeszedł do komendanta policji.

- Czy ma pan klucz?

Ned podał mu klucz.

- Chciałbym obejrzeć to miejsce, gdzie pani Carter została zabita.

- To było w jednej z sypialni.

- Proszę mi pokazać. - Agent skinął na Jolene i Skylara, dając do zrozumienia, że oni też mają tam iść.

Ned powiedział policjantowi z miejscowego posterunku, żeby został na zewnątrz, gdy reszta wejdzie do domu. Ktoś nacisnął kontakt tuż przy drzwiach, włączając światło. Hol wyglądał tak samo jak dwa dni temu, gdy Jolene i Leslie wróciły tu po dzienniki, ale atmosfera była inna, bardziej osobliwa, złowroga i jawnie groźna, jak tego dnia, gdy Anne May została zamordowana.

I gdy Skylar siedział nagi w piwnicy, pomyślała Jolene.

Nie chciała o tym myśleć.

- Au! - zawołał Skylar. - Ręka mnie boli.

- Przepraszam - powiedziała Jolene. Nie zdawała sobie sprawy, że tak mocno ją ściska.

Ned wchodził po schodach pierwszy. Na ich szczycie panowała ciemność i chyba nikt nie wiedział, gdzie jest włącznik światła. Ned i jeden z agentów szukali czegoś po omacku i Jolene miała nieracjonalną pewność, że obaj zostaną pochłonięci przez mrok i pożarci przez ukrytą tam istotę. Oddychała płytko i starała się zbyt mocno nie ścisnąć ręki syna.

Wreszcie Ned znalazł kontakt i piętro zaala światło. Nikomu nic się nie stało, ale wrażenie panicznego lęku nie ustępowało. Co więcej, narastało, w miarę jak zbliżali się do sypialni. Jolene przypomniała sobie głośny, głuchy łomot, gdy ciało Anne May upadło na podłogę. Z niezwykłą jasnością ciągle widziała zbitą na miążgę twarz kobiety, rany, które jej zadano, ziejące rozcięcia na nogach tak głębokie, że aż widać było białe kości.

- Chyba nie zamykałem tych drzwi - stwierdził Ned, stając przed wejściem do pokoju. Jolene wyczuwała, że on również jest wystraszony.

Pchnął drzwi do sypialni.

Stanęli na progu i zajrzeli do środka, świecąc latarkami. Wnętrze było całkowicie pokryte pleśnią. Trudno określić, czy czarna grzybnia zżarła pokój, czy go przetransformowała, ale nie była to jedynie plama na ścianach. Gruba warstwa, przypominająca futro zwierzęcia, porastała każdy centymetr kwadratowy powierzchni - podłogę, sufit meble - zamazując różnice, wprowadzając jednolitość. Pomieszczenie - dawniej pokój - wyglądało teraz jak jaskinia.

Nie. Nie jaskinia. Brakowało tu naturalnej przypadkowości charakterystycznej dla jaskiń. Te przeobrażone ściany miały w sobie coś mechanicznego i Jolene pomyślała, że to wygląda jak kotłownia lub...

Jak kabina maszynisty w parowozie. Nawet agenci FBI wydawali się zaskoczeni tym widokiem.

- Gdzie leżało ciało? - spytał Saldana.

Komendant wskazał to miejsce. Żaden z nich nawet nie próbował wejść do środka.

Jolene odciągnęła Skylara od drzwi w głąb korytarza. Gdzieś z domu dobiegł cichy stłumiony śmiech, ledwo słyszalny, a jego źródła nie dało się określić. Choć brzmiał jak głęboki męski baryton, w intonacji było coś delikatnie kobiecego i ten kontrast sprawiał, że Jolene poczuła na plecach dreszcz.

- Au! - jęknął Skylar.

- Przepraszam. - Jolene zwolniła uścisk jego ręki.

- Gdzie znaleziono pani syna? - spytał Saldana. - Chcę obejrzeć tę piwnicę.

Zeszli na dół. Żadne z nich nie wspomniało o czarnym pokoju. Jolene stwierdziła, że jest teraz bardziej przerażona niż przedtem. Po tej odrobinie pewności, jaką w niej poprzednio wzbudził autorytet FBI, nie zostało ani śladu. Saldana i jego towarzysz niezbyt wiele się dowiedzieli, zerkając do pokoju, i z pewnością nie udało im się dojść do żadnych wniosków. W obliczu grozy agencji okazali się zatem równie zagubieni jak ona.

Schodzili do piwnicy, ale Jolene i Skylar zatrzymali się u podstawy schodów, na wypadek gdyby musieli szybko uciekać.

Kłapa w podłodze była zamknięta. Ned znów wyraził zdziwienie, ponieważ był ostatnią osobą, która tu była, a kłapę pozostawił otwartą, gdy stąd wychodził poprzedniego dnia po południu.

- To jest to? - Saldana wskazał na kłapę. - Prowadzi tam na dół? - Mówił nieco cichszym niż wcześniej głosem, jakby z szacunkiem dla tego miejsca.

Jolene skinęła tylko głową, nie ufając swemu głosowi.

- I nie ma tu innego wejścia ani wyjścia?

- Żadnego - potwierdził Ned. - Sam sprawdzałem. - Już miał pociągnąć za rączkę kłapy, gdy spod grubej warstwy drewna dobiegło niewyraźne skrobanie, a zaraz potem odgłos uderzających o siebie dwóch kawałków drewna.

Na dole ktoś był.

Agenci FBI i komendant policji równocześnie wyjęli pistolety z kabur. Serce Jolene łomotało tak głośno, że dudnienie w uszach zagłuszało wszystko. Cofnęła się, trzymając syna mocno za rękę, i powoli wchodziła z powrotem na schody. Przed oczami miała obraz tego strasznego niskiego pomieszczenia z ziemną podłogą i półką na książki pośrodku; pamiętała jego zatęchły zapach. To był koszmar w środku dnia, ale w nocy wydawało jej się to czymś najbardziej przerażającym; z niczym podobnym się wcześniej nie zetknęła; niczego straszniejszego nie mogła sobie wyobrazić, a myśl, że Skylar musiał spędzić choćby sekundę samotnie w tym ciemnym upiornym pomieszczeniu, napępiała ją cierpieniem.

Ned i agenci FBI ustawili się wokół kłapy, pistolety w wyciągniętych rękach kierowali na drewniany właz. Saldana skinął na jednego z agentów, by ten pociągnął za rączkę. Mężczyzna miał azjatyckie rysy, co Jolene zauważyła dopiero teraz. Czy jest z pochodzenia Chińczykiem? - zastanawiała się Jolene.

Jak poprzednio kłapa na sprężynowych zawiasach dość łatwo się otworzyła i przez chwilę Jolene dostrzegła szczyt prymitywnych schodków.

Wtedy zniknął ten agent.

Nie potrafiła określić, czy spadł w otwór, czy został tam wciągnięty. Wiedziała tylko, że w jednej sekundzie stał obok Saldany, a w następnej spadał w czerń z krótkim okrzykiem zdziwienia.

Kłapa zamknęła się z trzaskiem.

Krzyk słycać było nadal.

Stawał się coraz okropniej szy.

Jolene szarpnęła syna za rękę i pociągnęła go w górę schodów. Musieli stąd uciekać. Natychmiast.

- Musimy zniszczyć dom!

Zatrzymała się. Skylar powiedział to głośno, tonem tak zdecydowanym, tak innym od typowego dla niego spokojnego tonu, że przez krótką chwilę pomyślała, że chyba jest opętany i coś obcego przez niego przemawia. Ale gdy spojrzała w dół na jego twarz, na którą padało światło z góry z kuchni, widziała własnego syna i choć jego oblicze wyrażało determinację znacznie silniejszą niż zwykle, to na pewno była to jego własna determinacja.

W głosie chłopca brzmiało rozdrażnienie, jakby z góry wiedział, że dorośli nie potraktują go poważnie, ponieważ jest dzieckiem. Powtórzył jednak z tą samą siłą:

- Wiercie mi. Wiem, co musimy zrobić.

- Nie możemy... - zaczął Saldana, cały czas wpatrując się w zamkniętą kłapę.

- To jedyny sposób, żeby to powstrzymać!

Stłumiony śmiech dobiegł z niższej piwnicy, głębokie, złe rechotanie, któremu towarzyszył dziwny lepki odgłos, którego Jolene nie potrafiła zidentyfikować. Krzyki ustały.

- Musimy zniszczyć dom! - Głos Skylara brzmiał teraz bardziej płaczliwie niż władczo. - Musimy go spalić!

Jolene pociągnęła syna do kuchni. Nie obchodziło jej, co robią pozostali, bo ona zamierzała zabrać swoje dziecko i wynieść się z tego przekłętą budynku.

We dwójkę pognali przez kuchnię do holu na parterze, potem przez przedsiónek na dwór.

- Jolene! Skylar!

To głos matki.

Jolene ciągnęła syna w dół po schodach i na podjazd. Mrużyła oczy przed reflektorami samochodu patrolowego - dostrzegła matkę i Leslie. Przyjechały tu toyotą Leslie i teraz machały do nich.

- Jolene! - zawołała Leslie głosem pełnym ulgi.
- Czy wszystko w porządku, proszę pani? - spytał policjant, którego pozostawiono na dworze.

Jolene nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc nic nie odrzekła. Nadal biegła.

- Skylar! - Babcia wzięła chłopca w ramiona i mocno go przytuliła.

Wyrwał się z uścisku.

- Musimy zniszczyć dom! - powtórzył tonem najwyższej frustracji. Niemal płakał. - To jedyny sposób! Musimy!

- On ma rację. On to wie.

Jolene spojrzała na matkę. Czy to ta sama kobieta, która ze złością twierdziła, że jej córka i wnuk niczego nie mogli widzieć za oknem? Jak w tak krótkim czasie mogła zmienić zdanie? A przecież nawet nie widziała, co znaleziono w tym domu. Jolene nie narzekała, po prostu nie rozumiała. Kochała syna, ale nie zdołał jej przekonać aż do tej chwili.

Leslie otworzyła bagażnik. W środku były kupa szmat i pudło whisky, najwyraźniej przywiezione z restauracji.

- Możemy zrobić koktajle Mołotowa.

A więc Leslie też była przekonana.

- Komendancie! - krzyknął policjant.

Jolene spojrzała na dom - z frontowych drzwi wyłonił się Ned pobity i krwawiący, w porwanym ubraniu.

Był sam.

Zataczał się na schodach ganku. By nie stracić równowagi, oparł się o słupki. Policjant pośpieszył mu z pomocą. Za Nedom nikt z domu nie wyszedł. Jolene nie musiała pytać; wiedziała, że czterej agenci FBI nie żyją.

- Zostań tu! - poleciła synowi i rzuciła się na pomoc. W połowie drogi do ganku zmieniła zdanie i biegiem wróciła. - Trzymajmy się razem! - Chwyliła Skylara za nadgarstek, a ponieważ chłopiec już trzymał rękę babci, Leslie do nich dołączyła i we trójkę podeszli do samochodu patrolowego. Wewnątrz domu światła co chwila przygasaly i się zapalały.

- Nic panu nie jest? - spytała Jolene komendanta.

- Nie przeżyli. - Oczy miał pełne wielkiego bólu.

- Musimy zniszczyć dom! - krzyknął Skylar.

- On ma rację. - Ned ciężko dyszał.

- Przywiozłam zapalniczkę, szmaty i butelki alkoholu - powiedziała Leslie.

Zdawała sobie sprawę, że to, co proponuje, jest bezprawne, że to zwyczajne

podpalenie. Podpalenie z premedytacją. Rzuciła spojrzenie komendantowi i jego podwładnemu.

- W takim razie spalmy to miejsce - zdecydował Ned.

Komendant był poważnie ranny i cierpiał z bólu, ale zebrał siły i pokuśtykał do toyoty Leslie. Zajrzał do otwartego bagażnika i z aprobatą skinął głową.

- Joe - zwrócił się do podwładnego - w naszym bagażniku jest prawie dwadzieścia litrów benzyny w zapasowych kanistrach. Wyjmij je.

Policjant pośpieszył wykonać rozkaz. Ned próbował podnieść karton z butelkami, ale nie zdołał, więc uczyniła to Leslie.

- Zanieś to Joemu. Ustawcie butelki przed gankiem. Ja wezmę trochę szmat. Musimy mieć jakiś zapalnik. Najpierw oblejemy dom, potem go podpalimy.

Jolene zastanawiała się, co się stanie, kiedy to wszystko się skończy. O ile w ogóle się skończy! Czterech zamordowanych agentów FBI w domu, który spłonął, bo został podpalony. Policja w Bear Flats, kierowana przez Neda Tannera, może nie dojść do żadnych wniosków, ale ponieważ chodzi o federalnych, Jolene podejrzewała, że zostanie przeprowadzone zewnętrzne śledztwo w sprawie ich śmierci.

Teraz nie mogą sobie tym zaprzętać głowy. Najważniejsze to zniszczyć dom.

Wraz z matką i Skylarem obserwowała, jak Joe przenosi kanistry, a Leslie odkręca kapsle butelek. Działali szybko. Instruowany przez Neda Joe wpadł do domu, niosąc dwa kanistry benzyny. Jolene wstrzymywała oddech, aż mężczyzna wyłonił się za chwilę z pustymi rękami. Potem przeszedł pod północną ścianę domu, wybił okno, nalał benzyny do środka, po czym wrzucił tam kanister. To samo powtórzył w innym pokoju na parterze od południa.

Ned usiłował cisnąć butelkę przez otwarte drzwi, ale udało mu się dorzucić ją tylko do ganku. Nawet się nie zbiła. Zrezygnował z rzucania, nie chcąc marnować skromnych zasobów. Joe zatem ciskał butelki przez drzwi, a potem przez otwarte okno na piętrze.

Dom był teraz ciemny, wszystkie lampy pogasły i Jolene kojarzył się z drapieżnikiem, który szykuje się do skoku. Odciągnęła Skylara parę kroków do tyłu.

Zostały tylko dwie butelki. Komendant upił spory łyk z jednej z nich i podał ją Joemu, który zrobił to samo, a potem z powrotem przekazał butelkę szefowi, który wcisnął do szyjki kawałek szmaty. Wziął od Leslie zapalniczkę.



- Cofnąć się! - rozkazał.

Joe trzymał butelkę, a Ned podpałał szmatę.

- Teraz!

Policjant rzucił butelkę przez drzwi. Świsnęło gorące powietrze i nagle rozległ się ryk, a hol zajął się płomieniami. Jolene nie wiedziała, co zrobił Joe podczas krótkiego wypadu do wnętrza domu, nie wiedziała, w którym miejscu rozlał benzynę, ale najwyraźniej zrobił to fachowo, bo w jednej chwili cały budynek stanął w płomieniach. Po głośnym metalicznym łomocie rozbrzmiał brzdęk tłuczonego szkła, gdy przez panoramiczną szybę salonu wystrzelili jeden z kanistrów i poszybował w ich stronę, a potem uderzył w sosnę i wylądował w pobliżu samochodu policyjnego.

Wszyscy się cofnęli.

Zachowano drugą butelkę, na wypadek gdyby pierwsza nie zdołała wznieść pożaru, jednak okazało się to zbędne. Płonące kotary falowały przez rozbite okiennice, a z nimi wydostawały się kłęby czarnego dymu. Salon i hol zmieniły się w piekło. Drugie okno pękło. Potem kolejne.

Stali i patrzyli. Noc ciemniała, a ogień stawał się coraz jaśniejszy, przenosił się do innych pokojów, lizał ganek, na którym wylądowała wcześniej nierozbita butelka, sięgał gontów dachu.

Jolene wydawało się, że słyszy wściekły krzyk z głębi płomieni, oszalały ryk, który mieszał się z hukiem pożogi. Czy ogień dotrze do piwnicy? - zastanawiała się. Nawet w górnej piwnicy nie było zbyt wiele łatwo palnych materiałów. Wydawało się wysoce nieprawdopodobne, by płomienie przeniknęły przez klapę, ale siedzący w dole żywy człowiek udusiłby się z braku tlenu i pewnie umarłby zaczadzony dymem.

Cokolwiek jednak przebywało tam w dole, nie była to istota ani żywa, ani ludzka.

Może żar z góry i ciężar zapadającego się domu zmiażdżą piwnicę i pozostanie po niej tylko dół wypełniony tłącymi się popiołami.

Skylar spojrzał na nią.

- On nie był w piwnicy - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Niezupełnie. On był w całym domu.

Jolene miała nadzieję, że Skylar ma rację.

I gdy obserwowała pożar, trzymając mocno rączkę syna i słuchając kolejnego ryku wściekłości, pomyślała, że chyba jednak ma rację.

Starszy mężczyzna, wyglądający jak poszukiwacz złota, obwieszony trzema aparatami fotograficznymi, leżał zaszlachtowany u jej stóp; jego poturbowane ciało pokryte było krwią i wymiocinami.

Jej wymiocinami.

Angela wytarła usta, żołądek ciągle był wzburzony, w nozdrzach miała silny odór śmierci. Wokół widziała tylko martwych i umierających. Nie miała pojęcia, co takiego tędy przeszło - dzikie szpony i niema destrukcja. Wiedziała tylko, że było to zbudowane z pleśni, tej samej, przekazanej jej w tunelu przez trupa czarnej pleśni, którą ona przeniosła do Domu Babbitta i która potem zdeprawowała jej współlokatorów.

Angela natomiast była na nią najwyraźniej odporna, tak jak we Flagstaff. Pleśń na nią nie działała. Nie atakowała również Indian.

Działała tylko na białych ludzi.

Płynął z tego jednoznaczny wniosek. We Flagstaff pleśń zmieniała ich w zaciekłych nietolerancyjnych kołtunów. Tutaj urządziła im bezwzględna rzeź. Angela mogła zasadnie przypuszczać, że została oszczędzona, ponieważ pochodzi z rodziny o meksykańskich korzeniach, z mniejszości etnicznej.

To wszystko było absurdałne, a koncepcja politycznie poprawnego potwora wydawała się śmieszna i trudno było w nią uwierzyć. Ale w jaki inny sposób można wyjaśnić to, co tu się stało? Zewłoki Chińczyków i ich kohorty oszczędziły Angelę i wszystkich Indian, ale z wściekłością zaatakowały białą ekipę CNN. Czy to oznaczało...?

Rozglądała się gorączkowo, wreszcie dostrzegła w tłumie znajomą twarz, której wypatrywała.

Derek.

Nadal żył.

Rozdzielili się przedtem w tłumie. Teraz Angelą odczuwała nieracjonalną, euforyczną radość, że chłopak jest cały i zdrow.

Przypomniała sobie zdjęcie, które widziała w domu Dereka. Pani Yount stała obok mężczyzny - ojca Dereka - znacznie ciemniejszego niż ona sama.

Derek zauważył ją w tej samej chwili. Podbiegł do niej i uściskał ją mocno, desperacko. Jej serce drgnęło i nagle zawładnął nią lęk. Gdzie jest jego mama? I brat? Objęła go mocno. Wyczuła, jak trzęsą mu się ramiona i jak chłopak przyciska twarz do jej włosów, i zorientowała się, że Derek szlocha.

Nie, pomyślała.

Tak, wiedziała.

Wokół nich jak na komendę - może kierując się tym samym instynktem, który ich doprowadził do tego miejsca - Indianie wzięli się za ręce i zaintonowali pieśń. Angeli skojarzyło się to z łańcuchem rak biegnącym przez Amerykę, do którego przyłączyli się jej rodzice jeszcze przed jej narodzinami, ale dostrzegła w tym również niejasne religijne elementy. Wielu mężczyzn miało zamknięte oczy i Angela odniosła wrażenie, że ludzie ci myślą, iż za chwilę umrą, i postanowili biernie oczekiwać na swój los, a trzymając się za ręce i śpiewając, demonstrowali akceptację śmierci.

Gdy dwaj postawni mężczyźni przesunęli się, by dołączyć do łańcucha, Angela zobaczyła ciało matki Dereka - leżało na torach kolejowych, rozplatane od gardła do krocza; skrwawione trzewia wylewały się na podkłady kolejowe. Angeli zrobiło się niedobrze. Odwróciła wzrok, usilnie powstrzymując się od wymiotów, choć przypuszczała, że już nic nie pozostało jej w żołądku. Czuła w sobie niepokojącą pustkę, bolesną dziurę, która mogła się powiększyć i pochłonąć całe jej istnienie. Widok zabitej matki przyjaciela, świadomość, że gdzieś w pobliżu leży również jego brat okaleczony i zamordowany - to wszystko było jak dźgnięcie w serce.

Zacząła się odruchowo modlić. Z przyzwyczajenia. Modlitwa dawała jej lepsze samopoczucie, przynosiła pociechę w ciężkich chwilach.

Kiedyś podczas modlitwy zawsze odczuwała niepewność. Przekazywała swoje życzenia i podziękowania, mając jedynie nadzieję, że zostaną wysłuchane. Tym razem jednak - co skonstatowała z wielkim zdumieniem - nawiązała natychmiastową łączność. Wypełniła ją trudna do wyjaśnienia, a jednak niezbita pewność, że przemawia bezpośrednio do istoty, która jej słucha i ją rozumie.

Tylko że...

Tylko że Angela nie była pewna, czy ma do czynienia z Bogiem.

Istota była potężna, bez wątpienia. Ale Angela wyczuwała w niej różne cechy, które nie kojarzyły jej się z Wszechmogącym. Po pierwsze, istota znajdowała się blisko, nie była wszechobecną siłą, ale konkretnym obiektem przebywającym w ściśle określonej przestrzeni. Z drugiej strony, wydawało się, że jest obrażona, wściekła, przepełniona małostkowymi ludzkimi emocjami

niegodnymi istoty boskiej. Nawet sam Pan wykazywał czasami małostkowość i rozdrażnienie - wtedy gdy był młodym Bogiem ze Starego Testamentu, gdy uczył się wszystkiego i próbował zorientować, gdzie są granice między nim a tym, co stworzył.

Ta istota nie była młoda.

Angela bała się przerwać modlitwę, bała się stracić łączność. Istota, z którą rozmawiała, może nie była Bogiem, ale Angela czuła się bezpieczna w jej towarzystwie, chroniona przez obcowanie z nią. I im dłużej do niej mówiła, im szerzej się otwierała, im mocniej wyrażała swoje lęki i pragnienia, tym bardziej zbliżała się do tego niesamowitego, potężnego bytu. Miała wrażenie, że on wie, kim ona jest, że jej przyjazd tutaj został zaaranżowany, z góry jakoś przesądzony, jednak wiedziała, że to nie miało sensu, i nie wyobrażała sobie, w jaki sposób mogła pomóc, jaki mógł być z niej pożytek, co mogła tu wniesić.

Derek ciągle ją obejmował, opierał się o nią, łkając, mocno ją przyciskał. Złączyła dłonie za jego plecami, zamknęła oczy - modliła się.

Pod stopami wyczuła ruch, któremu towarzyszyło wyraźne dudnienie. Angela otworzyła nagle oczy. Jako rodowita mieszkanka południowej Kalifornii przeżyła swoją porcję trzęsień ziemi i dzięki tym doświadczeniom nauczyła się czujności wobec wszelkich zjawisk sejsmicznych, instynktownie gotowa rzucić się do ucieczki czy szukać schronienia przy pierwszych symptomach geologicznej niestabilności. Tym razem jednak nie było to trzęsienie ziemi. Natychmiast to rozpoznała. W tej samej sekundzie, gdy otworzyła oczy, zobaczyła, jak kształtuje się postać, żywioły ziemi i nieba jednoczą się, by uformować bestię, jakby każdy składnik, tworzący tę równinę, został wyssany przez niewidzialną siłę cząsteczka po cząsteczce z nieożywionego źródła i użyty do wyrzeźbienia potwora.

Ale czy to rzeczywiście był potwór?

W nieruchomym nocnym powietrzu wyciągał się w górę ponad ziemią jak wysoki budynek, oświetlony przez niedawno wzeszły księżyc. Straszny widok przedstawiała ta konstrukcja ze skał, piasku, chmur i krzaków. Rozpoznawalne elementy zostały zestawione w taki sposób, że końcowy kształt był zupełnie nierozpoznawalny, a nadto bardzo niepokojący. Jednak Angela się go nie bała. Patrzyła wprost na niego - postać nie miała ramion ani nóg, ale z pewnością posiadała twarz, która unosiła się mniej więcej pośrodku chudej, chwiejnej sylwetki. Twarz miała starodawne wściekle oczy, haczykowaty nos, pozbawioną ust paszczę, która była zbyt wielka, lecz jednocześnie mocno ściśnięta. Monstrum miało okropną powierzchność i przytłaczające rozmiary

lecz Angela właściwie nie odczuwała strachu. Napęłniał ją trwoźny podziw, ale nie strach.

Monstrum było przezroczyste. Mimo swej powierzchowności brakowało mu solidności, było raczej zjawą niż obiektem fizycznym. Czyżby wezwali go skandujący mężczyźni? Czy ono ich chroniło, było jakimś indiańskim bóstwem, sprowadzonym tu po to, by bronić ich przed ciemnymi siłami, które ich tu zwabiły?

Angela tego nie wiedziała. Wiedziała tylko, że modliła się do tej istoty albo raczej ta istota przechwyciła jej modlitwę.

*Duch Ameryki.*

Nie miała pewności, gdzie po raz pierwszy usłyszała to określenie ani do czego się ono odnosiło, ale opis bardzo pasował do tego, co teraz górowało nad równiną.

Derek odsunął się od niej albo dlatego, że wyczuł u niej napięcie ciała czy zmianę atmosfery, albo jakiś szósty zmysł zaalarmował go, że coś pojawiło się za jego plecami. Chłopak odwrócił się, by to zobaczyć. Przestraszył się, ale nie aż tak, jak być może powinien na widok takiego olbrzymia.

*Duch Ameryki.*

Może postąpiła źle, może nawet bluźnierczo, ale znów zamknęła oczy i złożyła dłonie.

Zaczęła się modlić.

Natychmiast nawiązała łączność, bliską więź silniejszą nawet niż poprzednio. Angeli trudno było skojarzyć ten intymny proces z górującym nad równiną potworem. Z drugiej jednak strony od razu zrozumiała, że odczuwana przez nią wściekłość ma związek z tym monstrum. To była furia zrodzona ze zdrady, gniew skierowany przeciw tym, którzy przekroczyli granice - przeciw Chińczykom, trupom, czarnej pleśni. Ta istota była tu, zanim powstało państwo, zanim nadciągnęli tu ludzie. Angela nie miała pojęcia, co to jest, ale przyszło jej do głowy określenie...

*duch Ameryki*

...może wyświechtane i żalosne. Wyczuła jednak w tym monstrum poczucie, że władza ono tą ziemią i być może ludźmi, którzy ją zamieszkują. Czowała, że ten duch chce przywrócić harmonię, równowagę przeciwieństw. Nie może dopuścić do tego, by zło pociągów rozszalało się na tej ziemi.

A zatem istota była po ich stronie. Tym razem. Angela rozumiała jednak, że w przyszłości tak być nie musi, a również w przeszłości mogło być inaczej. Teraz nastąpiła tymczasowa zbieżność interesów i Angela przyjęła to z ulgą i wdzięcznością. Choć nawiązała spokojną łączność

*z duchem,*

rozumiała potencjalną grozę takiej siły, a monstrualna istota, której wygląd na zawsze odcisnął się w jej umyśle, mogła być znacznie, znacznie gorsza od czarnych pociągów pełnych palających zemstą trupów.

Jeden z pociągów zagwizdał - był to dźwięk nie smutny, lecz mrozący krew w żyłach, i zamiast brmieć długo i przeciągle, urwał się niemal na starcie.

Angela otworzyła oczy, ale dłonie nadal miała złączone, a wargi szeptały modlitwę.

Gigantyczna postać się uśmiechnęła. W świetle księżyca jej zęby były ciemne, przypominały piaskowiec.

I po raz pierwszy Angela naprawdę się bała.

Wychodząc z wagonu pasażerskiego, Dennis czuł się odrętwiały i zamroczony, jakby właśnie wybudził się z narkozy po jakiejś operacji. Wzrok miał mętny, tok myślenia zakłócony. Ociężałe zszedł na ziemię za gospodynią domową, mając wrażenie, że nogi ma jak z drewna.

Za nim wyszli Malcolm i reszta żywych. Umarli pozostali w wagonie.

Na ziemi ujrzeli labirynt torów kolejowych i kłębowisko lokomotyw - dużo wielkich czarnych maszyn; różniły się od siebie, ale coś je łączyło. Dennis zobaczył z przerażeniem, że jedna jest z ludzkich ciał, setek ciał pokrytych pleśnią, uformowanych w przednie reflektory, pomosty, stalowe płyty i fragmenty drzewi.

Chodzenie sprawiało mu trudność, ale jedną z zalet słabości ciała było to, że strach, jaki powinien odczuwać, został stłumiony, zaszpunktowany. Na poziomie intelektualnym potrafił ocenić doniosłość strasznej sceny, jaka mu się ukazała, ale emocjonalnie tego nie rejestrował i jego serce wcale nie waliło jak młot pneumatyczny, chociaż tak powinien zareagować.

Potyając się, poszedł w stronę lokomotywy swojego pociągu, do miejsca spotkania z trzema innymi lokomotywami. Te cztery pociągi nadjechały z różnych kierunków - z północy, południa, wschodu i zachodu. Dennis pochylił się i przykłęknął między krzyżującymi się torami. Nabrał dłonią garść ziemi. Roztarł ją w palcach, powąchał, dotknął jej wargami. Z tą glebą zmieszała się krew, krew jego pobratymców. W tym miejscu dokonano masakry chińskich imigrantów i ta plama nigdy nie zostanie zmazana.

Przesiewał ziemię między palcami.

Uświadomił sobie, że został wezwany, ale nie wezwały go duchy jego ludu, jak sądził pierwotnie. Większość z nich, tak jak on, została mimowolnie

uwikłana w grę odwetu. Nie byli wojownikami z wyboru, lecz z poboru, wciągnięci w walkę przez siły, nad którymi nie mieli kontroli, siły prawdopodobnie dla nich niepojęte. Choć Dennisa powitano w pociągu, a nawet go oczekiwano, to nie był cel jego drogi, tylko środek transportu. Może ci w wagonie pasażerskim spodziewali się, że dołączy do walki, myśleli, że wszyscy żywi ludzie, których zabierają po drodze, poświęcą się wymierzaniu kary białej Ameryce, ale tak się nie stało.

Nie, coś innego go tu sprowadziło, wzywało go z daleka przez tyle lat.

I wtedy to zobaczył.

Za lokomotywami, nad nimi, unosiła się dziwna, przerażająca postać - rozpoznał ją, widywał ją w snach. Ta istota wezwała go tutaj. Jej trójkątną głowę widział za ścianą dymu na końcu drogi. To była istota z jego koszmarów, obserwująca, czekająca, przywołująca, jej czarna migotliwa sylwetka widoczna na tle nieba, nad drzewami, nad górami.

Tak jak teraz.

Pociągi były wersjami zwykłych przedmiotów, zniekształceniem znanych maszyn, ale ta postać to zupełnie co innego. Sylwetka tak niezwykle przerażająca i w najwyższym stopniu dziwna, że gdyby przedtem nie pojawiała się w jego snach, jego mózg nie potrafiłby z niczym jej skojarzyć, z niczym porównać.

A mimo to pasowała tu. Wydawała się obca, ale wyraźnie stanowiła naturalną część tego kraju, jak góry czy krzaki bylicy, jak skały czy powietrze. To było stworzenie z tego miejsca, znajdowało się tu na długo, zanim ta kraina została zasiedlona, i zostanie tu długo po tym, jak obecna cywilizacja obróci się w proch.

Dennis spojrział w niebo oświetlone blaskiem księżyca. Widział rozdręganą postać. Emanowały z niej fale wściekłości i niezadowolenia, emocje, które rozumiał, ale które mimo to napawały go lękiem, ponieważ ich źródło w tym przypadku było z gruntu nieludzkie. Ta istota go tu wezwała, sprowadziła go w to miejsce z nadzieją, że Dennis pomoże zdjąć klątwę mściwości. Istota, choć olbrzymia i potężna, była równocześnie pozbawiona mocy. Przynajmniej w takich sprawach. Nie mogła powstrzymać odwetu, bo w przeciwnym razie już dawno temu zdusiłaby go w zarodku. Mogła tylko wezwać ludzi, którzy, jak sądziła, zdolni byli zatrzymać ten proces.

Ale co on miał zrobić? Co właściwie mógł zrobić? To wszystko zaczęło się od dziwnego zbiegu okoliczności, klątwy rzuconej w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie i rozwinęło się w ruch, który całkowicie wymknął się spod kontroli. Dennis nie mógł tego powstrzymać. Nie miał takiej mocy,

nie znał żadnych zaklęć. Cokolwiek by zrobił, nie miałyby to najmniejszego znaczenia wobec czegoś, co było w istocie największym protestem grupowym wszech czasów.

Tuż za nim stali Malcolm i inni towarzysze podróży, wystraszeni tym piekielnym krajobrazem i niepewni, co robić. Patrzyli na niego, oczekując przewodnictwa. Dennis też czuł się zagubiony i przez chwilę stał beczynnym, wdychając dymne wyziewy i wpatrując się we wściekle oblicze na niebie.

Ale przecież nie cała twarz była wściekła. Usta uśmiechały się makabrycznie, zęby przypominały kaktusy, ale jednak to był uśmiech skierowany do tysięcy śpiewających monotonicznie Indian, którzy połączywszy dłoń, utworzyli wokół pociągów nieskończonego węża.

Czy to oni przywołali tę istotę, tego potwora, tego... ducha?

*Duch.*

Tak, to duch.

Ostatni w łańcuchu Indianin stał tuż przed nim. Był to przysadzisty mężczyzna o prawie kwadratowej sylwetce. Miał lśniące czarne włosy, a patrząc na niego z tyłu, można by wziąć go za Chińczyka. Dennis odwrócił głowę, próbując zobaczyć kolejne ogniwa łańcucha, ale kręta linia ludzi przebiegała w tak skomplikowany sposób jak tory kolejowe pod ich stopami i trudno było powiedzieć, dokąd zmierza za pierwszym skrzyżowaniem.

*Łańcuch.*

To, co tych wszystkich ludzi tu sprowadziło, stanowiło część łańcucha, łańcucha wydarzeń uruchomionych ponad sto lat temu. Dennis stanowił część tego łańcucha; chwycił dłoń przysadzistego mężczyzny, a potem obrócił ramię do tyłu i podał rękę Malcolmowi. Na ułamek sekundy pojawiła myśl, że Malcolm mógłby sądzić, iż Dennis jest gejem - wpływ lat społecznych uwarunkowań nie znika tak łatwo nawet w sytuacjach kryzysowych - ale Malcolm podał drugą rękę profesorowi z Denver, który z kolei chwycił dłoń stojącej za nim gospodyni domowej.

Dennis zastanawiał się, czy nie dołączyć do indiańskiego chóru, naśladując słowa, które wznosiły się do nieba, ale doszedł do wniosku, że nie byłoby to właściwe. Malcolm zaintonował własną pieśń po mandaryńsku - brzmiała jak modlitwa do przodków - i Dennis włączył się ze swoją pieśnią w języku kantońskim, powtarzał to, co według niego współbrzmiało z rytmem indiańskiej pieśni i co jako pierwsze przyszło mu do głowy - stare wierszyki dla dzieci, jakich nauczyła go matka, gdy był mały. Ludzie za nim zrobili podobnie, włączając do wspólnego chóru własne słowa.



Dobrze się czuł w tym śpiewie, który jednak nie przynosił żadnego widocznego skutku. Dennis spojrział odruchowo do tyłu i zobaczył koniec łańcucha. Wszyscy żyjący do niego dołączyli, ale... czegoś brakowało, coś się nie zgadzało.

Luka.

Tak. Na końcu stał długowłosey chłopak i między nim a pociągiem istniała przerwa. Brakujące ogniwo łańcucha. Chłopak stał z opuszczoną bezużytecznie prawą ręką, a wagon pasażerski znajdował się niecałe pół metra od niego.

Powinni się zetknąć. Linia ludzi z pociągiem. Dennis wiedział to intuicyjnie, a jego intuicję wzmacniał duch na niebie. Olbrzymia sylwetka wysyłała fale wściekłości i niezadowolenia, lecz również informację, że dwie przeciwstawne siły - ludzie i pociąg - powinny się połączyć.

A mógł to zrobić jedynie Chińczyk.

Współdziałało tu wiele czynników, mnóstwo indywidualnych działań, ogniwa łańcucha, które razem stanowiły zjednoczony nich, stawiający opór siłom przeszłości. Dennis spojrział w niebo na postać i poczuł się jak pionek na szachownicy. Teraz rozumiał, że to nie Indianie stworzyli tego monstrualnego ducha, lecz to on ich tu przyprowadził, podobnie jak wezwał jego, Dennisa.

Puścił dłoń przysadzistego Indianina i przyciągnął do niego Malcolma, łącząc ręce obu mężczyzn. Żaden z nich nie zaprotestował, nie przerwali śpiewu, a Dennis cały czas recytował dziecięce wierszyki.

Pobiegł do długowłosego chłopaka, lewą ręką ujął jego prawą dłoń...

Prawe ramię wyciągnął w bok i dotknął wagonu.

Efekt był natychmiastowy. Dennis poczuł, że przechodzi go jakby prąd elektryczny, choć nie wiedział, czy biegnie on od pociągu do ludzi, czy od ludzi do pociągu. Wiedział tylko, że energia, którą przewodził, była potężna i w innych okolicznościach niewątpliwie zostałaby z niego tylko kupka popiołu.

Trzy inne pociągi ruszyły, zaczęły się wycofywać, próbując ucieczki. Gdyby udało im się rozpedzić, rozerwałyby łańcuch, ale już na starcie zamierały i zatrzymały się. Najbliższy tracił swoją fizyczność, stawał się cieniem, wreszcie rozplynał się w mroku. Jego lokomotywa i wagony pasażerskie roztopiły się jak lody, czarna pleśń, stanowiąca spoiwo tej kolei, wyciekała na szyny i podkłady. Pociąg zbudowany z ciał - jak Dennis przypuszczał, był to ten szczególnie pociąg, ojciec wszystkich pozostałych pociągów - odjechał nieco dalej, ale po stacji, które go tworzyły, wyły z bólu, zagryzały zęby, wiły się w męczarniach.

Najpierw odpadły te ciała, które stanowiły koła - spadły na tory, a wtedy reszta konstrukcji wyżej rozpadła się, ciała wracały do normalnych kształtów, setki ciał spadały dokoła i staczały się w dół wzgórza. One również pokryte były pleśnią i pleśń spływała z nich, wsiąkając w ziemię. Pod warstwą czarnej grzybni kryły się zwłoki w łachmanach, które w ciągu kilku sekund rozpadały się, jakby tylko pleśń nadawała im formę, tak jak wcześniej zlepiała ich razem w kształt pociągu. Nagle wszędzie wokół pojawiły się kości i Dennis zobaczył, jak chudy Indianin, uśmiechając się i śpiewając, kopie czaszkę, jakby to była piłka.

To wszystko działo się równocześnie. Jego pociąg zachował swój kształt nieco dłużej, może dlatego, że Dennis go dotykał - albo wyciągał z niego moc, albo ją tam tłoczył - ale w końcu i ta maszyna poddała się, rozpadła na kawałki, jakby łączące ją sworznie wszystkie naraz zniknęły. Panel, którego Dennis się trzymał, rozpląnął się w jego dłoni, zmieniając się w proszek. Dennis czuł go palcami, miał wrażenie, że to krucha grudka ziemi, i wytarł dłonie o spodnie.

Teraz inni ludzie kopali kości i w Dennisie zawrzał chwilowy gniew. To nie było w porządku. Spojrzał w górę - postać na niebie wydawała się bardziej solidna, jakby unicestwienie pociągów dodało jej sił. Uśmiechała się do niego i gniew w nim ustąpił. Twarz postaci była wciąż brzydka i przerażająca, ale, do diabła, pojawił się na niej zaraźliwy uśmiech i choć ktoś obserwujący to z boku mógłby dostać dreszczy, Dennis wpatrywał się w ducha i również uśmiechał się do niego.

Jako strażnik parku narodowego Henry dużo wiedział o wierzeniach Indian, zwłaszcza tych plemion, które zasiedlały południowy zachód i zostawiły po sobie ruiny miast, puebla, rysunki i rzeźby. Choć znał pogłoski na temat własnego pochodzenia, nigdy przedtem nie czuł więzi z tymi wierzeniami.

Teraz też ich nie czuł.

Był tu obcy, ale potrafił rozpoznać moc i skuteczność tego, co się wydarzyło. Ten zlot, to trzymanie się za ręce i szamańskie śpiewy nie tylko przegnały cienie, które ich dręczyły, ale również w jakiś sposób spowodowały, że pociągi zniknęły albo się rozpadły. Nie wątpił, że gdyby lokomotywy miały więcej czasu, wessałyby każdego człowieka i kontynuowały swój morderczy pochód przez wiele lat - chińscy zmarli torowaliby sobie trasę przez cały kraj w poszukiwaniu zemsty. Czy biała Ameryka wiedziałaby, jak opanować taką sytuację? Czy policja i inne instytucje prawa potrafiłyby zrozumieć, że w tych wydarzeniach jest coś nadnaturalnego, czy nadal uparcie traktowałyby je w

sposób dosłowny, nie chcąc dostrzec związku pomiędzy różnymi zjawiskami i zakładając, że wszystkie wypadki śmierci są przypadkowe i niezwiązane ze sobą? Trudno było to ocenić, ale nie było to już istotne. Pociągi nie zdążyły zrealizować swoich planów.

Zostały wysłane do piekła czy gdzieś, gdzie ich miejsce.

Henry spojrział w dół. Pod jego stopami świeciły szyny - nie biało, żółto, niebiesko czy zielono, tylko czarno. Szare stalowe szyny promieniowały czernią gagatu ciemniejszą od koloru obsydianu i intensywniejszą od każdego innego odcienia. Henry zastanawiał się, czy oglądane z góry tory tworzą jakiś wzorec. Spojrział w niebo...

Zobaczył twarz.

Straszne oblicze, patrzące na to, co się rozgrywało w dole, z wyrazem aprobaty i niesmaku.

Duch kraju, pomyślał, ale wydało mu się to tak głupim, oklepanym banałem, że natychmiast wyrzucił go z umysłu.

Pod butem poczuł gorąco, jakby podkład toru był z lawy. Odskoczył na bok, na piaszczysty grunt, starając się nie dotykać szyn. Inni ludzie też wyczułi stopami żar i niektórzy krzyknęli z bólu.

Tory zniknęły w taki sam sposób, w jaki się pojawiły - z powrotem zatopiły się w podłożu, ale tym razem Henry zauważył, że się rozpadają, nie zanurzają się w ziemię, lecz stają się jej częścią, jakby wcześniej zostały uformowane z miejscowych pierwiastków i teraz powracały do naturalnego stanu.

Henry znów spojrział w niebo i teraz zobaczył, że jest tam nie tylko twarz, ale całe ciało, którego wcześniej nie dostrzegł, ponieważ składało się z elementów krajobrazu. To było jakiegoś rodzaju stworzenie. Chciałby powiedzieć „potwór”, ale to określenie nie wydawało się słuszne. Henry czuł z tą istotą pewien związek i przypomniał sobie duchy i bogów pustynnych, czczonych przez dawne plemiona, które zwracały się do nich po pomoc w potrzebie. Zawsze uważał, że te opowieści prymitywnych ludzi to ich sposób na wyjaśnienie niezrozumiałych zjawisk przyrody. Teraz po raz pierwszy dochodził do wniosku, że może więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie\*.

\* Tłumaczenie J. Paszkowskiego (trawestacja cytatu z *Hamleta* Williama Szekspira).

Wes klepnął go po ramieniu.

- To koniec, człowieku. - Uśmiechnął się. - Po wszystkim.  
- Ja też tak myślę - odparł Henry. Wskazał na niebo, na górującą nad równiną postać. Chciał go zapytać, czy wie, co to jest, czy to jakieś indiańskie

bóstwo, czy duch ziemi, wywołany śpiewem Indian. Miał wrażenie, że to coś zupełnie innego, że Indianie nie wyczarowali jej, lecz istota wezwała ich w to miejsce. - Jak myślisz, co...? - zaczął. Ale postać zniknęła.

Gdy Rossiter przybył na miejsce, wydarzenia dobiegały końca. Zdążył tylko zobaczyć postać na niebie i czarne tory kolejowe zanurzające się w ziemi. Omal nie zawrócił i nie uciekł jak tchórz. Był zadowolony, że tym razem spóźnił się na miejsce akcji, a obserwując język ciała towarzyszących mu agentów, stwierdził, że oni też się z tego cieszyli. Stali na pagórku przy swoich samochodach, próbując rozeznaczyć się w chaosie. Żaden z nich nie odezwał się i Rossiter zdał sobie sprawę, że jego koledzy boją się przemówić. Milczeli przez szacunek do niego. Wiedział, że jest tu ekspertem, szefem, i dlatego nosił głowę wysoko.

Patrzył na to niesamowite zgromadzenie, starając się nie podnosić wzroku, by nie widzieć oświetlonego księżycem potwora. W ciemnościach trudno było ocenić, jak liczny to tłum, ale zebrało się tu morze ludzi. Przypominało to jeden ze słynnych marszów na Waszyngton. Wielu ludzi trzymało się za ręce, co wyglądało dziwnie. Czy występował tu jakiś element religijny?

Nie wiedział, ale wkrótce się dowie.

Odetchnął głęboko. W zapachu pyłu czuł dym. I stęchliznę.

Do diabła, co robi Saldana? - zastanawiał się. Nie pojawił się tu w wyznaczonym czasie, czyli - Rossiter spojrzął na zegarek - pół godziny temu. Chciał wierzyć, że Saldana po prostu zapomniał - za coś takiego Rossiter chętnie by mu skopał tyłek - ale dotychczas był zawsze niezwykle punktualny.

Coś musiało się wydarzyć w Bear Flats.

Może tak, może nie. Rossiter nie chciał teraz o tym myśleć. Obecnie jedno mógł stwierdzić - tutaj w Promontory Point sprawa się zakończyła. I wygląda na to, że ci dobrzy zwyciężyli. Już układał sobie w głowie opowiadki dla zamydlenia oczu, bezbarwne wyjaśnienie, które miało udobruchać prasę i zadowolić publikę. Zderzenie pociągów. Wypadek z udziałem dwóch lokomotyw. Gdy wraz ze swoimi ludźmi przeprowadzi kilka przesłuchań, zrobi trochę zdjęć i filmów i znajdzie wyjaśnienie tego, co się stało, przekaże raport Hornowi i prezydentowi.

Uśmiechnął się w duchu.

Tym razem nie zepchną go z powrotem na drugą linię.

Tym razem czeka go awans.

# EPILOG

## PARK NARODOWY KRAINY KANIONÓW, UTAH

Zmieniła się pora roku, znów powróciły tłumy turystów i czasem łatwo było zapomnieć, że wcześniej wydarzyło się coś szczególnego.

Henry odpowiadał na pytania turystów, prowadził wycieczki do najchętniej odwiedzanych miejsc, niekiedy organizował wieczorne pokazy slajdów na kempingu, nadganiał papierkową robotę w biurze na tyłach centrum informacyjnego. Żyła jak dawniej.

Przeważnie.

Noce jednak były długie, a w chłodne wieczory Henry rozglądał się nerwowo po swoim domku. Widział liczne cienie w zakamarkach prymitywnego mieszkania i to wytrącało go z równowagi. Niemal oczekiwał, że jeden z nich zacznie się ruszać. A kiedy spoglądał na zachód za domek Raya i przypominał sobie pociąg, który tam widzieli, miał wrażenie, że było to wczoraj. Tamte przeżycia wracały z pełną siłą i Henry'ego ogarniało uczucie strachu tak przemożne, że zaczynał się trząść.

Raul i Stuart wyjechali. Raul przeniósł się do Bandolier, a Stuart porzucił pracę strażnika parków. Healey przeszedł na wcześniejszą emeryturę i choć Henry nie mógł powiedzieć, że smuci go odejście inspektora, musiał przyznać, że tęskni za swobodą, jaką miał pod jego kierownictwem. Nowy szef był znacznie skuteczniejszy i lepiej wykwalifikowany, ale miał bzika na punkcie procedur i krócej trzymał podwładnych. Nie przywykli do tego. Healey zawsze postępował jak twardziel, ale wykazywał się taką niekompetencją, że jego polecenia można było spokojnie ignorować. Z nowym szefem takie numery nie przechodziły. Ale może z czasem się to zmieni.

Jeśli Henry oczekiwał, że po tamtych doświadczeniach stanie się bardziej uduchowiony - albo choćby odkryje w sobie więcej z Indianina - cóż, nic takiego

się nie stało. Przypuszczał, że był na to za stary i zbyt rutyniarski. Był tym, kim był, i wydarzenia, które bez wątpienia zmieniłyby jego życie, gdyby miał dwadzieścia czy trzydzieści lat mniej, teraz posiniaczyły go i poturbowały, lecz zasadniczo nie zmieniły.

Życie toczyło się dalej.

W lutym, nim nadeszła fala wiosennych turystów i można było podróżować po parku przez wiele dni, nie spotykając żywej duszy nawet na najbardziej uczęszczanych drogach i szlakach, Henry patrolował samotnie północno-wschodnią część parku. Znalazł się w odizolowanym kanionie, który miał tylko jedno wejście. Nie przypominał co prawda tamtego kanionu z petroglifami, gdzie spotkał bliźniaczki, ale mimo to Henry zatrzymał dżipa, wysiadł i zaczął oglądać skalne ściany i zwężającą się lachę piasku. Było późne popołudnie, niebo przesłaniały warstwy ciemnych wędrujących chmur, od zachodu przenikały tu od czasu do czasu małe ślady słońca. Henry nie spodziewał się, że coś tu zobaczy, ale na klifie nieopodal dżipa dostrzegł coś, co przypominało cię zmysłowej kobiety. Przypadkowy zestaw kształtów kojarzący się z ludzką sylwetką. Henry widział nawet poszczególne elementy głowy, piersi, nóg. Opuścił spodnie i próbował się onanizować.

Najpierw powoli, potem szybciej, ale bezskutecznie. Jego ciało nie reagowało i po jakichś dwóch minutach poczuł się głupio.

Włożył spodnie.

To naprawdę był koniec.

Po pracy pojechał do Moabu do baru Boy Howdy. Przy barze miał spotkać się z Ectorem, ale przyjaciel jeszcze się nie pojawił, więc Henry zamówił piwo i zajął mały stolik przy ścianie. Obok niego przy końcu kontuaru rozmawiali dwaj mężczyźni, jeden z nadwagą, drugi z niedwagą, obaj w murarskich kombinezonach. Mówili tak głośno, że nawet telewizor ich nie zagłuszał.

- Byłem na tym zjeździe plemiennym Indian parę miesięcy temu - powiedział gruby. - Wiesz, to w Promontory Point, co mówili wszędzie w telewizji.

- Serio? Widziałeś ten wypadek?

- Z pierwszego rzędu - przechwalał się gruby. - Te pociągi pędziły na siebie jak byki żądne krwi. Ludzie próbowali zejść im z drogi, ale tam się kotłowało. Podeptali dziennikarzy. Indianie biegali na wszystkie strony, próbowali zejść z torów...

Wszedł Ector, mrużąc oczy w przyćmionym świetle. Henry pomachał do niego.

- No - kontynuował mężczyzna - jakby maszyniści uwzięli się na siebie. Cały czas przyśpieszali, aż wreszcie... bam!... pociągi się zderzyły. Gówno leciało na wszystkie strony...

Henry mimowolnie uśmiechnął się do siebie. Podszedł Ector i uderzył dłonią w blat stolika.

- Witaj!
- Witaj! - odparł Henry.
- ...i te dwa pociągi były... Henry ciągle się uśmiechał.
- Usiądź, napij się piwa.

## SEAL BEACH, KALIFORNIA

Dennis stał na końcu mola tyłem do oceanu i patrzył w stronę lądu, na zwarty rząd domów nad plażą. W ostatnim tygodniu oddział wojsk inżynieryjnych wyposażony w wywrotki i buldożery zbudował wał z piasku, mający chronić domy przed falami zimowych sztormów. Dziś jednak pogoda była ładna i matki wybrały się na spacer z małymi dziećmi, które biegały i bawiły się na szczycie piaskowej góry. Kilka przecznic od morza stał dom, w którym Dennis wynajmował mieszkanie. Teraz jego matka i siostra urządziły tam sprzątanie, choć się temu sprzeciwiał. Przyjechały tylko na krótkie wakacje, żeby zobaczyć, jak mu się tu żyje, ale Cathy powiedziała, że chciałyby się przeprowadzić na Zachodnie Wybrzeże i Dennis wiedział, że również matka podąży za swoimi dziećmi.

Dennis zachwycał się tutejszą cudowną pogodą, jak co dzień po przyjeździe do Kalifornii. Obecnie w Pensylwanii temperatury spadły poniżej zera i na poboczach dróg rosły pryzmy brudnego śniegu. A tu panowało lato. Po obu stronach mola młodzi surferzy w mokrych skafandrach czekali na sprzyjające fale, a na plaży kilka par leżało na kocach, dalej opalała się seksowna nastolatka, a obok turyści jedli rodzinny lunch przy piknikowym koszyku. Dwoje maluchów z krzykiem biegało wzdłuż linii wody, goniąc mewy.

Ten świat leżał daleko od Pensylwanii i o całe niebo dalej od tego, co Dennis uznał za swoją podróż przez piekło.

W odróżnieniu od innych ludzi, zgromadzonych w Promontory Point, Dennis i jego współpasażerowie zostali pozostawieni własnemu losowi. Z równiny w Utah nie mieli czym wyjechać i powrócić do swoich miejsc. Samochód Dennisa stał w Milner, daleko w Wyoming i gdyby nie Indianin Siuks,

który wracał do Montany i zaproponował, że go podwiezie starym pacerem, Dennis nie wiedziałby, co robić.

Jechali na północ przez równiny, w dali widzieli góry. Podczas drogi nie rozmawiał z Indianinem. Rzucali zdania typu „zatrzymajmy się, żeby coś zjeść” albo „mogę poprowadzić, jeśli jesteś zmęczony”, ale głównie milczeli przez całe godziny. Cisza nie była krępująca, choć Dennis nie czuł się swobodnie. Podróż bardzo, bardzo mu się dłużyła.

Dotarł do Milner późnym rankiem. W nocy się zdrzemnął, co dobrze mu zrobiło. Nie chciał spotkać się z Carlem Fongiem ani jego kumplami, chciał tylko cicho się zmyć. Uregulował rachunek w motelu, spakował swoje rzeczy, wsiadł do samochodu i odjechał na zachód.

Po drodze miał dużo czasu na myślenie.

Ale starał się tego unikać.

Odwrócił się i spojrzał na ocean. W stronę Long Beach płynęła samotna zagłówek, a za nią w obramowaniu cienkiej warstwy białego smogu klockowaty kontenerowiec czekał na wejście do portu. Kilka dni wcześniej telewizja podała wiadomość o nakrytych przez służby celne nielegalnych chińskich imigrantach, przemycanych w ładowni jednego ze statków towarowych. Choć wobec nielegalnych imigrantów z Azji nie przejawiano takiej niechęci jak wobec Meksykanów - tym nie przyznawano nawet statusu ludzi, mówiono o nich „obcy” - to jednak ciemniejsze rasy wywoływały gniew białej Ameryki. Jakoś nigdy nie protestowano przeciw imigracji białych.

Pomyślał o profesorze z Denver i gospodyni domowej z Oregonu, którzy mocno wierzyli, że kara jest konieczna, przemoc wobec potomków tych ludzi, którzy prześladowali ich pobratymców, usprawiedliwiona. To były poglądy szalone, nie do obronienia. Taka postawa prowadziła do wojen i konfliktów etnicznych na całym świecie.

Mimo to...

Mimo to rozumiał ich argumenty.

Pomyślał o grabieżach i bezprawiu, pojawiających się po większych katastrofach. Politura cywilizacji była bardzo cienka. Złość i przemoc zawsze były tuż pod powierzchnią nawet wśród pozornie racjonalnych osób.

Przypomniał sobie tego olbrzymiego... stwora, górującego nad równiną.

Czasami tylko interwencja z zewnątrz potrafi obronić ludzi przed nimi samymi.

— Przepraszam. - Przepchnął się obok niego ciemny przysadzisty mężczyzna, niosący wędkę i wiadro. Ustawił swój sprzęt wędkarski przy barierze mola.



Dennis powoli ruszył z powrotem na brzeg. Wiaterek od lądu przyjemnie owiewał mu twarz. Dennis spojrzął na zegar na szczycie wieży posterunku policji. Nadchodziła pora lunchu. Z Taco Surf już dolatywały wonie meksykańskiego jedzenia, a zbliżając się do lądu, czuł zapachy pieczywa z miejscowej piekarni.

Może by zabrać matkę i siostrę na lunch? - pomyślał. Mama narzekała, gdy jedli coś innego niż chińszczyzna, ale teraz dzięki synowi mogła poszerzyć swoje horyzonty.

Z daleka dobiegł gwizd pociągu. Dennis zatrzymał się gwałtownie. Serce mu waliło, włosy na karku się zjeżyły. Przez chwilę stał jak skamieniały, powietrze ostygło mu w krtani, oczy rozszerzyły się ze strachu. Zmusił się do oddechu, zmusił powieki do mrugania, zmusił stopy do wykonania kroku. Po paru sekundach wszystko wróciło do normy. Spoglądając w lekko zaciągnięte dymem niebo, głęboko nabrał powietrza. Znow pomyślał o...

*duchu*

...który unosił się nad Promontory Point. Co tam się naprawdę stało? Czemu właściwie udało im się zapobiec? Czy skończyło się na dobre?

Czy profesor i gospodyni domowa oraz inni Amerykanie chińskiego pochodzenia wznowią swoje krwawe rytuały w nadziei na ponowne wskrzeszenie umarłych?

Nie chciał o tym myśleć.

Nie będzie o tym myśleć.

Z kieszeni wyjął telefon komórkowy i wybrał swój numer domowy. Po trzech sygnałach odebrała siostra. Powiedział jej, żeby przerwała pracę, wzięła mamę i za dziesięć minut przyszły do Taco Surf.

- To ten meksykański bar? Wiesz, że mama nie...

- Słuchaj, jesteś w Kalifornii.

Niemal słyszał, jak siostra się uśmiecha.

- Skoro mamy obie tu zamieszkać, to lepiej, żeby się przyzwyczaiła.

- Właśnie. - Wyjaśnił jej, jak dojść do restauracji.

- Za chwilę będziemy - obiecała Cathy.

Był zadowolony, czuł się dobrze. Wyłączył telefon, włożył go do kieszeni i zszedł z mola na chodnik. Zamiast pójść do restauracji lewą stroną Main Street, ruszył prawą do sklepu z alkoholem.

Przed spotkaniem z matką i siostrą chciał jeszcze kupić kupon loterii i gazetę.

Nie spodziewała się, że tu trafi, nie była nawet pewna, czy chce tu być, ale wylądowała na posterunku policji w Bear Flats jako „asystent policjanta”. Stanowisko stworzono specjalnie dla niej do czasu, aż przejdzie szkolenie, zda egzaminy i zostanie funkcjonariuszem. Ze względu na jej dotychczasową karierę zawodową, praca w organach ochrony porządku mogła się wydawać czymś naturalnym, ale Jolene nigdy wcześniej nie rozważała takiej możliwości. Ned złożył jej propozycję tydzień po zrównaniu z ziemią zwęglonych ruin domu Williamsów. Przypuszczała, że komendant policji zatrudnił ją, ponieważ widział, jak dobrze radzi sobie w sytuacjach wielkiego stresu. Ponadto potrzebował jej. Jeden z funkcjonariuszy zmarł, a dwóch wystąpiło ze służby, co dla tak małej placówki miało poważne konsekwencje. To tylko zwykła rotacja, uspokajał wszystkich Ned, ale wiedzieli, że przyczyny były inne.

Rezydencja Williamsów spłonęła wprawdzie doszczętnie, ale ciągle odziaływała na miasto.

Jolene potrzebowała pieniędzy i cieszyła się, że znalazła pracę. Leslie proponowała jej stanowisko w restauracji, ale to byłoby dorywcze zajęcie i Jolene mogła je potraktować tylko jako ostatnią deskę ratunku. Matka powiedziała, że mogą ze Skylarem mieszkać u niej, jak długo zechcą - a teraz naprawdę było im dobrze we trójkę, zwłaszcza że istniało moratorium na alkohol - ale dom wydawał się im zbyt ciasny, sytuacja zbyt stresująca, a Jolene chciała zmanifestować swoją samodzielność i spróbować zacząć nowe życie.

Żona Neda znalazła im nowe lokum. Lottie Tanner pracowała w agencji nieruchomości i choć Jolene nic jej nie mówiła o swoich problemach, Ned musiał wspomnieć o tym żonie, ponieważ znalazła im tani domek do wynajęcia niedaleko domu Leslie. Domek z jedną tylko sypialnią, ale za to umeblowany i z rozkładaną kanapą w pokoju dziennym. Jolene nie mogła tego traktować jako docelowego lokum, ale w okresie przejściowym, póki nie zdecyduje, co robić dalej, miała wraz z synem zapewniony dach nad głową.

I co ważniejsze, zakończyła się jej sprawa rozwodowa.

Mogło to przebiegać paskudniej, w bardziej skomplikowany sposób - przecież mieli syna - ale Frank nie okazał się ani tak nieprzejednany, ani tak mściwy, jak podejrzewała. Wszystko przeprowadzili za pośrednictwem adwokatów i nie musieli się spotykać. Były mąż zgodził się nawet na płacenie

alimentów i zrzekł się praw do widywania syna, choć Jolene nie powiedziała o tym Skylarowi. Przypuszczała, że Frank ma już kogoś, i w pewnym sensie była z tego zadowolona. Dzięki temu przestał się nimi szczególnie interesować i mieli swobodę.

Prawda była taka, że Jolene niewiele spraw omawiała ze Skylarem od... od czasu tamtych wydarzeń. Syn był zawsze mało mówny i skryty, własne uczucia zachowywał dla siebie, ale Jolene szczyliła się tym, że dzieli się z nim wszystkimi sprawami, wspólnie podejmują decyzje i zachowują bliskie relacje mimo niesprzyjających okoliczności. Jednak po doświadczeniach, w rezydencji Williama, Jolene uznała, że lepiej unikać pewnych tematów i nie mówić o tym, o czym w zasadzie powinni mówić. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia, ale mimo to nie potrafiła się zmobilizować do zmiany postępowania.

Minęła trzecia. Jolene wyszła z pracy i odebrała Skylara ze szkoły. Potem wstąpili do babci, by się przywitać i zabrać zapiekankę mięsną na obiad. Wrócili do domu, w którym było cicho, zbyt cicho. Jolene od razu włączyła telewizor, żeby coś dźwięczało w tle.

Skylar wyłączył go.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Mamo... - Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i wbił wzrok w podłogę.

- Co takiego? - zachęciła go łagodnie.

- To tak... tak... - Pokręcił głową.

Jolene podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Powiedz, co takiego.

Spojrzał na nią.

- Czy będziemy tu mieszkać? Zostajemy tu na zawsze?

Jeszcze nie podjęła w tej sprawie decyzji, choć od razu zrozumiała, że decyzja nie zależy tylko od niej. Dla syna to były ważne lata i po tym wszystkim, co przeżył i wycierpiał, zasługiwał na to, by wiedzieć, co będzie dalej, gdzie będą mieszkać. Potrzebował stabilności.

- A ty...? - zaczęła, ale w jego oczach już zobaczyła odpowiedź na pytanie, które zamierzała zadać. Pomyślała o swojej matce, o Leslie, o swojej pracy i o szkole Skylara, w której syn już się z kimś zaprzyjaźnił. - Tak - odparła, patrząc mu w oczy. - Zostajemy.

Objął ją mocno, wtulił twarz w jej bok i zorientowała się, że płacze.

- To dobrze - powiedział przez łzy. W tonie głosu wyczuła wdzięczność. - To dobrze.

Najbardziej zdziwiło Angelę to, że nie wróciła do domu.

Mimo tych wszystkich wydarzeń, mimo tylu przeżyć, tylu przerażających rzeczy, które widziała, nie uciekła do mamusi i tatusia, nie wycofała się na bezpieczne łono rodziny. Została i wytrzymała.

Jak dorosła osoba.

Postanowiła kontynuować naukę i skończyć bieżący semestr, a potem wszystko było możliwe. Mogła zostać na tym uniwersytecie; mogła wrócić do domu; mogła się przenieść do innej szkoły. Teraz jednak dyscyplina i stabilność były jej potrzebne, by przepracować to, czego doświadczyła.

Siedziała na placu i obserwowała przechodzących studentów. Oboje z Derekiem mieli teraz wolne, ale żadne z nich nie wykazało inicjatywy, by się spotykać. Teraz byłaby okazja - dwa miesiące od tamtej nocy w Promontory Point, ale żadne z nich nie odczuwało potrzeby świętowania czy wspominania.

Angela była zdziwiona, że między nimi dwojgiem nic się nie wydarzyło. W filmach i książkach mężczyźni i kobiety, których los rzuca w środek dramatycznych wydarzeń, nieodmiennie zostają kochankami, choć trudno orzec, czy ich związek przetrwa, gdy wygasną napisy końcowe lub zamknie się okładka książki. Niejasno oczekiwała, że z nimi też tak będzie. Przypuszczała, że tak musi być zawsze. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Gdy wydarzenia przebrzmiały, poprzednia zażyłość zamiast ich zbliżyć, powodowała oddalenie. Teraz czuli się w swoim towarzystwie niezręcznie, wyraźnie zażenowani, że wcześniej tak się przed sobą odsłonili. Żadne z nich nie porzuciło kursu doktora Welkesa, ale na zajęciach nie próbowali siadać obok siebie.

Derek niezwykle mocno odczuł skutki wydarzeń. Stracił przecież matkę i brata. W porównaniu z tym cóż mogły znaczyć ciężkie przeżycia Angeli? Derek bardziej teraz liczył na swoich starych przyjaciół niż na wsparcie z jej strony i choć z tego powodu miała pewne poczucie winy, to jednak odczuwała wdzięczność. Nie była teraz gotowa, by dać się wessać przez emocjonalny huragan, i uważała, że nie jest dość silna, by stanowić dla kogoś opokę.

Ale może z czasem...

Obecnie chętnie uczyła się na zajęcia, uczyła się i wypełniała studenckie obowiązki.

Choć na tym obrazie pojawiały się również rysy.

Od czasu do czasu na zajęciach, w bibliotece, na zebraniu zrzeszenia studentów czy w pubie przyglądała się kolegom, zastanawiając się, czy ktoś z nich był w wiwatującym tłumie, gdy linczowano Ednę Wong. Usiłowała sama siebie przekonać, że nawet jeśli tak, to winna była pleśń, która wpłynęła na ich zachowanie. Jednak Angela miała bardzo silnie zakorzeniony etos osobistej odpowiedzialności i nie mogła całkowicie przebaczyć tym, którzy zamordowali Ednę.

Między innymi dlatego rozważała możliwość przeniesienia się do innego college'u w następnym semestrze.

Może gdzieś do Nowego Meksyku.

Lubiła południowy wschód.

Zadzwoił jej telefon komórkowy.

- Halo?

To matka. Angela ucieszyła się, słysząc głos mamy. Pocięchę i przyjemność sprawiała jej rozmowa po hiszpańsku, choć wywoływało to wyraz dezaprobaty na twarzach niektórych mijających ją studentów. Gadaly przez chwilę, w zasadzie o niczym istotnym, po czym mama powiedziała, że musi przygotować obiad, i się rozłączyły.

Angela włożyła telefon do torebki. Rozejrzała się. Wydawało jej się, że kampus pokrył się mgłą. Budynki po przeciwnej stronie placu stały się coraz jaśniejsze, stanowiły duży kontur za solidną ścianą bieli.

To nie mgła. To śnieg.

Angela nie przywykła do widoku śniegu. Na południu Kalifornii śnieg zdarzał się w górach, nigdy na równinie. Płatki śniegu rosły, stawały się coraz bardziej wyraziste. I gdy zbyt lekko ubrani studenci biegli do budynków, Angela stała i z uśmiechem spoglądała w niebo, a śnieg padał jej na twarz i topniał na cieplej skórze.

Otworzyła usta i połknęła kilka płatków, potem powoli poszła na kolejne zajęcia, patrzyła na blade kontury przysadzistych budynków uniwersytetu i zachwycała się ich pięknem.

Może nie warto się stąd przenosić na inny uniwersytet.

Może tu zostanie, pomyślała.